

G R A H A M
MASTERTON



Wybryk
natury



GRAHAM
MASTERTON

Wybryk
natury

Przełożył Piotr Kuś



Dom Wydawniczy **REBIS**

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Polecamy.](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tego autora nakładem
Domu Wydawniczego REBIS
ukazały się m.in.

Bazyliszek
Czerwony Hotel
Dzieci zapomniane przez Boga
Dziedzictwo
Dżinn
Festiwal strachu
Kostnica
Ludzie cienia
Manitou
Noc gargulców
Noc skorpiona
Panika
Rytuał
Trans śmierci
Wirus
Wojownicy nocy
Zemsta manitou

*Dla mojego przyjaciela Piotra Poczarka, za błyskotliwą opiekę nad polską
stroną internetową grahammasterton.pl*

1

Kenneth pchnął ramieniem drzwi wejściowe i zawołał:

– Gemma! Udało mi się zdobyć baharat, tę przyprawę, której szukałaś! Znasz ten grecki sklep przy Ada Street? Tam ją mieli!

– Co zdobyłeś? – rozległ się chrapliwy głos z końca korytarza.

Kenneth zmarszczył czoło i popatrzył w ciemność. Zauważył niewyraźną sylwetkę przysadzistego osobnika stojącego pomiędzy klatką schodową a drzwiami do salonu.

– Kim ty jesteś, do diabła? – zapytał ze złością.

Postawił na podłodze dwie pękate torby z zakupami, po czym przekręcił włącznik światła.

Zobaczył niskiego mężczyznę o szerokich ramionach, ubranego w płowy pikowany płaszcz o odcieniu karmelowym, z wysoko podniesionym brązowym aksamitnym kołnierzem. Mężczyzna miał na głowie brązowy filcowy kapelusz o rondzie tak szerokim, że jego twarz pozostawała w cieniu. Kenneth dostrzegł jednak jego oczy, błyszczące jak oczy zwierzęcia kryjącego się w jaskini.

– Przepraszam! – warknął groźnie, chociaż jego głos zabrzmiał trochę zbyt piskliwie. – Kim jesteś, do diabła, i co tutaj robisz?

– A ty? – odezwał się mężczyzna. – Mógłbym ci zadać takie samo cholerne pytanie. Właśnie mam zamiar pójść do pubu, a ty włączysz tutaj, jakbyś był właścicielem tej chałupy, i zadajesz mi jakieś głupie pytania. Mam nadzieję, że się nie wybierasz do mojej kobiety, bo jeśli tak jest, to możesz się spodziewać cholernych kłopotów.

Kenneth zbliżył się do niego, ciężko oddychając. Rondo kapelusza znajdowało się na wysokości klatki piersiowej Kennetha, ale mężczyzna roztaczał wokół siebie groźną i niepokojącą aurę. Znalazłszy się blisko, Kenneth dostrzegł różową szramę, która wyglądała jak rozciągnięty sznur i biegła od prawej kości policzkowej do kącika ust. Jego płaszcz cuchnął paskudnym odorem dymu z papierosów.

– Do jasnej cholery, nie wiem, o czym mówisz – rzekł Kenneth. – Ale dobrze zrobisz, jeżeli natychmiast się stąd ulotnisz, ponieważ w przeciwnym wypadku wezwę policję.

Wyciągnął z kieszeni telefon.

Mężczyzna przechylił głowę w lewo i prawo, spoglądając za jego plecy, w głąb korytarza.

– Naprawdę? Ściągniesz tu psy? A niby w jaki sposób to zrobisz?

– Zadzwoń na dziewięć-dziewięć-dziewięć, oczywiście – odparł Kenneth.

– Tak? A w jaki sposób? Nigdzie nie widzę telefonu.

– A jak myślisz, co to jest? – zapytał Kenneth i zbliżył rękę z telefonem do jego twarzy.

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Jakaś fikuśna zapalniczka? Spieprzaj stąd, zanim naprawdę się wkurzę.

– Rozumiem! Sam tego chciałeś! Gemma! Gemma, gdzie jesteś? Gemma!

– Właśnie wychodzę spod prysznic, Ken! – usłyszał słaby głos z piętra. – Co się dzieje na dole?

– Mamy tu intruza! Nie chce odejść, więc dzwonię na policję!

Mężczyzna dwukrotnie dźgnął Kennetha palcem w mostek.

– Niestety, facet, jesteś w błędzie. To ty stąd sobie pójdziesz. Ty i ta panienska, która zakradła się na piętro, kimkolwiek ona jest.

Kenneth zaczął wystukiwać numer, ale mężczyzna, mimo że najwyraźniej nie wiedział, z jakim urządzeniem ma do czynienia, wytrącił mu telefon z ręki. Komórka upadła na podłogę.

Kenneth pochylił się, żeby ją podnieść, ale intruz bez wahania pchnął go na schody, tak że jego głowa uderzyła w słupek poręczy. Kenneth szybko się wyprostował, dotknął prawego ucha i zobaczył na palcach krew.

– Dobrze – powiedział. – Wynocha.

Nigdy w życiu z nikim się nie bił, ale kiedy pracował dla samorządu w Newham, wziął trzy lekcje ju-jitsu. Złapał mężczyznę za kłapy płaszcza i spróbował powlec go korytarzem w stronę drzwi wyjściowych. Mężczyzna był jednak zbyt ciężki, zbyt silny, i wydawał się niemal przyklejony do podłogi. Pchnął Kennetha jeszcze raz, tym razem znacznie mocniej, przez co ten wypuścił z dłoni połę jego płaszcza i przewrócił się na plecy.

Kiedy próbował się podnieść, mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wy dobył z niej duży czarny pistolet automatyczny. Trzymając go w obu rękach, wycelował prosto w twarz Kennetha i odezwał się szorstko:

– Ostrzegałem cię, stary, nie? Kurwa, ostrzegałem cię! Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem!

Pociągnął za spust i rozległ się ogłuszający huk. Nos Kennetha zapadł się do środka, a tył jego czaszki eksplodował. Na ścianę za jego plecami, wyklejoną tapetą w paski, trysnęły krew i lśniąca beżowa fragmenty tkanki mózgowej.

– Co się tam dzieje? Co to za hałas? – wrzasnęła Gemma z sypialni. – Ken, co się dzieje?

Kenneth osunął się na podłogę, a nad jego głowę leniwie nadpłynął dym z lufy pistoletu. Chowając broń z powrotem do kieszeni, zabójca pokręcił głową i głośno cmoknął, jakby był niezadowolony, że Kenneth zmusił go do tak drastycznego kroku. Następnie pochylił się, złapał za kołnierz anoraka, w który ubrany był Kenneth, i pociągnął trupa po podłodze korytarza.

Gemma pośpiesznie owinęła się różowym szlafrokiem i stanęła u szczytu schodów w tym samym momencie, w którym mężczyzna dotarł do drzwi wejściowych.

– Stój! – zawołała. – Stój!

Mężczyzna przystanął, a potem odwrócił się i spojrzał w jej kierunku. Wyraz jego twarzy wystarczył, żeby z przerażenia zastygła. Chociaż był mocno zbudowany, zaskoczył ją widok jego nieproporcjonalnie krótkich nóg. Wydawało się, że nie nosi butów. W gruncie rzeczy chyba nie miał stóp. Kiedy się znowu odwrócił i zaczął wywlekać ciało Kennetha na próg domu, Gemma zobaczyła, że jego podwinione nogawki szorują po podłodze.

Zacząła nieporadnie schodzić po stopniach, ale było już za późno. Mężczyzna zepchnął zwłoki Kennetha w bok z ceglanych schodów prowadzących do domu, prosto na stromy klomb z pigwowcem japońskim, a potem odszedł.

Gemma wybiegła na zewnątrz, zbyt wstrząśnięta i zbyt przerażona, żeby znowu krzyżeć. Popatrzyła w lewo i w prawo na ulicę, lecz chodniki były puste i nie dostrzegła nawet śladu po mężczyźnie, który zabił Kennetha.

Padła na kolana obok jego ciała i wyszeptała:

– Ken... Ken... słyszysz mnie?

Jego twarz zamieniła się już w krwawą maź, chociaż oczy miał otwarte. Po chwili jego ciało przetoczyło się na brzuch, kobieta zobaczyła z tyłu głowy wielką dziurę i cały jej świat w jednej chwili się zawalił.

2

– Mam szczerą nadzieję, że jeszcze nie jedliście śniadania – powiedział szef techników, prowadząc ich korytarzem.

Był zupełnie łysy, miał wybaluszone zielone oczy i niesłuchanie wielkie uszy, a w obwisłym białym kombinezonie z tyveku jego głowa wydawała się zbyt mała w stosunku do reszty ciała. Nazywał się Derek Grant, ale Jerry zawsze uważał, że wygląda jak obcy z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych XX wieku, więc nazywał go Marsjaninem.

– Prawdę mówiąc, zamierzałem zjeść tosta z fasolką, ale się okazało, że chleb już mi zzieleniał – odpowiedział Jerry. Przed drzwiami salonu zatrzymał się i dodał: – A więc to znów jeden z tych ohydnych trupów? Taki, że jak go zobaczę, to będę chciał wyrzygać wnętrzności?

– Cóż, obrażenia są niezwykle, zapewniam cię. Jeszcze nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia, a wykonuję tę robotę już od piętnastu lat.

– Więc ja najlepiej poczekam na zewnątrz – odezwał się Jeżozwierz. – Zjadłem właśnie birjani z kurczakiem.

– Żartujesz! Na śniadanie?

– Wczoraj wieczorem zasnąłem, zanim zdążyłem zjeść kolację, którą przyniosłem do domu. A poza tym lubię zimne curry.

– Jezu. Teraz już wiem, dlaczego tak ci cuchnie z ust. Ale nie wyobrażaj sobie, że ci odpuścimy spotkanie z trupem. Chociaż będzie nam przykro, jeśli wyrzucasz śniadanie razem z własnymi wnętrznościami.

Dwaj umundurowani funkcjonariusze przywitani ich przed domem, a teraz szli za nimi do środka. Jeden z nich rzekł:

– Mówicie o rzyganiu wnętrznościami? Nie unikniecie tego, koledzy, gwarantuję. Mnie się to już przydarzyło. Zwróciłem dobrze przeżute kiełbaski.

Drugi policjant dodał:

– Myślałem, że tą sprawą zajmuje się komisarz Baker.

– Tak, ale się spóźni – odparł Jerry. – Właśnie doczekał się dziecka.

– Freddy Baker? Nie wiedziałem, że nosił dzieciaka w brzuchu.

– Nie on. Jego żona.

Jerry i Jeżozwierz już wcześniej założyli na buty plastikowe ochraniacze. Teraz ukryli również twarze pod maskami chirurgicznymi. Marsjanin poprowadził ich do salonu. Zasłony były zaciągnięte, lecz salon i jadalnia oświetlały silne reflektory na trójnogach.

– Rewelacja – powiedział Jeżozwierz. – Wygląda tu jak w domu mojej babci.

Ściany salonu oklejone były tapetą z brązowymi chryzantemami, a na jego meblowanie składały się dwa wyświechtane fotele, równie wyświechtana brązowa sofa oraz niski stolik z koronkowym obrusem. Nad kominkiem z cegieł wisiał oprawiony w ramy *Śpiewający lokaj* Jacka Vettriano – obraz przedstawiający elegancką parę, tańczącą na plaży skąpanej w deszczu, oraz ich służącą i lokaja, przytrzymujących nad państwem parasole.

– Jezu – jęknął Jerry. – Już sam obraz wystarczy, żeby puścić pawia. Bardzo podobał się mojej żonie.

– Proszę tędy, jeśli chcesz zobaczyć ofiarę – powiedział do niego Marsjanin.

Pchnął rozsuwane szklane drzwi, które oddziaływały salon od jadalni. Trzej kolejni śledczy, dwaj mężczyźni i kobieta, otaczali duży stół, wykonując fotografie, nagrania wideo i dokładne pomiary. Jerry rozpoznał kobietę, z którą kilkakrotnie już pracował, mimo że miała maseczkę na twarzy. Pozdrowił ją otwartą dłonią, ale była bardzo zajęta fotografowaniem lewej ręki ofiary i tego nie zauważyła.

– Cholera jasna – powiedział Jeżozwierz i przycisnął dłoń do swojej maseczki.

Ofiara leżała na plecach na stole. Była naga: biała kobieta, zdaniem Jerry’ego około czterdziestki. Miała kręcone ciemnorude włosy i wąski pióropusz włosów łonowych w tym samym kolorze. Była osobą pulchną, z dużymi piersiami i lekko obwisłym brzuchem, ale nie na tyle grubą, żeby Jeżozwierz uznał ją za opasłą.

Nie było wątpliwości co do tego, w jaki sposób została zabita albo co jej zrobiono po śmierci. Jerry pomyślał, że lepiej byłoby dla niej, gdyby to wszystko się stało po śmierci, ale jej nadgarstki i stopy przywiązano do nóg od stołu nylonowymi sznurami do rozwieszania prania. Kobieta nie miała szansy się ruszyć, nawet gdyby oprawca zadawał jej najbardziej straszliwy ból.

Jej gardło zostało przecięte do głębokości kręgu, dlatego głowę miała mocno odchyloną, a w jej szyi widoczny był szeroki otwór. Od twarzy do stóp została też pocięta w jodełkę, ukośnymi nacięciami, powtarzającymi się mniej więcej co półtora centymetra, głębokimi aż do kości. Piersi miała poprzecinane w identyczny sposób, aż do klatki piersiowej, przez co przypominały dwie lepkie porcje pudingu.

Straciła mnóstwo krwi, choć ta teraz już zaschła, a takie obfite krwawienie dowodziło, że rany zadano jej za życia.

– Temperatura ciała każe przypuszczać, że śmierć nastąpiła prawdopodobnie około północy – powiedział Marsjanin. Materiał maseczki tłumiał jego głos. – Została wykorzystana seksualnie, ale nigdzie nie natrafiłem na ślady nasienia. Do tej pory zabezpieczyliśmy jedynie ślady butów na dywanie i drobinki jakiegoś osadu, które mogły się przedostać do domu na podszwach sprawcy.

– Znamy jej personalia?

– Tak – odparł umundurowany funkcjonariusz, który stał za plecami Jerry’ego.

– To Kathleen Hartley. Nauczycielka pracująca na zastępstwach w Lavender Hill

School. Córka pary właścicieli tego domu, mieszkająca tutaj w czasie ich wakacji na Teneryfie.

– Wiemy o niej coś więcej? Zameżna? Związana z kimś?

– Samotna. Nic więcej do tej pory nie ustaliliśmy. Mieszka przy Elsley Road z inną nauczycielką, ale jeszcze nie zdołaliśmy się z nią skontaktować.

– Wiadomo, gdzie po raz ostatni widziano ją żywą?

Policjant pokręcił głową.

– I wszystko wskazuje na to, że dzisiaj nie była potrzebna w szkole – dodał. – Rozmawialiśmy już z sąsiadami, których spotkaliśmy na zewnątrz, ale oni nie widzieli jej od kilku dni.

– Dobrze. Będziemy musieli przejść się w najbliższej okolicy od drzwi do drzwi, a także sprawdzić, czy nie nagrały jej gdzieś kamery monitoringu. Zdaje się, że są zainstalowane w większości sklepów.

Jerry znowu popatrzył na ciało Kathleen Hartley, poprzecinane do kości. Widywał już ofiary torturowane przed śmiercią przez morderców, ale jeszcze nigdy się nie zetknął z tak licznymi ranami na zwłokach. Przyszło mu do głowy, że morderstwo popełnił rzeźnik albo szef kuchni, ponieważ kobieta wyglądała tak, jakby przygotowano ją do umieszczenia w oknie wystawowym sklepu mięsnego albo upieczenia w piekarniku.

– Przepraszam, Jer, muszę wyjść – powiedział Jeżozwierz i głośno czknął. – Chyba birjani ruszyło w kierunku mojego gardła.

Jerry odpowiedział mu uniesionym kciukiem. Sam nie zjadł jeszcze śniadania, ale ohydny widok i zapach sprawiły, że w jego ustach pojawiła się kwaśna kula o smaku kawy. Zdołał ją przełknąć, lecz nie miał pewności, czy zechce już na dobre pozostać głęboko w jego wnętrzościach. Jego żołądek rozszerzał się i zaciskał jak pięść bukmachera.

Rozejrzał się po jadalni. Podobnie jak w salonie, jej ściany wyklejone były wyblakłą tapetą w brązowe kwiaty. Poza stołem jadalnym i sześcioma niepasującymi do siebie krzesłami w pomieszczeniu znajdował się tylko tani lakierowany kredens i patykowaty trzypoziomowy stojak na doniczki, z których wyrastały dwie zielistki i skrzydłokwiat. Nad kredensem wisiało duże zniekształcone lustro, w którym widoczne były wszystkie osoby obecne w pokoju.

– Przepraszam – powiedziała jedyna kobieta w gronie śledczych.

Stała przed krótszym bokiem stołu i sfotografowała nogi oraz stopy Kathleen. Jerry musiał się cofnąć i potracił stojak z doniczkami. Przytrzymał go szybko, dzięki czemu stojak nie runął na podłogę, ale donica ze skrzydłokwiatem się przewróciła i wypadł z niej niedopałek papierosa.

– No i popatrz – powiedział do Marsjanina. – Ktoś wcisnął tu szluga.

Marsjanin podszedł bliżej i zajrzał do doniczki.

– Tak, oczywiście, zbadamy go – powiedział. – Przypuszczam, że Hartleyowie nie palili papierosów. Nigdzie nie zauważyłem popielniczek, a ponadto w domu

bynajmniej nie czuć dymu tytoniowego. Nasza ofiara prawdopodobnie także nie paliła. Ani na jej palcach, ani na zębach nie ma przebarwień nikotynowych.

Poprosił kobietę, żeby wykonała kilka fotografii papierosa, a potem ostrożnie zacisnął na nim pęsetę. Zanim wrzucił niedopałek do plastikowego woreczka, odchylił maskę i go powąchał.

– Fuj – mruknął. – To jest jakiś strasznie ostry papieros.

Przytrzymał go przez chwilę, żeby Jerry również mógł to sprawdzić.

– O rety. Jeszcze nigdy nie wąchałem tak paskudnego szluga. Śmierdzi jak jasna cholera.

Marsjanin zamknął woreczek.

– Znasz Geoffa Baxtera z Lambeth Road? To nasz fachowiec, jeśli chodzi o wyroby tytoniowe. Kiedy tylko wejdiesz do pokoju, od razu powie ci, jakie papierosy ostatnio paliłeś, nawet jeśli nie będziesz miał żadnego przy sobie. On nam powie, co to jest. Może znajdziemy na nim ślinę i dzięki temu zdobędziemy DNA.

Kobieta odłożyła aparat fotograficzny i po raz pierwszy popatrzyła na Jerry'ego. Miała oczy zielone jak winogrona, a spod jej kaptura wydobywało się kilka pasemek jasnych włosów. Jerry pamiętał, że kobieta nazywa się Molly Jakaś-Tam i że kiedy ostatnio widział ją bez maseczki, miała zadarty nos i była całkiem urodziwa.

– Och... detektyw posterunkowy Pardoe! – odezwała się. – Przepraszam, nie zauważyłam, jak wszedłeś.

– Wszystkie dziewczęta tak do mnie mówią.

– Co u ciebie słyhać? Dokąd zostałeś przydzielony po zamknięciu komisariatu w Tooting?

– Do Lavender Hill. To niezłe miejsce, ale cholernie trudno się tam dojeżdża, nieważne z jakiego kierunku. No i bufet na komisariacie jest ohydny.

– Nie widziałam cię... od kiedy? Od tego zdarzenia na lodowisku w Streatham?

– Zgadza się. Chodziło wtedy o biedaka, któremu ktoś rozwalił głowę łyżwą. – Jerry umilkł na chwilę, a potem rzucił: – Musielibyśmy znowu się gdzieś dwójce spotkać.

– Byłoby miło.

Ruchem głowy wskazał zwłoki Kathleen Hartley.

– Co o tym sądzisz? Widziałeś kiedyś coś podobnego? To niewiarygodne. Odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś ofiarą rytualną, nieprawdaz?

Molly Jakaś-Tam pokręciła głową.

– Owszem, ale widywałam już gorzej potraktowane ofiary. Ręce, nogi i głowy podcinane od reszty i zakopane w workach na śmieci w przydomowym ogrodzie. Takie modus operandi sprawcy nie jest niczym niezwykłym. Jednak żeby ponacinać ciało w ten sposób... Właściwie w jakim celu? Pewnie masz rację,

Jim. Prawdopodobnie to rzeczywiście była rytualna ofiara, ale jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam o takim rytuale.

– Jerry.

– Słucham?

– To moje imię. Jerry, a nie Jim.

– Och, przepraszam. Zawsze myślałam, że Jim. Bardzo mi przypominasz brata mojego narzeczonego, a on ma na imię właśnie Jim.

– Jesteś więc zaręczona?

Zanim Molly Jakaś-Tam zdołała mu odpowiedzieć, do jadalni wszedł kolejny policjant w mundurze.

– Detektyw posterunkowy Pardoe? Przed domem stoi świadek, który widział, jak ofiara wchodziła wczoraj późno w nocy do domu w towarzystwie mężczyzny.

– Naprawdę? Dobrze. Zaraz zamienię z nim słowo.

– Ma na imię Hugo – powiedziała Molly Jakaś-Tam. Po chwili dodała, jakby to wyjaśnienie było konieczne: – Mój naręczony.

Jerry pokiwał głową. Sam przypuszczał, że Molly jest zaręczona z jakimś facetem o imieniu Nigel. Śliczne młode kobiety z reguły bywają zaręczone.

Posłał ostatnie długie spojrzenie w kierunku zmasakrowanych zwłok Kathleen Hartley. Spróbował sobie wyobrazić cierpienie tej kobiety, kiedy ktoś nacinał jej ciało, i ogarnąć umysł kogoś, kto potraktował ją z tak niewyobrażalnym okrucieństwem. Trudno mu było zapanować nad własną reakcją wobec tej zbrodni. Owszem, przyprawiła go o mdłości, ale też straszliwie otępiła, więc zastanawiał się, dlaczego nie wstrząsnęła nim bardziej gwałtownie. Przecież zaledwie przed dwoma tygodniami, kiedy w Battersea Park zobaczył zwłoki czteroletniego chłopca uduszonego przez własną matkę, nieomal się rozplakał.

Wyszedł z jadalni i po chwili znalazł się na ulicy. Był zaledwie kwadrans po trzeciej, ale rozmazane szare chmury na niebie sprawiły, że dzień zrobił się ponury i posępny. Jedna po drugiej zaczynały się włączać lampy uliczne. Dostrzegł Jeżozwierza, który stał przy żywopłocie przed domem i rozmawiał z czarnoskórą kobietą w srebrnej kurtce Puffa. Miała włosy splecione w mnóstwo dredów, a w nosie srebrny pierścionek.

– To jest Shantelle – powiedział Jeżozwierz, kiedy Jerry do nich podszedł. – Shantelle, to detektyw posterunkowy Pardoe.

– Dobrze się czujesz, Jeżozwierz?

– Tak, już lepiej, dzięki. O ile nie zaglądam za żywopłot. Shantelle, powtórz detektywowi Pardoe to wszystko, co mi powiedziałaś.

– Co, wszystko od początku?

– Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Wracałyśmy z imprezy w Sugar Cane, ja i moja przyjaciółka Tamara. Wyszłyśmy stamtąd wcześniej, bo było nudno. Słyśmy Bennerley Road, właśnie tutaj, i zobaczyłyśmy, że ten mężczyzna i ta kobieta stoją przed drzwiami domu. Nie wiedziałyśmy, co to za ludzie, ale mężczyzna zaciskał rękę na ramieniu

kobiety, a ona chyba chciała, żeby się od niej odczepił, wrywała się, no, sam pan rozumie?

– Myślisz, że się pokłócili?

– No tak. Ona mówiła coś do niego, ale nie usłyszałam jej słów. I ciągle chciała się od niego oderwać, nawet gdyby miał mu w ręce pozostać jej płaszcz.

– Czy ty albo twoja przyjaciółka próbowaliście interweniować?

– Że co?

– Zapytałyście tę kobietę, czy potrzebuje pomocy?

– Chyba powinnyśmy. Ale obie wypłyśmy po trzy zombie i kiepsko stałyśmy na nogach. Buty niosłyśmy w rękach, bo na bosaka łatwiej było nam iść. W każdym razie pomyślałyśmy, że to jest tylko kłótnia domowa, jak nazywacie to w policji. W piątkowe wieczory wiele par znajduje powody, żeby się pokłócić. A poza tym mężczyzna wyglądał jakoś tak przerażająco.

– Co znaczy „jakoś tak przerażająco”?

– Hmm, byłam nawalona, więc to może dlatego. Ale kiedy ostatni raz się odwróciłam i na niego popatrzyłam, to przysięgłabym, że facet nie miał głowy.

– Przepraszam. Nie miał głowy? Może po prostu wysoko postawił kołnierz płaszcza i jej nie widziałaś?

– Nie – powiedziała Shantelle. – Przysięgam na Jezusa, że nie miał głowy. Żałuję, że nie zrobiłam mu zdjęcia.

– Byłem kiedyś w Sugar Cane – odezwał się Jeżozwierz. – Zazwyczaj jednemu klientowi nie podają więcej niż dwie zombie.

Jerry znowu odwrócił się do Shantelle.

– Dobra, facet nie miał głowy – podjął. – Albo po prostu jego głowy nie widziałaś. Jak był ubrany?

– Nie wiem. Zauważyłam tylko ciemny płaszcz.

– A bez tej głowy był wysoki czy niski?

– Identycznego wzrostu jak ona. Może był trochę wyższy.

– Obserwowałaś jeszcze tę parę, widziałaś, co stało się później? Czy ta kobieta zdołała mu się wyrwać?

– Nie. Nie chciałyśmy się w nic wplątać, chyba pan rozumie? Ale kiedy dotarliśmy do rogu ulicy, usłyszałyśmy, jak trzasnęły drzwi, naprawdę głośno. Wtedy się jeszcze raz obejrzałyśmy i tej pary nie było. Przypuszczam, że oboje weszli do tego domu.

– Rozumiem, Shantelle, dziękuję, że nam o tym opowiedziałaś. Nagrałeś wszystko, Jeżozwierz?

Jeżozwierz pomachał mu przed oczami dyktafonem.

– Każde słowo, Jer. Dwukrotnie.

Kiedy Shantelle odeszła, z domu Kathleen Hartley wyszedł Marsjanin. Podszedł do policjantów, trzymając szary wełniany szalik.

– Znaleźliśmy to w ogrodzie przed domem, obok przedsionka. Z całą pewnością to jest męski szalik, a zatem prawdopodobnie zgubił go nasz sprawca.

– Widzę na nim metkę – powiedział Jerry. – Co jest na niej napisane?

Marsjanin odwrócił szalik na drugą stronę i przymrużył oczy.

– Wellington and Smart. Nigdy nie słyszałem o takiej firmie.

– Wellington and Smart? – powtórzył Jeżozwierz. – To był kiedyś duży dom towarowy w Clapham. Moja babcia robiła tam zakupy, ale ten dom stał przy torach kolejowych i w czasie wojny został zbombardowany. O ile wiem, w środku zginęło wtedy wielu klientów, a także jeden z właścicieli. Albo Wellington, albo Smart. Nie wiem który.

– I nie odbudowano tego domu? A może właściciel otworzył firmę w innym miejscu?

– Nie. Ten biznes już nie stanął na nogi. W tym miejscu chyba jest teraz Argos.

– Ale to oznacza, że szalik ma co najmniej osiemdziesiąt lat. A tylko na niego popatrz. Wygląda, jakby był nowiutki, jakby ktoś go kupił zaledwie wczoraj.

– Zrobimy mu badanie na obecność izotopów węgla – powiedział Marsjanin. – To pozwoli określić wiek szalika z dużą dokładnością. Zrobimy też testy DNA, oczywiście. Jutro albo pojutrze będę w stanie przekazać wam wszystkie wyniki.

Marsjanin wrócił do budynku, pozostawiając Jerry'ego i Jeżozwierza na ulicy. Jerry zauważył furgonetkę Sky News zaparkowaną przy końcu ulicy i kilku dziennikarzy za żółtą taśmą policyjną.

Dziennikarz, którego Jerry pamiętał z „Sun”, pomachał do niego i krzyknął: „Detektywie Pardoe!”, ale on odwrócił się plecami. Wolał poczekać na przyjazd komisarza Bakera i jemu pozostawić wątpliwą przyjemność poinformowania reporterów o tym, co zrobiono z Kathleen Hartley. Obawiał się, że gdyby to zadanie spadło na niego, nie zdołałby znaleźć odpowiednich słów, żeby to opisać.

– Coś ci powiem, Jeżozwierz. W tej sprawie jest coś cholernie dziwnego.

– Dziwnego? Kobiętę pocięto jak porcję wędzonego bekonu i kręcił się przy niej dziad bez łba? Nie, stary, w tym nie ma nic dziwnego. Zwyczajna sprawa. Przecież takie rzeczy zdarzają się w Lavender Hill codziennie.

3

Jusuf liczył akurat gotówkę całodziennego utargu, kiedy zabrzączał dzwonek. Usłyszał, że do sklepu wchodzi klient, ale jeszcze nie mógł go dostrzec, ponieważ zasłaniały go wysokie półki przedzielające sklep na pół, załadowane słodkościami, kruchymi ciasteczkami i paczkami chipsów.

Nie przerwał liczenia, gdy klient podszedł do lady i zatrzymał się przed przejrzystą plastikową ścianką, którą Jusuf zamontował w trakcie pandemii. Nie podniósł wzroku, ponieważ przeliczył dopiero około połowy banknotów dziesięciofuntowych i dwudziestofuntowych, które dzisiaj przyjął do kasy. Wciąż otrzymywał każdego dnia sporo gotówki, chociaż większość ludzi płaciła mu kartami kredytowymi i aplikacjami zainstalowanymi w telefonach.

- Chwileczkę – powiedział.
- Nic z tego – odparł klient. – Obsłużysz mnie natychmiast.
- Bardzo proszę, pozwól, że najpierw skończę liczyć banknoty.
- Nie musisz. Sam je se policzę, co nie, kiedy wrócę do chałupy.
- Trzysta dwadzieścia... – mruknął Jusuf i dopiero wtedy uniosł wzrok.

Nie do końca rozumiał, co ma na myśli mężczyzna. Jego sklep próbowano okradać przynajmniej dwa razy w miesiącu. Właściciele sklepów w Clapham byli do tego przyzwyczajeni. W większości przypadków niedoszli złodzieje byli pijani czy naćpani albo mówili z tak silnym obcym akcentem, że Jusuf nie potrafił zrozumieć, co mają do powiedzenia.

– No, dalej, nie mam dla ciebie całego wieczoru – powiedział klient z naciśkiem. – Dawaj mamonę.

Ale Jusuf zamarł w bezruchu, wpatrując się z niedowierzaniem w intruza. Mężczyzna miał krótkie włosy, zaczesane do tyłu nad uszami, i ubrany był w gruby beżowy sweter zrobiony ścięciem warkoczowym. Jusufa zadziwiło to, że jest w stanie zobaczyć tylko jego połowę, a dokładniej – lewą połowę. Widział jego lewe oko i lewą połowę twarzy, a także jego lewe ramię i dłoń. Ten człowiek nie miał jednak prawej strony. Wyglądał tak, jakby od głowy w dół rozcięto go na połowę, a jego prawa część opadła na podłogę albo po prostu pozostała na ulicy.

Jusuf przez chwilę się zastanawiał, czy nie ma do czynienia ze złudzeniem optycznym wywołanym przez światło, które zza jego pleców padało na plastikową osłonę. Przechylił głowę na prawo i lewo, lecz nic się nie zmieniło. Z całą pewnością jego klientem była tylko połowa mężczyzny.

– Dasz mi mamonę, czy mam przeskoczyć przez ladę i sam ją se wziąć, a tobie obić ryj?

– Odejdź stąd! – wrzasnął Jusuf.

Jego głos zabrzmiał piskliwie. Sklepiarz był przerażony.

– Daj mi tę pierdoloną mamonę, to se pójdę!

– Odejdź! Odejdź! Wzywam policję! Nagrywasz się na wideo!

– Nie wiem, o czym, kurwa, mówisz, słoneczko, ale sam się o to prosiłeś!

Mężczyzna chwycił plastikowy ekran i mocno szarpnął. Bez wątpienia złapał ekran z dwóch stron, lecz Jusuf widział tylko jego lewą rękę. Szarpnął kilkakrotnie, przez co pękający plastik zatrzeszczał jak dręczone zwierzę, i w końcu wyrwał ekran z ramy. Natychmiast odrzucił go na podłogę.

Jusuf pchnął w jego stronę wszystkie pieniądze.

– Weź je sobie! Weź je! A ja i tak zadzwonię po policję!

Mężczyzna zgarnął stertę banknotów i zaczął je upychać w kieszeniach spodni. Jusuf widział, że część z nich bierze lewą ręką, ale wiele banknotów zginało się bez widocznej przyczyny i zniknęło w powietrzu.

Ciężko dysząc ze strachu, z sercem bijącym jak młot, Jusuf wziął do ręki telefon. Ale zanim zdołał wystukać numer alarmowy, mężczyzna pochylił się nad ladą sklepową i złapał go za nadgarstek. W tym samym momencie jeden z banknotów dwudziestofuntowych uniósł się znad kontuaru i pofrunął do twarzy Jusufa jak motyl. Niemal dotknął czubka jego nosa.

– Co to... kurwa... jest? – spytał mężczyzna. – Turecki szmal?

Jego lewy kciuk tak mocno wciskał się w nadgarstek Jusufa, że ten z trudem przytrzymał w dłoni telefon.

– O co ci chodzi? Nie wiem, o co ci chodzi.

– Mówię o tych śmieciach! Co to jest, mamona do zabawy?

– Wciąż nie wiem, o co ci chodzi.

– Gdzie jest prawdziwa mamona? Zamknąłeś ją w kasie?

– Przecież kasę już opróżniłem. To są prawdziwe pieniądze. Nie rozumiem, o czym mówisz!

– Zniszczyłeś mamonę! – rzucił mężczyzna.

Jusuf spróbował się wyrwać, ale napastnik na to nie pozwolił. Przez chwilę szarpali się nad ladą, a na podłogę spadały kolejne banknoty, lecz nagle Jusuf poczuł rozdzierający ból w prawym oku, jakby ktoś dźgnął go prosto w oczodół pilnikiem do paznokci. Oko pękło z trzaskiem i stracił w nim wzrok.

Wydał rozpaczliwy okrzyk i znów spróbował się wyrwać oprawcy, ale natychmiast otrzymał cios w lewe oko, które również pękło, i świat Jusufa w jednej chwili pograżył się w ciemności. Mężczyzna zwolnił uścisk, a Jusuf zatoczył się i upuścił telefon.

Przez kilka minut kucał za ladą, ciężko oddychając z przerażenia i przenikliwego bólu. Ostrożnie dotknął przebitych oczu czubkami palców i poczuł, że na jego policzki wypływa galaretowaty płyn. Zrozumiał, że na zawsze stracił wzrok.

Zaczął po omacku szukać telefonu i po dłuższej chwili znalazł go w koszu na śmieci. Zaczął naciskać na ekran z nadzieją, że jakimś cudem zdoła wezwać pomoc, niczego jednak nie wskórał. Po kilku minutach stanął na wyprostowanych nogach i obejść ladę sklepową. Modlił się w duchu, żeby półczłowieka już tu nie było. Bał się, bo przecież nie usłyszał dzwonka nad drzwiami, który zasygnalizowały jego wyjście. Wyciągnął ręce przed siebie i powoli ruszył do przodu. Jeżeli mężczyzna wciąż przebywał w sklepie, milczał i już nie próbował go chwycić.

W końcu Jusuf stanął przed progiem, otworzył drzwi i wyszedł na ulicę. Usłyszał odgłosy ruchu ulicznego, kroków ludzi idących chodnikiem i stukot kół kolejki przejeżdżającej wiaduktem.

– Pomocy! – krzyknął. – Pomocy! Proszę, niech ktoś wezwie ambulans!

A potem się przewrócił, uderzył głową w krawężnik i rozdygotany leżał na trotuarze.

Zaczynało świtać, kiedy detektyw posterunkowa Audrey Morrison przyjechała do szpitala Świętego Jerzego. W skrzydle Lanesborough siostra dyżurna na oddziale Duke’a-Eldera czekała już na nią. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Przepraszam za małe spóźnienie – powiedziała Audrey. – Po drodze musiałam ominąć demonstrację. Przyjaciele Planety czy kogoś takiego. W każdym razie na pewno nie byli to przyjaciele wkurzonych ludzi, którzy próbowali się dostać do pracy.

– Nie ma problemu – odparła siostra dyżurna. – Jestem na nogach od trzeciej i dzięki pani spóźnieniu miałam krótką chwilę na wypicie filiżanki herbaty. Zaprowadzę panią na oftalmologię.

Kobiety pojechały windą na piąte piętro. Po wyjściu na korytarz Audrey zobaczyła odbicia w lustrze i ni z gruszki, ni z pietruszki pomyślała, że wyglądają jak komediowy duet z telewizji. Ona była wysoka i bardzo szczupła, miała podłużną twarz i oczy o ciężkich powiekach, tak że ludziom, których przesłuchiwała, niezmiennie wydawało się, że jest znudzona. Szary płaszcz przeciwdeszczowy dosłownie wisiał na jej kościstych barkach, jakby go powieszono na oparciu krzesła.

Siostra dyżurna była z kolei niska i piersiasta, przez co z trudem się dopinały dwa ostatnie guziki jej granatowego fartucha, a identyfikator przypięty do jej lewej piersi znajdował się niemal w pozycji horyzontalnej.

Audrey zachowywała kamienną twarz. Traktowała swoją pracę bardzo poważnie, chociaż potrafiła wychwytywać absurdy życia i czasami reagowała czarnym humorem na tragedie, z jakimi się spotykała. W minionym tygodniu aresztowała nauczyciela geja, który zamordował partnera za to, że popełnił niewybaczalny grzech, umieszczając drewniane łyżki w zmywarce do naczyń.

Wysiadły na piątym piętrze i poszły na oddział Duke’a-Eldera.

– Przywieziono go wczoraj wieczorem, mniej więcej kwadrans po ósmej – powiedziała siostra dyżurna. Podeszwy jej butów popiskiwały na winylowej podłodze. – Miał wstrząśnienie mózgu i był w potężnym szoku, dlatego nie powiedział, co mu się stało. Zmagał się też z ogromnym bólem.

– Powiedziała pani, że został oślepiiony.

– Zgadza się. Przebito mu obie gałki oczne i stracił wzrok. Zbadał go doktor Bhaduri. To nasz główny oftalmolog. Orzekł, że w oczy pacjenta wbito cienki sztylet albo podobny przedmiot. Kiedy go okaleczano, jego prawe oko było otwarte. Lewe było zamknięte, lecz ostrze przebiło powiekę i przeniknęło głęboko do rogówki.

Dotarli do drzwi skrzydła oftalmologii i siostra dyżurna na chwilę się zatrzymała.

– Oczywiście podaliśmy mu środki uspokajające, więc nie mogliśmy się dowiedzieć, jak został oślepiiony, dopóki się nie obudził i nam tego nie wyjaśnił. Dlatego nie od razu wezwaliśmy policję. Mógł mu się przecież zdarzyć zwyyczajny wypadek. Przez lata mieliśmy tutaj dziesiątki pacjentów, których oślepiły kwas, opiłki metalu albo fragmenty rozbitego szkła. Mieliśmy także przypadki ludzi, którzy z różnych powodów sami się oślepiłi. Albo byli pod wpływem narkotyków, albo mieli jakieś problemy psychiczne.

– Istnieje szansa, że ten mężczyzna jednak będzie widział?

– Doktor Bhaduri stwierdził, że obrażenia są zbyt rozległe. Będziemy musieli wyjąć obie gałki oczne i wstawić na ich miejsce protezy. Coś, co nazywamy szklanymi oczami, ale oczywiście obecnie wykonywane są z plastiku.

– Rozumiem – powiedziała Audrey. – Pytam, bo nie chcę w jego obecności powiedzieć niczego, co mogłoby mu dać fałszywą nadzieję, że będzie jednak widział.

Siostra dyżurna wpuściła ją na oddział. W sali szpitalnej znajdowało się sześć łóżek, lecz tylko cztery z nich były zajęte i osłonięte parawanami. Jusuf leżał na ostatnim łóżku od drzwi, z głową na wysokiej stercie poduszek. Głowę miał owiniętą białymi bandażami. Przez okno w ścianie naprzeciwko łóżka Audrey zobaczyła jasnoszare niebo i jasnoszare dachy domów w zabudowie szeregowej. Jusuf ich nie widział i już nigdy nie miał zobaczyć. Nie miał zobaczyć ani widoku przez to okno, ani w ogóle niczego.

Audrey postawiła krzesło przy łóżku Jusufa i włączyła dyktafon.

– Panie Nadim? Tu detektyw posterunkowa Audrey Morrison z komisariatu w Lavender Hill.

Jusuf uderzył pięścią w koldrę.

– Nie wiem, jak złapiecie tego człowieka. Gdyby nie przebił mi oczu, pomyślałbym, że był tylko złym snem.

– Jak się pan czuje? Wciąż odczuwa pan ból?

– Tylko dudnienie w głowie, jakby miała mi pęknąć. I mam zawroty. Tak jakbym przez długi czas kręcił się dookoła własnej osi i nagle się zatrzymał.

– Dlaczego powiedział pan, że ten mężczyzna mógłby być tylko złym snem?
– Ponieważ nie wszedł do mojego sklepu w całości.
– Co chce pan przez to powiedzieć? Że był głupi? Albo dziwnie się zachowywał?

– Nie. Do sklepu weszła tylko połowa jego ciała.

– Przepraszam, Jusufie, ale nie rozumiem.

Jusuf zamilkł na chwilę i ciężko oddychał. Siostra dyżurna, która usiadła na krześle przy oknie, machnęła teraz ręką do Audrey, jakby chciała jej podpowiedzieć, że mężczyzna potrzebuje czasu.

– Jestem w moim sklepie – odezwał się w końcu Jusuf. Poruszył głową i Audrey zdała sobie sprawę, że w tej chwili tragiczne wydarzenia rozgrywają się ponownie w jego głowie. – Liczę całodzienny utarg. Ten mężczyzna wchodzi do środka i patrzy na mnie przez ekran antycovidowy. Przystaję liczyć i spoglądam na niego, ale widzę tylko pół człowieka. Jakby ktoś go przeciął w pionie i pozostała z niego tylko jedna część.

– Widział pan tylko pół człowieka – powtórzyła Audrey.

Gdyby Jusuf nie został osłepiony, dałaby mu ołówek i poprosiłaby, żeby to narysował.

– Poznają po głosie, że mi pani nie wierzy – powiedział Jusuf.

– Jusufie, bo w to naprawdę jest trudno uwierzyć. Jest pan pewien, że to nie była iluzja optyczna? W końcu ten mężczyzna stał za osłoną antycovidową. Może dostrzegł pan tylko jego część z powodu jakiejś gry światła?

– W pierwszej chwili też tak pomyślałem. Ale po chwili ten facet rozbił plastikowy ekran, żeby mi zabrać pieniądze. I naprawdę miał tylko połowę ciała.

– Jasne. Próbował go pan powstrzymać, kiedy odbierał panu pieniądze?

– Nie, powiedziałem, żeby je sobie wziął.

– Ale skoro gotowy pan był oddać mu cały utarg, dlaczego dźgnął pana w oczy?

– Rozzłościł się, kiedy zobaczył pieniądze.

– Dlaczego? Uznał, że ich jest za mało?

– Nie. Powiedział, że to nie są prawdziwe pieniądze. Chyba wziął je za zabawkowe banknoty dla dzieci.

– I potem dźgnął pana w oczy? Zdążył pan zauważyć, jakiego narzędzia użył?

– Nie. Tylko poczułem ból. A potem niewiele pamiętam.

Audrey wyprostowała się.

– Pół człowieka – mruknęła w zadumie. – Mógłby pan go opisać, mimo że widział pan tylko jego połowę?

– Był biały. Miał krótkie włosy. I mówił cockneyem. Pieniądze nazywał „mamoną”.

– W co był ubrany?

– W sweter. Gruby, jak sweter rybaka.

– Ale to była tylko połowa swetra?

– Tak. Tylko połowa. Lewa połowa.

– Coś jeszcze pan pamięta w związku z nim? Na przykład zapach alkoholu? Może zapach papierosów, ciała albo wody po goleniu?

Jusuf pokręcił głową.

– Wiem, że pani zdaniem to wszystko zmyślam albo mi się to przyśniło, albo oszalałem. Ale przysięgam na grób mojej matki, że mówię samą prawdę. To naprawdę była tylko połowa człowieka.

Audrey podziękowała Jusufowi, pochyliła się i uścisnęła jego dłoń, jakby chciała mu w ten sposób dodać otuchy. Następnie wyszła z oddziału. Siostra dyżurna niemal deptała jej po piętach. Kiedy czekały na windę, policjantka zapytała:

– Jest szansa na to, że zbada go psychiatra?

– Tak. Załatwię to. Po tym, co pani opowiedział, uważam to za dobry pomysł. Kiedy po raz pierwszy powiedział, że został napadnięty, uwierzyłam mu. Ale przez połowę człowieka? Powinniśmy zakładać, że mamy jednak do czynienia z samookaleczeniem.

Audrey miała już na końcu języka ponury żart, że wyśle do jego sklepu połowę ekipy techników, ale zatrzymała tę niestosowną uwagę dla siebie.

4

Kiedy do pokoju wszedł nadinspektor Herbert Chance, Jerry jadł akurat przy biurku bagietkę z serem.

– Nie chciałbym przerywać ci lunchu, Pardoe, ale zaczynam się skłaniać ku opinii, że dzieje się coś dracznego.

– Tak, szefie? Dracznego? To znaczy dziwnego? Czy zabawnego?

Nadinspektor Chance zamknął na chwilę oczy, jakby się modlił o to, żeby nie usłyszał tych słów Jerry’ego. Po chwili powiedział:

– Przeczytałem twój wstępny raport na temat morderstwa na Bennerley Road i relację świadka. Ta kobieta powiedziała, że zobaczyła mężczyznę, który jej zdaniem nie miał głowy.

Jerry stał dłońmi okruchy z klawiatury komputera.

– Tak, cóż. Trudno nazwać ją wiarygodnym świadkiem. Sama przyznała, że kiedy go zobaczyła, była pod wpływem.

– Rzeczywiście. Ale z kolei Simon Fairbrother prowadzi sprawę faceta, który wczoraj po południu został zastrzelony przy Bolingbroke Grove. Żona tego faceta zbiegła po schodach i zdążyła zobaczyć, jak morderca wywleka zwłoki przez drzwi. Twierdzi, że morderca nie miał stóp.

– Do licha, szefie. Chyba będziemy musieli się zmierzyć z szalejącym gangiem osób po amputacjach.

– To nie jest powód do żartów, Pardoe. Tym bardziej niesmacznych żartów. A na dodatek to jeszcze nie wszystko, bo właśnie otrzymałem raport od Audrey Morrison o sklepikarzu z Clapham, który został napadnięty wczoraj wieczorem, kiedy już miał zamknąć sklep. Próba rabunku, ale niczego nie skradziono. Napastnik oślepił sklepikarza na całe życie. Morrison przesłuchała ofiarę dziś rano w szpitalu Świętego Jerzego, a kiedy kazała mu opisać rabusia, powiedział, że widoczna była tylko jego lewa połowa.

– A drugą skrył za półką czy jak?

– Nie, nic z tych rzeczy. Morrison przekazała, że według sklepikarza zaatakowała go połowa człowieka. Lewa, nie prawa.

– Co? Nie rozumiem.

– Ja też nie rozumiem, jeśli już musisz wiedzieć. Ale sklepikarz był bardzo stanowczy i Morrison nie widzi powodu, dlaczego miałby mówić nieprawdę. Zasugerowała, żeby skierowano go na badania psychiatryczne dla upewnienia się,

że nie zbzikował, ale jej zdaniem mężczyzna jest zdrowy psychicznie i zachowuje się racjonalnie.

Jerry odłożył bagietkę, unióśł dłoń i policzył na palcach do trzech.

– Szukamy więc faceta bez głowy, faceta bez stóp i faceta, któremu brakuje prawej połowy ciała? Poinformowaliśmy już o tym dziennikarzy? Na pewno będą mieli używanie.

– Nie poinformowaliśmy i tego nie zrobimy. Przynajmniej dopóki się nie dowiemy, czy przestępstwa nie są ze sobą powiązane, i dopóki się nie zorientujemy, o co chodzi, do cholery. Gdybym miał do czynienia tylko z dwoma podobnymi zeznaniami, powiedziałbym, że świadkowie mieli przewidzenia. Ale są już trzy. I do wszystkich zdarzeń doszło w ciągu niecałej doby.

Jerry wyczuł w głosie Herberta Chance’a napięcie. Szef zawsze mówił krótkimi urywanymi zdaniami, niczym pułkownik do żołnierzy, a z płowymi włosami i szpeciniastymi wąsami nawet wyglądał jak pułkownik. Ale w ostatnim miesiącu jego dwaj detektywi pracujący pod przykrywką zostali przyłapani na romansach z żonami handlarzy narkotyków, których obserwowali, i chociaż Herbert Chance osobiście przez długi czas nic nie wiedział o ich niestosownym postępowaniu, to on odpowiadał za operację i otrzymał oficjalną naganę. Dlatego teraz mówił jak pułkownik, który boi się, że podwładni znowu coś wywiną i zostanie z tego powodu zdegradowany.

Jeżozwierz podniósł głowę znad biurka pod ścianą. Jego uniesiona brew sugerowała, że wie, jakie słowa padną za chwilę z ust nadinspektora.

Herbert Chance odchrząknął.

– Poinformowano mnie, że masz pewne doświadczenie w prowadzeniu spraw, które czasami wydają się nie z tego świata. Ty i detektyw sierżant Patel z Redbridge tworzycie w takich przypadkach zgrany zespół. Przynajmniej tak mnie poinformował komisarz Balfour.

Jerry przestał żuć i połknął porcję bagietki.

– Można tak powiedzieć, szefie. Zasadniczo tych spraw nie nagłaśnialiśmy. Komisarz nie chciał, żeby media odniosły wrażenie, że policja londyńska to jakaś filia pogromców duchów, rozumie pan?

– Ale zajmowaliście się tego typu rzeczami?

– Tak jakby. Detektyw sierżant Patel dużo wie o widmach, duchach, demonach i podobnych zjawiskach. Można powiedzieć, że znakomicie na tym się zna. Wychowała się w Pakistanie, gdzie wierzą w to wszystko. Tak więc owszem. Rozwiązaliśmy wspólnie kilka dziwacznych zagadek. Muszę przyznać, że jej wiedza o duchach okazała się bardzo przydatna.

– Zdaje się, że w jednym przypadku mieliście nawet do czynienia z kanibalizmem.

– Niech mi pan o tym nie przypomina. Przynajmniej nie przy jedzeniu.

Herbert Chance znowu odchrząknął.

– Chciałbym, Pardoe, żebyś się skontaktował z detektyw sierżant Patel i żebyście oboje przyjrzeni się tym trzem sprawom. Jeżeli one się łączą, musimy się dowiedzieć, w jaki sposób. I to jak najszybciej, zanim spadną nam na łby kolejne takie zdarzenia.

– A jeśli nie znajdziemy żadnego związku?

– Wtedy będziemy wiedzieć, że mamy prawdopodobnie do czynienia z trojgiem świadków, którzy byli na bani, naćpali się albo ulegli halucynacjom.

– Moim zdaniem to jest najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie – odezwał się Jeżozwierz. – Pamiętacie tę kobietę, która zginęła pod kołami samochodu trzy tygodnie temu na Battersea Rise? Jeden ze świadków twierdził, że za kierownicą samochodu siedział klaun.

– Niech pan się nie martwi, szefie – powiedział Jerry. – Razem z detektyw sierżant Patel zorientujemy się, z czym mamy do czynienia. Porozmawiam z Audrey Morrison, kiedy wróci na komisariat.

– Nie puszczajcie jednak pary z ust – zażądał Herbert Chance. – Jeżeli coś się wydobędzie na zewnątrz, będziemy jeszcze większymi klaunami niż facet, którego wasz świadek widział za kierownicą samochodu.

Jerry nawiązał połączenie wideo z Dżamilą. Stała przy oknie w swoim gabinecie na komisariacie w Ilford i spoglądała na High Street. Niedawno przestało padać, ale na szybach wciąż lśniły krople deszczu. Jerry nie widział jej od pięciu miesięcy i zauważył, że nieznacznie skróciła włosy, które teraz z ukosa opadały na jej policzki, przez co wyglądała młodziej. Miała na sobie turkusowy sweter z wysokim kołnierzem, ozdobiony błyszczącą broszką o kształcie kolibra.

– Miło znów cię widzieć, sierżancie – powiedział.

– I wzajemnie, Jerry. Jednak nawet nie udawaj, że chcesz po prostu ze mną pogadać.

– Niestety masz rację. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin mieliśmy w Lavender Hill trzy zdarzenia. Niewykluczone, że zajmie się nimi grupa specjalna z centrali, ale nadinspektor Chance uważa, że byłoby dobrze, gdybyśmy to my dwoje najpierw przyjrzeni się sprawom, i to w miarę wnikliwie.

– O czym mówisz? Co to były za zdarzenia?

– Dwa zabójstwa. Mamy zastrzelonego faceta i kobietę, którą jakiś zwyrodnialec pociął nożem. I jeszcze sklepikarza, któremu ktoś przebił oczy podczas próby rabunku.

– To brzmi paskudnie. Ale dlaczego chcesz o tym ze mną rozmawiać?

– Ponieważ wygląda na to, że może istnieć związek pomiędzy tymi zdarzeniami. I to raczej upiorny związek. Chance dowiedział się, że pracowaliśmy już razem, i chce, żebyśmy wyjaśnili, na czym on polega.

– W tej chwili jestem naprawdę zajęta. Zmagamy się tutaj z falą przemocy religijnej. Spodziewam się, że słyszałeś o nieudanej próbie podpalenia gurdwary

w Redbridge.

– Nie wiedziałem, że gurdwary są ognioodporne. A przy okazji co to takiego?

– Świątynia sikhijaska, Jerry. Ktoś wrzucił do środka butelkę z benzyną i troje wiernych uległo ciężkim poparzeniom.

– Rozumiem. Ale mogłabyś przynajmniej do nas przyjechać i porozmawiać ze mną, Audrey Morrison i Simonem Fairbrotherem? Ja się zajmuję pociętą kobietą, a oni pozostałymi dwoma przypadkami.

– Wspomniałeś o „upiornym związku”. Co właściwie masz na myśli?

– Mówiąc szczerze, sami jeszcze tego nie wiemy. Właśnie dlatego powinnaś do nas przyjechać i wspólnie z nami się nad tym zastanowić. Nikt z nas nie wie, czy mamy do czynienia z czymś naprawdę niesamowitym, czy tylko z trojgiem świadków, którym pokręciło się w głowach.

Dzamiła słuchała ze zmarszczonym czołem, kiedy Jerry opowiedział jej, jak Jusuf, Shantelle i żona Kennetha, Gemma, opisali napastników pozbawionych różnych części ciała.

Przez chwilę się zastanawiała, po czym powiedziała:

– Wiesz, jak to wszystko brzmi? Jak opowieści o dżinnach. W Pakistanie wierzymy, że istnieje świat równoległy do naszego i że ten świat zamieszkują duchy zwane dżinnami.

– Owszem, słyszałem o dżinnach. To chyba takie duszki, które wyskakują z lampy, kiedy ją potrzęsiesz palcami, i pozwalają ci wypowiedzieć trzy życzenia?

– Niezupełnie. Te duszki w rzeczy samej żyją wśród nas, w naszych domach. Nasze światy i ich światy częściowo się pokrywają, chociaż duszki preferują te brudniejsze pomieszczenia w naszych domach, na przykład toalety. To dlatego większość Pakistańczyków modli się przed wejściem do łazienki, a po wyjściu z niej wypowiada słowa przeprosin.

– To mnie nie dziwi. Sierżant Shilmani, którego poznałem w Tooting, powinien zawsze przeproszać po wyjściu z łazienki, mówię ci. Krótko po nim nie dawało się tam wejść bez maski gazowej.

– Powiedziałam, że zeznania twoich świadków brzmią jak opowieści o dżinnach, dlatego że wielu ludzi w Pakistanie utrzymuje, że widziało dżinny w swoich domach, ale ponieważ dżinny, jak mówiłam, żyją w innym świecie, w gruncie rzeczy mogą widywać tylko ich fragmenty. Moja babcia Sufija twierdzi, że widziała kobietę w hidżabie, która szła korytarzem w jej domu, ale była widoczna tylko od pasa w górę, jakby przechodziła po dnie płytkiego jeziora.

– Do licha. Jednak nie wydaje mi się, sierżancie, żebyśmy w naszych zdarzeniach mieli do czynienia z dżinnami. Chyba że istnieją dżinny mówiące cockneyem. Sklepikarz Jusuf, owszem, jest Pakistańczykiem, ale nawet on zeznał, że bandzior, który go osłepił, mówił jak miejscowy gość. Ale, wiesz, w tym pomysłu z równoległymi światami może być coś godnego uwagi.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że raczej nie rozmawiamy o faktycznym świecie równoległym, prawdziwym. Czytałem jednak kiedyś o opętaniu przez demony. Takim jak w *Egzorcycie*. Autor utrzymywał w artykule, że ludzie, którzy są przekonani, że opętał ich demon, tak naprawdę cierpią z powodu schizofrenii. A zatem może nasi świadkowie wyobrażali sobie, że widzą ludzi z innego świata, tak jak sobie to wyobrażała twoja babcia? Ale to jest chyba wyłącznie kwestia urojeń umysłowych.

– Ale czy to prawdopodobne, że aż trzech świadków doświadczyło w ciągu dwudziestu czterech godzin niemal identycznych urojeń?

– Może to jest zaraźliwe, jak covid. Wciąż uważam, że powinnaś przyjechać i z nami porozmawiać. W rzeczy samej Chance na to nalega, więc można powiedzieć, że to po prostu jest rozkaz.

– Dobrze – zgodziła się Dżamila. – Mogę do was przyjechać jutro przed południem. O jedenastej?

– Doskonale – odparł Jerry.

Dżamila odwróciła się od okna i Jerry po raz kolejny zobaczył, jaką jest atrakcyjną kobietą, z szerokimi czarnymi agatowymi oczami i pełnymi, lekko wypukłymi ustami. Uważał, że ma w sobie coś magicznego, niezwiązanego bynajmniej z jej wiedzą o duchach, demonach i zjawiskach nadprzyrodzonych. Ale ona była sierżantem, a on zaledwie posterunkowym, oboje byli detektywami w policji londyńskiej, no i poza tym Dżamila nigdy nie wysłała żadnego sygnału, że Jerry może się jej podobać.

– Co słyhać u twojej Lindy? – zapytała go, jakby telepatycznie wyczuła, o czym on myśli.

– Och, w rzeczy samej trochę od siebie odpoczywamy.

– Przepraszam.

– Wcale nie musisz. Zaczynała wspominać o weselu i sprawdzała ceny konfetti, a ja nie wiem, czy jestem już gotowy na coś takiego. Szczególnie przy mojej pracy.

– Rozumiem. Mimo wszystko przepraszam. Uważam, że pewnego dnia jakaś kobieta zyska w tobie bardzo sympatycznego męża.

– Dwadzieścia trzy funty i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, jeżeli jesteś zainteresowana.

– Czym?

– Biodegradowalnym konfetti. Paczka dla dwudziestu gości.

5

Mary Jonas wyciągała papier rysunkowy z szafki z materiałami biurowymi, kiedy od jej klasy dobiegł głośny wrzask. Po chwili usłyszała, że grupa dzieci biegnie korytarzem.

Odłożyła arkusz papieru na półkę i wyszła zza szafy. Niemal zderzyła się z trojgiem dzieci z drugiej klasy. Były spanikowane i miały szeroko otwarte oczy. Za nimi pojawiły się pozostałe dzieci z piętnastoosobowej klasy. Część z nich płakała, wszystkie wyglądały na przerażone.

– O co chodzi? Co się stało?

– Nogi! – wydyszała Naomi French.

Inne dziewczynki i chłopcy otoczyli nauczycielkę ciasnym kręgiem. Wszyscy co chwilę zerkali ku drzwiom klasy, jakby się spodziewali, że za moment pojawi się w nich coś okropnego. Mary jeszcze nigdy nie widziała, żeby byli aż tak wzburzeni.

– Hej, cisza! – zawołała, chcąc uspokoić dzieci. – Co to znaczy: „nogi”?

– Na suficie, proszę pani! – odezwał się Michael Jarrett. – One przechodziły przez sufit!

– Hej, hej, hej – odezwała się Mary. – Wszyscy się uspokójcie. Jak to przechodziły przez sufit?

Jeden z młodszych chłopców jęknął, a kilka dziewczynek zaczęło płakać.

Michael Solomon uniósł rękę, wskazując dwoma palcami w dół i imitując nimi ruchy nóg.

– Zwisają z sufitu, proszę pani, i chodziły wzdłuż i wszerz. Miały nawet buty.

Na korytarzu otworzyły się któreś drzwi i wyjrzała z nich nauczycielka – June Peascod, która uczyła piątą klasę.

– Mary? Co się dzieje?

– Właściwie nie wiem – odparła Mary. – Dzieci mówią, że zobaczyły coś, co je przeraziło. Sprawdź, o co chodzi.

Odwróciła się do dzieci ze swojej klasy i powiedziała:

– Wszyscy zostańcie na korytarzu. Ja pójdę do klasy i się rozejrzę. Upewnij się, że już tam nie ma tych nóg ani niczego innego.

– Jasne – rzuciła June. – Ja przypilnuję dzieci. Moi drodzy, ustawcie się w szeregu i bądźcie cicho jak myszki, a pani Jonas sprawdzi, co was tak przestraszyło. To chyba nie był pająk, co?

– To były nogi – powtórzył z uporem Michael Solomon. – Nogi na suficie.

– Nogi – powtórzyła June, wyraźnie zaskoczona.

Mary przeszła korytarzem do sali, w której uczyła się druga klasa. Zanim weszła do środka, wsunęła głowę nieznacznie poza framugę drzwi i popatrzyła na sufit. Nie zobaczyła na nim jednak żadnych nóg. Biel sufitu zakłócały jedynie umieszczone w nim dwie punktowe żarówki i brązowa wilgotna plama.

Rozejrzała się po całej klasie. Na szkolnych ławkach leżały porozrzucane książki i kredki, wiele kredek leżało też na podłodze, a poza tym z jakiegoś otwartego pojemnika na śniadanie wytoczyło się na podłogę samotne jabłko.

– Halo? – zawołała Mary, właściwie nie wiedząc dlaczego, ponieważ nikogo w klasie nie zauważyła.

Ostrożnie weszła do środka i podeszła do swojego biurka. Otworzyła szufladę, aby się upewnić, że w środku wciąż leżą jej portmonetka i klucze, po czym ją zamknęła. Znowu popatrzyła na sufit, starając się sobie wyobrazić, co takiego mogły zobaczyć dzieci i dlaczego wybiegły z klasy tak przerażone.

Może ich strach wywołała jakaś iluzja optyczna? Na suficie lśniły trójkątne promieni słonecznych, które odbijały się od kałuż pozostałych po deszczu na szkolnym boisku. Ale czy można było w nich zobaczyć zwisające nogi? I to nogi – jak powiedział Michael Solomon – w butach?

Nie była pewna, co teraz zrobić. Jeżeli powie dzieciom, że mają wrócić do klasy i kontynuować lekcję, czy nie dojdą do wniosku, że im nie uwierzyła? Ale jeśli każe im pójść już do domów, bo nogi mogą powrócić, czy nie przestraszą się tak, że wcale nie będą chciały wejść do tej klasy? Nie tylko jutro czy pojutrze, ale i nigdy?

Nawet jeśli dzieci naprawdę widziały nogi i te nogi pojawią się znowu, to czy stanowią jakiegokolwiek zagrożenie? Czy mogą kogokolwiek skrzywdzić, zwłaszcza jeśli są wysoko na suficie?

Uznała, że najlepiej będzie porozmawiać z Sheilą Daventry, dyrektorką szkoły. Bo obawiała się przede wszystkim rodziców uczniów. Rodzice w dzisiejszych czasach bywali bardzo agresywni. Gdyby powiedziała dzieciom, że mają wrócić do klasy, a któreś wpadłoby w histerię, bez wątpienia następnego dnia rano przyszedłby do szkoły jakiś rozwścieczony ojciec i by na nią nawrzeszczał. A gdyby kazała całej klasie pójść już dzisiaj do domów... Cóż, była przecież dopiero jedenaasta trzydzieści i wielu rodziców było w pracy. Musiałaby skontaktować się z każdym z nich i wyjaśnić, że wysłała ich synów i córki do domów, ponieważ zobaczyły nogi spacerujące po suficie. Przecież ci ludzie pomyśleliby, że zwariowała.

Na wyższym piętrze była pusta klasa. Może powinna pójść z dziećmi do niej i tam poprowadzić lekcje, przynajmniej aż woźny dokładnie sprawdzi tę klasę i orzeknie, że sufit jest bezpieczny. No bo przecież rzekome „nogi” mogły świadczyć, że sufit w każdej chwili grozi zawaleniem.

W drzwiach stanęła June.

– Wszystko w porządku, Mary?

– Właściwie nie wiem. Bez wątpienia dzieci coś przeraziło, ale za żadne skarby nie potrafię się zorientować, co to było. Pomyślałam, że zanim coś zdecyduję, porozmawiam z panią D.

– Dobrze, tylko one są bardzo niespokojne na korytarzu i hałasują, a moja klasa właśnie pisze klasówkę z geografii na zakończenie semestru. Więc dopóki nie zawołasz ich tu z powrotem, każę im się pobawić na boisku.

– Tak. To dobry pomysł. Dzięki, June.

Kiedy June wyszła, Mary zadzwoniła z telefonu komórkowego do męża, Samuela, który był szefem kuchni w restauracji Turtle Bay Carribean w Brixton. Długo czekała, ale nie odbierał i w końcu doszła do wniosku, że poszedł na rynek po świeże zaopatrzenie albo jest zajęty siekaniem papryki.

Kiedy schowała telefon, usłyszała delikatny trzask. W pierwszej chwili pomyślała, że znowu zaczął padać deszcz, ale kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że na suficie w rogu klasy pojawiły się jakieś włosy i powoli przemieszczają się w jej kierunku. Stopniowo zaczęła z nich powstawać jakby pajęcza sieć, coraz szersza.

Mary wyszła zza biurka i zrobiła kilka kroków pomiędzy ławkami, wpatrując się w sufit. Ze zdumieniem obserwowała, jak sieć rozprzestrzenia się aż do punktowych żarówek i się zatrzymuje. Na długą chwilę w klasie zapanowała absolutna cisza, chociaż do uszu Mary docierały słabe odgłosy z auli, gdzie ćwiczył szkolny chór, wspomagany przez grającą na pianinie panią Cartwright.

Nagle z sufitu wyłoniły się męskie stopy w brązowych skórzanych butach. Mary jęknęła, przyłożyła dłoń do serca i zaczęła się niezgrabnie cofać. Po chwili uderzyła w ławkę, która stała za jej plecami, i zrzuciła na podłogę kolejne kredki.

– June! – zawołała. – June, chodź tutaj, szybko!

Zaczęła sobie torować pomiędzy ławkami drogę do drzwi, lecz nagle się zatrzymała i zerknęła przez ramię – przerażona i jednocześnie zafascynowana.

Pojawił się mężczyzna, który zdawał się schodzić do klasy jakby po niewidzialnych schodach. Ubrany był w obcisłą szarą flanelową marynarkę, pod którą nosił bordową kamizelkę. Na głowie miał szarą tweedową czapkę. Za nim i ponad nim dziwna sieć, która wcześniej pojawiła się na suficie, zaczęła znikać.

Mężczyzna stanął na podłodze i pociągnął za rękawy swojej marynarki. Następnie odepchnął ławki i zatrzymał się przed Mary, jakby jego zejście z sufitu było czymś równie zwyczajnym jak wejście do środka głównymi drzwiami prosto z korytarza.

Mary zaczęła drżeć z przerażenia. Mężczyzna był zbudowany jak bramkarz w dyskotecce, miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, szare oczy barwy kamienia, nos w kształcie litery „S” i kilkuniedniowy zarost na policzkach. Cuchnął niedomytym ciałem i jakąś tanią wodą kolońską.

– Kim pan jest? – zapytała Mary. Była oszołomiona i bała się, że za chwilę zemdleje. – I jak pan to zrobił?

– Nieważne, kim ja jestem – odparł mężczyzna. – Ale co ty tutaj robisz?

– Jestem jedną z nauczycielek w tej szkole.

– Nie o to mi chodzi. Co robi czarna kobieta w Clapham?

– Co takiego? O czym ty mówisz? Zaraz zadzwonię po policję.

– Nie, nie zadzwonisz, kochana. Pójdiesz ze mną.

Mężczyzna postąpił jeden krok do przodu, a Mary dwa kroki do tyłu.

– Odejdź ode mnie. Ani się waż mnie dotknąć. Nie wiem, w jaki sposób tu się znalazłeś, ale musisz stąd wyjść. Słyszysz mnie?

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął i pokręcił głową.

– A czy ty wiesz, do kogo mówisz? Nie masz najmniejszego cholernego pojęcia, prawda? Jesteś nauczycielką w Clapham i nigdy nie słyszałaś o Kolejowym Ronniem? To pewnie dlatego, że pochodzisz z Jamajki albo z podobnego miejsca.

Mary odwróciła się, chcąc pobiec do drzwi, ale mężczyzna złapał kołnierz jej pulowera. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i spróbował obrócić, ale ona straciła równowagę i przewróciła się na podłogę. Uderzyła ramieniem w nogę ławki szkolnej i na chwilę straciła oddech. Mężczyzna usiadł na niej i przycisnął jej głowę do podłogi, ale Mary zdołała nabrać powietrza do płuc i chciała krzyknąć.

– Zamknij jadalnię, rozumiesz? – syknął mężczyzna i przycisnął lewą dłoń do jej ust.

Jego palce były chropowate jak papier ścierny i cuchnęły nikotyną.

Mary kręciła głową z boku na bok i zdołała wydobyć z siebie zduszony krzyk, ale mężczyzna natychmiast uderzył ją w policzek tak mocno, że ją ogłuszył.

– Mówiłem, żebyś zamknęła jadalnię, co nie? Jesteś nauczycielką, prawda? I nie rozumiesz, kurwa, po angielsku?

Powstał, złapał Mary za prawe ramię i pociągnął ją po podłodze, uderzając w ławki i ślizgając się na porzrzucanych kredkach. Dotarli już prawie do ściany naprzeciwko, gdy stopy mężczyzny niespodziewanie zniknęły w podłodze, jakby tam również znajdowała się klatka schodowa, tyle że prowadząca w dół, do jakiejś nieistniejącej piwnicy. Po stopach zniknęła reszta nóg, a kiedy mężczyzna zanurzył się w podłodze po pas, zaczął ciągnąć Mary za sobą. Chociaż wciąż była oszołomiona, próbowała się wyrwać, ale mężczyzna coraz głębiej zanurzał się w parkiet, nieustępliwie wlokąc ją za sobą. Wydała ostatni krzyk i wtedy również zniknęła w podłodze. Przez kilka sekund nad parkietem widoczna była tylko głowa mężczyzny, przyodziana w szarą tweedową czapkę, jakby został ucięta i leżała na podłodze. Ale po chwili podłoga pochłonęła również głowę i klasa całkowicie opustoszała.

Mniej więcej po dziesięciu minutach w progu stanęła June Peascod.

– Mary? Gdzie jesteś? Rozpadało się i musiałam zawołać twoją klasę z powrotem do szkoły.

Przeszła kilka kroków i ze zmarszczonym czołem przystanęła na środku klasy.

– Mary? – powtórzyła.

Pociągnęła nosem. Była pewna, że wyczuwa zapach papierosów i czegoś jeszcze, jakby lawendy.

Krople deszczu zaczęły mocno uderzać w szyby okien.

June ruszyła biegiem do gabinetu Sheili Daventry, żeby jej powiedzieć, że coś dziwnego wystraszyło dzieci z drugiej klasy i że zniknęła Mary.

Sheila Daventry odłożyła pasztecik, który jadła na późne śniadanie, wygładziła tweedową spódnicę w kratę i wyszła na korytarz za June, żeby osobiście obejrzyć pustą klasę. Zobaczyła na biurku telefon Mary i wzięła go do ręki. Zobaczyła maila z Amazona z informacją, że nowy pulower zostanie jej dostarczony jutro, i wiadomość od męża Samuela na WhatsAppie: „Dzwoniłaś do mnie?”.

– To bardzo dziwne – powiedziała Sheila Daventry. – Dokądkolwiek by poszła, przecież nie zostawiłaby telefonu.

– Może źle się poczuła? – zasugerowała June. – Zajrzę do pokoju nauczycielskiego. Co zrobimy z jej klasą?

– Cóż, na razie dzieci nie powinny tutaj wracać. Otworzymy dla nich tę pustą salę na wyższym piętrze. Poproszę którąś z dziewczynek z piątej klasy, żeby przyniosła im papier rysunkowy i kredki. Niech zajmą się rysowaniem. – Sheila Daventry umilkła na chwilę i zmarszczyła czoło. – Jeżeli nie znajdziesz Mary w pokoju nauczycielskim, wyjdź na parking i sprawdź, czy stoi jeszcze jej samochód. Jeśli tak, powiadom mnie, a ja poproszę Bryana, żeby nam pomógł przeszukać całą szkołę. Muszę powiedzieć, że sytuacja jest mocno niepokojąca. Mary zachowywała się ostatnio normalnie, prawda? – Jeszcze raz rozejrzała się po całej klasie. – Co takiego wystraszyło te dzieciaki?

– Ja też tego nie potrafię zrozumieć – powiedziała June. – Twierdziły, że zobaczyły nogi przechodzące przez sufit.

Sheila Daventry pokręciła z niedowierzaniem głową.

– No nie wiem. One miewają czasami zbyt bujną wyobraźnię! Ja również, kiedy byłam dziewczynką, wyobrażałam sobie, że w mojej szafie mieszka jakiś upiorny kot, i w środku nocy byłam pewna, że miauczy, bo chce, żeby go ktoś stamtąd wypuścił.

June skierowała się do pokoju nauczycielskiego, a Sheila Daventry zabrała telefon Mary i wyszła na korytarz, żeby przeprowadzić dzieci z drugiej klasy do pustej sali na piętrze. Kiedy wszystkie zajęły miejsca w ławkach, przyszło jej do głowy, żeby je dokładnie wypytać o te „nogi”, ale ich niepewne miny i nienaturalna cisza w klasie podpowiedziały jej, że wciąż są wystraszone, więc zostawiła to na później.

Michael Solomon uniósł rękę.

– Czy przyjdzie do nas pani Jonas? – zapytał. – Powinna nam powiedzieć, co mamy rysować.

– Pani Jonas wkrótce do was dołączy – odpowiedziała Sheila Daventry. – A póki co... Może narysujecie króliki. Za chwilę dostaniecie papier i kredki. Tak, narysujcie, jak się bawią króliki. Albo małe króliczki. Jak wolicie.

Poszła do piątej klasy i poprosiła jedną z najbardziej dojrzałych dziewczynek, żeby zniosła drugoklasistom materiały. John Meredith, nauczyciel piątej klasy, zauważył, że dyrektorka jest zdenerwowana.

– Co się dzieje? – zapytał. – Słyszałem niezły zgiełk.

– Chodzi o Mary. Zniknęła. Właściwie nie wiem, czy zniknęła, czy źle się poczuła, czy po prostu sobie gdzieś poszła.

– Naprawdę? Kiedy dziś rano z nią rozmawiałem, była w doskonałym nastroju.

– Wiem. Dlatego właśnie się martwię.

Kiedy Sheila wracała do swojego gabinetu, dogoniła ją June. Z trudem chwyciła oddech.

– Nie ma jej w pokoju nauczycielskim, nie ma jej w gabinecie lekarskim ani w toalecie, a jej samochód stoi na szkolnym parkingu.

– Rozumiem. W takim razie musimy przeszukać całą szkołę. Poproszę o pomoc Bryana.

Bryan był szkolnym woźnym. Sheila Daventry pobiegła w deszczu do warsztatu, w którym zwykle przebywał, i ku swojej uldze znalazła go w środku. Palił skrzeta i oglądał części rozłożonego silnika kosiarki do trawy.

– Bryan, zniknęła Mary Jonas. Nie wiemy, gdzie jest ani dlaczego nas opuściła. Jej samochód stoi na miejscu, więc nie mogła się zanadto oddalić. Mógłbyś obejść cały teren szkoły i jej poszukać? Może zaczniesz od pawilonu sportowego?

Bryan popatrzył na strugi deszczu na szybie okiennej.

– Mogła sobie wybrać na to jakiś lepszy dzień.

– Obawiam się o jej bezpieczeństwo, Bryan. To do niej niepodobne.

– Nic się nie martw. Jeżeli gdzieś się tu kręci, znajdzie ją.

Sheila Daventry wróciła do głównego budynku szkoły. Zbliżała się długa przerwa i już wkrótce na korytarze miała wybiec chmara dzieciaków, więc chciała przeszukać jak największą część szkoły jeszcze przed dzwonkiem. Czekali na nią June i John Meredith. John wyszedł z klasy, wydawszy polecenie, żeby wszyscy przeczytali kolejny rozdział *Kto wypuścił bogów?*, a klasa June wciąż pisała sprawdzian z geografii.

– Dobrze – powiedziała Sheila Daventry. – Oboje zejdźcie na dół, a ja przeskakam górne piętro. Zaglądajcie do każdego zakamarka, nawet jeśli to się wam wyda głupie. Ona mogła się schować nawet w jakimś kredensie. Pamiętajcie, jak w ubiegłym roku szukaliśmy tego chłopaka, jak mu tam było, Dennisa Wattsa? Myśleliśmy, że uciekł ze szkoły, a on się położył na najwyższej półce w bibliotece.

– Dennisa Wattsa nikt szybko nie zapomni – odparł John Meredith. – Był żywym argumentem przemawiającym za przywróceniem kar cielesnych w szkołach.

Rozdzielili się i przeszukali całą szkołę: bibliotekę, kuchnię, magazyn pod sceną w auli, zajrzeli nawet na strych. Bryan sprawdził kotłownię, a potem także pawilon

lon sportowy, chociaż musiał otworzyć drzwi kluczem, bo tego dnia żadna klasa z niego nie korzystała. Kiedy wracał, zajął za wiatę na rowery i znalazł martwego jeża.

Pół godziny później wszyscy spotkali się w gabinecie Sheili Daventry. Dyrektorka zdołała się już połączyć z mężem Mary, Samuelem, i powiedzieć mu, że jego żona zaginęła. Odparł, że zaraz wyjdzie z restauracji i osobiście zjawi się w szkole.

– A ja zadzwonię na policję – postanowiła Sheila Daventry. – Obym się myliła, ale mam coraz gorsze przeczucia.

– Twierdzisz, że dzieci opowiadały o nogach przechodzących przez sufit – zauważył John Meredith. – Nic z tego nie rozumiem, ale czy nie sądzisz, że jest jakiś związek pomiędzy tymi opowieściami a zniknięciem Mary?

– Naprawdę nie wiem. Sama nic z tego nie rozumiem. Na razie nie chciałam wypytywać dzieci, ponieważ wciąż są okropnie przerażone. Może policja zdoła coś z nich wyciągnąć.

June stała przy oknie i patrzyła na zewnątrz.

– Co to za dym? – zapytała. – Bryan, rozpałiłeś dzisiaj ognisko?

– W takim deszczu? – rzekł Bryan. – Daj spokój.

– Ktoś jednak dał radę. Tylko popatrz.

Bryan stanął obok niej przy oknie. Po drugiej stronie boiska nad ziemią unosił się szary dym.

– Nie wiem, kto to zrobił, ale się dowiem i przetrzępię im skórę. Dopiero co namalowałem na boisku nowe linie. Jeżeli łobuzy je zniszczyły, naprawdę nie ręczę za siebie...

Wyszedł z gabinetu Sheili Daventry i po chwili June zobaczyła, jak w gęstym deszczu biegnie truchtem przez puste boisko. Kiedy dotarł do źródła ognia, nagle się zatrzymał jak wryty i wpatrywał się w płomienie przez dobrą minutę. Wreszcie odwrócił się i pobiegł z powrotem do szkoły, tym razem ile sił w nogach. Jego ponura mina odpowiedziała June, że zobaczył coś, co mocno nim wstrząsnęło.

Wpadł zdyszany do gabinetu.

– To chyba ona! – wybełkotał z trudem. – Tam! Ten ogień! Myślę, że to Mary Jonas!

Sheila Daventry akurat rozmawiała przez telefon.

– Przepraszam. Proszę chwilę poczekać – powiedziała i opuściła komórkę. – Co? O co chodzi?

– Rozmawiasz z gliniarzami? – spytał Bryan. – Powiedz im, żeby natychmiast do nas przyjechali! To jest naprawdę pilne! Myślę, że znalazłem Mary Jonas! Chyba rozpoznałem jej bransoletę!

Sheila Daventry znowu przyłożyła telefon do ucha.

– Przepraszam... ale chyba stało się coś naprawdę poważnego. Tak, to dotyczy naszej zaginionej nauczycielki. Możecie tu kogoś natychmiast przysłać? –

Następnie obróciła się do Bryana. – Pokaż nam, co znalazłeś – rzuciła, mimo że wciąż trzymała przy uchu komórkę.

We troje wyszli za Bryanem z gabinetu i szybkim krokiem przecięli boisko szkolne. Deszcz zelżał i z nieba teraz siał tylko drobny, ale nieprzyjemny kapuśniaczek, przez co dzień wydawał się nieprzyjemny i ponury. Dym wciąż unosił się w powietrze, a kiedy zbliżyli się do źródła ognia, do ich nozdrzy dotarł słodki odór spalonego ciała.

Na trawie leżały ludzkie zwłoki. Nauczyciele i woźny nie mieli co do tego wątpliwości, ale nie widzieli dotąd aż tak zmasakrowanego ciała. Skóra odpadała z jej twarzy czarnymi płatami, jej zęby były wyszczerzone w przeraźliwym uśmiechu, a oczy blade jak ścięte białko jajek. Na klatkę piersiową składały się ponadpalane kości, sterczące niczym szydełka z pomarszczonych płuc i suchej wątroby. Beżowe wnętrzności zgromadziły się na stercie w misie miednicy. Jedna z nóg została wyłamana do tyłu, tak że stopa dotykała biodra, a druga została oderwana w kolanie i leżała w odległości półtora metra od upiornego ogniska.

– Mój Boże – jęknęła Sheila Daventry i odwróciła się plecami.

June stała nieruchomo, wpatrując się w zwłoki. Przez cały czas zasłaniała dłonią usta, ale w końcu się odezwała:

– Masz rację, Bryan. To jest bransoleta Mary.

Jedno z ramion Mary leżało na pogruchotanych piersiach, a nadgarstek przepasany był bransoletą z małych białych muszelek. Mary kupiła ją podczas ostatnich wakacji na Barbadosie, jako pamiątkę i wspomnienie o korzeniach jej rodziny.

– Na wszystkich świętych, co się z nią stało? – zapytał John Meredith. W jego głosie pobrzmiwała udręka. – Przecież te zwłoki wyglądają tak, jakby przejechał po nich pociąg. I dlaczego płoną tak intensywnie mimo deszczu?

– Przyniosę wiadro z wodą – powiedział Bryan.

– Nie – sprzeciwiła się Sheila Daventry. – Zostaw ją w takim stanie. Gdybyś polał ją wodą, mógłbyś zniszczyć ważne dowody.

W oczach June pojawiły się łzy.

– To była taka urocza kobieta. Zawsze wesola. Często się śmiała. Dzieci ją uwielbiały. Kto ją do tego stopnia zniechęcił, że zrobił coś tak okrutnego?

6

– Moim zdaniem – powiedział Jeżozwierz – opowieści tych świadków to wytwory wybujałej wyobraźni.

– Nie byłabym taka pewna – sprzeciwiła się Audrey. – Sklepikarz, który stracił oczy, Jusuf, jest absolutnie przekonany, że zaatakowała go połowa człowieka.

– Może i jest, ale my musimy zachować rozsądek. Wiesz, jak często świadkowie opowiadają niestworzone historie, niemające nic wspólnego z prawdziwymi wydarzeniami, bo uważają, że właśnie to chcemy usłyszeć. Facet bez głowy, facet bez stóp i połowa faceta. Litości.

Było w pół do dwunastej i trwała narada, którą detektyw nadinspektor Chance zwołał w swoim gabinecie. Od początku uczestniczyli w niej Simon Fairbrother, Audrey Morrison, Jerry i Jeżozwierz, a po kilku minutach dołączyła do nich Dżamila. Była niesłychanie zdenerwowana, co rzadko się zdarzało, a jej składany parasol został wywinięty na lewą stronę, przez co zwiślał z jej ramienia jak mokra martwa wrona.

– Co za parszywa pogoda! I to ohydne metro! Następnym razem przyjadę samochodem, co tam korki! Przynajmniej nie usiądzie obok mnie żaden brudny robotnik budowlany pałaszujący hamburgera z McDonalda!

– Cieszę się, że panią widzę – powiedział Herbert Chance, wstając. – Dopiero co zaczęliśmy. Zechce pani zająć miejsce obok detektywa posterunkowego Pardo? W końcu macie razem pracować. Zdaje się, że nazywają was pogromcami duchów.

– Wolę, żeby nas tak nie nazywano – odparła Dżamila, strząsając z płaszcza krople deszczu i zawieszając go na wieszaku. – Owszem, zajmowaliśmy się kilkoma niezwykłymi sprawami, ale duchy nie istnieją.

– Och, nie jestem pewien – wtrącił Jeżozwierz. – Ten chudy starszy facet, który sprząta u nas toalety, Henry, wczoraj wieczorem wyszedł z mopem z kabiny cichutko jak zjawa. Tak mnie wystraszył, że od razu zrobiłem kupę. Jeżeli on nie jest duchem, to przynajmniej czymś zbliżonym do ducha.

Herbert Chance cierpko odchrząknął.

– Porozmawiajmy o tych śledztwach na serio, dobrze? Mamy dwa morderstwa i brutalną napaść, która doprowadziła ofiarę do utraty wzroku. W każdym z tych przypadków świadkowie zeznali, że napastnikom brakowało jakichś elementów ciała. Simon, mógłbyś powiedzieć, co widział twój świadek?

Simon Fairbrother przypominał Jerry'emu jego dawnego nauczyciela geografii, który zawsze przechylał głowę, niemal dotykając policzkiem szyi, i mówił niskim, monotonnym głosem. Cedził poszczególne słowa przez zęby tak cicho, że trzeba było się w nie uważnie wsłuchiwać, aby cokolwiek zrozumieć. Simon przełożył kilka kartek w notesie i rzekł:

– Świadkiem w tej sprawie jest pani Gemma Treagus. Przebywała na piętrze, kiedy usłyszała, jak jej mąż został zastrzelony w holu ich domu w Bolingbroke Grove. Zbiegła na dół i zobaczyła, że sprawca wlecze ciało przez frontowe drzwi na dwór. Stanowczo utrzymuje, że napastnik nie miał stóp.

– A może po prostu jego spodnie były bardzo długie i zakrywały buty – zasugerowała Dżamila.

– Nie. Pani Treagus utrzymuje, że tak nie było. Mówi, że nogi tego człowieka były nieproporcjonalnie krótkie w stosunku do reszty ciała. No i odległość od jego bioder do kolan była o wiele większa niż odległość od kolan do podłogi.

– Rozumiem – powiedziała Dżamila i to zanotowała.

Następnie Jerry streścił opowieść Shantelle o mężczyźnie, którego widziała z Kathleen Hartley przed domem jej rodziców przy Bennerley Road – o człowieku bez głowy.

– Jej zeznania traktujemy z rezerwą, ponieważ nie była zupełnie trzeźwa. W gruncie rzeczy była pijana jak bela. Przysięga jednak, że facet nie miał łepoty.

– No i Audrey? Powiedz pani detektyw Patel, jak twój świadek opisał faceta, który przebił mu oczy.

Audrey Morrison uniosła obie ręce.

– Biedny Jusuf. Naprawdę trudno jest powiedzieć, czy to, co widział, istniało w rzeczywistości. Może miał przywidzenie albo jego wspomnienie mężczyzny, który go napadł, jest w jakiś sposób zniekształcone, bo przecież został oślepiiony. Miałam kiedyś do czynienia z ofiarą gwałtu, która była przekonana, że mężczyzna, który ją zaatakował, miał tylko jedną rękę i jedną nogę, ponieważ był do dziewczyny zwrócony bokiem, kiedy pchnął ją na szafę. Oczywiście była wtedy skrajnie przerażona.

– Ale ten Jusuf... – odezwała się Dżamila. – Widział tylko połowę człowieka?

– Dokładnie. Tylko jego lewą połowę. Tak jakby jego prawa strona była ukryta za lustrem wysokim od podłogi do sufitu albo za ścianą.

– Bardzo nas martwi to, że te trzy akty agresji nastąpiły w ciągu dwudziestu czterech godzin w miejscach, które dzieli odległość niecałego kilometra – podjął Herbert Chance. – Zgadzam się, że każde zdarzenie miało inny charakter. Zabójstwo z użyciem broni palnej, wyjątkowo sadystyczne morderstwo i trwałe oślepienie. A jednak wszystkie mają wspólny mianownik. Z jakiegoś niepojętego powodu jakaś część ciała każdego ze sprawców była niewidzialna.

– Zapewne powinniśmy jeszcze raz porozmawiać ze świadkami, tylko Jerry Pardoe i ja. Jak powiedziałam Jerry'emu, w Pakistanie ludzie często opowiadają

o dżinnach – duchach, które żyją w świecie równoległym do naszego. Czasami można je zobaczyć. Czasami są niewidzialne. Bywa też tak, że widzujemy tylko ich części – twarze, ramiona albo ciała od pasa w górę.

– Ale chyba pani nie sądzi, że mamy teraz do czynienia z dżinnami?

– Przecież to tylko legendy, prawda? – wtrącił Jeżozwierz. – Albo baśnie?

– Staram się zawsze mieć otwarty umysł – odpowiedziała mu Dżamila. – To, co dla jednego człowieka jest wytworem wyobraźni, dla drugiego może być czymś prawdziwym. Niektórzy ludzie wierzą w Boga. Inni Go odrzucają, utrzymując, że istnieje tylko w świecie baśni.

– Więc zrobimy tak – rzekł Herbert Chance. – Jeżeli uważacie, że potraficie wydobyć coś sensownego z trojga świadków, przesłuchajcie ich jeszcze raz. Co do pani Treagus, to najpierw musicie się skontaktować z jej prawnikiem.

– Poprosimy o dane kontaktowe.

W tym momencie ktoś kilkakrotnie i jakby ze zniecierpliwieniem zapukał do drzwi. Zanim Herbert Chance zdążył otworzyć usta, żeby powiedzieć „proszę”, do gabinetu wszedł sierżant dyżurny.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie inspektorze, ale mamy nagłe wezwanie od dyrektorki Brookwood School. Zaginęła jedna z nauczycielek, po czym jej ciało znaleziono na szkolnym boisku. Dyrektorka powiedziała mi, że kobieta odniosła straszliwe obrażenia, a jej ciało spalono.

Herbert Chance wstał.

– Więc do roboty. Ktoś tam musi natychmiast pojechać. Simon, weźmiesz tę sprawę? Możesz zabrać ze sobą detektywa sierżanta Langa i detektyw posterunkową Williams. Sąd pokoju zawiesił przesłuchania w sprawie podpaleń, więc zakładam, że oboje są w tej chwili wolni. I musimy też zawiadomić techników.

– Dyrektorka powiedziała coś jeszcze, szefie – odezwał się sierżant dyżurny. – Ale, szczerze mówiąc, nie miało to wiele sensu.

– Wcale się nie dziwię. Kobieta chyba jest przerażona. Co powiedziała?

– Że ta nauczycielka, zanim zaginęła, szukała nóg na suficie.

– Czego szukała?

– Wiem... Kazałem dyrektorce wszystko powtórzyć, ale ona obstawała przy swoim. Dzieci z klasy, w której uczyła zaginiona kobieta, wpadły w panikę, ponieważ zobaczyły podobno czyjeś nogi na suficie i uciekły na korytarz. Nauczycielka chwilę z nimi rozmawiała, a potem poszła do sali, żeby się osobiście przekonać, co je tak wystraszyło. Wtedy po raz ostatni widziano ją żywą.

Herbert Chance zmarszczył czoło i popatrzył na Dżamilę.

– Mogę się mylić, pani sierżant, ale brzmi to tak, jakby to zdarzenie miało związek z przypadkami, o których właśnie rozmawialiśmy. Proponuję, żeby pani i posterunkowy Pardoe udali się na miejsce razem z Simonem i dokładnie przesłuchali świadków. Mówiliśmy o brakujących stopach, brakującej głowie i połowie ciała, a teraz pojawiły się nogi na suficie. – Pokręcił głową i cmoknął z niezadowolaniem. – Jezu Chryste.

Dżamila i Jerry stali przy bramce na boisku, kiedy pięcioosobowy zespół techników krążył wokół ciała Mary, głośno szeleszcząc białymi kombinezonami z tyteku. Można było odnieść wrażenie, że w jednym miejscu zgromadziło się pięć ponurych bałwanów.

Wykonywali setki fotografii, a także zbierali próbki trawy rosnącej w pobliżu zwłok. Szybko rozstawili niebieski winylowy namiot – nie tylko po to, żeby osłonić zwłoki przed deszczem, który znów padał bardzo intensywnie, ale także żeby ukryć je przed teleobiektywami dziennikarzy, którzy zgromadzili się za bramą.

Derek Grant odsunął połę namiotu, po czym skierował się do Dżamili i Jerry'ego. Simon Fairbrother wraz z detektywami Langiem i Williams wcześniej weszli do szkoły i przesłuchiwali teraz Sheilę Daventry oraz innych nauczycieli. Dżamila i Jerry bardzo chcieli jak najszybciej przesłuchać dzieci z drugiej klasy, żeby dowiedzieć się czegoś na temat „nóg”, ale najpierw potrzebowali zgody ich rodziców. Musieli także czekać na przyjazd psychologa dziecięcego z Miejskiej Poradni Psychologicznej dla Dzieci.

– Bardzo, bardzo paskudny przypadek – powiedział Marsjanin, ściągając maseczkę z twarzy. – Wygląda na to, że najpierw przejechał ją jakiś pojazd szynowy, chociaż nie do końca jestem przekonany, że to był pociąg. A później oczywiście ktoś ją polał płynem łatwopalnym i podpalił.

– Jeżeli nie przejechał jej pociąg, to co innego? – zapytał Jerry.

– Tego jeszcze wam nie powiem. Nie mam pewności. Spróbujemy określić rozstaw toru i przeanalizować obrażenia, jakich koła dokonały na jej ciele. To się da zrobić w miarę szybko. Teraz mogę tylko powiedzieć, że to, co ją zabiło, cokolwiek to było, ważyło kilkanaście ton.

– Ale to się nie stało tutaj, na szkolnym boisku – powiedziała Dżamila. – Przecież nigdzie nie ma śladów po żadnych kołach. Na pewno została przejechana w innym miejscu, a potem ją tutaj porzucono.

– Zgadza się. Ale nie jestem w stanie jeszcze powiedzieć, gdzie znajdowała się wcześniej i co ją przejechało. Po drugiej stronie Wandsworth Common biegnie linia kolejowa, ale nie wierzę, że oprawca najpierw rzucił ją pod koła pociągu, a następnie przywłókł jej zwłoki aż tutaj i nikt niczego nie zauważył. Nawet maszynista.

– W każdym razie trudno byłoby już nawet przedostać się na tory – zauważył Jerry. – No i musimy też brać pod uwagę czynnik czasu. Dyrektorka szkoły twierdzi, że pomiędzy zaginięciem nauczycielki a znalezieniem jej zwłok minęło najwyżej pół godziny.

– A może to nie był pojazd – podesunęła Dżamila. – Może zaliczyła spotkanie z jakąś dużą maszyną. Z prasą drukarską albo urządzeniem do napełniania butelek. Pamiętam, że pewien kolega mojego ojca zginął w Karaczi w fabryce napojów chłodzących. Wybierał odłamki szkła spod linii produkcyjnej, kiedy jeden z pracowników ją uruchomił, nie zdając sobie sprawy, że ktoś akurat zajmuje się jej oczyszczaniem.

– Cóż, wszystkiego się dowiemy – powiedział Marsjanin. – Określimy też dokładnie, jakiego płynu łatwopalnego użyto, żeby wzniecić ogień. Pobraliśmy niezwygłone próbki jej ubrania, które częściowo wchłonął mokry trawnik. Muszę powiedzieć, że na żadnym fragmencie nie wyczułem zapachu benzyny.

Jerry przez chwilę się zastanawiał. Oczami wyobraźni wciąż widział zmasakrowane i niemal całkowicie spalone ciało Mary.

– Spróbuj zgadnąć – zwrócił się do Marsjanina. – Jak myślisz, w jaki sposób to się stało?

Marsjanin wzruszył ramionami.

– Nie mam zielonego pojęcia. Naprawdę. Chyba że zabrał ją dron i przetransportował w miejsce, w którym została pogruchotana, a potem przeniósł zwłoki tutaj i zrzucił na boisko.

– Ale to jest równie prawdopodobne jak zdobycie w tym roku Pucharu Anglii przez Millwall – powiedział Jerry.

– Doskonale to ująłeś. W tym przypadku nie zadziała nawet żelazna logika Sherlocka Holmesa. Chyba pamiętasz: „Kiedy już wyeliminowałeś to, co niemożliwe, cokolwiek pozostało, nieważne jak nieprawdopodobne, musi być prawdą”. Wszystko w tej sprawie wydaje się niemożliwe. Wszystko. To się nie miało prawa wydarzyć. Jedyne problem polega na tym, że się wydarzyło.

Detektyw sierżant Lang ruszył w ich kierunku, ale zatrzymał się na środku boiska.

– Jerry? – zawołał. – Pojawili się rodzice kilku dzieciaków. I psychologka z poradni. Całkiem elegancka babka.

– Dzięki, sierżancie! – krzyknął Jerry. – Może teraz dowiemy się czegoś więcej o tych tajemnicznych nogach. Derek, chętnie porozmawiamy z tobą później.

– Powiem jeszcze coś, zanim odejdziecie – rzekł Marsjanin. – Właśnie miałem wysłać ci maila, kiedy dostaliśmy wezwanie tutaj. Chodzi o ten niedopałek, który znalazłeś w domu przy Bennerley Road. Kiedy tylko wróciliśmy do laboratorium, dałem go Geoffowi Baxterowi. Tylko raz go powąchał i bingo! Od razu wiedział, z czym ma do czynienia.

– Dla mnie był to zupełnie nieznanąy zapach. Co to takiego?

– Papieros bardzo starej marki, Spanish Shawl. W czasie wojny często był to jedyny dostępny gatunek papierosów. Produkowała go firma J.W. Weiner Limited, która miała fabrykę w Portsmouth – Spanish Shawl Oriental Amber. Chyba je perfumowali, żeby ukryć, jak podłego tytoniu używają do produkcji. Geoff powiedział, że w czasie wojny zabraniano palenia ich w niektórych kinach, ponieważ straszliwie śmierdziały.

– Czy te papierosy „bardzo starej marki” są wciąż w sprzedaży? – zapytała Dżamila.

– Mają je jeszcze tylko kolekcjonerzy. Od zakończenia wojny ich się nie produkuje.

– Co więc robił w domu Hartleyów, w którym nikt nie palił, facet z papierosem wycofanym z produkcji ponad siedemdziesiąt pięć lat temu? Poza tym kto by chciał się zaciągać takim starym papierosem?

– Obawiam się, że właśnie wy musicie się tego dowiedzieć – powiedział Marsjanin. – Niemniej wciąż prowadzimy badania DNA, a więc zapewne będziemy mogli wam pomóc, tyle że trochę później.

Dżamila popatrzyła na Jerry’ego i rzuciła:

– Dobra, Jerry, porozmawiajmy z tymi dziećmi. Dzieci zawsze są dobrymi świadkami. Widzą rzeczy takimi, jakimi naprawdę są, a nie takimi, jakimi chcieliby je widzieć.

Z powodu znalezienia zwłok Mary Brookwood School została na pozostałą część dnia zamknięta i teraz przyjeżdżali już rodzice, żeby zabrać dzieci do domów.

Rodzice pięciorga dzieci z drugiej klasy zgodzili się na ich rozmowę z policją i teraz razem ze swoimi pociechami czekali w gabinecie Sheili Daventry. Dzieci siedziały w kółku, otaczając młodą kobietę o gęstych jasnych włosach, ubraną w najbardziej obcisły granatowy sweter, jaki Jerry kiedykolwiek zobaczył. Kiedy razem z Dżamilą wszedł do gabinetu, wstała i wyciągnęła rękę na powitanie.

– Karolina Mogielska – przedstawiła się z lekkim polskim akcentem. – Z poradni psychologicznej dla dzieci.

– Detektyw sierżant Dżamila Patel, a to jest detektyw posterunkowy Jerry Par-doe. – Dżamila popatrzyła na dzieci i uśmiechnęła się. – Dziękuję, że przyszłyście tutaj, żeby z nami porozmawiać. Postaramy się, żeby wszystko przebiegło jak najszybciej. Musimy się dowiedzieć, co tak naprawdę się dzisiaj wydarzyło. To bardzo ważne.

Jerry przysunął dwa krzesła i usiadł obok Dżamili, naprzeciwko dzieci. Wszystkie były blade i zaniepokojone, a jedna z dziewczynek nerwowo przygryzała wargę.

– Pani Daventry powiedziała nam, że widziałyście coś dziwnego – ciągnęła Dżamila. – Cokolwiek to było, przestraszyłyście się i dlatego wszystkie wybiegłyście z klasy. Możecie to mi opisać?

– To były nogi – powiedziała jedna z dziewczynek.

– Jak masz na imię, kochanie? – zapytała Dżamila.

– Naomi.

– I gdzie zobaczyłaś te nogi, Naomi?

– Wysoko na suficie – natychmiast wtrącił jeden chłopiec. – Sufit zaczął pękać i wtedy wysunęły się z niego nogi. Najpierw przeszły przez sufit, a potem zniknęły w ścianie.

– A ty jak się nazywasz?

– Michael Solomon.

– Dobra, Michael – odezwał się Jerry i pochylił się ku niemu. – Możesz nam powiedzieć, jak wyglądały te nogi? W jakiej części były widoczne? Do kolan? A może jeszcze dalej?

– Do kolan. Miały szare spodnie i brązowe buty. Brązowe, podobne do butów mojego dziadka. Nie błyszcząły, lecz były matowe.

– Może zamszowe?

W tym momencie odezwała się dziewczynka, które do tej pory gryzła wargę.

– To były buty sznurowane – powiedziała stanowczo.

– Czy te nogi na suficie wydawały jakieś dźwięki?

Naomi pokręciła stanowczo głową.

– Niczego nie słyszeliśmy, ale zaraz niektórzy z nas zaczęli głośno krzyżeć.

– I buty zniknęły w ścianie? Po której stronie klasy?

– Tam, gdzie są drzwi.

Piegowaty chłopiec, który do tej pory milczał, podniósł do góry rękę, jakby chciał odpowiedzieć na pytanie zadane przez nauczycielkę.

– On rzucił szluga.

– Szluga? To znaczy papierosa? Kto go rzucił?

– Mężczyzna, do którego należały nogi. Rzucił go z sufitu. Wylądował tuż przy mojej ławce.

– Papierosa? Jesteś pewien?

– Ten papieros jeszcze dymił.

– Czy któreś z was także widziało tego papierosa? – zapytał Jerry, przesuwając wzrokiem po twarzach pozostałych dzieci.

Pozostała czwórka odpowiedziała chórem:

– Nie.

– Macie państwo jeszcze jakieś pytania? – odezwała się Karolina. – Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli dzieci pójdą już do domu.

– Jeszcze tylko dwie sprawy – rzekła Dżamila. – Mam pytanie do was wszystkich. Co to właściwie były za nogi? Czyje mogły być, jak myślicie?

– Ducha – oznajmiła Naomi. – To musiały być nogi ducha.

Pozostałe dzieci pokiwały głowami.

– Myślę, że to był ktoś, kto mieszkał tutaj, zanim ten budynek został szkołą – oświadczył Michael.

– Tutaj zawsze była szkoła, Michael – powiedziała Sheila Daventry zza swojego biurka. – Zbudowano ją w 1951 roku, na miejscu głębokiego leju po bombie. Nie wiem, co znajdowało się tu wcześniej.

Dżamila i Jerry wstali.

– W porządku. Dziękujemy za pomoc.

Wyszli z gabinetu, ale na korytarzu dołączyła do nich Karolina.

– Jak pani myśli, co one widziały? – zapytała Dżamila.

– Nie jestem pewna – odparła Karolina. – Spotykałam już dzieci, które miały urojenia. Zazwyczaj były to dzieci, które przeżyły traumę przemocy domowej albo widziały poważne wypadki. Czasami dzieci przeraża film, który obejrzały, albo przeczytana książka, i później wyobrażają sobie one najgorsze potwory i najbardziej straszliwe dziwadła. W ubiegłym tygodniu zajmowałam się siedmioletnią dziewczynką, która była przekonana, że widzi kobietę zaglądającą w nocy przez okno do jej sypialni, mimo że jej mieszkanie jest na piątym piętrze.

– Ale tutaj nie mamy do czynienia z tylko jednym dzieckiem – zaznaczyła Dżamila. – Chodzi o piętnaścioro dzieci. Wszystkie widziały to samo.

– Wiem. Mogę dodać, że jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkałam, naprawdę. Może to masowa histeria, ale jak i dlaczego cała piętnastka jednocześnie zobaczyła nogi przechodzące po suficie? Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale zajrzę do literatury i postaram się odszukać podobne przypadki.

– Tymczasem chodźmy i sprawdźmy, czy ten szlug istnieje naprawdę i czy wciąż tam leży – zaproponował Jerry.

Przeszli korytarzem do sali drugiej klasy. Zanim dotarli do drzwi, do Dżamili zadzwonił kolega z komisariatu w Ilford i zaczął jej mówić o kolejnym przypadku wandalizmu religijnego w Redbridge, więc została na korytarzu. Jerry sam obszedł całe pomieszczenie, zaglądając pod każdą ławkę.

I rzeczywiście pod jedną z nich, obok zeszytu do kolorowania, otwartego na naszkicowanej sylwetce dziwnie wyglądającego konia, znalazł niedopałek wypalony do połowy papierosa.

Miał wielką ochotę podnieść i powąchać niedopałek, ale go nie ruszył; najpierw muszą się nim zająć technicy. Wyszedł ze szkoły, aby poinformować o znalezisku Marsjanina. Dżamila ruszyła dwa kroki za nim, rozmawiając z niepokojem przez telefon.

– Wymalowali wiadomość na ścianie gurdwary? Po pasztuńsku? „Piekło czeka na was?”

Mówiąc Marsjaninowi o niedopałku, Jerry zmusił się, żeby popatrzeć ponad jego ramionami na ciało Mary Jonas. Z miejsca przy wejściu do namiotu widział dwa głębokie, równoległe wcięcia w jej piersiach i udach, pozostawione przez koła wehikułu, który ją przejechał. W tej chwili klęczała obok niej Molly Jakaś-Tam, wykonując zdjęcia, które zespół techników prawdopodobnie będzie chciał użyć do określenia, jakiego rodzaju koła pogruchotały jej ciało.

Pięknie, pomyślał. W nocy mam gwarantowane koszmary.

Był zdezorientowany nie tylko z tego powodu, że kobieta została straszliwie pokiereszowana, lecz także i dlatego, że nie można było ustalić, w jaki sposób oprawca przetransportował na sporą odległość zwłoki ofiary, zanim je podpalił. Jerry musiał też zadać sobie pytanie, czy to morderstwo w jakikolwiek sposób wiąże się z nogami, które klasa Mary Jonas dostrzegła na suficie. W końcu tuż przed zniknięciem nauczycielka poszła do sali, w której jej uczniowie zobaczyli to niewytłumaczalne zjawisko. Jeżeli istniał jakiś związek, na Boga, na czym on polegał?

– Chcesz ostatni raz na nią spojrzeć? – zapytał Dżamilę, wskazując uniesioną połą przy wejściu do namiotu.

Dżamila pokręciła przecząco głową.

– Chyba mam już w pamięci wyraźny obraz tej nieszczęsnej kobiety, dzięki. Wróćmy i sprawdźmy, jak sobie radzi inspektor Fairbrother.

Simon Fairbrother i pozostali detektywi byli w pokoju nauczycielskim, gdzie przesłuchiwali po kolei wszystkich nauczycieli i woźnego Bryana. Przyjechał już mąż Mary, Samuel, i siedział teraz w jednym z foteli, cicho popłakując, z chusteczką zaciśniętą w dłoni. Obok stała Sheila Daventry, ściskając jego drugą dłoń i próbując go uspokoić.

– To jest mąż ofiary – powiedział Simon Fairbrother. – Nie wiem, czy będzie miał nam wiele do powiedzenia, ale twierdzi, że on i żona byli ostatnio nękanymi przez jakichś rasistów.

Dżamila i Jerry podeszli do Samuela Jonasa i mu się przedstawili. Samuel Jonas popatrzył na nich żałośnie zaczerwienionymi oczami, w których błyszczały łzy. Na głowie miał biały durag zakrywający włosy, a z jego lewego ucha zwisał złoty kolczyk w kształcie krzyża. Wciąż był ubrany w biały fartuch szefa kuchni, z napisem „Turtle Bay” wyhaftowanym na kieszeni.

– Przykro nam z powodu pańskiej żony – powiedziała Dżamila, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Musiał to być dla pana straszny szok. Mógłby pan nam podać kontakt do najbliższej rodziny? Ktoś powinien się panem zaopiekować.

– Ale jak to możliwe, że ona nie żyje? – zapytał Samuel Jonas ochryplym głosem, pełnym rozpacz. – Dowiedziałem się tylko, że znaleziono ją na boisku przed szkołą i że ktoś na nią napadł. Podobno sprawca jest jeszcze nieznanymi i nikt nie wie, z jakiego powodu została zaatakowana.

– Obawiam się, że w tej chwili nie wiemy nic więcej. Ale śledztwo policyjne dopiero się zaczęło, Samuelu, i dowiemy się, kto zabił twoją żonę, obiecuję. Pierwszy poznasz odpowiedź na swoje pytania.

– Nie powiedzieli mi nawet, w jaki sposób zginęła. Tylko że leżała na boisku bez oznak życia.

– Nasi technicy prowadzą obecnie dokładne badania. Następnie przewieziemy ją do ośrodka medycznego Wandsworth, gdzie koroner przeprowadzi szczegółową sekcję zwłok.

– Tak, ale jak ją zabito? Co napastnik jej zrobił? Mogę ją zobaczyć? Przecież to moja żona! Dlaczego nie mogę jej zobaczyć?

– Przykro mi, drogi panie – powiedział Jerry. – Na miejscu zbrodni mogą przebywać tylko technicy i policjanci. Musimy pilnować, żeby nie zostały zatarte żadne ślady ani dowody, chyba pan rozumie?

– Ale może mi pan chociaż coś podpowie? – Samuel głośno zaszlochał. – Uduśzono ją, pobito, zasztyletowano czy co? – Umilkł na chwilę, po czym wziął głęboki oddech. – Tylko niech mi pan nie mówi, że została zgwałcona.

– Powiem panu szczerze, że tego jeszcze nie wiemy.

– Wspomniałem o gwałcie, ponieważ mieliśmy ostatnio kłopoty na ulicy, przy której mieszkamy, w Brixton. Wprowadziliśmy się do nowego domu zaledwie trzy miesiące temu; to nasz pierwszy dom, do tej pory wynajmowaliśmy mieszka-

nie. Ale kiedy tylko się pojawiliśmy, część sąsiadów zaczęła nam uprzykrzać życie.

– W jaki sposób?

– W pobliżu kręcą się kilkunastu dzieciaków. Powiedziałem „dzieciaków”, ale to raczej nastolatki. Do ogrodu przed naszym domem wrzucają różne śmieci, w okna salonu ciskają kamieniami. Co tydzień niszczą nam pojemniki na śmieci i niedawno porysowali mój samochód. Kiedy wychodzimy z domu, a oni są akurat w pobliżu, wykrzykują w naszą stronę rasistowskie obelgi i przezwiska.

– Ale chyba nie sądzi pan, że te dzieciaki mają coś wspólnego z napadem na Mary?

– Może nie napadły na nią dzieciaki. Ale zdarza się, że kiedy obrzucają nas wulgaryzmami, towarzyszy im kilku ojców. Gdy Mary wychodzi z domu i idzie na stację kolejki, ci mężczyźni gwiżdżą za nią i wołają, że chętnie by się z nią ostro zabawili, ale nic z tego, bo żony by to wykryły, piorąc bieliznę zapaćkaną na czarno. – Przetarł oczy chusteczką. – Przepraszam. Nie chciałem być wulgarny. Ale słowa, jakich oni używają, są o wiele gorsze.

– Dziękujemy, Samuelu – powiedziała Dżamila. – To raczej mało prawdopodobne, żeby któryś z tych mężczyzn miał związek ze śmiercią Mary, ale mimo wszystko z nimi porozmawiamy.

– Nagrałem ich telefonem, więc łatwo ich rozpoznać.

– Doskonale. Tymczasem jeden z naszych funkcjonariuszy będzie panu na bieżąco przekazywał wszelkie informacje dotyczące śmierci Mary, a w razie potrzeby służył radą. Teraz mogę jedynie powtórzyć, że bardzo panu współczujemy. Proszę przyjąć nasze najszczerze kondolencje.

Samuel pokiwał głową. Oczy miał pełne łez, przez co niewiele widział.

– Dziękuję. Ale nie potrzebuję kondolencji. Chcę tylko Mary.

Kiedy szli przez szkolny parking, usłyszeli z tyłu krzyk Marsjanina:

– Jerry!

Jerry zatrzymał się i odwrócił. Zobaczył, że technik drepcze za nimi w białym kombinezonie z tyteku.

– Jerry, doszedłem do wniosku, że im szybciej się o tym dowiesz, tym lepiej.

Trzymał w ręce mały plastikowy woreczek do przechowywania dowodów rzeczowych.

– Ten papieros, który znalazłeś w klasie. Nie można odczytać jego marki. Ale go powąchałem i jeśli mój zmysł powonienia jest przynajmniej w połowie tak dobry jak u Geoffa Baxtera, jestem gotów powiedzieć, że mam do czynienia ze Spanish Shawl.

– Tylko mi nie mów, że zostawił go ten sam gość, który pociachał biedną Kathleen Hartley. Mamy do czynienia z wariatem i sadystą?

– Przykro mi to mówić, Jerry, ale to jest sadysta bardzo kreatywny w sztuce zabijania ludzi.

8

Znudził im się już *Kirby and the Forgotten Land*, więc Adele i Archie zaczęli grać w piłkę w małym ogródku przed domem przy Northcote Road. Na murze pod oknami salonu narysowali węglem bramkę, a Adele zgodziła się zostać bramkarzem.

Archie uwielbiał Cristiana Ronaldo i uważał siebie za dobrego strzelca, ale do tej pory Adele obroniła każdy jego strzał. Miała jednak jedenaście lat, była od niego dwa lata starsza, miała długie nogi i długie ramiona, a ponadto osiągała bardzo dobre wyniki w szkolnych zawodach lekkoatletycznych.

Coraz bardziej sfrustrowany Archie kopnął piłkę z całej siły. Wykonał tak zamasztysty ruch nogą, że prawie się przewrócił. Piłka odbiła się od okna salonu, przeleciała nad żywopłotem i wypadła na ulicę. Archie natychmiast wyjął z bramy skobel i pobiegł, żeby złapać piłkę, zanim się potoczy na jezdnię.

Chodnikiem szła starsza kobieta z dwiema dużymi torbami z zakupami. Piłka poturlała się do niej, więc kobieta podniosła nogę i ją zatrzymała.

– Hej, dzięki – powiedział Archie i wziął piłkę. – Powinna pani gać w Arsenalu, naprawdę.

Kobieta posłała mu słaby uśmiech i postawiła torby na chodniku. Była bardzo drobna, nosiła brązowy zniszczony płaszcz i filcowy kapelusz, który wyglądał jak ciastko czekoladowe odkształcone w gorącym piecu. Obcasy jej butów były wytarte niemal do podeszwy.

– Może wiesz, o której odchodzi następny tramwaj? – zapytała.

– Co następne?

– Tramwaj. Numer 33. Do domu mam tylko jeden przystanek, ale dalej nie dam już rady nieść tych ciężkich toreb. Nie wiem, co się stało z przystankiem. Jeszcze wczoraj tutaj był. Dlaczego zabrali go z tego miejsca?

Z ogrodu wyszła Adele.

– O co chodzi?

– Ta starsza pani uważa, że tutaj jeździ jakiś tramwaj.

– Tramwaj? Tu nie ma tramwajów. I nigdy nie było.

– Ależ skądże. Numer 33. Mówiłam twojemu koledze, że mam już blisko do domu, ale te torby ważą chyba tonę.

– On jest moim bratem, a nie kolegą. Gdzie pani mieszka?

– Na Salcott Road 79.

– To tylko trzy przecznice stąd – powiedziała Adele. – Razem z bratem zanieśmy pani te torby do domu.

– Naprawdę, moja droga? Zrobicie bardzo dobry uczynek.

– Z pewnością. Bo jeszcze chwila i Archie wybiję szybę w naszym domu.

Archie odrzucił piłkę do ogrodu i razem z Adele wzięli od kobiety po jednej torbie z zakupami. Powoli poszli w kierunku północnym, a chwilami się zatrzymywali, ponieważ kobieta przystawała co kilkadziesiąt kroków, uspokajała oddech i przyciskała dłoń do pleców.

– Rwa kulszowa – powiedziała, choć ani Adele, ani Archie, nie wiedzieli, o co jej chodzi.

Torba Adele była tak ciężka, że dziewczynka w końcu zajrzała do środka, żeby zobaczyć, co takiego niesie. W torbie znajdował się Oxydol, detergent sprzedawany w dużych pudełkach ozdobionych rysunkami pomarańczowych i niebieskich kółek, zwinięta w rulon gazeta, „News Chronicle”, trzy puszkizy oszów wołowych firmy Prince oraz puszkizy z grochem i pomidorami.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu widok tych zakupów zaniepokoił Adele. Przypomniał jej lata, kiedy była znacznie młodsza i mieszkała przez pewien czas u babci w Bognor Regis. W pokojach jej domu zawsze brakowało świeżego powietrza, wszystkie cuchnęły zwiędłą lawendą i dawno zapomnianą epoką, a jeśli babcia nie chciała pójść z nią na plażę, Adele nie miała tam nic do roboty, tylko siedziała na krześle i słuchała zegara tykającego w holu.

Popatrzyła na Archiego, który śpiewał pod nosem *Young Thug* i bawił się torbą z zakupami, przerzucając ją z jednej ręki do drugiej.

Kiedy doszli do Wakehurst Road, podbiegły do nich dwie koleżanki Adele ze szkoły, Rosie i Ola. Wesoło z czegoś się śmiały i popychały jedna drugą. Zobaczywszy Adele, pomachały jej energicznie i zawołały:

– Cześć, Ad. Dokąd idziecie?

– Pomagamy tej starszej pani zanieść torby z zakupami do domu. Niedługo wrócimy, możecie iść do mnie i na nas poczekać. Ta pani mieszka przy Salcott Road.

Rosie i Ola przeszły przez ulicę i popatrzyły na Adele z dziwnymi minami.

– Eee... o jakiej starszej pani mówisz, Ad? I o jakich torbach z zakupami?

– O tej pani, która stoi obok mnie – odparła Adele. – I o tych torbach. – Wyciągnęła przed siebie rękę z torbą i nią potrząsnęła.

– Czy to jakiś żart? – zapytała Rosie.

– Oczywiście, że to nie żart. O czym ty mówisz?

– Mówię o tej starszej pani i tych torbach z zakupami, o których ty mówisz. Ponieważ nie widzę żadnej starszej pani ani żadnych toreb. Ola? Widzisz jakąś starszą panią? Widzisz jakieś zakupy?

Ola pokręciła głową.

– Zebrało ci się na kawały, Ad? Mnie jakoś nie jest do śmiechu.

– Możemy już iść, moja droga – wtrąciła kobieta. – Bo patrzę na chmury i mam wrażenie, że niedługo spadnie deszcz.

– Tak, już ruszamy – odparła Adele. – Posłuchaj, Rosie, możesz przyjść do mnie później, jeśli będziesz chciała.

– Chyba nie będę chciała, skoro się tak zachowujesz. Masz nas za idiotki czy co?

– Proszę, chodźmy już – nalegała kobieta.

Adele i Archie zostawili za sobą dwie dziewczynki wciąż patrzące na nich z mieszkanką niedowierzania i niesmaku, po czym skręcili w Salcott Road, kolejną długą ulicę zabudowaną bliźniaczymi domami wiktoriańskimi. Numer 79 był bardziej sfatygowany niż sąsiedni budynek i niemal zupełnie skryty za nieprzyciętym żywopłotem z wawrzynów. W przydomowym ogrodzie, gęsto porośniętym przez dmuchawce i starce, stał, niczym porzucony Dalek, zniszczony metalowy kosz na śmieci. Rynny na budynku były zardzewiałe, a złuszczone ramy okien aż się prosiły o świeżą farbę.

Adele zdziwiła się, że na wszystkich szybach okiennych naklejone są paski brązowego papieru w kształcie litery X.

Kobieta otworzyła drzwi kluczem i weszła do domu.

– Jeśli wnieście zakupy prosto do kuchni, zrobicie mi wielką przyjemność.

Adele i Archie weszli do holu. Panował tu półmrok, ponieważ światło docierało jedynie przez szkło witrażowe na półpiętrze. W powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty i pasty do podłóg. Na hakach wbitych w ścianę w równych odstępach wisiało pięć długich płaszczy, przywodzących na myśl przestępców powieszonych na szubienicy.

– Tędy – powiedziała kobieta i otworzyła drzwi do kuchni.

Adele i Archie odłożyli torby z zakupami na stół kuchenny. Było tutaj niewiele jaśniej niż w holu, chociaż okna wychodziły na wąski ogród na tyłach budynku. Adele jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak staromodnej kuchni. Pod ścianą stała kuchenka gazowa z dużym czarnym czajnikiem na palniku, obok znajdował się zlewozmywak z drewnianą deską do odkładania mokrych naczyń, ale w kuchni nie było ani lodówki, ani zmywarki do naczyń. Ani nawet pralki.

Także tutaj wszystkie okna były oklejone paskami papieru, tworzącymi kształt „X”.

Kobieta zdjęła kapelusz w kolorze ciasta czekoladowego i położyła go na stole.

– Bardzo wam dziękuję, że przynieśliście moje torby. Gdyby nie wy, do tej pory czekałabym na tramwaj, a popatrzenie tylko, właśnie zaczęło padać. Ale... nie możecie ode mnie wyjść bez nagrody.

Otworzyła wyświechtaną brązową torebkę ze skóry, wyciągnęła z niej portmonetkę i wręczyła obojgu dzieciom po monecie. Adele w pierwszej chwili pomyślała, że otrzymuje 10 pensów, lecz kiedy uważniej przyjrzała się pieniążkowi,

zdała sobie sprawę, że znajduje się na nim głowa jakiegoś nieznanego mężczyzny, wcale nie króla Karola. Jeszcze nigdy takiej monety nie widziała.

Archie także popatrzył na swoją monetę. Była identyczna. Zerknął na Adele, ale ona jedynie pokręciła głową, jakby chciała mu dać do zrozumienia, żeby nie mówił. Prawdopodobnie kobieta, nie zdając sobie z tego sprawy, wręczyła im jakieś cudzoziemskie monety. Zapewne i one także miały jakąś wartość.

– Życzę wam miłego dnia, drogie dzieci – odezwała się kobieta, kiedy Adele i Archie wrócili do holu i otworzyli drzwi na zewnątrz. Na dworze zrobiło się znacznie ciemniej, ponieważ po niebie płynęły gęste szare chmury, a na ogrodową ścieżkę spadły pierwsze krople deszczu. – Musicie się pośpieszyć, jeżeli nie chcecie przemoknąć do suchej nitki.

Adele i Archie wybiegli na ulicę i popędzili w kierunku skrzyżowania z Northcote Road. Kiedy skręcili w stronę domu, nagle usłyszeli dziwny stukot i zgrzyty, ogromnie nieprzyjemne dla ucha. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyli wąski piętrowy tramwaj ze sterzczącymi z dachu żerdziami sięgającymi drutów rozwieszonych nad jezdnią. Tramwaj oznaczony był numerem 33.

Siostra i brat zatrzymali się i z niedowierzaniem patrzyli na mijający ich tramwaj. W środku znajdowało się mnóstwo ludzi, część pasażerów miała tylko miejsca stojące. Adele zauważyła, że większość ludzi miała na głowach kapelusze lub czapki.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Archie. – Przecież właśnie na ten tramwaj czekała ta kobieta. Ale tu przecież nie ma i nigdy nie było żadnych tramwajów.

Adele wpatrywała się w tramwaj, aż przystanął trzy przecznice dalej. Czekają na niego kilka osób. Pięciu lub sześciu pasażerów wysiadło, a nowi weszli do środka. Tramwaj znowu ruszył i w końcu zniknął za zakrętem. Dzieci słyszały jeszcze metaliczne odgłosy, które wydawał, zbliżając się do Battersea Rise.

– Masz rację, Arch – powiedziała dziewczynka głośnym szeptem. – Tutaj nie ma tramwajów. Ale to był tramwaj. I popatrz, środkiem ulicy biegną tory, po których on jeździ. A u góry są druty.

– Przecież tutaj nie dałoby się położyć torów i rozciągnąć drutów przez pięć minut. Bo przecież tyle czasu spędziliśmy w domu tej kobiety, prawda? To wszystko nie mogło wtedy powstać.

– Mam straszne, bardzo straszne przecucia – odpowiedziała Adele. – Lepiej chodźmy do domu.

Zaczęło mocniej padać, więc pobiegli. Kiedy jednak dotarli do swojej posesji, nagle się zatrzymali, skrajnie zdumieni i przerażeni. W miejscu, w którym powinien stać ich dom, na ziemi leżała tylko sterta cegieł i gruzu, a tam, gdzie kiedyś był kominiek w salonie, wyrastał z ziemi wysoki przewód kominowy. Sąsiedni dom stał nienaruszony, chociaż w jego oknach zamiast szyb znajdowały się drewniane sklejki, a w ogrodzie od ulicy leżało mnóstwo kamieni.

Adele ze strachu straciła na chwilę oddech, a jej serce zaczęło bić jak szalone. Miała wrażenie, że śni jej się koszmar, z którego powinna wkrótce się obudzić.

– Co się stało z naszym domem? – zapytał Archie. Był równie zaskoczony jak jego siostra, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Gdzie są mama i tato?

W tym momencie zza rogu wyszedł szybkim krokiem mężczyzna w tweedowym płaszczu. Miał wysoko postawiony kołnierz dla ochrony przed deszczem i palił papierosa. Kiedy mijali dzieci, Adele go zatrzymała.

– Przepraszam, przepraszam! – zawołała. – Może wie pan, co się stało z tym domem?

Mężczyzna przystanął i kilkakrotnie zamrugał, jakby podejrzewał, że dziewczynka stroi sobie z niego żarty.

– A zgadnij, kochanie.

– Pytam poważnie. Co się z nim stało?

– Został zbombardowany, a jak myślisz? W czasie nalotu trzy noce temu.

– Nie rozumiem. To jest nasz dom, który pół godziny temu jeszcze tutaj stał.

– Musiałś pomylić domy, kochanie.

– To jest nasz dom. Albo to był nasz dom. Gdzie są ludzie, którzy tutaj mieszkali? Gdzie są tato i mama?

Mężczyzna wyjął z ust papierosa i dmuchnął strumieniem dymu.

– Tutaj mieszkali Marshallowie. Pan i pani Marshall oraz ich córka Liz. Przykro mi to mówić, ale całej trójce zabrakło szczęścia. Miła rodzina. O ile pamiętam, pan Marshall pracował w ratuszu.

– Ale to był przecież nasz dom – zaprotestował Archie. – Nigdy nie słyszałem o żadnej pani albo panu Marshall. I co to znaczy, że „całej trójce zabrakło szczęścia”?

– Zginęli, synu. Nie mieli najmniejszych szans. Z całego tego domu żywy pozostał jedynie ich kot.

Adele zaczęła płakać. Przycisnęła dłoń do ust i stała nieruchomo na deszczu. Jej ramiona drżały z niedowierzania i przerażenia.

– Przykro mi, kochanie, ale naprawdę nie wiem, co mógłbym zrobić dla was dwojga – powiedział mężczyzna. – Chyba powinniście zgłosić się na policję i tam zapytać, co macie dalej robić.

Archie pociągnął Adele za rękaw.

– Wracajmy do domu tej starej kobiety. To tam zaczęły się dziwactwa. Może jeśli znowu wejdziemy do jej domu i z niego wyjdziemy, wszystko będzie tak jak przedtem?

Adele pokiwała głową i przetarła oczy palcami. Z Archiem ruszyli biegiem w stronę Salcott Road. Mężczyzna jeszcze krzyknął: „Przykro mi, kochanie”, ale prawie go nie słyszeli.

Kiedy dotarli przed drzwiami domu starszej kobiety, nacisnęli na dzwonek. Nie usłyszeli jego brzmienia w środku i nic nie wskazywało na to, że kobieta podejdzie do drzwi, żeby im otworzyć. Zadzwonili jeszcze kilkakrotnie, ale ponieważ

w domu wciąż nikt nie reagował, zaczęli w końcu pukać. Wreszcie po dłuższej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanęła kobieta. Trzymała w ręce w połowie zjedzoną słodką bułeczkę z rodzynkami.

– Ach, to wy – powiedziała. – Myślałam, że wróciliście do swojego domu.

– Wróciliśmy, ale ulice zrobiły się dziwne, a nasz dom został zbombardowany. Nie wiemy, co się stało z naszą mamą i tatusiem.

– Co to znaczy, że „ulice zrobiły się dziwne”? Nie wiecie, że mamy wojnę?

– Nie rozumiem – odparła Adele. – Przecież nie ma żadnej wojny. Przynajmniej my o niej nic nie wiemy. I w naszym mieście nie było żadnych tramwajów, a teraz są. Nie wiemy, co się z nami stało.

Kobieta popatrzyła na Adele i Archiego z namysłem, wciąż żując bułkę. Wreszcie odezwała się:

– Najlepiej wejdźcie do środka. Chyba powinniście porozmawiać ze Starym Pazurem.

– Z kim?

– Ze Starym Pazurem. On na pewno będzie wiedział, co robić. Nikt inny wam nie pomoże. Zadzwoń do niego i zapytam, czy zechce się z wami spotkać.

– Kto to jest?

– Wejdźcie do środka. To ktoś, kto potrafi sprawiać, że ludziom spełniają się marzenia, jakie wcześniej nawet nie przychodziły im do głowy.

Kobieta zaprowadziła dzieci do kuchni, gdzie podała Adele szklanekę z wodą. Następnie przeszła do salonu i po chwili rozległ się dźwięk obracającej się tarczy telefonu.

– Halo? – odezwała się kobieta, ale zaraz zamknęła drzwi i dzieci nie usłyszały dalszej części konwersacji.

Po dwóch albo trzech minutach wróciła do kuchni i powiedziała:

– Wszystko w porządku. Możecie się z nim spotkać. Zastrzegł jednak, że nie jest w stanie niczego wam obiecać.

– Obiecać? – spytała Adele. – O co właściwie chodzi?

– Przekonacie się, kiedy z nim porozmawiacie. Zaraz wam zapiszę jego adres. Jeżeli pojedziecie tramwajem, dotrzecie na miejsce bardzo szybko. St Oswald's Place 9 w Kennington. Budynek stoi na tyłach kościoła, ale nie jest jego częścią.

– My nigdy nie jechaliśmy tramwajem – zaprotestował Archie. – I nie mamy pieniędzy na bilety.

– Dostaniecie ode mnie po szylingu, aż nadto wam wystarczy. Bilet stąd do Kennington kosztuje dwa pensy, ale wy zapłacicie tylko po jednym, bo jesteście dziećmi. No i możecie pożyczyć mój parasol, żebyście nie przemokli do suchej nitki.

– Jaki jest ten Stary Pazur? – zapytała Adele. – Czy to jest jego prawdziwe nazwisko? Jak się mamy do niego zwracać?

- Och, ma więcej nazwisk, niż bylibyście w stanie zapamiętać. Ale możecie mówić do niego po prostu Pazur.
- Boję się – powiedziała Adele.
- Obecnie wszyscy się boimy, kochanie. Lecz pewnie znasz słowa piosenki: „Zapomnij o kłopotach, jutro będzie piękny dzień”.

Kiedy Dżamila i Jerry przyjechali do laboratorium medycyny sądowej policji londyńskiej przy Lambeth Road, Marsjanin czekał na nich w gabinecie na piętrze w bloku B. Była z nim Molly Jakaś-Tam. Oglądała próbki pod mikroskopem, ale kiedy weszli do pomieszczenia, nie podniosła wzroku.

Pewnie wyjdzie za tego faceta o imieniu Hugo, pomyślał Jerry. I na pewno będą mieli dwoje dzieci, Christophera i Fionę.

– Uzyskaliśmy już kilka odpowiedzi – powiedział Marsjanin, wskazując dwa taborety, które zdążył już postawić naprzeciwko swojej ławki. Dżamila i Jerry usiedli. Jerry pomyślał, że bez pękatego kombinezону z tyveku mężczyzna przypomina bardziej wiejskiego dentystę niż Marsjanina. – Problem w tym, że nasze rezultaty jeszcze zwiększają liczbę pytań.

– Niespodzianka – stwierdził Jerry.

– Detektyw Pardoe i ja chcemy się przede wszystkim dowiedzieć, czy te trzy kolejne przestępstwa rzeczywiście coś łączy – powiedziała Dżamila. – Jeżeli nie, to nie ma powodu, żebyśmy nadal wspólnie nad nimi pracowali. Ściągnięto mnie tutaj z Redbridge tylko dlatego, że zeznania świadków zawierają pewne niezwykle podobieństwa.

– Rozumiem. – Marsjanin pokiwał głową. – Słyszałem już, że zajmujecie się we dwoje bardzo nietypowymi sprawami. A ja w tej chwili nie mam wątpliwości, że te trzy przypadki znacznie odbiegają parametrami od tego, z czym mamy do czynienia przy rutynowych śledztwach. Osobiście nie zaliczylibym ich do zjawisk „nadprzyrodzonych”, ale jak dla mnie słowo „niewytłumaczalne” bardzo dobrze do nich pasuje.

Sięgnął po leżący na ławce plastikowy worek z szarym wełnianym szalikiem, który znaleziono w ogrodzie przed domem Kathleen Hartley.

– Weźmy na przykład ten szalik. Jak już wiecie, metka pochodzi z domu towarowego, który przestał funkcjonować po tym, jak został zbombardowany w czasie wojny, ale dziwne jest w nim to, że wygląda na absolutnie nowy. Badania laboratoryjne stopnia zużycia garderoby są właściwie jeszcze w powijkach, lecz na podstawie stanu tkaniny udało nam się określić, że prawdopodobnie szalik wyprodukowano nie dalej niż sześć miesięcy temu. Jest więc stosunkowo nowy, ale jego właściciel był nałogowym palaczem. I zarówno ślady DNA, jak i resztki substancji smolistych, które z niego zdjęliśmy, pasują do śladów z papierosa Spa-

nish Shawl, który znalazłeś – popatrzył na Jerry’ego – w tym samym pokoju, w którym znaleziono zwłoki Kathleen Hartley.

– A co z niedopałkiem z klasy w Brookwood School? Przypuszczałeś, że to jest także Spanish Shawl.

– I miałem rację. Ale materiał DNA pobrany ze śliny, która na nim pozostała, nie pasuje do pierwszego papierosa. Mamy do czynienia z dwoma palaczami.

– Jeden z nich nie ma głowy, a drugi ma tylko nogi. Wspaniale. To chyba wyklucza możliwość opublikowania portretów pamięciowych na Twitterze, co? „Widzieliście tych ludzi”?

– A co z tym oślepionym sklepikarzem? – zapytała Dżamila.

– Znaleźliśmy odciski palców na obu stronach plastikowej osłony, którą sprawca wyrwał z lady sklepowej. Chociaż sklepikarz widział tylko pół człowieka, zidentyfikowaliśmy jego odciski palców zarówno z prawej, jak i z lewej ręki. A jak wiecie, odciski palców są wiarygodnym źródłem DNA. Ponadto zdołaliśmy zdjąć szczątkowe odciski palców z łuski, którą znaleźliśmy na podłodze domu w Bolingbroke Grove, gdzie został zastrzelony Kenneth Treagus. To pozwoliło nam także wyodrębnić próbkę DNA, a z jej chromosomu Y... zgadnij, czego się dowiedzieliśmy?

– Nie mam pojęcia. Ty mi o tym powiesz.

Marsjanin miał niemal triumfalną minę, jak magik, który właśnie wyciągnął dwa koty z kapelusza.

– Zdołaliśmy ustalić, że DNA niemal na pewno należy do brata osobnika, który oślepił sklepikarza.

– Cholera jasna – rzekł Jerry. – A więc człowiek bez stóp jest bratem człowieka, który istnieje tylko w połowie? Czy ta sprawa może się skomplikować jeszcze bardziej?

– Obawiam się, że tak. Nabojów się nie numeruje. Kilka rządów próbowało czegoś takiego, lecz okazało się to zbyt drogie i czasochłonne. W tym wypadku jednak łuska okazała się bardzo charakterystycznym znaleziskiem, jako element przesyłki zawierającej naboje .45 ACP, skradzionej z doków w Londynie 17 sierpnia 1942 roku, w samym środku wojny. Została przysłana ze Stanów Zjednoczonych w ramach Lend-Lease i każdy pocisk został oznaczony znakami F A 42. Litery F A wskazują, że nabój został wyprodukowany przez Frankford Arsenal. Na podstawie zachowanych dokumentów ustaliliśmy, że prawie całą przesyłkę policja odnalazła dwa dni po kradzieży dzięki jakiemuś tajemniczemu informatrowi. Nie mamy jednak wątpliwości, że pocisk, który zabił Kennetha Treagusa, pochodzi właśnie z tej drobnej partii, której nie odnaleziono.

– Przecież to jest chore – powiedział Jerry. – Jakoś nie mogę sobie wyobrazić człowieka, który biega po mieście z pistoletem załadowanym osiemdziesięcioletnimi kulami.

– Uwierz mi, odkryliśmy coś jeszcze bardziej zaskakującego. Nie skończyliśmy jeszcze autopsji Mary Jonas, ale dwie rzeczy wiemy już na pewno. Po pierw-

sze, do jej podpalenia nie użyto benzyny, lecz paliwa lotniczego.

– Co?

– Tak, tak. Mogliśmy dojść do tego wniosku, ponieważ paliwo lotnicze ma inne węglowodory, a także specjalne dodatki, konieczne do tego, żeby nie zamrazało na dużych wysokościach i tym podobne. Po drugie, została przejechana przez pojazd kołowy, który ważył przynajmniej pięćdziesiąt ton. Takie pojazdy poruszają się po torach o rozstawie wynoszącym dokładnie cztery stopy i siedem i trzy czwarte cala. To mniej więcej jeden metr i czterdzieści jeden centymetrów.

– Co to był więc za pojazd? – zapytała Dżamila. – Możesz nam powiedzieć?

– Do tych rozmiarów pasuje tylko tramwaj. I to nie nowoczesny, współczesny tramwaj, ponieważ standardowe tory tramwajowe są w dzisiejszych czasach o jeden cal, czyli o dwa i pół centymetra, szersze.

Dżamila zamrugła, całkowicie zaskoczona.

– Przecież w pobliżu tej szkoły nie ma żadnej linii tramwajowej, starej czy współczesnej. No i żaden pięćdziesięciotonowy tramwaj nie mógł przecież przejechać przez to boisko szkolne. Zdaje się, że tramwaje jeżdżą przez centrum Croydon, prawda? Ale Croydon znajduje się w odległości prawie pół godziny marszu, a od zaginięcia Mary Jonas do jej znalezienia minęło zbyt mało czasu, żeby ktoś mógł ją tam zabrać i przywleć zwłoki z powrotem.

– Właśnie. Dlatego powiedziałem, że to niewytłumaczalne – rzekł Marsjanin.

Po powrocie do Lavender Hill Dżamila i Jerry poszli do bufetu na kawę. Musieli się zastanowić nad tym wszystkim, co usłyszeli od Dereka Granta.

– To mi się nie mieści w głowie – stwierdził Jerry. – Te trzy przypadki na pewno są powiązane, ale w sposób przeczący wszelkiej logice. Pomyśl o potencjalnych motywach sprawców. Rozumiem, że facet, który przebił oczy temu biednemu sklepikarzowi, chciał go po prostu obrabować, a jego brat zapewne został przyłapany na obrabianiu domu Treagusów i właśnie dlatego zastrzelił Kennetha. Ale dlaczego ktoś tak brutalnie porznął Kathleen Hartley? I dlaczego Mary Jonas została najpierw rozjechana przez tramwaj, a potem podpalona? Sprawcy palili takie same papierosy, od dawna niedostępne w handlu, ale czy się znali? No i skąd te papierosy mieli?

Dżamila przez dłuższy czas wpatrywała się w ekran telefonu.

– Jeśli chodzi o papierosy Spanish Shawl, to ludzie sprzedają na eBayu jedynie puste opakowania dla kolekcjonerów, a najniższa cena to 29 funtów. I ktoś oferuje paczkę, w której pozostało trzynaście papierosów z dwudziestu czterech, i ostrzega, że te papierosy na pewno nie nadają się już do palenia.

Jerry rozerwał trzy paczuszki cukru, wrzucił zawartość do kubka z kawą i pomieszał.

– Jezus. Jakby technicy nie dawali nam już dość do wiwatów, są jeszcze zeznania świadków, którzy widzieli niekompletnych ludzi. Widzisz jakiś związek pomię-

dzy tymi świadkami, czy to tylko zbieg okoliczności? A może wszyscy świadkowie wążają ten sam klej? Żeby chociaż w każdym przypadku brakowało tego samego elementu ciała, ale nie. Głowa, połowa ciała i stopy. Jezus.

– A ja wciąż rozmyślam o dżinnach – powiedziała Dżamila. – Nasze przypadki bardzo przypominają historie opowiadane w Pakistanie. Oglądałeś może wiadomości telewizyjne w ostatni weekend? Jacyś naukowcy odkryli na Antarktydzie cząstki unoszące się nad lodem, co dowodzi, że istnieje wszechświat równoległy do naszego.

Jerry wyduł policzki.

– Nie wierzę. Jakby już sam nasz cholerny wszechświat nie był wystarczająco zły.

Wypił kawę i zastanawiał się, czy nie wziąć kolejnego kubka, gdy do bufetu wszedł Simon Fairbrother. Rozejrzył się w lewo i w prawo, żeby sprawdzić, gdzie siedzą.

– Ach, Jerry, sierżant Patel... Pomyślałem sobie, że znajdę was właśnie tutaj. – Podszedł i zajął miejsce przy ich stoliku. – Nie jestem pewien, czy to sprawa dla was, ale istnieje pewna szansa, że tak. Cztery godziny temu otrzymaliśmy informację o zaginięciu dwojga dzieciaków w okolicach Wandsworth Common.

– Naprawdę? A co my niby mamy z tym zrobić? Czy to nie jest sprawa dla patroli?

– Wszystkie patrole są już powiadomione. Ale przed chwilą zapoznałem się z zeznaniem pierwszego świadka. Być może wychodzę trochę przed szereg, lecz odniosłem wrażenie, że zniknięcie dzieciaków może mieć jakiś związek z tymi dziwnymi sprawami, do których już zostaliście przydzieleni.

– Tylko mi nie mów, że ktoś widział, jak ich porywa mężczyzna bez rąk na koniu bez kopyt.

Simon Fairbrother zignorował tę uwagę.

– To siostra i brat w wieku jedenastu i dziewięciu lat. Adele i Archie Cooperowie. Szli Northcote Road, kiedy spotkali szkolne koleżanki Adele. Koleżanki zapytały ich, dokąd idą, a oni utrzymywali, że niosą torby z zakupami jakiejś starszej pani.

– No i co?

– Rzecz w tym, że niczego nie nieśli. Nigdzie nie było ani toreb z zakupami, ani starszej kobiety. Ale te koleżanki były ostatnimi osobami, które widziały zaginione rodzeństwo. Dzieci miały wrócić do domu na lunch, ale kiedy matka zaczęła je wołać, okazało się, że nigdzie ich nie ma.

– Miały jakiś telefon?

– Nie. Telefon dziewczynki został w domu. Matka widziała dzieci po raz ostatni, kiedy grały w piłkę w ogrodzie przed domem.

– Może z tą starszą kobietą po prostu żartowały? Wiesz, jakie są dzieciaki. Czasami twierdzą, że mają niewidzialnych przyjaciół, prawda? Mój kumpel ze szkoły miał niewidzialnego psa, który wabił się Boot.

- Zgodziłbym się z tobą, Jerry, gdyby te dzieci nie zniknęły i gdybyśmy nie mieli tych trzech spraw, w których podejrzani byli widziani tylko częściowo.
- W porządku – odezwała się Dżamila. – Dla skrupulatności porozmawiamy z koleżankami tej siostry. Są na komisariacie?
- Nie, wróciły już do domów, ale mam numery ich telefonów i adresy.
- W sumie dobrze się składa – stwierdził Jerry. – Przynajmniej nie wypiję drugiej kawy. Pewnie dostałbym od niej drgawek.

Pojechali na Honeywall Road, gdzie mieszkała Rosie. Była u niej Ola. Obie dziewczynki siedziały w salonie, grając w *Unravel Two* na Xboksie Rosie.

Matka Rosie na wszelki wypadek stała w drzwiach, kiedy dziewczynki powtarzały to, co powiedziały już funkcjonariuszom, którzy przesłuchali je wcześniej. Adele upierała się, że ona i Archie niosą zakupy jakiejś starszej kobiety.

- Uważacie, że stroiła sobie z was żarty? – zapytała Dżamila.
- Na pewno! Ponieważ nikogo przy nich nie było i Adele niczego nie niosła. Ale wyglądała, jakby trzymała coś w ręce, prawda, Ola? Jedną rękę miała opuszczoną wzdłuż boku, a kiedy ją podniosła, żeby mi pokazać, że niby trzyma w niej te zakupy, zrobiła to w taki sposób, jakby naprawdę trzymała coś ciężkiego.
- Ale potem Adele i Archie odeszli?
- Tak. Zadzwończyliśmy później do Adele, żeby ją zapytać, czy do mnie przyjdzie, ale jej mama powiedziała, że jeszcze nie wróciła do domu. Wtedy wezwaliśmy policję.
- Myślę... myślę, że poszły dalej Salcott Road – powiedziała Ola.
- Salcott Road? – powtórzył Jerry. – Ta ulica zaczyna się zaledwie dwie przecznice od miejsca, w którym się spotkałyście. Widziałas, jak rodzeństwo tam skręca?

– Nie. Ale kiedy się odwróciłam, nie zobaczyłam ich już, więc pomyślałam, że skierowali się właśnie w nią.

- Powiedziałaś o tym policjantom, którzy zadawali ci pytania?
- Nie. To mi przyszło do głowy właściwie dopiero w tej chwili. Oboje na pewno doszli do Salcott Road, ale potem już ich nie widziałam.

Dżamila zlustrowała wzrokiem obie dziewczynki. Wydawały się bardzo poważne.

- Jesteście absolutnie, w stu procentach pewne, że nikogo z nimi nie było, ani starszej kobiety, ani nikogo innego?
- Obie dziewczynki energicznie pokiwały głowami.
- Dobra, Jerry – rzuciła Dżamila. – Chodźmy obejrzeć tę Salcott Road.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czego my właściwie tutaj szukamy – powiedział Jerry.

- Ja też nie wiem, ale mam dziwne przeczucie, że coś znajdziemy.

– Rozumiem i z chęcią się tobie podporządkuję. Przyznaję, że w dziewięćdziesięciu procentach przypadków twoje przecucia okazywały się niesamowicie trafne.

Stali na rogu Salcott Road. Na długiej ulicy zabudowanej wiktoriańskimi domami w zabudowie szeregowej i bliźniakami dostrzegli tylko dwóch robotników układających w stertę popękane cegły i mężczyznę zmierzającego w ich kierunku. Prowadził na smyczy przemoczonego białego sealyham teriera.

– Może zapukamy do kilkorga drzwi? – zapytał Jerry. – Ktoś mógł zauważyć te dzieciaki. Poza tym, zobacz, pierwsze dwa domy mają kamery przy dzwonekach. Jest szansa, że coś zarejestrowały.

Mężczyzna z terierem zbliżył się już do nich na odległość kilku kroków. Miał na głowie kapelusz filcowy, a ubrany był w trencz, mocno przewiązany paskiem. Skojarzył się Jerry’emu z prywatnym detektywem ze starego filmu z Robertem Mitchumem.

– Proszę pana! – odezwała się Dżamila i wyciągnęła portfel z legitymacją służbową.

Mężczyzna podszedł jeszcze bliżej i niemal dotknął nosem legitymacji. Z pewnością był krótkowidzem.

– Ach! Jesteście z policji! Chyba nie przekroczyłem prędkości, co?

– Chcemy pana tylko zapytać, czy przypadkiem nie widział pan dwojga dzieci idących tą ulicą dzisiaj rano. Chodzi nam o dziewczynkę w wieku jedenastu i o chłopca w wieku dziewięciu lat.

Mężczyzna zatrzymał się i szarpnął smycz. Z jakiegoś powodu Jerry nie był w stanie skupić wzroku na jego twarzy. Wydawała się zamazana, jakby patrzył na nią przez matową szybę.

– Tak, w gruncie rzeczy widziałem taką parę – odparł mężczyzna. Mniej więcej o... która to była godzina?... około jedenastej. Spacerowałem z Gracie, oferując jej szansę na poranne wypróżnienie.

– Widział pan ich? Gdzie? Byli sami czy z kimś?

– Szła z nimi pani Chibnall. Zdaje się, że dzieci niosły jej zakupy.

– Widział pan, jak dzieci niosą zakupy tej pani? Czy pani Chibnall jest starszą kobietą?

– Och, tak. Już dawno przekroczyła siedemdziesiątkę. Jest wdową. Jej mąż był stetrycznym gburem, więc moim zdaniem teraz żyje się jej o wiele lepiej.

– Ale widział pan, jak dzieci niosą jej zakupy?

– Tak. A dlaczego pytaacie? Chyba nie zwały jej z tymi torbami? Dzieciakom nie można ufać, szczególnie w dzisiejszych czasach.

– Nie, nic z tych rzeczy – powiedział Jerry. – Wiadomo panu, gdzie mieszka ta pani Chibnall?

– Oczywiście. Tak. To niedaleko, po tej stronie ulicy. Widzicie ten pierwszy słup telegraficzny? To tam. Numer 79.

– Naprawdę bardzo nam pan pomógł, dziękujemy – odezwała się Dżamila. – Mógłby pan uprzejmie przez chwilę tutaj poczekać? My tymczasem sprawdzimy, czy dzieci wciąż przebywają pod tym adresem. Jeżeli ich tam nie ma, być może zadamy panu dodatkowe pytania.

– Dobrze. Ale chciałbym w tym czasie przejść się do kiosku i kupić paczkę fajek, bo strasznie chce mi się palić. Mogę?

– Oczywiście.

– Ruszaj się, Gracie, idziemy – powiedział mężczyzna, po czym znowu szarpnął smycz.

Dżamila i Jerry ruszyli w stronę słupa telegraficznego. Stał tuż przy starannie przyciętym żywopłocie z ligustru, lecz za nim nie było żadnego domu. Jerry dostrzegł po drugiej stronie tylko taras wyłożony dużymi płytkami i kilka ceramicznych doniczek z kwiatami. Na skraju tarasu znajdowały się dziecięce drabinki do wspinania i zerwana huśtawka.

Przeszedł do następnej posesji, żeby sprawdzić numer kolejnego domu: 75. Następnie ruszył w drugą stronę. Kolejny dom miał numer 81.

– Tutaj nie ma domu numer 79. Numeru 77 także nie ma. Pewnie kiedyś stały i prawdopodobnie to były bliźniaki, ale teraz po prostu ich nie ma.

– A więc nasz przyjaciel z psem pomylił się co do adresu pani Chibnall – stwierdziła Dżamila.

Jerry podszedł do drzwi domu numer 81 i zadzwonił, ale nikt mu nie otworzył. Po chwili stanął przed numerem 75 i zapukał. Drzwi otworzyła mu młoda kobieta trzymająca na biodrze żałośnie płaczące dziecko.

– Przepraszam za najście – powiedział Jerry i pokazał jej legitymację policyjną. – Może zna pani panią Chibnall? To starsza kobieta. Zapewne mieszka sama. Powiedziano nam, że znajdziemy ją pod numerem 79, ale, jak pani prawdopodobnie wie, takiego numeru tutaj nie ma.

– Pani Chibnall? – powiedziała młoda kobieta. – Ona tu nie mieszka – dodała po polsku.

– Słucham?

– Ona... nie... mieszkać... ten... dom – wydukała po angielsku.

– I nie wie pani, gdzie jest?

– Nie rozumiem. Jestem opiekunką – odezwała się znowu po polsku.

– Nie znam za bardzo polskiego – powiedziała Dżamila. – Ale ona chyba mówi, że nie rozumie angielskiego i że jest opiekunką.

Kobieta pokiwała głową.

– Opiekunka. Tak.

– Doskonale – stwierdził Jerry. – Trzeba więc będzie znowu porozmawiać z facetem, który wyprowadza psa.

Na całej ulicy nie było już jednak po nim śladu, więc Dżamila i Jerry wrócili do Northcote Road. Na rogu wcale nie natrafili na kiosk, lecz na sklep z kanap-

kami, Tasty Treats, a w środku zobaczyli jedynie Hindusa w średnim wieku, z turbanem na głowie, rozmawiającego z kobietą, która stała za ladą.

– Kochana, widziała pani może faceta z małym białym psem? – zapytał ją Jerry.

Kobieta za ladą powoli pokręciła głową, jakby co najmniej zaprzeczała oskarżeniu przed sądem pokoju.

Kiedy Dżamila i Jerry wyszli z powrotem na ulicę, było już jasne, że mężczyzna i jego pies zniknęli.

– Cholera – zaklął Jerry. – To wszystko z każdą chwilą robi się coraz bardziej dziwaczne. Przecież nie ma tu żadnego miejsca, w którym sprzedają papierosy. Widzę tylko cholerne biura sprzedaży nieruchomości i pralnie samoobsługowe.

– A mnie niepokoi kwestia adresu – powiedziała Dżamila. – Dlaczego on nam powiedział, że pani Chibnall mieszka pod numerem 79, skoro takiego numeru w ogóle przy tej ulicy nie ma? Po co by nas miał zwodzić? Jeśli zachciało mu się żartów, to raczej kiepsko mu to wyszło.

– Może dom nie istnieje i facet z psem także nie istnieje? Może oboje zapadliśmy w bufecie w drzemkę i to wszystko po prostu nam się śni?

10

Matka Sabiny znów zaczęła na nią wrzeszczeć, więc dziewczynka wbiegła na strych i zaciągnęła za sobą schodki.

Kiedy matka wpadała w złość, Sabina zawsze uciekała na strych. Odkąd ojciec złożył formalny pozew o rozwód, zdarzało się to coraz częściej. Matka nie mogła krzyczeć na sekretarkę ojca, Mię, z którą żył już od trzech miesięcy, więc wszelkie żale, złość i poczucie beznadziejności wyładowywała na córce.

Tego wieczoru Sabina zbiła talerz, kiedy wkładała go do kuchennego zlewozmywaka, i to już matce wystarczyło do rozpoczęcia histerycznej tyrady o tym, jaka to jej córka jest niezdarna i głupia, jaka niewdzięczna za to wszystko, co matka dla niej zrobiła, i czy zdaje sobie sprawę, ile kosztują talerze Villeroy & Boch i że matka nie jest w stanie, gdy mąż i ojciec opuścił rodzinę, dokupić teraz brakującego talerza?

Było dopiero wpół do siódmej, na dworze jednak już szarzało i znowu zaczynał padać deszcz. Sabina słyszała, jak krople deszczu rozbijają się o dachówki nad jej głową. Z sufitu zwisała na drucie w rogu strychu jedna słaba żarówka i właśnie pod tą żarówką Sabina uwiła sobie gniazdko, na które składały się trzy poduszki i zwinięty pled w szkocką kratę.

Trzymała tutaj swoje ulubione książki, *Tajemniczy ogród* i *The Forgotten Horse*, oraz dwie paczki z ciasteczkami czekoladowymi. Mogła tu przez długie godziny oglądać filmy na telefonie. Już przynajmniej ze dwadzieścia razy obejrzała *Mustanga z Dzikiej Doliny* i prawie tyle samo razy *Króla Lwa*.

Mogła też telefonować do swojej przyjaciółki, Margot, chociaż rodzice Margot mocno ograniczali jej czas, jaki mogła spędzać z telefonem, i uważali, że Sabina ma na nią zły wpływ. W szkole Sabina nie miała innych przyjaciół. Nie wysmiewano się z niej, lecz unikano jej towarzystwa, ponieważ rozwinęła się szybciej niż koleżanki z klasy – była od nich wyższa i uważano ją za dziwaczkę.

Matka wiedziała, że Sabina kryje się na strychu, lecz nigdy jej tam nie przeszukała i nie wołała, żeby zeszła na dół. Dziewczynka przypuszczała, że matka wcale za nią nie tęskni. Powiedziała ostatnio, że poślubiła jej ojca tylko dlatego, że zaszła w ciążę i nie chciała się poddać aborcji. „A przecież to by wszystko rozwiązało, prawda? I mogłabym być szczęśliwa z kim innym”.

Sabina usiadła w swoim gniazdku i spróbowała połączyć się z Margot, lecz ta nie odebrała. Prawdopodobnie jadła właśnie kolację. Sabina nie wiedziała, czy matka przygotowuje jej dzisiaj wieczorem cokolwiek do jedzenia. Czasami zosta-

wiała dla niej coś na ciepło w piecyku, na przykład zapiekankę pasterską albo paluszki rybne. Ale niekiedy sama przygotowywała sobie tosty czy kanapki z żółtym serem, a matka w tym czasie siedziała w salonie z butelką malbecu i oglądała telewizję.

Na strychu zalegało mnóstwo kartonów i krzeseł, a także różnych lamp i obrazów olejnych w drewnianych ramach. To wszystko należało do właścicieli domu, państwa Atkinsonów, którzy obecnie mieszkali na Malcie. Pan Atkinson był księgowym w firmie Rathbone's; wynajął dom rodzicom Sabiny na całe pięć lat.

Każda przestrzeń pomiędzy drewnianymi krokwiami była tutaj jak odrębna ciemna grot. Jedyne małe okno wpuszczało niewiele słabego światła lamp ulicznych. W niektóre noce, gdy Sabina pozostawała tutaj do późnych godzin, patrzyła przez to okno i obserwowała różne fazy księżyca.

Powietrze na strychu było nieruchome i stęchłe. Sabinie zawsze wydawało się, że pachnie tak, jakby dawno temu coś tutaj spalono, na przykład ludzkie włosy.

Zaczęła przeglądać Twittera, ale usłyszała muzykę z sąsiedniego domu i była pewna, że dotarł do niej także śmiech kobiety. Nagle ogarnęły ją poczucie samotności i smutek. Przyszło jej do głowy, że już nigdy w życiu nie będzie szczęśliwa.

Nie tylko unikały jej dziewczynki z klasy, ale nigdy nie zainteresował się nią żaden chłopiec.

Zaczęła płakać. Wstrząsnął nią głęboki, żaloszny szloch, wywołujący ból w klatce piersiowej. Po jej policzkach pociekły łzy i spadły na ekran telefonu.

– Hej – usłyszała łagodny męski głos. – Jaki masz problem, kochanie?

Zaskoczona Sabina aż podskoczyła. Wytężyła wzrok, żeby zobaczyć, kto się do niej odezwał, lecz na strychu było zbyt ciemno, aby dostrzec cokolwiek poza rulonami dywanów i kartonami pełnymi książek.

– Jest tu ktoś? – zapytała tak przerażona, że niemal krzyczała.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem mężczyzna. – Utknąłem tutaj, rozumiesz. I wcale nie z własnego wyboru, możesz być tego pewna.

Sabina kilkakrotnie głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Ale kim jesteś? I co tutaj robisz? W jaki sposób wszedłeś do domu?

– Jakiego domu?

– Tego domu. Moja mama zawsze zamyka drzwi na klucz.

– To nie jest dom, kochanie. To mieszkanie. Mieszkanie numer 12 w Elsley Gardens.

– To jest dom numer 37 przy Elsley Road. Nigdy nie słyszałam o Elsley Gardens.

– No, ale przynajmniej przestałaś ryczeć. Czemu płakałaś?

Sabina wstała. Odczekała, aż jej wzrok przywyknie do ciemności, lecz wciąż nie mogła dostrzec mężczyzny, który z nią rozmawiał.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Dlaczego mi się nie pokażesz?

– Ponieważ, do cholery, bez wózka inwalidzkiego nie mogę się ruszyć.

Sabina zrobiła kilka kroków. Środkowa część strychu była podzielona na boksy, lecz wszystkie były puste, a drewnianą podłogę pokrywała warstwa siwego kurzu.

– Wciąż ciebie nie widzę.

– Ale jesteś coraz bliżej, kochanie. Podejdź jeszcze odrobinę. Wystarczy. Teraz to ja już ciebie widzę. A ty mnie?

Sabina zajrzała do boks po prawej stronie, a potem po lewej. W tym po lewej stały dwa złożone krzesła ogrodowe, oparte o krokiew, i drewniana suszarka do bielizny, a na białej wełnie mineralnej leżało coś, co Sabina wzięła w pierwszej chwili za piłkę futbolową.

Lecz ta piłka niespodziewanie się poruszyła, odwróciła twarzą do dziewczynki i powiedziała:

– Cześć! A teraz mnie widzisz?

Sabina zdała sobie sprawę, że to ludzka głowa.

Jeszcze nigdy w życiu tak się nie przerażyła, nawet wtedy, kiedy jej koszula nocna spadła z wieszaka na drzwiach w środku nocy i Sabina była pewna, że zaczęła pełzać do niej po podłodze.

Napiął się każdy nerw w jej ciele, nakazując Sabinie czym prędzej pobiec do drzwi, otworzyć je i jak najszybciej zbiec na dół po drabinie. A jednak nie potrafiła się ruszyć. W tej chwili mogła jedynie stać nieruchomo, drżeć i patrzeć z przerażeniem na odciętą głowę.

– O co chodzi? – zapytała głowa. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Sabina otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła znaleźć słów. Nawet gdyby była w stanie wydobyć z siebie jakieś składne zdanie i tak przerażenie wysssało powietrze z jej płuc. Nie mogła nawet oddychać, a co dopiero mówić.

– Daj spokój – próbowała ją uspokoić głowa. – Przecież cię nie ugryzę!

Początkowo Sabina nie widziała jej wyraźnie w głębokim półmroku wnęki, ponieważ na głowę padał jej własny cień. Kiedy jednak się cofnęła, zobaczyła, że głowa ma włosy ostrzyżone na jeża i bladą, owalną twarz z blisko osadzonymi oczami i długim spiczastym nosem. Dziewczynka nie wiadomo dlaczego doszła do wniosku, że to głowa człowieka, który kiepsko się odżywia. A następnie pomyślała: Przecież to tylko sama głowa. I na pewno nie może jeść.

– Jak masz na imię, kochanie? – zapytała głowa. – Bo ja nazywam się Terry. Ale większość ludzi mówi do mnie Tel.

W końcu Sabina zdołała się odezwać.

– Nic nie rozumiem – powiedziała. – Jak to jest, że ty wciąż żyjesz?

– O co ci chodzi? Owszem, zostałem ciężko ranny. Pod Dunkierką... szrapnel wbił mi się w kręgosłup. Nie mogę, kurwa, chodzić, przepraszam za przekleństwo, ale nie zginąłem. Znałaś mnie wcześniej? Bo ja ciebie nie pamiętam.

– Nie, nigdy wcześniej cię nie widziałam. Ale chodzi mi o to, jak to jest, że wciąż żyjesz, skoro została z ciebie tylko głowa?

– Co takiego? Przecież moja głowa wciąż jest mocno osadzona na szyi, wielkie dzięki. Owszem, nie mogę w pełni korzystać z mojego ciała. Nie chodzę i już nigdy nie zadowolę żadnej damy. Jednak wciąż potrafię grać na ukulele i nadal daję radę, dzięki Bogu, podcierać sobie dupę.

Sabina uklęknęła na podłodze i wychyliła się do przodu, żeby dokładniej się przyjrzeć Terry’emu. Zauważyła, że ma pieprzyk na prawym policzku, i z tego powodu pomyślała o ojcu, chociaż ojciec miał pieprzyk na lewym policzku. Ojciec nazywał to znamię „krosta niepiękności”.

– Ale gdzie jest twoje ciało? – zapytała Terry’ego. – Dlaczego widzę tylko twoją głowę? Nie zauważyłam na dole zwisającej z sufitu reszty twojego ciała.

– Właśnie miałem zadać ci takie samo pytanie, kochanie. No, nie takie samo, ale podobne. Dlaczego twoje ciało rozpoczęła się w połowie wysokości ściany? Jak się tam dostałaś i dlaczego nie spadasz?

Sabina wyprostowała się, wciąż klęcząc.

– Ja chyba oszaleję – powiedziała.

– Nie, wcale nie oszalejesz. To wszystko dlatego, że cię coś zdenerwowało. Takie rzeczy się dzieją, kiedy ludzie są zdenerwowani. Nazywamy to nerwicą frontową. Widziałem coś takiego we Francji, kochanie, możesz mi wierzyć. Jeden z moich kumpli był pewien, że jest martwy i poszedł do nieba. Kilku innych doszło do przekonania, że wrócili już do domu, do Anglii, i że wcale nie są już we Francji, tylko mają koszmary.

– Ale ja widzę tylko twoją głowę.

– Skoro według ciebie tak wyglądam, to nic nie mogę na to poradzić, prawda? Jednak stanowczo uważam, że się czymś zdenerwowałaś i tylko dlatego nie potrafisz dostrzec mnie w całości. O co chodzi? Powiesz mi, dlaczego płakałaś?

– Nikt mnie nie lubi, i to wszystko.

– Ach, przestań – powiedział Terry. – Ja ciebie lubię, a przecież niemal cię nie znam. – Na moment zamilkł, a później dodał: – A właściwie dlaczego uważasz, że cię nikt nie lubi?

Stopniowo wyciągnął z Sabiny informacje o rozejściu się jej rodziców i o tym, że matka zdaje się jej nienawidzić, uważając ją za winną swojego nieszczęścia. Potem Sabina powiedziała mu, że w szkole prawie nie ma koleżanek, poza Margot, i że nie potrafi się uporać z targającymi nią emocjami. W jednej chwili była zła i zdenerwowana, a w następnej czuje się samotna i przygnębiona.

– To wcale nie powinno cię martwić – powiedział Terry. – Moja siostra była dokładnie taka sama. Najpierw wrzeszczała i trzaskała drzwiami, a po chwili beczała i twierdziła, że jest nikim. Wszystkie dziewczęta przez to przechodzą.

Sabina popatrzyła na głowę Terry’ego spoczywającą na materiale izolacyjnym. Jego słowa sprawiły, że nagle przestała się przejmować tym, iż mężczyzna posiada jedynie głowę. Przypominał jej postaci z *Alicji w Krainie Czarów*, pana

Gąsienicę, który pali fajkę wodną, Kota z Cheshire albo Królową, która była jedynie kartą do gry.

– Powiem ci coś, kochanie – odezwał się Terry konfidencjonalnym tonem, jakby chciał jej zdradzić jakiś najbardziej mroczny sekret. – Właśnie zyskałaś przyjaciela, a jak ktoś ma przyjaciół, łatwiej jest mu rozwiązywać wspólnie z nimi nawet najtrudniejsze problemy, zaufaj mi. Zresztą sama zobaczysz.

Sabina chciała go zapytać, co właściwie ma na myśli, ale nie powiedziawszy już ani jednego słowa, Terry tylko puścił do niej oko i po chwili głowa wtopiła się w podłogę strychu. Sabina długo wpatrywała się w miejsce, w którym pochłonęła ją wełna mineralna, ale nie dostrzegła już żadnego śladu, który mógłby świadczyć, że kiedykolwiek coś tam leżało.

Wstała rozdygotana. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jeszcze niedawno rozmawiała z odciętą głową, która przemawiała do niej takim tonem, jakby prowadzenie przez nią rozmowy z jedenastoletnią dziewczynką było czymś zupełnie normalnym.

Przeszła kilka kroków na drżących nogach, niezgrabnie stawiając stopy na skrzypiących deskach, i wreszcie usiadła po turecku w swoim gniazdku. Miała wrażenie, że w jej umyśle obracają się kłęby drutu kolczastego. Czy naprawdę widziała głowę Terry’ego, a on naprawdę z nią rozmawiał, czy go tylko wymyśliła pod wpływem bólu i zgryzot? A może to własny mózg po prostu ją zapewniał, że nie zawsze będzie sama i niekochana, postępując w taki sam sposób, jak w przypadku Alicji, której wiele dziwnych i wymyślonych postaci obiecywało, że nie pozostanie zagubiona na zawsze.

Zamknęła oczy i spróbowała się uspokoić. Powiedziała sobie, że Terry na pewno nie istnieje. Nie może być prawdziwy, stwierdziła. Wymyśliła go, żeby odegnąć od siebie straszliwą samotność. Nikt jej nie kocha, nikt się nią nie zajmuje, więc zajęła się sama sobą.

Znów usłyszała śmiech z sąsiedniego domu, więc zamknęła oczy i zaczęła udawać przed sobą, że wcale nie siedzi na strychu i jest w zupełnie innym miejscu. Deszcz wciąż miarowo uderzał w dachówki i Sabina po chwili zapadła w drzemkę. Minęło pół godziny, a ona wciąż siedziała z głową pochyloną do przodu, pogrążona w nieokreślonym miejscu pomiędzy snem a jawą.

Przebudził ją głośny krzyk kobiety. Był to taki krzyk, jakich nie słyszy się często, bardziej bezsilny skowyt wyrażający absolutną rezygnację niż wrzask wywołany przerażeniem czy bólem.

Zamrugła i zaczęła nasłuchiwać, ale kobieta nie krzyknęła już po raz drugi. Sprawdziła czas na zegarku z tarczą z *Krainy Lodu*; trudno jej było uwierzyć, że tak dużo czasu spędziła w półśnie na swoich poduszkach. Wstała, podeszła do kłapy w podłodze i z hałasem, niezdarnie, opuściła schodki pozwalające zejść ze strychu.

– Mamo? – zawołała, kiedy stanęła na podeście. – Mamo, jesteś tam?

Wypchnęła schodki z powrotem na strych i zamknęła klapę, po czym zeszła na parter.

– Mamo? – zawołała znowu, ale nikt jej nie odpowiedział.

Słyszała z salonu głosy z telewizora, a matka nie powiedziała jej, że zamierza wyjść z domu.

Weszła do salonu. Na ekranie telewizora toczył się mecz piłkarski, chociaż matka nigdy nie oglądała transmisji futbolowych. Na stoliku obok kanapy stała szklanka z niedopitym czerwonym winem i leżał pęknięty herbatnik pełnoziarnisty.

– Mamo... gdzie jesteś?

Sabina zaczęła się niepokoić. Bo chociaż matka jej nie kochała ani nigdy jej nie chciała, przynajmniej odpowiadała, kiedy dziewczynka coś do niej mówiła.

Przeszła korytarzem do kuchni. Drzwi do pomieszczenia były zamknięte, co uznała za rzecz dziwną, ponieważ do tej pory zawsze pozostawały otwarte. Spróbowała je otworzyć, lecz na podłodze po drugiej stronie leżało coś ciężkiego i musiała użyć sporej siły, żeby to popchnąć. Wyczuła, że ciężar nieznacznie przesuwa się po plastikowej podłodze, szybko zatrzymały go jednak nogi od stołu kuchennego, przez co zdołała tylko nieznacznie uchylić drzwi.

Mimo wszystko wcisnęła się do kuchni i wtedy zobaczyła, co blokuje drzwi. Natychmiast oparła się ciężko o ścianę, jakby ktoś ją pchnął, i stojąc nieruchomo, przerażona z trudem łapała powietrze, chociaż szeroko otworzyła usta.

Wpatrywała się w martwe ciało matki pozbawione głowy, rąk i nóg, ociekające krwią. Rozpoznała zwłoki, ponieważ korpus wciąż był ubrany w zieloną bluzeczkę w kwiatki, którą matka nosiła dzisiajszego popołudnia.

Sabina rozejrzała się; cała kuchnia była zalana krwią. Podłoga, ściany i drzwiczki kredensu. Krople krwi ciekły nawet po szybach w oknie. A z kuchennego zlewu sterczały pionowo, stopami i dłońmi do góry, dwie odcięte nogi oraz dwie odcięte ręce. Pomiędzy rękami i nogami widoczna była odcięta głowa matki, niemal nie do rozpoznania, bo mokre i zmierzwione włosy były całe we krwi, podobnie jak twarz. Usta były szeroko otwarte, zapewne w tym ostatnim desperackim krzyku, który Sabina usłyszała ze strychu.

Wyszła z kuchni na sztywnych nogach, niczym robot, otumaniona i oziębiała. Była w stanie myśleć tylko o odciętej głowie Terry’ego i ostatnich słowach, które skierował do niej na strychu:

„Właśnie zyskałaś przyjaciela, a jak ktoś ma przyjaciół, łatwiej jest mu rozwiązywać wspólnie z nimi nawet najtrudniejsze problemy, zaufaj mi. Zresztą sama zobaczysz”.

11

Dżamila i Jerry mieli właśnie zakończyć pracę, ale zawołał ich Simon Fairbrother. Przebiegł przez hol i dogonił ich przed drzwiami komisariatu.

– Z góry przepraszam was za upierdliwość, ale mamy chyba kolejną straszną sprawę.

– Och, proszę, powiedz, że żartujesz – zaprotestowała Dżamila, udając zniecierpliwienie. – Wciąż jesteśmy skołowani zaginięciem tych dwojga dzieci.

– Doszliście już do czegoś?

– Jak dotąd nie mamy żadnego obiecującego śladu – odpowiedział Jerry. – W rzeczy samej zrobiliśmy jeden krok do przodu oraz pięćdziesiąt osiem i pół do tyłu.

– Zastanawiałem się tylko, czy znaleźliście coś, co mogłoby połączyć ich zaginięcie z pozostałymi sprawami.

– Z tym właśnie nie możemy sobie poradzić. Pewien świadek powiedział nam, że widział, jak Adele i Archie wchodzi do jednego z domów przy Salcott Road w towarzystwie kobiety, która rzekomo tam mieszka.

– Przedstawił nam tę osobę jako panią Chibnall – dodała Dżamila. – Powiedział, że zna tę kobietę i że to wdowa.

– Właśnie – potwierdził Jerry. – Pani Chibnall. A jednak powstał pewien drobny problem. Kiedy chcieliśmy rzucić okiem na jej dom, to wiesz co? Okazało się, że on w ogóle nie istnieje.

– Co? A więc facet was wykiwał.

– Sprawdziłam kartoteki w urzędzie dzielnicowym Wandsworth Borough – powiedziała Dżamila. – Ten dom i sąsiedni, numery 77 i 79, zostały zbombardowane 15 września 1941 roku. Nie odbudowano ich, co wydaje się dość niezwykłe. Jednak właściciel tych posesji mieszkał obok i po prostu skorzystał z okazji, aby powiększyć granice swojego ogrodu.

– Ale jeżeli ten facet z was nie drwił, to dlaczego powiedział, że dzieci weszły do domu, który nie istnieje?

– Nie mam pojęcia – stwierdził Jerry. – Kiedy spróbowaliśmy go odnaleźć i ponownie z nim porozmawiać, po prostu rozplynął się w powietrzu.

– Wcześniej jednak powiedział, że widział dzieci ze starszą kobietą?

– Cóż, właśnie dlatego uważam, że ten przypadek może mieć coś wspólnego z pozostałymi. Adele powiedziała koleżankom, że towarzyszy starszej kobiecie, a przecież one jej nie widziały. Co więcej, nasz świadek poinformował nas, że

widział, jak dzieci niosą zakupy starszej kobiety; Adele mówiła o tych zakupach koleżankom. Skąd mężczyzna wiedziałby o zakupach, gdyby nie widział ich na własne oczy?

– Nie wiem – odparł Simon Fairbrother. – To wszystko z każdą chwilą robi się coraz bardziej nieprawdopodobne. A poczekajcie tylko, aż powiem wam coś nowego. Dzisiaj w domu przy Elsley Road została zamordowana kobieta. Ktoś porąbał ją na kawałki w jej własnej kuchni, a głowę, nogi i ręce wcisnął do zlewu.

– Och, cudownie. Kto się tym zajmuje?

– Detektyw inspektor Baker. Ale już się dowiedział, że oboje zostaliście przydzieleni do kilku ostatnich dziwacznych zdarzeń, i dlatego się ze mną skontaktował.

– Ale co dziwaczного jest w tym morderstwie?

– Wszystko wskazuje na to, że podczas zabójstwa córka ofiary była na strychu. Powiedziała Bakerowi, że ukrywała się tam, bo matka nakrzyczała na nią za zbicie talerza.

– A więc nie widziała samej zbrodni na własne oczy?

– Nie, dzięki Bogu. Usłyszała jednak krzyk matki. A przedtem widziała głowę, która leżała na strychu na podłodze. Nie uwierzysz, ale dziewczynka twierdzi, że ta głowa z nią rozmawiała.

– Głowa? – spytała Dżamila. – Nic nie rozumiem.

– Po prostu głowa, tak zeznała dziewczynka. Nie mówiła o całym człowieku, lecz o głowie. Męskiej głowie. Stwierdziła, że owszem, mógł to być senny koszmar, ale jest niemal pewna, że przeżyła tę rozmowę na jawie. Opowiedziała głowie, że matka jest dla niej zła, a głowa obiecała dziewczynce, że zaprowadzi porządek w jej życiu.

– Gadająca głowa leżąca na podłodze – rzekł Jerry. – Poza tym mamy faceta bez stóp, kolejnego, którego nogi zwisają z sufitu, i jeszcze jednego, widocznego tylko w połowie. A trzeba też wspomnieć o starszej kobiecie, która nie istnieje i mieszka w dawno zburzonym domu.

– Przecież oboje jesteście ekspertami właśnie w takich sprawach – zauważył Simon Fairbrother.

– Tylko przez przypadek – odparł Jerry. – I byłoby nam łatwiej, gdyby przestępcy, których szukamy, występowali w jednym kawałku i nie byli częściowo niewidzialni.

– Musimy porozmawiać z dziewczynką, która widziała głowę na strychu – postanowiła Dżamila. – Znasz jej personalia? Wiesz, gdzie ją znajdziemy?

– To Sabina Ferris. Jej matka miała na imię Lilian.

Sabina siedziała przy oknie w salonie domu swojej ciotki w Wimbledonie. Była owinięta w różowy koc zrobiony na drutach i trzymała w ręce kubek z czekoladą,

która początkowo była bardzo gorąca, ale zdążyła już wystygnąć, przez co na wierzchu powstał pomarszczony kożuch.

Patrzyła na ogród i wróble dziobiące ziarno w karmniku, który był zawieszony na jednej z olch. Kiedy jej ciotka wprowadziła Dżamilę i Jerry'ego do pokoju, nawet nie odwróciła głowy.

– Wciąż to strasznie przeżywa – wyszeptła ciotka. – Lekarz zaaplikował jej jakieś środki na uspokojenie. Ale te środki trochę ją otumanily, więc nie jestem pewna, czy będzie w stanie odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Bardzo proszę, tylko jej nie zdenerwujcie. I niech to nie trwa zbyt długo.

– Niech się pani nie martwi – powiedziała Dżamila. – Mamy spore doświadczenie ze świadkami, którzy widzieli straszne rzeczy.

Dżamila i Jerry podeszli do Sabiny. Dżamila usiadła w plecionym fotelu naprzeciwko dziewczynki.

– Te ptaszki wyglądają na głodne – powiedziała z uśmiechem.

Sabina skinęła głową.

– Sabina... mam na imię Dżamila, a to jest mój partner, Jerry. Jesteśmy detektywami policyjnymi i musimy zadać ci kilka pytań na temat dzisiejszych wydarzeń.

– Moja mamusia nie żyje – powiedziała Sabina, nie odrywając spojrzenia od wróbli.

– Tak, wiemy o tym i jest nam bardzo przykro.

– Nie kochała mnie, ale nie chciałam, żeby umarła.

– Oczywiście. Czasami towarzyszą nam w życiu ludzie, którzy nas nie lubią i których my także nie lubimy, ale to nie znaczy, że pragniemy, żeby spotkało ich nieszczęście.

– Martwię się, że to moja wina.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jak mamy to rozumieć?

– Powiedziałam temu mężczyźnie na strychu, że ma-ma mnie nie cierpi i krzyczy na mnie bez żadnego powodu. Odparł, że się tym zajmie. A jeżeli to on zabił mamę?

Jerry przysunął sobie skórzaną pufę. Usiadł przy Dżamili i Sabinie.

– Kochanie, ten mężczyzna ze strychu, z którym rozmawiałaś... Detektywom, którzy cię przesłuchiwali wcześniej, powiedziałaś, że widziałaś tylko jego głowę.

Sabina przez długą chwilę milczała. Wróble walczyły ze sobą o miejsca w karmniku, w którym błyskawicznie ubywało ziarno. Jerry cierpliwie czekał, aż dziewczynka się odezwie. Nieświadomie marszczyła czoło, więc wiedział, że nastąpi to prędzej czy później. Bez wątplenia zastanawiała się, w jaki sposób opowiedzieć policjantom o głowie, żeby nie wydało się to głupie albo dziecinne.

– Jego głowa... jego głowa leżała na podłodze. Nie jestem pewna, czy była prawdziwa, czy tylko ją sobie wyobraziłam. Kiedy zniknęła, w podłodze nie było dziury, więc nie wiem, jak on wystawił tę głowę.

– Ale z tobą rozmawiał?

– Tak.

– Co powiedział?

– Przedstawił się. Powiedział, że ma na imię Terry, ale wszyscy nazywają go Tel.

– Nie podał ci swojego nazwiska?

Sabina pokręciła głową.

– Powiedział mi, żebym się nie martwiła, bo wszystkie dziewczynki w moim wieku przechodzą przez to samo. Dodał, że taka była również jego siostra. Mówił, żebym się nie martwiła brakiem wielu przyjaciół, ponieważ on na pewno będzie moim przyjacielem.

– I wtedy mu powiedziałaś, że twoje relacje z mamą nie układają się dobrze?

– Tak. A on odparł, że rozwiąże dla mnie ten problem. Ale gdybym wiedziała, że mama zostanie zamordowana...

– Przecież nie możesz mieć pewności, że Tel miał z tym coś wspólnego – zauważył Jerry. – Skoro składał się tylko z głowy, nie mógł popełnić zabójstwa.

– Powiedział, że nawet jeśli nie widzę go w całości, to wcale nie oznacza, że nie ma reszty ciała.

Jerry zerknął na Dżamilę. Opowieść Sabiny zaczynała się upodabniać do zeznań świadków w sprawie zastrzelenia Kennetha Treagusa, pocięcia Kathleen Hartley i oślepienia Jusufa Nadima. A w szczególności mocno przypominała opowieści dzieci z Brookwood School o nogach, które widziały na suficie.

– Mówiłaś o tym detektywom, którzy rozmawiali z tobą wcześniej? – zapytała Dżamila.

Sabina skinęła głową.

– A jak się ten człowiek wypowiadał? – zapytał Jerry. – Potocznie czy w bardziej wyszukany sposób, jak na przykład spikerzy, którzy czytają wiadomości w telewizji. Może wyrażał się niegrammatycznie?

– Mówił jak jeden z bohaterów serialu *EastEnders*.

– Rozumiem. Połykał końcówki wyrazów?

– Tak.

– Może zdradził ci, jakim cudem zdołał się pojawić na twoim strychu?

– Nie. Powiedział, że został ranny i nie może się poruszać bez wózka inwalidzkiego. Ale zapytałam go, w jaki sposób znalazł się w tym domu, a on odparł, że to wcale nie jest mój dom. Powiedział, że to jest jego mieszkanie. Elsley Gardens, numer 12.

– Powiedziałaś o tym detektywom?

Sabina znowu skinęła głową.

– Tak, ale chyba mi nie uwierzyli. To znaczy w słowa o tej głowie.

– Tel powiedział, że jest w Elsley Gardens pod numerem 12. Ale twój dom stoi przy...

– Przy Elsley Road 37. Tam nie ma żadnego Elsley Gardens. A przynajmniej ja niczego takiego nie widziałam.

Dżamila wzięła do ręki telefon i szybko coś wystukała na ekranie.

– Masz rację. Znalazłam Elsley House, Elsley School i oczywiście Elsley Road, gdzie mieszkasz. Nie ma jednak nigdzie Elsley Gardens. Jeżeli Telowi chodziło o numer 12, rozumiem, że miał na myśli duży blok mieszkalny.

Sabina wreszcie odwróciła wzrok od wróbli. Pod jej powiekami błyszczały łzy.

– Myślicie, że to była moja wina?

Dżamila odłożyła telefon i mocno ścisnęła dłonie Sabiny.

– Nie, kochanie. Nie masz nic wspólnego z tym, co się stało z twoją mamą. Przykro mi, ale po tym świecie chodzą okropni ludzie. Okropni ludzie, którzy robią okropne rzeczy. Każdy człowiek może się tylko modlić, żeby nigdy w życiu nikogo takiego nie spotkać.

Po powrocie na komisariat Dżamila natychmiast włączyła komputer na biurku i zaczęła przeglądać kartoteki urzędu dzielnicowego Wandsworth Borough.

Wkrótce do pokoju wszedł Jeżozwierz z kubkiem herbaty i zapytał ich o postępy.

– Powiedziałbym, że sprawa jest sto pięćdziesiąt razy trudniejsza od krzyżówki w „The Sunday Timesie” – odparł Jerry. – Właściwie nie mamy żadnych wiarygodnych tropów. Za to mamy informacje o sprawcach, którzy występują we fragmentach.

– Zajęliśmy się sprawą tej kobiety, której oderżnięto głowę, ręce i nogi – powiedział Jeżozwierz. – W gruncie rzeczy trudno jest znaleźć w tym zdarzeniu jakikolwiek sens.

– Tak? Rozmawialiśmy z jej córką. Jest absolutnie przekonana, że widziała na strychu łepetynę jakiegoś faceta i ten facet do niej mówił. Problem w tym, że niemal jej wierzymy.

Jeżozwierz wypił łyk herbaty i zmarszczył nos.

– Cholera! – rzucił. – Mleko się skończyło!

– Co wiadomo o śmierci jej matki? – zapytał Jerry.

Jeżozwierz splunął i wytarł usta wierzchem ręki. Po chwili powiedział:

– Marsjanin uważa, że została pocięta piłą do metalu. W domu jej jednak nie znaleźliśmy ani zresztą w ogóle żadnej piły. Co jest naprawdę bardzo dziwne, zabito ją w kuchni i krew zalała praktycznie całe pomieszczenie. Marsjanin powiedział, że nie byłoby gorzej nawet wtedy, gdyby ktoś chlusnął na ściany krwią z wiadra...

– No, chyba to nieuniknione, skoro została tak bezlitośnie porżnięta?

– Owszem. Ale zastanawiają nas inne kwestie. Nigdzie nie ma śladów stóp, z wyjątkiem śladów ofiary i jej córki, ale te ostatnie są tylko w pobliżu drzwi. Nie ma również odcisków palców. Ani na klamkach, ani na armaturze w zlewku, ani na stole, po prostu nigdzie. Można odnieść wrażenie, że w tej kuchni nie było

nikogo poza ofiarą, która jednak nie mogła sama się porznąć i wrzucić własnej głowy, nóg i rąk do zlewu.

– Poddaję się – stwierdził Jerry. – Jak mówiłem już wcześniej, może te sprawy nie są ze sobą powiązane. Zapewne szukamy po prostu wiatru w polu, a ten wiatr oczywiście nie ma głowy. Ani nóg. Albo istnieje tylko w połowie.

– Znalazłam Elsley Gardens – oznajmiła Dżamila. – Dotarłam nawet do broszury, którą opublikowała agencja nieruchomości, kiedy te mieszkania zbudowano.

Jerry podszedł do niej i spojrzął na obrazek na ekranie jej komputera. Broszura pochodziła z 1924 roku i prezentowała trzypiętrowy budynek mieszkalny, pomalowany na biało, z zielonkawymi dachówkami, bardzo wówczas popularnymi. Ceny mieszkań z dwiema sypialniami rozpoczynały się od 275 funtów.

– Cholera jasna – powiedział Jerry. – Gdybym miał wehikuł czasu, udałbym się do 1924 roku i zapłaciłbym kartą kredytową za cały ten budynek. Zostałbym rekinem na rynku nieruchomości!

– Wtedy nie było kart kredytowych – zauważył Jeżozwierz. – Muszę wylać tę herbatę. Cholera. Przecież nie nadaje się nawet dla robaków.

Dżamila podniosła rękę.

– Poczekaj – powiedziała. – Z kartotek na stronach urzędu wynika, że na Elsley Gardens spadły bomby w nocy 3 czerwca 1940 roku.

– Co?

– Tak. Szesnaście mieszkań uległo niemal całkowitemu zniszczeniu. A na plańcie miasta widoczne są nowe domy, które powstały w tym miejscu w 1949 roku. Stoją przy Elsley Road i mają numery od 33 do 39.

Jerry popatrzył uważnie na Dżamilę.

– Zatem Sabina rozmawiała z głową mężczyzny, który twierdził, że mieszka w budynku nieistniejącym od ponad osiemdziesięciu lat?

– Na to wygląda – rzekła Dżamila. – Sama przyznała, że to spotkanie mogło tylko jej się przyśnić. Nie uważasz jednak, że coś zaczyna się nam układać? Brookwood School powstała na miejscu leja po bombie, numer 79 przy Salcott Road to wciąż niezagospodarowany teren po bombardowaniu, a teraz mamy do czynienia z budynkiem numer 37 przy Elsley Road, także stojącym na miejscu, na które wcześniej spadły bomby. Nie wiemy, czy podobnie jest z adresami przy Bolingbroke Grove, gdzie mieszkali Treagusowie, albo z Bennerley Road, gdzie zamordowano Kathleen Hartley. Ale mogę to sprawdzić.

– A co ze sklepem, w którym właściciel stracił wzrok? Gdzie to było?

– Chyba przy Northcote Road. Nie pamiętam numeru budynku, ale szybko go znajdę w raporcie Audrey Morrison.

– Nie podoba mi się, dokąd to zmierza – powiedział Jerry. – Sytuacja przypomina mi twoje opowieści o dzinnach mieszkających razem z ludźmi. Różnica polega jednak na tym, że te wszystkie nogi i głowy nie wyłaniają się ze świata równoległego, prawda? Zdają się pochodzić z innego czasu. Zapomnijmy o Dok-

torze Who. Tu chodzi o prawdziwą podróż w czasie, a głupia policyjna budka telefoniczna nie ma nic do tego.

– Czas jest rzeczą względną – zauważyła Dżamila. – Wiesz, że wskutek działania grawitacji w czasie twoja głowa jest odrobinę starsza od stóp?

– Naprawdę? – spytał Jeżozwierz. – Kiedy patrzę na zmarszczki na własnych stopach, wyobrażam sobie, że jest akurat odwrotnie.

12

– To wasz przystanek! – zawołała młoda konduktorka do Adele i Archiego, kiedy tramwaj zatrzymał się z piskiem stalowych kół.

Dzieci wstały i skierowały się do środkowych drzwi, przeciskając się pomiędzy stojącymi pasażerami, których ubrania mocno cuchnęły ludzkim potem i nikotyną.

Gdy schodzili po stopniach na ulicę, konduktorka dodała jeszcze:

– Tutaj jest Kennington Lane... A St Oswald's Place będziecie mieli po prawej stronie, jeżeli pójdziecie teraz prosto. To tylko paręset jardów stąd.

– Dziękuję – powiedziała Adele.

Miała wrażenie, że przebywa w całkowicie odrealnionym świecie, jakby spała i nie potrafiła się obudzić. Razem z bratem weszła na chodnik i przez chwilę patrzyła za odjeżdżającym tramwajem, który głośno zgrzytał i pojękiwał na stalowych szynach.

Oboje zaczęli się rozglądać. Przestało padać, lecz ulice były wciąż mokre i lśniące. Jeździło niewiele samochodów, a te nieliczne auta osobowe i furgonetki na Kennington Lane były staromodne, jakby wyjechały z muzeum motoryzacji. Na reflektorach wszystkich pojazdów założone były metalowe maski z wąskimi szczelinami, a ich boczne lampki zamalowano czarną farbą. Z rur wydechowych wydobywały się kłęby gryzącego czarnego dymu, tworząc w powietrzu zawieszoną podobną do mgły.

– Chodźmy – powiedziała Adele. – Im szybciej znajdziemy tego Starego Pazura, tym lepiej.

Ruszyli na zachód. Kiedy dotarli do pierwszego skrzyżowania i czekali przy krawężniku, aż ulicą przejedzie furgonetka z chlebem, Archie uniósł palec wysoko do góry i powiedział:

– Popatrz, Ad! Popatrz na to!

Ponad dachami, niemal w chmurach, dostrzegli dziewięć czy dziesięć opasłych srebrzystych balonów ze statecznikami. Balony unosiły się i opadały w pionie, przesuwały się na boki, lecz nie odlatywały, więc było jasne, że są połączone z ziemią.

W miarę jak Adele i Archie szli ulicą, ich oczom ukazywało się coraz więcej balonów. Zaczęli sobie zdawać sprawę, że nad Londynem unosi się ich mnóstwo, niczym jakaś powietrzna armada na uwięzi.

– Może to jest jakiś pokaz lotniczy? – odezwała się Adele. – Na urodziny królowej albo na inną okazję?

– Nieważna okazja, wyglądają bardzo fajnie – odparł Archie. – Zastanawiam się, dlaczego nie zauważyliśmy ich wcześniej.

Dotarli do St Oswald's Place. Z jednej strony dużego placu stały w rzędzie budynki z mieszkaniami komunalnymi. Mieszkania miały balkony i na większości z nich suszyło się pranie. Z drugiej strony plac był ogrodzony wysokim murem z cegieł. W murze znajdowało się kilka niezbyt zachęcająco wyglądających bram oraz okien chronionych żelaznymi kratami. Za szybami każdego z tych ponurych okien widoczna była jedynie ciemność.

Dom numer 9 stał prawie na końcu placu i całej ulicy, zaraz za wiktoriańskim kościołem. Miał pomalowane na czarno metalowe drzwi z judaszem, ale brakowało przy nich dzwонka czy kołatki. Adele kilkakrotnie uderzyła w drzwi pięściami.

Razem z bratem długo czekała, lecz po drugiej stronie drzwi nikt nie zareagował. Na chodniku zaczęły się rozpryskiwać krople deszczu, a z oddali dobiegł odgłos turbośmigłowych silników samolotu. Adele trzasnęła w drzwi jeszcze kilka razy i zawołała:

– Jest tam ktoś?

– Co zrobimy, jeżeli nikt nam nie otworzy? – zapytał Archie.

Bardzo się starał mówić spokojnie, ale przestępował nerwowo z nogi na nogę, jakby musiał iść do toalety.

Adele walnęła w drzwi po raz trzeci, obiema pięściami.

– Jest tam ktoś? – wrzasnęła.

Cofnęła się, ciężko oddychając. Minęło około pół minuty, lecz wciąż nie było żadnej reakcji. Gdy Adele zaczęła tracić resztki nadziei, niespodziewanie rozległ się chrapliwy głos kobiety:

– A kto pyta?

– Mam na imię Adele i jestem tutaj z bratem, który ma na imię Archie. Nasz dom został zbombardowany i nie wiedzieliśmy dokąd pójść, więc pani Chibnall powiedziała nam, że powinniśmy się spotkać z kimś nazywanym Pazurem.

– Pani Chibnall? – rozległ się głos zza drzwi.

– Tak. Mieszka przy Salcott Road 79. Powiedziała, że Pazur mógłby nam pomóc.

– Tak powiedziała?

– Właśnie. Moglibyśmy się z nim zobaczyć? Nie wiemy, co robić.

Przez chwilę znów panowała cisza, aż wreszcie dzieci usłyszały odgłos przesuwanej zasuwki i klucza obracającego się w zamku. Z głośnym zgrzytem czarne drzwi powoli się otworzyły i w progu stanęła kobieta. Była wysoka, miała długą twarz o kształcie migdała i bardzo gęste długie brwi nad oczami. Jej szara suknia miała wysoko uniesione i wyściełane naramienniki. Kobieta nosiła ciężkie buty na wysokich obcasach, dodające jej wzrostu.

Jednak Adele najbardziej zaskoczyły jej ciemnobrązowe włosy, ułożone na czubku głowy w dwa duże wałki.

– Chyba nie jesteście stąd, co? – zapytała kobieta.

– Cóż, nie, mieszkamy przy Northcote Road. A przynajmniej tam mieszkaliśmy, dopóki nasz dom nie został zbombardowany. Jakiś pan nam powiedział, że na dom spadły bomby, ale nie wiemy, jak to możliwe.

– Nie o to pytałam. Wydaje mi się, że nie pochodzicie z tego miejsca i czasu, prawda?

– Nie rozumiem – powiedziała Adele.

– Cóż, wejdźcie do środka. Zobaczymy, co zdecyduje szef.

– Sama nie wiem... – rzekła Adele.

Popatrzyła w głąb ciemnego holu za progiem i zobaczyła postrzępione paski tapety na ścianach, pękniętą ramę okienną na podłodze oraz drobne fragmenty szkła. Nie wiadomo skąd w holu pojawił się nagle cętkowany kot. Zatrzymał się, ale zaraz gdzieś poszedł i Adele tylko przez chwilę widziała jego żółte oczy.

– Jeżeli nie wejdziecie do środka i nie porozmawiacie z szefem, to co innego wam pozostanie? – zapytała kobieta. – Przecież nie macie się gdzie podziąć. Gdzie będziecie spali i gdzie cokolwiek zjecie? Zaczął padać deszcz, więc jeżeli nie znajdziecie schronienia i nie wysuszyacie ubrań, szybko złapie was śmierć.

– Nie rozumiem tego, co się nam przytrafiło. Chcemy tylko wrócić do domu. Takiego, w jakim mieszkaliśmy.

– Zapomnij o domu, jaki do tej pory znałaś. Pomyśl o domu, w którym teraz zamieszkasz.

Adele była tak zdezorientowana i zrozpaczona, że zaczęła płakać. Kobieta wyszła na deszcz i objęła ją ramionami.

– Wejdźcie oboje do środka. Musicie porozmawiać z szefem, naprawdę. A potem zobaczymy, co się da dla was zrobić.

Wprowadziła Adele i Archiego do holu.

– Idźcie do samego końca. Uważajcie na szkło. Trzy noce temu straciliśmy w bombardowaniu wszystkie okna.

Dzieci przeszły do końca korytarza, skrzyły w prawo i znalazły się w posepnej kuchni z wielkim czarnym piecem z kutego żelaza i oliwkowozielonymi płytami na podłodze. Cętkowany kot siedział na drewnianej suszarce do naczyń. Wbił w przybyszów nienawistne żółte oczy, jakby chciał powiedzieć: Intruzi, co robicie na moim terytorium?

– Harris, zaraz cię nakarmię – powiedziała kobieta. Następnie odezwała się do Adele i Archiego: – Ma dzisiaj szczęście, bo udało mi się kupić dla niego czarniaka.

Poprowadziła dzieci do równie posepnego salonu. Na jego umeblowanie składały się sfatygowana brązowa kanapa oraz dwa niedopasowane fotele. Na stoliku pod ścianą stało duże radio z okrągłym wyświetlaczem, a obok był stojak na

prasę, zapelniony różnymi gazetami i kilkoma egzemplarzami magazynu „Picture Post”.

W pokoju było ciemno, ponieważ okna zasłonięto grubymi kocami zamiast firanek, a poza tym od zewnątrz zabito je deskami.

Cuchnęło tu pleśnią, ale w powietrzu unosił się też inny, słodkawy zapach, jakby mniej więcej przed tygodniem ktoś nasikał na dywan.

– Usiądźcie – powiedziała kobieta. – Niech sobie przypomnę wasze imiona... Adele i Archie, prawda? Ja mam na imię Veronica. Jestem gospodynią w tym domu, chociaż zajmuję się także różnymi sprawami na zewnątrz.

– Gdzie jest Pazur? – zapytała Adele. – Pytałam panią Chibnall, czy możemy się w ten sposób do niego zwracać, i ona odpowiedziała, że tak. A może powinniśmy mówić „pan Pazur”?

– Ha! Już od dawna nikt go nie nazwał „panem Pazurem”. Przynajmniej od... no, lepiej, żebyście nie wiedzieli. Prawdopodobnie byście mi nie uwierzyli, nawet gdybyście wiedzieli, o czym mówię.

Adele zmarszczyła czoło.

– Słucham? – spytała.

– Nieważne. Chyba się nie interesujecie przeszłością, prawda? Zwłaszcza odległą przeszłością.

– Możemy się z nim zobaczyć? Pani Chibnall powiedziała, że on prawdopodobnie nam pomoże. Właśnie po to tutaj przyszliśmy.

– Oczywiście, moja droga. Zaraz cię do niego zaprowadzę. On jest w piwnicy, ponieważ bardzo źle działa na niego światło. Właśnie dlatego to ja muszę robić wszystkie zakupy, załatwiać sprawy i jeszcze opiekować się dziećmi.

– Macie tutaj dzieci?

– Nieważne. W tej chwili ich tu nie ma, bo też załatwiają sprawy. Ale chodźcie ze mną do piwnicy, do Pazura.

Veronica wyprowadziła rodzeństwo z salonu z powrotem do kuchni i do holu. Naprzeciwko drzwi do kuchni znajdowały się inne drzwi, szeroko otwarte. Za nimi panowała absolutna ciemność, ale dzieci dostrzegły drewniane schody prowadzące w dół. Za poręcz służyła rozciągnięta lina.

– Pazur! – zawołała Veronica. – Nie śpisz? Przyprowadziłam te dzieci, w których sprawie dzwoniła Edith Chibnall! Mogę posłać je na dół?

Przez długą chwilę panowała cisza, lecz wreszcie z piwnicy dotarł niewyraźny, świszczący głos:

– Tak. Niech do mnie zejda.

– W porządku, porozmawia z wami – powiedziała Veronica. – Uważajcie na schodach. Trzymajcie się liny, bo można się na nich przewrócić. Kiedy zejdziecie na dół, po prostu się zatrzymajcie. Nie będziecie mogły zobaczyć Pazura, ale on będzie was widział.

– Naprawdę musimy tam schodzić? – zapytał Archie. – Nie możemy z nim porozmawiać na górze, w mieszkaniu?

– Nie bój się, młodzieńcze – odparła Veronica i położyła dłoń na jego ramieniu. – Pazur nie zrobi ci krzywdy.

Dopiero w tym momencie Adele zauważyła, że kobieta nosi bardzo eleganckie srebrne pierścionki, z czaszką, półksiężycem i głową kozła, i ma tylko trzy palce u dłoni.

Adele zaczęła schodzić pierwsza i Archie ruszył za nią. Mocno przytrzymała się liny, ponieważ schody skręcały nieznacznie w lewo, a każdy drewniany stopień skrzypiał pod jej stopami.

W piwnicy było tak ciemno, że nie mogła ocenić jej rozmiarów. Ale kiedy wraz z Archie stanęła na posadzce i ich buty głośno zaszurały na betonowej podłodze, na podstawie echa doszła do wniosku, że musi być bardzo duża. Było tu chłodno, w jakimś odległym miejscu cicho kapała woda. Unosił się też jakiś naprawdę niemiły odór, jakby gnijącego kurczaka.

– Pazur? – odezwała się, próbując nie okazać strachu. – Jestem Adele, a to mój brat Archie. Pani Chibnall powiedziała, że mógłbyś nam pomóc w powrocie do domu, takiego, jaki był.

Przez kilkanaście sekund dzieci słyszały tylko czyjś ciężki, świszczący oddech, jakby Pazur był astmatykiem. Wreszcie się odezwał:

– Przecisnęliście się, oto, co się wam przytrafiło. Przecisnęliście się. Jeden czas skrzyżował się z drugim, a wy się pomiędzy nimi przecisnęliście.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym mówisz. Chcemy tylko wrócić do takiego porządku, w jakim dotychczas żyliśmy. Wiemy, gdzie jesteśmy, ale wszystko jest inne. Jeżdżą tramwaje i śmieszne stare samochody, a na niebie są balony.

– Wiecie, gdzie jesteście, ale nie wiecie w jakim czasie. I na tym polega problem.

– A więc w jakim czasie jesteśmy? – zapytał Archie, zebrawszy w sobie odwagę.

Pazur kilkakrotnie głośno odetchnął, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć chłopcu czy nie. Po chwili odparł:

– W roku pańskim 1941.

– 1941? To niemożliwe!

– Przecież sam wszystko widziałeś, moje dziecko. Jak myślisz, po co są te balony po niebie? To balony zaporowe, które nie pozwalają niemieckim bombowcom latać zbyt nisko.

– Jest wojna?

– Niczego nie nauczono cię w szkole? Od ponad dwóch lat jesteśmy w stanie wojny z Niemcami. Jak myślisz, kto zbombardował twój dom?

– Ale on wcześniej nie był zbombardowany – zaprotestowała Adele. – Mieszkamy w nim przez całe życie.

– Został zbombardowany i będzie odbudowany. Ale jeszcze nie teraz.

– Jak więc możemy do niego wrócić, takiego, jaki był?

– Chcesz powiedzieć: jaki będzie?

– Tak. Chyba tak.

– Cóż, moje dziecko, jeśli mamy osiągnąć wzajemnie korzystne porozumienie, mogę was wysłać tam, skąd przybyliście. To z pewnością jest w mojej mocy. Dowodzi tego jeden z najsławniejszych Anglików, jaki kiedykolwiek oddychał na tym świecie.

– Nie rozumiem.

Pazur kilkakrotnie zakaszłał, a potem głośno splunął.

– Chodzi mi o to, że jeśli wy zrobicie coś dla mnie, ja będę mógł zrobić coś dla was. Przysługa za przysługę. Jak wy mnie, tak Pazur wam, że tak powiem.

– Czego oczekujesz?

– Małej zbiórki pieniędzy. Przeprowadzicie ją razem z innymi dziećmi. Veronica powie wam, co macie robić.

– Na czym ma polegać ta zbiórka?

– Na odbieraniu ludziom pieniędzy w taki sposób, żeby o tym w ogóle nie wiedzieli.

– Mamy kraść?

– Brawo! Inteligentna dziewczynka! Nie jesteś taka tępa, jak myślałem.

Przez ułamek sekundy Adele widziała w ciemności błyszczącą parę bursztynowych oczu. Ale znowu zapanowała absolutna ciemność i o obecności Pazura świadczył tylko jego ciężki oddech.

– A jeżeli odmówimy, jeżeli tego nie zrobimy? – zapytała. – Poza tym możemy przecież zostać przyłapani i aresztowani.

Pazur znowu kaszlnął.

– Jeżeli odmówicie, będziecie musieli tu spędzić resztę życia. No, ale ono wcale nie musi być złe i się do niego przyzwyczajacie. Kiedy dorośniecie, kto wie, może oboje się w kimś zakochacie, weźmiecie ślub, a nawet wychowacie dzieci? To byłoby interesujące! Może w przyszłości urodziłabyś swoją matkę?

– To koszmar – jęknęła Adele. Zbierało się jej na płacz. – To tylko nocny koszmar.

– Tak – odparł Pazur. – Ale to jest też twoje życie, kochanie. Życie jest koszmarem. Jest koszmarem od początku do końca.

13

Kiedy wrócili do salonu, Veronica powiedziała dzieciom, żeby usiadły i poczekały. Sama miała się dowiedzieć, dokąd miały pójść na „zbiórkę pieniędzy” zapowiedzianą przez Pazura.

– Ale kiedy już ukradniemy tyle, ile on będzie chciał, będziemy mogli wrócić do domu? – zapytała ją Adele.

Veronica włączyła lampę obok kanapy, oświetliła jej twarz i popatrzyła na nią niczym czarownica, która zagląda do kotła z wywarem.

– Pazur robi wiele rzeczy, których ludzie nie rozumieją, ale zawsze dotrzymuje słowa. Jeżeli mówi, że odeśle was z powrotem do czasu, z jakiego przyszliście, tak właśnie uczyni. I nie martwcie się – jeżeli o tym zapomni, ja mu skutecznie przypomnę. Nazywam się Veronica Crawford, ale wszyscy moi znajomi nazywają mnie Namolną Veronicą.

Przez prawie godzinę siedzieli we troje w nieprzyjemnej ciszy, a tymczasem na dworze stopniowo zapadał zmrok. Archie zaczął przysypiać i kilkakrotnie gwałtownie podskoczył na kanapie, budząc się z drzemki. Veronica wypaliła jeden za drugim trzy cuchnące papierosy i zgasiła niedopałki w popielnicy, w której było ich już kilkadziesiąt. Adele pokasływała w kłębach gryzącego dymu. Miała suche gardło i była spragniona, lecz nie zamierzała prosić Veroniki o nic do picia czy jedzenia.

Jakiś smutny zegar znajdujący się nie wiadomo gdzie wybił godzinę siódmą. I wtedy niemal od razu, rozległy się uderzenia w deski podłogowe pod dywanem w salonie. Veronica wstała i powiedziała:

– To Pazur. Jest gotów, żeby mi powiedzieć, jakie ma dla was zadanie. Poczekajcie chwilę, zaraz do was wróczę.

Wyszła z salonu i dzieci po chwili usłyszały, jak otwiera drzwi do piwnicy i schodzi po skrzypiących schodach.

Archie popatrzył na Adele i rzekł:

– Moglibyśmy teraz uciec.

– Nie bądź głupi. Niby dokąd? Prawie nie mamy pieniędzy, a jeśli Pazur mówił prawdę, znajdujemy się w środku wojny.

– Tak, ale Pazur bardzo mnie przeraża.

– Dopóki będziemy robić, czego on chce, chyba nas nie skrzywdzi. A jeżeli Veronica mówi prawdę, uda nam się wrócić do domu. Mama i tata pewnie już się o nas martwią.

– A jeśli Pazur skłamał? I Veronica także kłamie? Albo jeśli on nie będzie potrafił odesłać nas do domu?

– Nie myśl w ten sposób, Archie. W jakiś sposób się tutaj przedostaliśmy, prawda? Musi więc także istnieć droga powrotna.

Usłyszeli Veronicę wchodzącą do góry po schodach piwnicznych. Po chwili zjawiała się znowu w salonie. Miała teraz dziwne nieobecne spojrzenie, jakby przed chwilą przypomniała sobie o czymś ważnym, co powinna zrobić dawno temu, a na co teraz było już za późno.

– Idzie do nas jeszcze dwóch chłopaków, Tommy i Nigel. Niedługo tu dotrą. Pazur chce, żebyście poszli z nimi na Kennington Lane. To niedaleko stąd, zaledwie kilka minut drogi spacerkiem. Na rogu jest pub, The Wayfarer, a Tommy i Nigel was do niego wprowadzą.

– Przecież jesteście za młodzi, żeby chodzić do pubów.

– Nie będziecie tam niczego pili, moja kochana. Macie tylko chodzić od jednego klienta do drugiego i wzbudzać w nich współczucie. Będziecie im opowiadać, że wasz dom został zbombardowany, a mama i tato leżą ciężko ranni w szpitalu, i prosić każdego z nich, żeby łaskawie dał wam szóstkę.

Adele i Archie zamrugali zaskoczeni.

– Jaką szóstkę?

– Sześciopensówkę. Może nie będą chcieli dać wam aż tyle. Może poprzestaną na trzech pensach. Jeżeli będziecie mieli szczęście, to możliwe, że dostaniecie więcej, nawet i parę szylingów? Ale to nie jest najistotniejsze. Kiedy ktoś będzie grzebać w kieszeniach, żeby znaleźć dla was drobne, macie niby to przypadkiem wylać mu piwo na spodnie.

– Po co? Przecież się na nas rozzłości.

– Ty i twój brat jesteście dwojgiem nieszczęśliwych dzieci, które straciły dom i wkrótce mogą zostać sierotami. Jak ktoś mógłby się na was zezłościć?

– Ale dlaczego mamy wylewać na kogoś piwo?

– Ponieważ wszyscy mężczyźni w pubie od razu spojrzą w tym kierunku. Będą się śmiać z nieszczęśnika, który będzie wyglądał, jakby się zsiakał w spodnie, a tymczasem Tommy i Nigel zaczną prawdziwą zbiórkę pieniędzy.

– Nadal nie rozumiem.

Veronica uśmiechnęła się i wykonała palcami prawej ręki taki ruch, jakby z niewidzialnej kieszeni wyjmowała komuś niewidzialny portfel.

Czekali jeszcze przez dziesięć minut i wreszcie usłyszeli, jak ktoś dwukrotnie zapukał do drzwi. Veronica poszła otworzyć i wróciła do salonu z dwoma chłopcami. Pierwszy z nich był wysoki i chudy, miał czarne włosy sterczące jak na szczotce klozetowej, a drugi był pulchny i piegowaty z kręconymi rudymi włosami. Obaj byli ubrani w szare marynarki, które wyglądały tak, jakby kiedyś sta-

nowiły element szkolnego mundurka, ponieważ z kieszeni na ich piersiach, gdzie zapewne znajdowały się szkolne identyfikatory, zwisały luźne nitki.

Ich szare flanelowe spodnie były wyświechtane, a buty znoszone, z porwanymi sznurowadłami.

Veronica położyła dłoń na ramieniu wysokiego chłopca i powiedziała:

– To jest Tommy. – Następnie zmierzwiła kręcone włosy pulchnego chłopca, jakby był jej ulubionym pieskiem. – A to jest Nigel. Chłopcy, ta młoda dama to Adele, a to jej brat Archie. Zjawili się tutaj niedawno, ale Pazur postanowił, że dzisiejszego wieczoru właśnie oni będą od was odwracać uwagę w The Wayfarer. To będzie ich pierwszy raz.

Dwaj chłopcy popatrzyli na Adele ni to obojętnie, ni to ze współczuciem.

– Dlaczego nie pójść z nami Dougie i Jean? – zapytał Tommy.

– Dougie i Jean są w Mekce, bo tam jest zabawa taneczna.

– W porządku. Jest szansa na kanapkę, zanim wyjdziemy? Mój brzuch przypuszcza, że ktoś poderznął mi gardło.

– Dostaniecie jeść, kiedy wrócie. Ollie buchnął dziś rano puszkę mielonki.

Tommy odwrócił się do Adele i Archiego.

– Dobrze, w takim razie chodźmy. Nie mamy całej nocy na tę robotę.

– Wesołej zabawy – powiedziała Veronica z uśmiechem.

Adele po raz pierwszy zobaczyła, jakie ma krzywe i brązowe zęby.

Tommy i Nigel skierowali się do drzwi i po chwili cała czwórka wyszła na St Oswald's Place. Na dworze pachniało świeżym deszczem i było prawie tak ciemno jak w piwnicy Pazura. Nie paliły się lampy uliczne, a wszystkie okna w budynkach komunalnych po przeciwnej stronie były zasłonięte.

Tommy wyciągnął z kieszeni latarkę. Ona także była w większej części oklejona, przez co dawała tylko wąski strumień światła. Chłopiec oświetlił nim chodnik tuż przed swoimi nogami.

– Tędy – powiedział i ruszył wzdłuż rynsztoka, od czasu do czasu machając latarką na boki.

– Skąd się wzięliście? – zapytał.

– Mieszkamy przy Northcote Road, niedaleko Wandsworth Common – odparła dziewczynka.

– Nie pytałem z jakiego miejsca, ale z jakiego roku.

Kiedy Adele mu powiedziała, Nigel tylko westchnął.

– O kurczę.

– To coś złego? A ty?

– Z 1958 roku.

– 1958? Naprawdę? I teraz naprawdę jesteśmy w 1941?

– A jak myślisz? Popatrz, wszystko jest zaciemnione. Zaraz zawyją syreny i nadlecą szwabskie bombowce.

Przez chwilę szli w milczeniu. Ciszę przerwała Adele.

– Możecie wrócić do roku 1958? – zapytała.

– Co? A niby w jaki sposób?

– Nie wiemy, w jaki sposób się tutaj znaleźliśmy, ale Pazur obiecał, że nas odeśle. Dlaczego nie odesłał jeszcze was?

– Daj spokój. Chyba mu nie wierzysz, co? Nigdzie was nie odeśle! Wciągnie was do bandy, tak jak nas. Armia Pazura, tak nas nazywają.

– Ale on nam obiecał – powiedziała Adele. – A Veronica zapewniła nas, że on zawsze dotrzymuje słowa.

– To tylko puste gadanie – stwierdził Tommy. – Jak myślisz, od jak dawna jesteśmy tutaj z Nigelem? Może nie uwierzysz, ale od ostatniego Bożego Narodzenia. A inne dzieci tkwią tu jeszcze dłużej. Jeden z nas, Freddie, przebywa tu od przedostatniej Wielkanocy, a pochodzi z 1924 roku.

Do oczu Adele napłynęły łzy. Przełknęła ślinę, próbując powstrzymać płacz, ale nie dała rady. Tommy zatrzymał się, oświetlił ją latarką i powiedział:

– My też nie wiemy, w jaki sposób się tutaj znaleźliśmy. Szliśmy do szkoły, skręciliśmy w kolejną ulicę i nagle wszystko stało się inne, takie jak teraz. Nagle zobaczyliśmy staromodne samochody i balony zaporowe unoszące się w powietrzu.

– A jak trafiliście do domu Pazura?

– Zatrzymaliśmy się i zapytaliśmy pierwszą napotkaną kobietę, gdzie jesteście, a ona odpowiedziała, że musimy pójść z nią, to nam pomoże. To była Veronica. Zaprowadziła nas prosto do Pazura. Powiedziała, że jeśli załatwimy dla niego kilka spraw, on dopilnuje, żebyśmy wrócili tam, skąd przyszliśmy.

– Ale oczywiście nie dotrzymał słowa – rzucił Nigel. – Od tego czasu wychodzimy do miasta i kradniemy dla niego. Za każdym razem, kiedy go prosimy, żeby już nas odesłał, mówi: „Jeszcze jedna mała robótko, chłopcy, i wtedy o tym pomyślę”.

– Resztę bandy spotkacie na kolacji – powiedział Tommy. – Jest nas jedenaścioro, ośmiu chłopców i trzy dziewczynki. Jeśli doliczyć was dwoje, to ta liczba wzrośnie do trzynastu. Członkami bandy jest także czterech albo pięciu dorosłych mężczyzn, ale oni nie pracują każdego wieczoru. Raczej zjawiają się niespodziewanie, a potem znikają.

Adele wytarła oczy.

– A gdzie wszyscy śpicie?

– Na górze są trzy pokoje z kocami na łózkach. W czasie nalotów zabieramy koce i schodzimy na dół, do piwnicy Pazura.

Po kilku minutach doszli do Kennington Lane. Z odległości kilkuset metrów dostrzegli pub The Wayfarer, mieszczący się w sześciokątnym wiktoriańskim budynku z cegieł. Przed budynkiem był mały dziedziniec, a duże okno pubu miało łukowate sklepienie.

– Czy kiedy przebywacie w piwnicy, to widzicie Pazura? – zapytał Archie. – Bo kiedy my tam zeszliśmy, było zbyt ciemno, żebyśmy mogli mu się przyjrzeć.

– Nie – odparł Tommy. – Kiedy tam schodzimy, wolno nam zabrać lampę, ale Pazur kryje się wtedy za grubą szarą zasłoną w odległym kącie. Nikt z nas nigdy go nie widział.

– My widzieliśmy pomarańczowe oczy – rzekł Archie.

– My także je widzieliśmy – dodał Nigel. – Prawdopodobnie Pazur ma na coś alergię albo pije za dużo dżinu. A może po prostu za mało sypia.

Kiedy stanęli przed pubem, Adele powiedziała:

– A gdybyśmy nasłali na niego policję? Przecież traktuje nas jak swoich niewolników, prawda? Każe nam wychodzić do miasta i kraść.

– Nie! – zawołał Nigel i energicznie pokręcił głową. – On już na samym początku nam powiedział, że jeśli złapią nas gliniarze i zaprowadzą na posterunek, nie możemy zdradzić ani jego imienia, ani miejsca, w którym przebywa. Zagroził, że gdybyśmy to zrobili, on natychmiast wyśle na nas jednego ze swoich ludzi, a ten pozbawi nas życia w najbardziej straszliwych męczarniach, jakie można sobie wyobrazić.

– Myślisz, że naprawdę by to zrobił, czy tylko próbował was wystraszyć?

– Poczekaj, aż zobaczysz mężczyzn, którzy dla niego pracują. Jeden z nich ma na imię Ronnie i już samo jego spojrzenie przyprawia mnie o gęsią skórę.

– Jest jeszcze Starkey – rzekł Nigel. – Jego boję się nawet bardziej. Ma straszny śmiech. I zawsze śmierdzi jak zdechła ryba.

Tommy ruchem głowy wskazał drzwi pubu. Słysząc było zza nich głośne rozmowy, śmiechy i grę na pianinie.

– Chodźmy tam i zróbmy, co do nas należy. Im szybciej zaczniemy robotę, tym szybciej ją skończymy. Przejdziemy do sali, w której znajduje się bar, ponieważ tam klienci zawsze mają najwięcej forsy. I pamiętajcie, kiedy tylko znajdziemy się znów na dworze, macie uciekać ile sił w nogach.

Otworzył drzwi do pubu i znaleźli się w pomieszczeniu, w którym panował hałas, rozbrzmiewała muzyka, a w powietrzu unosiły się kłęby dymu z papierosów. Było tu tak tłoczno, że musieli się przeciskać pomiędzy mężczyznami, którzy trzymali w rękach kufle z piwem. Jakiś grubas w przyciasnej kamizelce uderzał paluchami w klawisze pianina. Grupa kobiet i mężczyzn stała wokół niego i śpiewała *London Pride*.

Archie na moment przyłożył dłoń do nosa, a Adele tylko pokiwała głową. Zmieszany odór dymu tytoniowego, spoconych ciał i zjełczałego piwa był tak silny, że niemal ich dławił.

Tommy poprowadził grupkę do sali barowej. Tutaj także panował tłok, lecz było odrobinę ciszej. Część klientów stała przy kontuarze, ale spora grupa siedziała też przy stolikach. Każdy palił papierosa, powietrze było więc nieprzejryste, a sufit żółty od nikotyny.

Kilku klientów na widok dzieci zrobiło zdziwione miny, ale większość była zbyt zajęta rozmowami i piciem, żeby zwrócić na nie uwagę. Barmanka właśnie

zainstalowała nową beczkę z piwem i szarpała za rączkę nalewaka, żeby wypuścić do kufli kolejne porcje trunku, więc także zignorowała dzieciaki.

– Chodź. – Tommy lekko pchnął Adele. – Facet pod oknem wygląda na doskonały cel.

Mężczyzna, którego wskazał, był w średnim wieku i nosił trójrzędową tweedową marynarkę. Miał też starannie przycięte wąsy i kasztanowe włosy z przedziałkiem pośrodku czoła, zaczesane do tyłu i obficie natarte brylantyną. Popijał szkocką whisky z wodą sodową i palił krótkie cygaro, co wskazywało, że powodzi mu się w życiu znacznie lepiej niż pozostałym klientom The Wayfarer. Był w towarzystwie kobiety o ustach grubo pomalowanych szkarłatną szminką i ciężkich rzęsach, które zdawały się żyć własnym życiem, oraz starszego siwego mężczyzny, którego ramiona podskakiwały, bo głośno się śmiał. Starszy mężczyzna popijał piwo z kufła, który co chwilę odstawiał na stolik i który wciąż był niemal pełen.

– Boję się – powiedziała Adele.

– Pamiętaj, co ci powiedziała Veronica. Nic więcej nie musisz robić. Masz być smutna i mówić tym ludziom, że w twój dom trafiła bomba, a mama i tato leżą w szpitalu. Poproś ich o kilka miedziaków, żebyś mogła kupić sobie i bratu rybę z frytkami.

Adele chwyciła dłoń Archiego i oboje podeszli do stolika, przy którym siedział mężczyzna w tweedowej marynarce. Akurat opowiadał jakiś dowcip, ale na widok dzieci urwał w połowie słowa.

– A wy dwoje czego tutaj chcecie? – zapytał.

– Chyba chcą posmakować twojej szkockiej – powiedział starszy mężczyzna i mrugnął do niego.

– Proszę pana – odezwała się Adele i na jednym oddechu wyrzuciła z siebie: – Bardzo się krepujemy o coś prosić, ale nasz dom został zbombardowany, a nasza mama i tato odnieśli ciężkie rany i leżą teraz w szpitalu. Mogą umrzeć, a my nie mamy nikogo, kto by się nami zaopiekował.

– Chyba się nie spodziewacie, że to my się wami zaopiekujemy! – zawołała kobieta ze szkarłatną szminką na ustach. Jej głos zabrzmiał tak, jakby zdążyła już wypić przynajmniej trzy dziny z wermutem. – Wychowałam własne dzieci i już dziękuję, na więcej nie mam ochoty! Nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz!

– Nie, oczywiście. Ale może poratowałyby nas pani sześciopensówką?

– Sześciopensówką? – powtórzył starszy mężczyzna. – Za takie pieniądze to mogę sobie kupić kolejny kufel piwa!

Mężczyzna w tweedowej marynarce wyprostował się na krześle i wsunął dłoń do jednej z kieszeni kamizelki. Wyciągnął z niej jedną monetę, potem drugą i trzecią, a następnie położył je na stoliku. Adele jeszcze nigdy takich monet nie widziała: dwie były duże, okrągłe i ciemnobrązowe, a trzecia mała, niklowana i kanciasta. Na każdej widniała głowa mężczyzny.

– Proszę, to dla was. Pięć pensów. W tej chwili nie mam przy sobie więcej drobnych.

Adele popatrzyła na Tommy'ego, który stał przy oknie. Wykonał obiema rękami jednoznaczny gest, nakazując jej, żeby zabrała pieniądze. Potem machnął dłonią, jakby chciał jej powiedzieć, że teraz przyszedł czas na przewrócenie kufla.

– Bardzo, bardzo panu dziękuję – powiedziała Adele.

Zebrała monety ze stołu i przekazała je Archiemu, żeby schował do kieszeni, ale w chwili, w której zamierzała przewrócić kufel z piwem, starszy mężczyzna podniósł szkło i upił długi łyk.

– Gdzie mieszkacie? – zapytał ją mężczyzna w tweedowej marynarce. – To znaczy, gdzie mieszkaliście, zanim na wasz dom spadły bomby?

– Na Northcote Road, przy błoniach.

– Zabawne. Jechałem tam dzisiaj rano i nie widziałem żadnych zniszczeń po bombach.

– Och – jęknęła Adele.

Znowu popatrzyła na Tommy'ego. Chłopiec gwałtownie zamachał do niej rękami na znak, żeby się pośpieszyła.

– Czy ty na pewno mówisz prawdę? – zapytał ją mężczyzna w tweedowej marynarce.

Adele nie wiedziała, co powiedzieć, ale akurat w tej chwili starszy mężczyzna odstawił kufel z piwem. Adele nieznacznie się odwróciła, a potem wykonała kolejny zwrot, tym razem gwałtowny, przewracając łokciem kufel. Więcej niż połowa piwa wylała się z kufla na stolik i na krocze tweedowych spodni mężczyzny, który właśnie zadał jej pytanie.

– Jezu! – krzyknął.

Odepchnął krzesło od stolika i zerwał się na równe nogi.

Niemal wszyscy klienci baru się odwrócili, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Czyżbyś się zeszczął, Richard? – zawołał jeden z nich. – Tylko mi nie mów, że zapomniałeś, gdzie tutaj jest toaleta!

Adele cofnęła się i chwyciła Archiego za rękę.

– Przepraszam – powiedziała do mężczyzny w tweedowej marynarce. – To był wypadek!

Mężczyzna nie zwrócił jednak na nią uwagi, zajęty strzepywaniem resztek płynu z mokrych spodni.

Adele szybko popatrzyła za siebie. Zobaczyła, że pomiędzy roześmianymi klientami krąży już Nigel. Wyciągnął rękę po torebkę, którą jedna z kobiet położyła obok swojego krzesła. Po chwili płynnym ruchem wsunął ją pod marynarkę.

Tuż przy oknie Tommy stał za plecami mężczyzny w zielonej sztruksowej marynarce. Wyciągnął z jego kieszeni portfel. Obaj chłopcy byli tak szybcy i sprawni, że Adele nie dostrzegłaby ich akcji, gdyby nie wiedziała, po co tutaj przyszli. Pracowali niemal jak magicy na scenie.

Gdy Tommy okrążył bar, szukając kolejnych kieszeni do opróżnienia, niespodziewanie zawyły syreny ostrzegające przed nalotem. Dla Adele syreny brzmiały jak zawodzenie nieszczęśliwych kobiet.

– Co to za okropny hałas? – zapytał Archie, a jakaś kobieta popatrzyła na niego jak na idiotę.

Gdy tylko włączyły się syreny, nastrój w pubie uległ gwałtownej zmianie. Urwały się śmiechy, a wszyscy klienci nagle zaczęli dopijać trunki.

Tommy stał tuż przy niskim łysym mężczyźnie opartym o bar. Wsunął rękę do kieszeni jego marynarki, ale kiedy mężczyzna wypił ostatni łyk piwa i odstawił kufel na kontuar, odwrócił się i przyłapał Tommy'ego na gorącym uczynku.

– Hej! Zostaw to! – zawołał, łapiąc Tommy'ego za ramię.

Tommy uniósł ręce do góry.

– Przepraszam! Przepraszam! Przepraszam! – zawołał i się cofnął.

– Chwileczkę! – rzucił mężczyzna. – Ja ciebie znam, ty mały łotrze! Już cię widziałem w pubie The Duchy! Zginęło tam wtedy mnóstwo portfeli i zastanawiałem się, czy to nie była twoja sprawka!

Mężczyzna w zielonej sztruksowej marynarce poklepał się po piersi i zawołał:

– Hej! Ja nie mam portfela.

Odezwała się także kobieta siedząca przy stoliku:

– Moja torebka! Ktoś ukradł mi torebkę!

Tommy i Nigel błyskawicznie ruszyli do drzwi, ale czterej mężczyźni złapali ich za ramiona i przycisnęli plecami do baru. Syreny na zewnątrz wciąż wyły, a pub gwałtownie pustoszał. Klienci, którzy dopili trunki, wybiegali na ulicę i szukali najbliższego schronu.

Adele pociągnęła Archiego za rękaw. Wskazała mu głową drzwi; powinni wyjść z pubu, zanim mężczyzna w tweedowej marynarce się zorientuje, że oboje współpracują z Tommym i Nigelem i że Adele specjalnie wylała piwo, aby spowodować zamieszanie. W tym momencie ludzie, którzy złapali Tommy'ego i Nigela, byli zbyt zajęci odzyskiwaniem portfeli i portmonetek, a nawet wiecznego pióra marki Parker – które zdążył komuś ukraść Nigel – żeby zwracać uwagę na młodsze dzieci.

– Poczekamy, aż alarm zostanie odwołany. – Jeden z mężczyzn powiedział do Tommy'ego i Nigela. – A potem zaprowadzimy was prosto na komisariat przy Kennington.

Adele i Archie wymknęli się z sali barowej. W kolejnym pomieszczeniu na chwilę przycupnęli za pianinem, przy którym gruby pianista i jakaś kobieta uspokajali malutkiego foksteriera. W końcu jednak dotarli do kotary przed drzwiami, którą założono, żeby światło z pubu nie przenikało na zewnątrz, odsunęli ją i wyszli na ulicę.

– Co teraz? – zapytał Archie.

– Chyba nie możemy wrócić do Pazura, prawda? – odparła Adele. – Tommy powiedział, że on nigdy nie odeśle nas do domu, a pewnie będzie chciał, żebyśmy

okradali ludzi, dopóki nie zostaniemy złapani.

– Ale gdzie będziemy spać? I gdzie cokolwiek zjemy?

Reflektory przeszukiwały już niebo nad Londynem, a z oddali docierał niski warkot silników nadlatujących bombowców.

– Chyba są w tym mieście także inne dzieci w podobnej sytuacji jak my – powiedziała Adele. – Udawaliśmy, że nasz dom został zbombardowany i że nasi rodzice leżą w szpitalu, prawda? A przecież wielu dzieciom naprawdę zbombardowano domy. Gdzie szukają pomocy?

W tym momencie niebem wstrząsnął grzechot pocisków wystrzelonych w stronę samolotów. Warkot silników z każdą chwilą się wzmacniał i po chwili zmienił się we wściekły, ogłuszający ryk. Rozległ się głośny świst, a potem potężny odgłos eksplozji.

Z The Wayfarer wybiegli mężczyzna i dwie kobiety. Mężczyzna popatrzył na rodzeństwo i zawołał:

– Chodźcie z nami, dzieciaki! Musimy natychmiast biec do schronu!

Wyciągnął rękę i chwycił dłoń Adele, a jedna z kobiet złapała Archiego za rękę. W wielkim pośpiechu cała piątka przebiegła przez jezdnię. Na którymś z domów naprzeciwko pubu znajdował się napis „Schron publiczny”, a strzałka wskazywała na drzwi, za którymi znajdowały się kamienne schody. Tłoczyło się na nich sporo ludzi, a ruchem tłumu próbował kierować mężczyzna w okularach i mundurze koloru khaki.

Eksplozje rozlegały się coraz bliżej, a po każdej z nich płyty chodnikowe drżały, jakby ktoś uderzał w nie ciężkim młotem.

Kiedy zaczęli w tłoku schodzić po schodach, Archie popatrzył na Adele. Jego twarz była biała ze strachu.

– Nie umrzemy, prawda? – zapytał.

Jerry obudził się nagle. Śniło mu się, że znowu jest w domu rodziców Kathleen Hartley i stoi obok jej zakrwawionych, okaleczonych zwłok.

W jego śnie był jedyną osobą w tym słabo oświetlonym pokoju. Nie towarzyszyli mu Marsjanin, Molly Jakaś-Tam ani inni technicy policyjni. Tylko ciało Kathleen Hartley z szerokimi poprzecznymi nacięciami.

Wydawało mu się, że ktoś gwizdże żwawą melodię – chyba *Isn't This a Lovely Day to Be Caught in the Rain* – a kiedy się obudził, przez ułamek sekundy miał wrażenie, że gwizdząca osoba jest w jego sypialni.

Włączył nocną lampkę. Było pięć po trzeciej nad ranem i oczywiście oprócz niego w sypialni nie było żywego ducha. Usiadł na łóżku i odkleił palcami od ciała czarny T-shirt z logo Ramones, okropnie przepocony. Jeszcze przez kilka minut widział w wyobraźni błyszczące i układające się w jodełkę głębokie rany na zwłokach Kathleen Hartley.

Wypił połowę letniej wody ze szklanki, którą przezornie postawił przed zaśnięciem na nocnym stoliku. Bardzo rzadko śniło mu się cokolwiek związanego z pracą. Przyszło mu do głowy, że prawdopodobnie mózg daje mu sygnał, aby spojrzeć na ostatnią sprawę pod innym kątem niż do tej pory.

Skoro mordercy przybywają z innego czasu, a także z innego świata, zapewne właśnie tam należy poszukiwać wyjaśnień, a nie tu i teraz. Nie w aktualnych bazach danych policji londyńskiej, lecz w historycznych aktach dotyczących dawno już zapomnianych zbrodni. Może należałoby sobie odpuścić zarówno poszukiwanie prawdopodobnych motywów, jak i analizowanie tych nielicznych śladów, które pozostały na miejscach przestępstw. Może trzeba się skoncentrować wyłącznie na bardzo specyficznych sposobach popełnienia ostatnich morderstw.

Tak, policja dysponuje niedopałkami dwóch papierosów marki od dawna nieobecnej na rynku oraz nielicznymi odciskami palców, ale te dowody mogą się okazać istotne dopiero po dotarciu do morderców. Dlatego przede wszystkim trzeba ich zidentyfikować. I prawdopodobnie należy poszukiwać ich w przeszłości, nie w teraźniejszości.

Jerry wstał z łóżka i przeszedł do salonu. Po drodze zderzył się z krzesłem i je przewrócił, ale nie musiał się martwić, że hałasuje w środku nocy. Gospodyni domu mieszkała na parterze, ale była głucha jak pień i na dodatek opatulala się na noc pościelą jak mumia egipska. Kiedyś zajrzał do niej w nocy, żeby sprawdzić,

czy nic jej nie dolega, ponieważ zaczęła wrzeszczeć bez żadnego uzasadnionego powodu.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tego, co się stało z poprzednią gospodynią, Norą, która została brutalnie zamordowana. Gdyby Jerry był w stanie znaleźć inne mieszkanie w podobnej, niewysokiej cenie, z pewnością szybko by się stąd wyprowadził. Nową gospodynią była starsza siostra przyrodnia Nory, Rachel, przemiła staruszka, która nigdy nie pamiętała, czy Jerry już zapłacił jej czynsz za kolejny miesiąc, czy jeszcze nie.

Usiadł przy małym koślawym biurku i włączył laptopa. Nie wiedział, jak głęboko powinien się cofnąć do historii kryminalistyki, poszukując zabójcy, który mógłby dawno temu inną ofiarę zaszlachtować w taki sam sposób jak Kathleen Hartley. Niedopałek papierosa marki Spanish Shawl pochodził z lat 40. XX wieku, lecz prawdopodobnie należałoby rozpocząć poszukiwania jeszcze wcześniej. Po namyśle postanowił zacząć od lat 50., a następnie cofać się do kolejnych dekad.

Rozumiał, że zapewne marnuje swój czas. Dotychczasowe zeznania świadków były tak fantastyczne, że jego poczynania przy laptopie mogły się okazać równie zwodnicze. Ale te nogi bez reszty ciała, głowa żyjąca własnym życiem i połowa człowieka... przecież musiały skądś się zjawić, a jeśli nie z teraźniejszości, to z jakiego czasu? Niemniej podjęcie poszukiwań w internecie gwarantowało mu przynajmniej satysfakcję, że w dążeniu do wyjaśnienia tajemniczych spraw spróbował wszystkiego.

Przez kolejne trzy godziny – na dworze zaczęło świtać – przebrnął przez archiwa zamieszczone w sieci, zapoznając się pobieżnie z niezliczonymi raportami z autopsji, a także dokumentami sporządzonymi przez koronerów.

Natrafił na kilka niesłychanych i wstrząsających morderstw. W środku zimy 1948 roku pewna kobieta została nabita na żerdź płotu w ogrodzie na tyłach Wimbledonu i umierała przez trzy dni. W 1936 roku ktoś pociągnął mężczyznę na linie za samochodem od Putney do Sunbury-on-Thames, czyli na dystansie niemal dwudziestu kilometrów. Ofiara straciła po drodze obie ręce. Z kolei trzyletnie bliźnięta w 1931 roku zostały wciśnięte do piecyka gazowego i upieczone przez żadnego zemsty ojca po tym, jak żona opuściła go dla jakiegoś fotografa.

O wpół do szóstej Jerry wstał na chwilę od laptopa, poszedł do kuchenki i zaparzył sobie kubek kawy rozpuszczalnej. Zazwyczaj o tej porze przygotowywał sobie kanapkę ze smażonym bekonem i gotował kilka jajek, ale po tym, co przeczytał o morderstwach z przeszłości – szczególnie na temat upieczonych bliźniaków – nie miał apetytu.

Kiedy wrócił do laptopa, natrafił na traktat o sprawach kryminalnych, napisany w 1895 roku i zatytułowany *Historia zabójstw popełnionych dla uzyskania zaspokojenia*. Jego autorem był Jeremy Nunn, wykładowca Uniwersytetu Londyńskiego, jeden z pionierów psychologii behawioralnej. Nunn wymienił dziesięć

przypadków, w których zasadniczym motywem zabójców było podniecenie i zadowolenie z torturowania i ćwiartowania ofiar, nawet po ich śmierci.

W pewnym stopniu zabójcom chodziło o zaspokojenie seksualne, gwałt albo akt nekrofilii, lecz w zdecydowanej większości satysfakcjonowała ich władza nad ludźmi, których zabijali. Kawa stygła, a Jerry czytał tekst Nunna o morderstwach oraz mężczyznach i kobietach, którzy je popełniali.

Nagle znalazł taki fragment: „Jasper Starke, zatrudniony na Billingsgate Market od 1877 do 1880 roku, został aresztowany w 1880 roku pod zarzutem zamordowania w ciągu trzech lat pięciu kobiet handlujących ostrygami. Przed aresztowaniem zbrodniarza prasa oraz policja londyńska nazywały go Handlarzem Rybami. Został oskarżony o zgwałcenie każdej z pięciu ofiar, a następnie rozprucie ich brzuchów nożem do filetowania ryb w taki sposób, jak się filetuje łososie albo inne duże ryby, kiedy przygotowuje się je do grillowania. Według koronera kroił kobiety, kiedy jeszcze żyły, a kończył ich życie, podrzynając im gardła. Nigdy nie wyjaśniono, jakiego rodzaju przyjemność sprawiał mu ten rytuał. W nocy 18 listopada 1880 roku, zanim zdążył go zbadać lekarz, zniknął z celi komisariatu policji w Bishopsgate i nigdy więcej nikt go już nie widział. Nie ustalono, jak uciekł, ponieważ cela po jego zniknięciu była zamknięta na klucz, a kraty w oknie nienaruszone”.

Pod wpisem zamieszczono czarno-białą fotografię policyjną Jaspera Starke’a – Handlarza Rybami. Był łysy, miał nalaną twarz, blisko osadzone oczy i długie sumiaste wąsy. Jeśli nie brać po uwagę wąsów, można by go pomylić – zdaniem Jerry’ego – z Tellym Savalasem. Nawet podobnie się uśmiechał, jakby był z siebie zadowolony i wcale się nie zmartwił aresztowaniem.

Jerry przeczytał ten tekst jeszcze dwa razy i wyprostował się na krześle, wpatrzony w policyjne zdjęcie Jaspera Starke’a. Było dla niego jasne, że ktoś, kto zgwałcił, torturował i zabił Kathleen Hartley, użył dokładnie tej samej sadystycznej techniki – naprawdę identycznej. Ale mordercą nie mógł być przecież sam Jasper Starke, prawda? Chociaż jakimś sposobem uciekł z więzienia, od dawna powinien być martwy, tym bardziej że w jego czasach człowiek żył przeciętnie tylko czterdzieści cztery lata.

Ale... kim był mężczyzna bez głowy, którego Shantelle widziała przed domem Kathleen Hartley tego wieczoru, kiedy ta została zamordowana? „Przysięgłabym, że facet nie miał głowy” – powiedziała. Czy to mógł być Jasper Starke albo jakiś obłąkany wielbiciel Jaspera Starke’a, który postanowił go naśladować?

Poza morderstwem Kathleen Hartley Jerry i Dżamila musieli rozważyć także inne przypadki. Każdy z nich wyraźnie się różnił od pozostałych, a jednak wszystkie były ze sobą powiązane, bo sprawcy widziani byli przez świadków tylko we fragmentach.

Czyje nogi widziały na suficie dzieci z Brookwood School? I to zaledwie pół godziny przed znalezieniem ich nauczycielki martwej, rozjechanej przez tramwaj, który nie kursował po ulicach Londynu co najmniej od lat 50. XX wieku.

Jak to się mogło stać, że na strychu Sabiny pojawiła się głowa bez reszty ciała i rozmawiała z nią na krótko przed tragiczną chwilą, w której dziewczynka znalazła zaszlachtowaną matkę w kuchni? W jaki sposób mężczyzna bez stóp mógł się przedostać na korytarz w domu Kennetha Treagusa i go zastrzelić?

Jak to możliwe, że połowa człowieka oślepiła Jusufa? I jak to się stało, że Adele i Archie przenieśli zakupy pani Chibnall do domu, który nie istniał, i widział to jedynie starszy mężczyzna, który potem znikł?

Po tym, jak rozplynął się mężczyzna, który wyprowadzał na spacer małego teriera, Dżamila i Jerry przeszli się od domu do domu i zapukali do wszystkich drzwi z nadzieją, że mieszkańcy mogli zauważyć Adele i Archiego idących Saltcott Road z panią Chibnall albo że nagrały to kamery zainstalowane przy domach. Niestety, żaden z mieszkańców ich nie widział, dzieci nie zostały też zarejestrowane na nagraniach wideo. A ponadto nikt nie znał starszej wdowy o nazwisku Chibnall ani nie spotkał kobiety, która chociażby pobieżnie odpowiadałaby opisiowi.

Sugerując po raz pierwszy, że w grę mogą wchodzić mordercy z innego czasu, Jerry właściwie żartował. Ale po znalezieniu zapisków Nunna o Handlarzu Rybami zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby to najbardziej logicznym wyjaśnieniem. Miał ochotę zacytować Sherlocka Holmesa.

Nie mógł oderwać wzroku od fotografii Jaspera Starke'a, a ten wpatrywał się w niego z 1880 roku, posyłając mu zadowolony, brutalny uśmiech, jakby usiłował utwierdzić go w tak nieprzekonującym, że niemal szalonym rozwiązaniu zagadki zabójstwa Kathleen Hartley.

„Dalej, Pardoe! Do dzieła! Jeżeli to nie ja zakończyłem jej życie, stary, to któż inny? Tylko ja rżnę kobiety jak dziesięciokilowe dorsze”.

Jerry wyobraził sobie, jak wchodzi do gabinetu nadinspektora Chance'a i mówi, że trzeba teraz odszukać podejrzanego, który popełnił pięć podobnych przestępstw pomiędzy 1877 a 1880 rokiem. Nadinspektor kazałby go najprawdopodobniej zawiesić, a w najlepszym przypadku posłałby go do jakiegoś cichego kurortu nad morzem na bardzo długi urlop.

Jerry popatrzył na zegarek. Minęło wpół do dziewiątej, więc mógł już bez obaw zadzwonić do Dżamili. Mimo wszystko wysłuchał kilkunastu długich sygnałów, zanim Dżamila wreszcie odebrała.

– Czego chcesz, Jerry? Właśnie się kąpałam.

– Moglibyśmy umówić się gdzieś na kawę? Wolałbym nie rozmawiać z tobą na komisariacie, bo nie chcę, żeby ktoś nas podsłuchał.

– Doskonale. Może zjemy śniadanie w Social Pantry, o ile posiłki w tym miejscu nie wydają ci się zbyt ekologiczne?

– Dzisiaj, sierżancie, całkowicie zadowolony jestem nawet haust świeżego powietrza. Po tym, co zobaczyłem w ostatnich godzinach, możesz mi wierzyć, że absolutnie nie mam apetytu.

Jerry siedział już przy jednym z małych sosnowych stolików w Social Pantry, kiedy do lokalu weszła Dżamila. Wydawała się zdenerwowana, ale dla niego była najbardziej atrakcyjna właśnie wtedy, gdy najslabiej panowała nad sobą i włosy miała w nieładzie. Wówczas w mniejszym stopniu widział w niej funkcjonariuszkę wyższą stopniem, a w większym przystępną kobietę.

Przewiesiła dużą torebkę przez oparcie krzesła i usiadła.

– Mój samochód nie chciał zapalić, więc przyjechałam metrem i na Clapham North widziałam, jak starszy mężczyzna spadł ze schodów. Był pijany, całkowicie urżnięty, a przecież pora jest bardzo wczesna!

Podeszła kelnerka i Dżamila zamówiła dla siebie pieczarki dwuzarodnikowe na chlebie na zakwasie z ekologicznym pesto. Jerry poprosił o podwójne espresso.

– Wciąż nie masz apetytu? – zapytała Dżamila.

– Po tym, co dzisiaj przeczytałem, boję się, że nie będę w stanie niczego przekłnąć jeszcze przez tydzień.

Opowiedział jej o Jasperze Starke’u i o swoim spostrzeżeniu, że nacięcia na zwłokach Kathleen Hartley mocno przypominają nacięcia wykonane przez Starke’a na ciałach pięciu handlarek ostrygami, które zamordował.

Dżamila na dłuższą chwilę się zamyśliła.

– To chyba możliwe, że morderca Kathleen Hartley przeczytał o Jasperze Starke’u i postanowił go naśladować. Osobiście miałam do czynienia z więcej niż jednym przypadkiem, gdy sprawca naśladował sposób działania innego przestępcy.

– Co to za przypadki?

– Na przykład w zeszłym roku w Ilford pewien mężczyzna przeczytał o amerykańskim farmerze, który udusił żonę i wrzucił jej ciało do studzienki włazowej. Znalaziono ją dopiero po czterech latach. Mężczyzna też tak zrobił po zabójstwie, ale w Ilford robotnicy wyczuli dziwny odór i zwłoki odkryto już po trzech tygodniach.

– Pomyśl jednak o naszych sprawach – powiedział Jerry. – Gdyby z niemal identycznymi historiami wyskoczyło tylko dwoje świadków, to moglibyśmy uznać zbieżność w ich zeznaniach za przypadek. Ale mówimy o pięciu osobach. I o wydarzeniach, które się rozegrały w ciągu trzech dni. A nie uwzględniamy jeszcze zaginięcia Adele i Archiego.

Kelnerka przyniosła do stolika pieczarki i szklankę soku z buraków. Gryząc tost z chleba na zakwasie, Dżamila powiedziała:

– W gruncie rzeczy, Jerry, mój mózg pracuje ostatnio niemal na tych samych falach co twój. Rozmyślałam o tym brakującym domu przy Salcott Road i przypomniało mi się śledztwo, o którym usłyszałam dwa albo trzy lata temu. W 1982 roku porwano w Stratford z wózka dziecięcego sześciomiesięczną dziewczynkę. Policja londyńska stawała na uszach, żeby ją znaleźć, poszukiwania trwały kilka miesięcy, ale nic nie dały i w końcu sprawę zamknięto.

Upiła łyk soku z buraków, a Jerry się skrzywił i powiedział:

– Faj! Nie wiem, jak możesz pić coś takiego. Wolałbym psią krew niż to paskudztwo.

– To ciekawe, że wspomniałeś o psach. Ponieważ to mój znajomy, przewodnik psa policyjnego, znalazł zaginioną dziewczynkę. Nie uwierzysz, ale nastąpiło to prawie czterdzieści lat po porwaniu.

– Żartujesz.

– Nie. Ten przewodnik to posterunkowy Charlie Moss. Opiekuje się labradorem, którego od szczeniaka wychowywało medium, osoba organizująca seanse spirytystyczne. Charlie wierzy, że medium wyszkoliło psa w taki sposób, że potrafi wyczuwać osoby martwe tak samo jak żywe.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że nawiązuje łączność z duchami?

– Żebyś wiedział. Labrador wabi się Duch, a Charlie przekonał się, że potrafi znajdować zaginionych ludzi jeszcze długo po utracie wszelkiej nadziei przez ekipy poszukiwawcze, nawet po dziesiątkach lat. Czasami wiele lat po śmierci tych ludzi.

– Naprawdę to potrafi?

– Tak. Charlie przeczytał artykuł z lokalnej gazety o czterdziestej rocznicy porwania dziewczynki. Autor wspomniał, że rodzice dziecka zachowali wózek, z którego zostało uprowadzone. Charlie odwiedził ich i namówił, żeby pozwolili Duchowi powąchać materac w tym wózku. Duch złapał ślad i poprowadził do budynku, który stał w odległości niecałych trzech kilometrów, w Forest Gate. Wtedy mieszkała tam jakaś rodzina imigrantów, ale Duch zaczął krążyć wokół domu, znowu ruszył w trasę i dotarł dwa kilometry dalej, na miejski cmentarz.

– Co za historia! Dlaczego nie przekazano jej wszystkim policjantom?

– Nie przekazano, ponieważ nikt by w nią nie uwierzył, a policja londyńska nie chce uchodzić za instytucję, która zajmuje się bajkami. Jednak Duch odszukał grób i nie odszedł od niego, dopóki nie wykopano znajdujących się w nim szczątków. Na nagrobku widniało obce nazwisko niemające nic wspólnego z porwaną dziewczynką, lecz w trumnie znajdowało się ciało kobiety, a badania DNA potwierdziły, że to poszukiwana osoba.

– Zdziwiająca. Ale co chcesz mi powiedzieć? Uważasz, że Duch mógłby wywąchać pozostałe głowy, nogi i połowę człowieka?

– Nie mam pojęcia, Jerry. Ale prawdopodobnie odszuka Adele i Archiego, dokądkolwiek by poszli albo zostali zabrani. A jeśli uda nam się odkryć, co się stało z nimi, prawdopodobnie uzyskamy klucz do zrozumienia pozostałych spraw. Charlie wciąż pracuje w Lambeth, a Duch nadal jest aktywnym psem policyjnym. Wczoraj to sprawdziłam.

– Wiesz, co myślę? – odezwał się Jerry. – Myślę, że oboje jesteśmy równo stuknięci. I nie widzimy żadnych przeszkód, żeby dać Duchowi szansę.

– Tak, powinniśmy spróbować – odparła Dżamila. – Ale skoro mamy wkroczyć na nieznane terytorium, zasugeruję jedną rzecz: powinniśmy być uzbrojeni.

Nigdy nic nie wiadomo.

– No ale jeśli naszymi przeciwnikami są duchy, to co wtedy? Przecież duchom nie są straszne żadne kule.

Dżamila ciężko westchnęła.

– Pewnego dnia, Jerry, zaskoczysz mnie i powiesz coś poważnego.

Z przewodnikiem psa, Charliem Mossem, umówili się w psiarni na zapleczu laboratoriów policyjnych przy Lambeth Road. Kiedy wyszli z głównego budynku, zobaczyli go klęczącego i szczotkującego czekoladowobrązowego labradora retrievera.

– Charlie Moss? – zapytał Jerry.

Mężczyzna wstał. Był niski i krępy, miał siwe, krótko ścięte włosy. Ciemnoniebieską kurtkę mundurową nosił rozpiętą, eksponując napęczniały brzuch. Gdyby Jerry go spotkał, nie wiedząc, że ma do czynienia z przewodnikiem psa policyjnego, pomyślałby, że to komik występujący w klubach w Anglii Północnej.

– Detektyw sierżant Patel? Detektyw posterunkowy Pardoe? Dziękuję, że przyszedliście. Muszę powiedzieć, że telefon od was mocno mnie zaintrygował.

Jerry się zdziwił. Mężczyzna nie tylko wyglądał, ale i mówił jak komik z Północy. Jerry przypuszczał, że pochodzi z Barnsley albo Huddersfield.

– Przy okazji, to jest Duch. Duchu, przywitaj się z miłymi detektywami.

Duch najpierw podszedł do Dżamili, z łbem lekko przechylonym na bok, jakby oceniał jej wygląd i pochodzenie. Łapy stawił na ziemi bardzo pewnie, ale z wystudiowaną ostrożnością. Miał grube ciemnobrązowe futro, lśniące tak intensywnie, jakby ktoś go oblał płynną czekoladą. Jego oczy były zielone, a nawet Jerry wiedział, że zielone oczy u labradora są ogromną rzadkością.

Dżamila pogłaskała go po głowie, a Duch polizał jej dłoń. Następnie podszedł do Jerry'ego i zaczął węszyć, lecz nie zbliżył się na tyle, by Jerry mógł go dotknąć.

– Chyba nie spodobał mu się zapach mojego płynu do kąpieli – powiedział Jerry.

– Nie, wcale nie o to chodzi – odparł Charlie. – Wyczuwa w tobie męskiego rywala, to wszystko. Prawdopodobnie nigdy mu nie przyszło do głowy, że wcale nie jest człowiekiem, lecz psem.

– Myślisz, że będzie w stanie nam pomóc? – zapytała Dżamila.

– Cóż, chodzi o znalezienie tych dwojga dzieci, o których mówiłaś? Możesz mi wierzyć, że jeżeli jakkolwiek pies jest w stanie odnaleźć, to tym psem na pewno jest Duch. Po dzieciach po prostu urwał się ślad, prawda, detektywie Patel? A domu, do którego rzekomo oboje weszli, w ogóle nie ma w miejscu, w którym się powinien znajdować?

– Dokładnie tak. Został zbombardowany w czasie wojny i nigdy go nie odbudowano. Spotkaliśmy jednak świadka, który widział, jak dzieci do niego wcho-

dzą. Mamy nadzieję, że jeśli istniał w przeszłości, to może Duch znajdzie jakieś utrzymujące się zapachy w miejscu, w którym kiedyś stał.

– Nie zaszkodzi spróbować – stwierdził Charlie. – Duch nie zawsze ma wpływ na to, jakie zapachy nim kierują. Ale wykazał się wielką determinacją, kiedy szukał grobu Lily Matthews, tej dziewczynki, którą porwano w 1982 roku. Dam wam jednak inny przykład. Pod koniec ubiegłego roku zostaliśmy wezwani z Duchem do pewnego domu niedaleko Clapham Common, z którego docierały do sąsiadów krzyki kobiety, naprawdę straszliwe krzyki. Policjanci już wcześniej sprawdzali ten dom jakieś pięć razy, lecz nigdy nie natrafili tam na żadną kobietę. Mężczyzna, który w nim mieszkał, twierdził, że jego żona wyszła z domu przed wieloma miesiącami i nie ma pojęcia, gdzie ona przebywa. Pani Roe, tak się nazywała. Ale Duch poszedł węszyć do sypialni, a potem wybiegł z domu i skierował się na łąkę, prawda, piesku?

Duch popatrzył na Charliego inteligentnymi zielonymi oczami i pomachał ogonem, jakby rozumiał każde wypowiedane przez niego słowo.

– Stanął na brzegu Mount Pond, usiadł i nie ruszył się stamtąd, dopóki nie wezwaliśmy nurka. Nurek znalazł obciążone zwłoki pani Roe w najgłębszym miejscu stawu. Okazało się, że mąż dowiedział się o jej romansie i kobietę udusił. Rozciął jej brzuch nożycami ogrodowymi i wpakował do środka cegły, po czym zaszył ją i wrzucił do wody.

– Ale Duch ją znalazł?

– Tak, lecz nie mam pojęcia, jak to zrobił. Jednak jako szczeniak wychowywany był w Brighton przez medium, Stefana Vandobara, i tylko zgaduję, że za każdym razem, kiedy Stefan Vandobar przeprowadzał seans spirytystyczny i ukazywały się jakieś postaci z przeszłości, Duch je wyczuwał. Jestem przekonany, że dla mojego psa duchy są postaciami równie realnymi jak żywi ludzie.

– Miejmy nadzieję, że Adele i Archie wciąż są żywymi ludźmi – powiedziała Dżamila. – Kiedy będziesz mógł podjąć poszukiwania z Duchem?

Charlie popatrzył na Ducha, a Duch popatrzył na niego. Choć Charlie milczał, z gardła psa wydobył się krótki ostry warkot.

– Mówi, że jest gotowy w każdej chwili – poinformował Charlie.

Edward wyszedł z warsztatu na zapleczu swojego salonu jubilerskiego i ze zdziwieniem stwierdził, że nad oszkloną gablotą z zegarkami pochyła się jakaś kobieta.

– Proszę pani, salon już jest zamknięty.

Kobieta nadal przypatrywała się zegarkom, jakby w ogóle nie usłyszała jego słów.

– Ile kosztuje ten patek philippe? – zapytała.

– Przepraszam panią, ale salon jest już zamknięty. Nie zauważyła pani tabliczki na drzwiach? I może zechce mi pani wyjaśnić, w jaki sposób weszła do środka? Wydaje mi się, że zamknąłem drzwi na klucz.

Kobieta wreszcie odwróciła się w jego stronę. Była równie wysoka jak on, ubrana w długi beżowy płaszcz z podwyższonymi, wyściełanymi naramiennikami. Włosy uczesała w dwa duże zwoje, a jej twarz miała niezdrowy ziemisty kolor, jakby kobieta całe życie spędziła w zamkniętych pomieszczeniach przy zaciągniętych zasłonach.

– Nie powie mi pan, ile kosztuje ten zegarek?

Edward podszedł do drzwi i poruszył klamką. Drzwi wciąż były zamknięte na klucz. Poza tym włączony był już alarm; nie potrafił sobie wyobrazić, jak kobieta mogła wejść do salonu, nie uruchamiając go.

– Jak się pani tutaj dostała? – spytał ponownie. – Chyba nie ukryła się pani za ladą, kiedy zamykałem drzwi na klucz, co?

– Zależy mi na tym zegarku – upierała się kobieta. – Nie chce pan mi go dać?

– Oczywiście, że nie zamierzam pani dać tego zegarka. A ponieważ obeszła pani system alarmowy w salonie, nie zamierzam również go pani sprzedać. W tej chwili wyłączę na chwilę alarm, otworzę drzwi i zyczę sobie, żeby pani stąd poszła.

– Czy pan mnie nie słyszy? Ja chcę wziąć ten zegarek. Nie wyjdę stąd bez niego.

– Proszę pani, to jest patek philippe nautilus i chociaż to jeden z najtańszych modeli, i tak kosztuje dwadzieścia trzy tysiące funtów. Nie chcę pani obrazić, ale szczerze wątpię, czy panią na niego stać.

– Nie mam najmniejszego zamiaru go kupować – odpowiedziała kobieta, jakby sam ten pomysł uważała za śmieszny. – Po prostu chciałam się dowiedzieć, ile jest wart.

– Lepiej niech pani już stąd idzie – rzucił Edward.

Z jakiegoś powodu jej obecność w salonie zaczynała działać mu na nerwy. Nie tylko dlatego, że w niewiadomy sposób weszła do pomieszczenia zamkniętego na klucz. Drażniło go jej lekceważące zachowanie i upieranie się przy tym, że nie wyjdzie z salonu, jeśli nie dostanie zegarka. Salon Edwarda już kiedyś okradziono, ale rabunek był sprawką lokalnych złodziejasków w maskach, którzy wybili cegłami szybę w oknie wystawowym. Jeżeli teraz rzeczywiście miał do czynienia ze złodziejką, na razie próba okradzenia go przebiegała wyjątkowo spokojnie, a Edward nie wiedział, jak traktować tę nachalną kobietę. Gdyby teraz ją wypchnął na ulicę, to czy mogłaby go oskarżyć o napaść?

Podszedł do drzwi, wyłączył alarm i przekręcił klucz w zamku.

– Niech pani posłucha – powiedział. – Jeżeli w tej chwili dobrowolnie pani stąd nie wyjdzie, wezwę policję.

– Miarkuj się, człowieku! Daj mi zegarek, to zaraz sobie pójde.

– Ani mi się śni. Nie dam pani ani zegarka, ani nic innego.

– Zatem sama go sobie wezmę.

Kobieta obeszła ladę, otworzyła gablotę i wsunęła do środka rękę. Edward natychmiast skoczył ku niej i złapał ją za rękaw. Przez materiał płaszcza poczuł, że jej ramię jest wąskie i twarde jak metalowy pogrzbacz.

– Puść mnie! – wrzasnęła i okrzyknęła się na piętach, żeby się od niego uwolnić.

W tym samym momencie Edward poczuł, że ktoś szarpie go od tyłu. Czyjeś krzepkie ramię otoczyło jego szyję, niemal go dusząc. Został pociągnięty do tyłu i niespodziewanie przywarł plecami do klatki piersiowej jakiegoś mężczyzny.

Spróbował się odwrócić i zobaczyć, kto go zaatakował, lecz ramię tak mocno uciskało go, że prawie nie mógł oddychać i nie miał żadnej możliwości poruszania głową. Mężczyzna, który go przycisnął do siebie, był duży i muskularny. Mankiety jego szorstkiego swetra nieprzyjemnie drapały skórę na gardle Edwarda. Prawdopodobnie był nieogolony, bo Edward czuł twarde zarost na swoim karku. Owionął go jego oddech, zaskakująco zimny, zalatujący alkoholem i papierosami.

Edward nie był w stanie mówić i tylko patrzył bezsilnie, jak kobieta wyciąga z gabloty wypatrzonego patka philippe'a i jeszcze trzy inne zegarki, każdy z nich wart ponad dziesięć tysięcy funtów. Wrzuciła je do kieszeni płaszcza, po czym odwróciła się twarzą do Edwarda, złożyła ręce i lekko dygnęła, jakby mu dziękując.

Mężczyzna osłabił chwyt na jego gardle, ale za to złapał go za ramiona nad łokciami, więc Edward nadal nie mógł się ruszyć.

– Kim jesteście? – zapytał Edward. Próbował odwrócić głowę, żeby przyjrzeć się mężczyźnie. – Jak tutaj weszliście?

– Byliśmy tu przez cały czas, stary – odparł mężczyzna. Mówił ochryplym głosem, jakby był przeziębiony.

– Lepiej mnie puść, przyjacielu, ponieważ znalazłeś się w większych kłopotach, niż możesz sobie wyobrazić. – Edward powiedział to drżącym głosem, ale był teraz równie wściekły jak wystraszony. – Idźcie stąd. Weźcie sobie te zegarki. Ale nigdy ich nie sprzedacie, bo są numerowane i doskonale znane jubilerom. Jeśli popatrzyście na sufit nad drzwiami, zobaczycie kamery przemysłowe. Wasze wstrętne pyski znajdują się w portalach społecznościowych szybciej, niż możecie sobie wyobrazić.

– Wiesz co? – odparł mężczyzna. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz, do diabła. I zresztą gównu mnie to obchodzi.

Po tych słowach znów objął ramieniem jego szyję, uciskając tak mocno jabłko Adama, że Edward zacharczał. Wyczuł jakiś ruch za plecami i nagle poczuł straszliwy cios pomiędzy nogami. Ale było to coś więcej niż uderzenie. Coś zimnego i ostrogo przebiło jego spodnie, rozerwało na pół jego odbył, a następnie wbiło się jeszcze głębiej, w jelita.

Nie mógł krzyknąć, bo nie był w stanie wdychać powietrza, ale wydał dźwięk, jaki dobiega ze zlewozmywaka, kiedy spływa do niego resztką wody. Czuł zimny, ostry przedmiot rozcinający jego wnętrzności, a kiedy mężczyzna oderwał wreszcie ramię od jego szyi, Edward przewrócił się na podłogę.

– Aaa – tylko tyle zdołał z siebie wydusić. Pomiędzy jego nogami ból był tak intensywny, że Edward nie chciał nawet opuścić rąk, żeby się przekonać, co mu zrobił mężczyzna. – Aaa.

Nie widział go wyraźnie, przed oczami miał tylko jego zamazaną sylwetkę. Jednak mężczyzna trzymał w ręce piętnastocentymetrowy nóż do krojenia mięsa i wymachiwał nim przed jego twarzą. Edward dostrzegł, jak od stalowego ostrza odbija się światło.

Mężczyzna pochylił się nad nim tak nisko, że Edward poczuł jego chłodny, zjełczały oddech.

– Nazywają mnie Podstępny Nożownikiem – wyszeptał. – Już wiesz dlaczego.

16

Jerry i Dżamila udali się do domu Cooperów przy Northcote Road, a Charlie Moss z psem pojechali za nimi furgonetką.

Pan Cooper otworzył drzwi po pierwszym dzwonku. Zrozpaczona żona stała za jego plecami.

– Macie nowe wiadomości? – zapytał.

– Przykro mi, jeszcze nie – odparła Dżamila. – Ale przywieźliśmy ze sobą psa policyjnego, który wielokrotnie już odnajdywał zaginione osoby. Zdołał znaleźć wielu ludzi dawno po tym, jak wszyscy utracili jakąkolwiek nadzieję.

Odwróciła się, a Charlie wprowadził Ducha na ganek.

– Oto on. Wabi się Duch, ale niech jego imię państwa nie niepokoi. To imię otrzymał dlatego, że jego zmysł powonienia jest tak czuły, że – jak to powiedzieć? – niemal nadprzyrodzony.

Duch uniósł łeb i popatrzył na Cooperów z opuszczonymi uszami i ogonem. Stał prawie nieruchomo, jakby chciał im pokazać, że jest poważny, kompetentny i można mu w pełni zaufać.

– Ale to chyba nie oznacza, że odwołaliście główną akcję poszukiwawczą, prawda? – zapytał pan Cooper.

– Absolutnie nie – zapewniła go Dżamila. – Jednak w promieniu dziesięciu kilometrów od waszego domu nikt do tej pory nie zauważył Adele i Archiego. Powiększyliśmy właśnie obszar poszukiwań do dwudziestu kilometrów, sprawdzamy także portale społecznościowe z nadzieją, że jakaś wskazówka dotycząca ich losu pojawi się na Twitterze, Instagramie albo Snapchacie.

– Myślicie, że ktoś porwał nasze dzieci? – zapytała pani Cooper. Oczywiście miała czerwone i opuchnięte od płaczu. – Jeśli to jest porwanie dla okupu, zapłacimy tyle, ile tylko zażądamy porywacze.

– Nie mamy dowodów, że dzieci państwa zostały uprowadzone. Jak państwo wiedzą, ostatnią osobą, które je widziała, był mężczyzna, który wyprowadzał psa na Salcott Road. Widział, jak niosą zakupy jakiejś starszej kobiety. Innymi świadkami nie dysponujemy i nie mamy żadnych nowych wiadomości. Nikt się nie kontaktował z żądaniem okupu ani nic z tych rzeczy.

– I policja w ogóle się nie domyśla, co się mogło z nimi stać? Wierzycie przynajmniej, że wciąż żyją?

– Wierzymy i właśnie dlatego przyprowadziliśmy ze sobą Ducha – powiedziała Dżamila. Nie dodała, że Duch jest równie skuteczny w poszukiwaniu osób

żywych, jak i umarłych.

– Jeżeli państwo nie mają nic przeciwko temu, wprowadzę Ducha do sypialni dzieci – wtrącił się Charlie. – Pies zdobędzie czuciowy obraz osób, których ma szukać. Kiedy je sobie zwizualizuje, nic już nie zbije go z tropu, możecie mi wierzyć. Żaden deszcz, żadne błoto, przekopany klomb z kwiatami ani starannie wyczyszczony dywan. Żaden nowy zapach go nie zdezorientuje. A że Duch jest uparty, będzie poszukiwał państwa dzieci aż do skutku.

– Oczywiście – powiedział pan Cooper. – Wejździe. Z góry przepraszam za bałagan w domu. Pewnie potraficie sobie wyobrazić, że w tej chwili koncentrujemy nasze myśli wyłącznie na Adele i Archiem.

– Chyba nie sądzicie, że stało się im coś złego? – zapytała pani Cooper. – Zwykle oboje są bardzo rozsądni. Zawsze mówią nam, dokąd idą, nawet jeśli to jest wyprawa do najbliższego sklepu.

– Dopuszczamy wszelkie ewentualności – odparła Dżamila. – Nawet rozsądni młodzi ludzie czasami się zapominają i robią coś zupełnie niepasującego do ich charakterów. Ostatnio zajmowaliśmy się bardzo poważnym ośmiolatkiem, który, nikogo o tym nie uprzedziwszy, wsiadł do pociągu i pojechał do Szkocji, ponieważ chciał zobaczyć potwora z Loch Ness. Nie kupił nawet biletu!

Pan Cooper poprowadził policjantów na piętro do pokoiów dzieci. Duch wszedł najpierw do sypialni Adele. Zaczął intensywnie obwąchiwać gruby różowy dywanik przy łóżku, a potem starannie zasłaną pościel, na której leżały pluszowe zabawki – króliki, kotki i uśmiechnięte lalki.

– Proszę udostępnić Duchowi także jej ubrania, dobrze? – poprosił Charlie.

Pani Cooper otworzyła drzwi szafy, pozwalając psu zapoznać się z zapachem sukienek, pulowerów i bielizny Adele.

Jerry był zafascynowany uwagą, jaką Duch poświęcał rąbkom kolejnych spódniczek Adele, zastygając co chwilę, jakby utrwał sobie w mózgu jej przypuszczalny wygląd i zapewne cechy jej osobowości. Przez cały czas z wielkiego plakatu na ścianie uśmiechał się do nich Justin Bieber, a kiedy Duch skończył obwąchiwać ubrania Adele, obrócił się i także na niego popatrzył.

– Spokojnie, piesku – powiedział Jerry. – Tego faceta nie musisz szukać.

Przeszli do sypialni Archiego. Jego łóżko było niepościelone, a na podłodze leżały klocki Lego, porozrzucane elementy składanego robota, papierki po cukierkach i puste pudełko po pizzy.

– Kazaliśmy mu wszystko posprzątać – powiedział pan Cooper. – A teraz, dopóki bezpiecznie nie wróci do domu, jakoś nie mamy serca, żeby to zrobić za niego.

Duch obwąchał kołdrę Archiego, tak pomiętą, jakby chłopak stoczył z nią walkę na łóżku. Następnie pani Cooper otworzyła szafę z jego ubraniami, a Duch zapoznał się z zapachem jego kolekcji pogniecionych dresów, koszulek i pozwijanych w kłębek piżam.

Wreszcie Duch cicho pisnął i popatrzył na Charliego, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, mam już wszystko, czego potrzebowałem”.

– Dzięki, pies już tutaj swoje zrobił – powiedział Charlie do Cooperów. – Teraz wyjdziemy na zewnątrz i Duch zacznie szukać państwa dzieci w terenie.

– Zdaje się, że przekazaliśmy już policji ich fotografie, prawda? – zapytała pani Cooper. – Potrzebujecie ich więcej? Mamy jeszcze jakieś szkolne zdjęcia obojga.

– Nie, dziękujemy. To, czym dysponujemy, w zupełności nam wystarczy.

Duch zbiegł na parter i wszyscy ruszyli za nim.

– Będziecie nas o wszystkim na bieżąco informować, prawda? – odezwał się pan Cooper. – Nawet gdyby...

Kiedy doszli do drzwi, Jerry położył dłoń na ramieniu pana Coopera i uspokajająco skinął głową pani Cooper.

– Kiedy sprawą zajmuje się policja, brak wiadomości jest dobrą wiadomością, ale teraz, skoro zaangażowaliśmy Ducha, proszę się już nie niepokoić. Ten pies jest najlepszy z najlepszych i na pewno znajdzie wasze dzieci. Kiedy tylko do nich dotrzemy, pierwsi się o tym dowiecie.

Kiedy wyszli na Northcote Road, Duch natychmiast szarpnął smycz i pociągnął Charliego na północ, w kierunku Salcott Road.

– Hej, od razu złapał silny trop – powiedział Charlie. – Kiedy nie jest całkowicie pewien, dokąd iść, od czasu do czasu odwraca się i patrzy na mnie, jakby pytał, czy na pewno podąża prawidłową drogą. Ale do tej pory nie odwrócił się ani razu. Jest zupełnie przekonany, że idzie w dobrym kierunku.

Owinął koniec smyczy wokół pięści i mocno ją trzymał, nie pozwalając Duchowi biec. Ale pies tak szarpał smycz, że musiał podążać za nim niemal truchtem. Dżamila i Jerry dostosowali się do tego tempa; żeby nie tracić dystansu, Dżamila musiała od czasu do czasu kawałek przebiec.

– Cholera – powiedział Jerry, odrobinę zasapany. – Mój lekarz powiedział, że powinienem więcej ćwiczyć, lecz przestrzegł, żeby z tym nie przesadzać.

Duch dotarł do rogu Salcott Road i bez wahania pociągnął Charliego w kierunku słupa telegraficznego i przestrzeni pomiędzy budynkami, gdzie kiedyś stał dom numer 79. Kiedy się znalazł na miejscu, stanął przed żywopłotem i dwukrotnie ostro warknął.

– A więc tutaj stał dom – powiedział Charlie. – Ten, który został zbombardowany?

– Dokładnie – odparła Dżamila.

– Z całą pewnością dzieci przez jakiś czas tutaj przebywały – stwierdził Charlie, a Duch popatrzył na niego z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „Tak, masz rację”.

– Ale tylko przez jakiś czas? – zapytała Dżamila.

Charlie popatrzył ponad żywopłotem na patio i donice z kwiatami.

– No bo przecież teraz ich tutaj nie ma. Jesteśmy pewni przynajmniej tego.

– Tak, oczywiście – powiedziała Dżamila. – Ale, jak już mówiłam, moim zdaniem mamy tutaj do czynienia ze skrajnie niezwykłą sytuacją. I z ludźmi, którzy znajdują się pomiędzy nami, ale są niewidzialni albo widzialni tylko częściowo.

– Wierzę ci na słowo. Duch prawdopodobnie pojmuję, o czym mówisz, nawet jeżeli ja tego nie zrozumieję. Jego mocnym atutem jest wychowanie w tym środowisku.

Gdy rozmawiali, Duch znowu szarpnął za smycz i próbował pociągnąć Charliego z powrotem w kierunku, z którego przyszli.

– Widzicie? – zawołał Charlie. – Powiedział nam, że dzieci były tutaj, bez cienia wątpliwości, a potem powędrowały gdzieś indziej.

Duch poprowadził ich z powrotem na Northcote Road. Kiedy dotarł do rogu, przez chwilę się wahał, wdychając powietrze z wysoko uniesionym łbem. Odczekał cierpliwie, aż przejadą trzy samochody i autobus, po czym poprowadził Charliego na środek ulicy. Wąchał przy tym asfalt, jakby wyczuł pod jego powierzchnią coś ważnego.

Kiedy wykonał na jezdni obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni, znów wysoko uniósł łeb, popatrzył na północ i dwukrotnie warknął.

– Mówi, że dzieci poszły w tę stronę – powiedział Charlie, wskazując na ulicę. – Ale prawdopodobnie pojechały autobusem albo samochodem, jeżeli ktoś je porwał albo po prostu postanowił podwieźć.

– Jakim sposobem Duch jest w stanie to wywęszyć? – zapytał Jerry.

– Nie pytaj mnie, nie jestem psem. Ale podobnych odkryć dokonywał już w przeszłości. Kiedyś wywęszył podejrzanego, który uciekł z miejsca rabunku, złapałszy ubera. Duch podążył za nim całą drogę z Pasley Park do dzielnicy St Saviour.

– Obaj przeszliście tę trasę na nogach?

– Oczywiście. Tak jak będziemy musieli zrobić to dzisiaj.

– Doskonale – powiedziała Dżamila. – Im szybciej ruszymy, tym większa szansa, że znajdziemy te dzieci.

Poszli za Duchem w kierunku Wandsworth Road. Następnie pies skręcił na północny wschód i poprowadził ich na Kennington, pomiędzy długimi rzędami domów w zabudowie szeregowej i sklepów, wśród bezustannego hałasu jeżdżących samochodów. Ani przez chwilę nie popatrzył na Charliego, truchtał tylko przed siebie z nosem przy ziemi i zatrzymywał się tylko wtedy, gdy musiał przechodzić przez boczne ulice; wtedy razem ze wszystkimi przechodniami czekał na zmianę świateł, choć wciąż całkowicie skoncentrowany na swoim zadaniu. Jego zielone oczy mówiły, że doskonale wie, dokąd idzie.

Po około czterdziestominutowym intensywnym marszu Jerry odezwał się:

– Mam cholerną nadzieję, że nie idziemy na próżno. Jestem wykończony.

– Kiedy w końcu dotrzemy tam, dokąd prowadzi nas Duch, obiecuję, że postawię ci piwo – odparła Dżamila.

– Piwo? Jak tak dalej pójdzie, będę raczej potrzebował kroplówki.

W końcu po ponadgodzinnym marszu Duch zaprowadził ich na krótką szeroką drogę z tabliczką St Oswald's Place. Po jednej stronie ulicy stał blok mieszkalny z praniem wywieszonym na większości balkonów, a po drugiej ponury brzydki mur z cegieł, z którego gdzieniegdzie prześwitywały zakratowane okna. Duch doszedł niemal do końca ulicy, na zaplecze wiktoriańskiego kościoła. Zatrzymał się przed żelazną bramą, za którą znajdował się wąski dziedziniec z pięcioma pojemnikami na śmieci.

Duch stał bez ruchu przed bramą prawie minutę, głęboko oddychając i przytrzymując przez kilka sekund każdy oddech w płucach, jakby analizował wszystkie atomy, które się unosiły w powietrzu. Jerry przykucnął i oparł się o mur, obserwując go z fascynacją. Bezruch Ducha nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że próbuje on sobie coś wyobrazić, lecz Jerry nawet nie próbował zgadywać, co się w tej chwili dzieje w jego mózgu. Zastanawiał się, czy psy postrzegają świat w taki sam sposób jak ludzie. I czy widzą rzeczy, których ludzie nie są w stanie dostrzec, podobnie jak czują zapachy, które do ludzi w ogóle nie docierają.

– No i co, piesku? – zapytał Charlie.

Jerry zauważył, że przewodnik nazywa Ducha „pieskiem”, ale nigdy nie szarpie go za uszy, nie poklepuje po grzbiecie i właściwie przez cały czas traktuje go jak inną osobę. – Gdzie są te dzieciaki. Możesz nam powiedzieć, dokąd poszły?

– To ciekawe – zauważyła Dżamila, wpatrując się w trzymetrowej wysokości mur, który ograniczał dziedziniec od prawej strony. – Cegły z boku są zupełnie inne niż te od frontu. Mają inny kolor, widzicie? Są bardziej pomarańczowe i wyglądają na znacznie nowsze, bo nie są okopcone. A na górze dach nie opada pod kątem, lecz gwałtownie się kończy.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Jerry.

– Zastanawiam się, czy tutaj nie stał kiedyś dom, tak jak przy Salcott Road, i nie został zbombardowany podczas wojny lub zburzony w innym czasie, a teraz na jego miejscu znajduje się ten dziedziniec.

– To całkiem prawdopodobne. Możemy sprawdzić dokumentację w urzędzie. Ale skoro tak jest w rzeczywistości, dochodzimy do wniosku, że Adele i Archie wchodzili do dwóch domów, które już nie istnieją. Nawet nie próbuj mnie pytać, co z tego wynika.

Charlie kilkakrotnie szarpnął smycz Ducha i powiedział:

– No, piesku? Co teraz? Skoro tutaj tych dzieciaków nie ma, dokąd poszły?

Duch znowu warknął, a następnie odwrócił się i popatrzył uważnie na troje policjantów, jakby pytał ich, czy wciąż mają dość energii, żeby pójść z nim jeszcze dalej. Do tej pory przebyli przecież ponad pięć kilometrów.

Duch poprowadził ich z powrotem na Kennington Lane, a potem jeszcze jakieś czterysta metrów tą ulicą, prosto do pubu o nazwie The Wayfarer. Zatrzymał się przed drzwiami i usiadł. Był równie pewien swojego wyboru, jak przed patio na Salcott Road i przed dziedzińcem przy St Oswald's Place.

– Weszły do knajpy? – spytał Jerry. – W porządku, nie mogę mieć im tego za złe. Ale po co? Przecież nie miały szansy na to, że ich ktoś obsłuży.

– Może wprowadził je do środka ktoś dorosły? – zasugerowała Dżamila.

– Cóż, zapytajmy.

Weszli do środka i podeszli do baru. Zbliżyła się do nich młoda kobieta z wielkimi okrągłymi kolczykami i zapytała:

– Czego sobie życzycie? Obawiam się jednak, że z psem będziecie musieli wyjść na zewnątrz, do naszego ogródka, o ile to nie jest przewodnik.

– W pewnym sensie jest, bo to pies policyjny – powiedział Charlie. – A państwo, którzy są ze mną, to funkcjonariusze policji.

Dżamila pokazała kobiecie legitymację.

– Jestem detektyw sierżant Patel, a ten pan obok mnie to detektyw posterunkowy Pardoe. Poszukujemy dwojga dzieci, jedenastoletniej dziewczynki i dziewięcioletniego chłopca. Nasz pies przyszedł tutaj ich śladem z Wandsworth. Proszę spojrzeć, mamy ze sobą ich fotografie. Zastanawiamy się, czy te dzieci przypadkiem tutaj nie przyszły w towarzystwie jednego lub dwóch dorosłych.

Młoda kobieta popatrzyła na zdjęcia i zmarszczyła czoło.

– Nie, nie widziałam ich. A niby kiedy mogły tutaj przyjść?

– Prawdopodobnie wczoraj, późnym popołudniem albo wieczorem.

– Nie, nie widziałam ich. Ale wczoraj pracował tutaj także Don. W tej chwili zajmuje się drugim barem. Pójdę tam i go zapytam.

Wzięła fotografie i poszła do większej sali barowej, ale niemal natychmiast wróciła, kręcąc głową.

– Don także ich nie widział. Powiedział zresztą, że od ostatniego weekendu nie było u nas ani jednego dziecka.

Tymczasem Duch znowu zaczął węszyć z uniesionym łbem i opuszczonymi uszami. Niespodziewanie pociągnął Charliego do drzwi wyjściowych.

– Hej! – zawołał Jerry. – Chyba musimy już stąd iść.

– W każdym razie bardzo pani dziękujemy – powiedziała Dżamila do młodej barmanki.

Odebrała od niej fotografie Adele i Archiego, po czym wyszła za Charliem i Jerryem na zewnątrz, na Kennington Lane.

– Co teraz? – zapytał Jerry.

Duch czekał przy krawężniku, patrzył jednak prosto na drugą stronę ulicy.

– Musiały wyjść z baru i pójść właśnie tam – powiedział Charlie. – Ale popatrzcie tylko na Ducha. On drży. Zdarza mu się to tylko wtedy, kiedy znajdzie się naprawdę blisko osób, których szuka. Zakładam więc, że dzieci są gdzieś niedaleko.

Przeszli przez jezdnię i Duch podszedł do trzypiętrowego budynku stojącego dokładnie naprzeciwko pubu. Kamiennie schody obok drzwi wejściowych prowadziły prosto do piwnicy. Na ścianie domu Jerry dostrzegł wyblakłą strzałkę wskazującą w dół oraz napis „...chron publiczny”.

Duch wsunął nos pomiędzy kraty zagradzające wstęp do piwnicy i zaczął cicho skomleć, wydobywając głos z najdalszych czeluści gardła. Wciąż drżał, a teraz zaczął dodatkowo przestępować z jednej przedniej łapy na drugą, jakby maszerował w miejscu.

– Jestem gotów postawić duże pieniądze na to, że dzieci są właśnie tutaj – powiedział Charlie.

Jerry podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Czekali dość długo, ale wreszcie otworzył im drzwi mężczyzna z potarganymi siwymi włosami, w sfatygowanych okularach i w za dużej kamizelce zrobionej na drutach.

– Nie, dziękuję – powiedział i natychmiast zatrzęsnąłby drzwi, gdyby Jerry go nie powstrzymał.

– My niczego nie sprzedajemy, proszę pana. Jesteśmy z policji.

– Z policji? Po co? Nie dzwoniłem po was. No, chyba że przez pomyłkę.

– Musimy się dostać do pańskiej piwnicy – odezwała się Dżamila. – Mamy powody, żeby przypuszczać, że przebywają w niej dwie zaginione osoby.

– O ile mi wiadomo, nikogo tam nie ma – odparł starszy mężczyzna. – Używamy tej piwnicy tylko jako magazynu. Przechowujemy tam książki, niepotrzebne meble i podobne rzeczy.

– Mimo wszystko, proszę pana, chciałabym, żeby pozwolił nam pan zajrzeć do środka. Oszczędzilibyśmy w ten sposób czas i energię potrzebną do tego, żeby uzyskać nakaz przeszukania.

Mężczyzna wydał policzki, jakby miał już dość zawracania mu głowy. Po chwili jednak powiedział:

– Dobrze. Tylko wezmę klucze z mieszkania.

Znowu długo czekali – tymczasem Duch wciąż popiskiwał, drżał i przestępował z łapy na łapę – ale mężczyzna w końcu wrócił. Otworzył kluczem kraty i zaczął schodzić po schodach do drzwi piwnicy.

– Proszę bardzo – powiedział po chwili i machnął ręką na policjantów. – Możecie wejść do środka. Włącznik światła jest po lewej stronie.

Duch szybko zszedł po schodach do piwnicy i zaczął ją intensywnie obwąchiwać, zanim Charlie zapalił światło. Pod dwiema długimi ścianami pomieszczenia stały meble – krzesła z jadalni, sofy i przeszklone kredensy, a także lampy i pudła pełne książek. Ale chociaż Duch był podekscytowany i energicznie wymachiwał ogonem, nie było tu nawet śladu po Adele i Archiem.

Dżamila i Jerry powoli obeszlą piwnicę. Zajrzeli do każdego ciemnego kąta i do każdego kartonu z książkami. Podnieśli nawet część książek, żeby się upewnić, że dzieci nie zostały zamordowane, a ich ciała nie ukryto pod oprawnymi

w skórę tomami *Encyklopedii Britannica*, sztukami Szekspira czy powieściami Conan Doyle'a.

Następnie wspięli się na skrzynie i zeszli z nich w najdalszy zakamarek pomieszczenia, gdzie jedno na drugim stały dwa półokrągłe biurka. Otworzyli w obu wszystkie szuflady, upewniając się, czy ciało dzieci nie poćwiartowano i nie schowano właśnie tam. Oboje byli w przeszłości świadkami znacznie bardziej przemyślnych prób ukrycia zwłok, w szczególności zwłok niemowląt i małych dzieci. Jerry miał kiedyś do czynienia ze zbrodniarzem, który siedmioletnią dziewczynkę pociął na dwadzieścia kawałków za pomocą piły łańcuchowej.

– Adele! – zawołała Dżamila. – Archie! Słyszycie mnie?

Wszyscy znieruchomieli, lecz poza ciężkim oddechem i stąpieniem łap Ducha po betonie w piwnicy nie było słychać żadnego innego dźwięku.

– Dlaczego on jest aż tak pewien, że te dzieci są tutaj? – Jerry zapytał Charliego. – Bo przecież ich tu nie ma prawda?

Charlie popatrzył na Ducha, wciąż energicznie miotającego się od jednej ściany do drugiej, i zaprezentował typową minę komika z Północy.

– Nie wiem, stary. Zazwyczaj jest dla mnie zagadką, co się dzieje w głowie tego psa, chyba że jest głodny, chce mu się pić albo musi się wysrać.

– Co więc proponujesz? Co powinniśmy teraz zrobić? – zapytała Dżamila. – Dzieci prawdopodobnie tutaj nie znajdziemy, chociaż niewykluczone, że jakiś czas temu przebywały w tej piwnicy. Uważasz, że Duch poprowadzi nas teraz w jakieś inne miejsce?

– Jakoś mi się nie wydaje. Dajmy mu trochę więcej czasu. Coś tutaj znalazł, nie mam wątpliwości. I to jest na pewno związane z zaginionymi dziećmi. Jak powiedziałem wcześniej, kiedy Duch podejmie trop, nie spocznie, póki nie dotrze do celu.

Czekali cierpliwie, a tymczasem Duch chodził tam i z powrotem po całej piwnicy. Jerry uznał, że pies jest raczej zdeterminowany niż zaskoczony. Co ciekawe, ignorował meble i kartony z książkami, za to gwałtownie wciągał powietrze pośrodku pomieszczenia, jakby wyczuwał, że właśnie tam jest coś istotnego, ale nie był w stanie określić, co to takiego.

Minęło pięć minut i wreszcie Dżamila popatrzyła na zegarek.

– Mam wrażenie, że on nie wyczuwa już Adele i Archiego – powiedziała. – Być może byli tutaj przetrzymywani przez dłuższy czas i dlatego go to zdezorientowało.

Charlie wzruszył ramionami.

– Muszę powiedzieć, że jeszcze nie widziałem, żeby się tak zachowywał. Duchu! Duchu! O co ci chodzi? Co takiego wyczułeś?

Duch nie zwrócił na niego uwagi, lecz krótko warknął i odskoczył do tyłu, jakby ktoś go kopnął. Następnie wyszczerzył kły, rzucił się do przodu, po czym zaczął szarpać za coś, co widział tylko on. Dżamila, Jerry i Charlie patrzyli

w osłupieniu, jak znikąd pojawia się przed ich oczami różowy rękaw, a potem zaciśnięta dłoń.

– Boże wszechmogący – jęknął Charlie. – On kogoś znalazł.

Duch powoli się cofał, wciąż zaciskając zęby na rękawie. Po chwili pojawiła się dalsza część ręki, ramię, splątane jasne włosy, a potem niczym Alicja w *Po drugiej stronie lustra*, w piwnicy pojawiła się Adele, mrugająca w jaskrawym świetle nieosłoniętej żarówki.

Duch puścił jej rękaw, znowu warknął i zrobił kilka kroków do tyłu, szybko machając ogonem, najwyraźniej zachwycony tym, co zrobił. Adele okręciła się dookoła własnej osi. Była tak wystraszona, że nie mogła wypowiedzieć słowa.

Podeszła do niej Dżamila. Mocno zaciśnęła dłoń na jej piąstkach.

– Adele? – spytała. – Adele Cooper? Jesteśmy policjantami, a to jest pies policyjny. Szukaliśmy ciebie... ciebie i twojego brata.

Adele wpatrywała się w nią oczami błyszczącymi od łez. Jej dolna warga drżała. W końcu się odezwała:

– Znaleźliście też Archiego? Gdzie jesteśmy?

Popatrzyła na skrzynki i spiętrzone meble.

– To jest to samo miejsce! To samo miejsce! To schron publiczny! Jestem pewna, że to jest to samo miejsce! Był nalot, a my wszyscy się tutaj ukrywaliśmy? Który jest teraz rok?

Jerry powiedział jej, a dziewczynka z ulgą opuściła głowę.

– O co chodzi, kochanie? A który rok mógłby to być?

– Rok 1941. W jakiś sposób ja i Archie znaleźliśmy się w 1941 roku! Nie wiem, jak to się stało. Ale gdzie jest Archie? Możecie zabrać stamtąd także mojego brata? Musicie go stamtąd zabrać!

– Popatrz tylko na Ducha – powiedział Charlie. – On jeszcze nie zrezygnował.

– Na Ducha?

– To imię mojego psa, kochanie. Jeśli ktokolwiek potrafi przenieść twojego brata z powrotem do naszych czasów, to tylko on.

Duch stał teraz na środku piwnicy z uniesionym łbem i sztywnymi łapami. Znowu głęboko wciągał powietrze i każdy jego haust przytrzymywał w płucach przynajmniej przez dziesięć sekund. Dżamila otoczyła ramieniem Adele i obserwowała, jak Duch stara się zlokalizować Archiego. Chłopiec znajdował się w tej piwnicy, zapewne w odległości kilku metrów od psa, lecz oddalony był od niego w czasie o ponad osiemdziesiąt lat.

Duch zaskowyczał, zrobił kilka kroków do przodu i jego głowa zniknęła. Po kolejnych krokach zniknęła połowa jego ciała, a następnie reszta z ogonem.

– Jezu – jęknął Jerry. – Zobaczyliście to samo, co i ja chyba zobaczyłem?

– On po prostu poszedł szukać jej brata – powiedział spokojnie Charlie, chociaż był równie wstrząśnięty.

Adele wpatrywała się z otwartymi oczami w miejsce, w którym przed chwilą stał Duch, tak zaskoczona ostatnimi zdarzeniami, że nawet nie płakała.

Minęło kilka minut. Wszyscy stali w milczeniu i czekali na powrót Ducha. Jerry słyszał ruch uliczny z Kennington Lane, lecz jednocześnie miał wrażenie, że słyszy także odgłosy odległych eksplozji. Może to były pioruny, choć odgłosy bardziej przypominały wybuchy bomb lotniczych.

– Mam nadzieję, że nie zniknął na zawsze – powiedział do Charliego. – Nie jestem wielkim miłośnikiem psów, ale Duch to wyjątkowy zwierzak, jeden na milion, prawda? Zaczynam za nim tęsknić.

Znów minęło ponad dziesięć długich minut. Charlie osłonił usta dłońmi i krzyknął:

– Duch! Duchu, chodź tutaj, przyjacielu! No, chodź tutaj, piesku. Dalej, Duchu!

Niemal natychmiast Duch jakby znikąd wskoczył do piwnicy. Jego pazury przez chwilę ślizgały się na posadzce. Następnie podbiegł do Charliego. Chociaż nie mógł mówić, Charlie bez trudu odgadł, co chce mu przekazać, ponieważ Duch uniósł przednią łapę i popatrzył ponuro na opiekuna.

– Twój brat odszedł – powiedział Charlie. – Obawiam się, że twój brat odszedł.

– Ale to chyba nie znaczy, że nie żyje? – zapytała Adele.

– Och, nie, kochanie, przepraszam! Nie miałem tego na myśli! Ale niewykluczone, że ktoś zobaczył, jak znikasz, i zabrał go, żeby nie mógł pójść za tobą.

– To co teraz zrobimy? – zapytała Dżamila. – Czy Duch się dowie, dokąd Archie został zabrany i co się z nim stało?

Charlie popatrzył na Ducha i pokręcił głową.

– W tej chwili sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co robić. Sądzę, że z jakiegoś powodu stracił trop. Musimy więc teraz zabrać tę młodą damę do domu i dać Duchowi szansę na odświeżenie wizerunku Archiego. Chyba rozumiecie, o co mi chodzi? Istnieje prawdopodobieństwo, że zapach dziewczynki zdominował zapach jej brata i pies go już nie czuje.

– Ale czy on naprawdę przeszedł na chwilę do roku 1941? – zapytał Jerry.

– Zostawmy tę kwestię na później – powiedział Charlie. – Na razie będę przyjmował do wiadomości to, co widzę. Nie mam najmniejszego zamiaru stawiać przed sobą zagadek, których rozwiązań prawdopodobnie nie zrozumie nawet wtedy, gdy poznam prawidłowe odpowiedzi.

– Ale co z Archiem? – zapytała Adele przez łyżę.

– Nadal będziemy go szukać – odpowiedziała Dżamila. – Przecież znaleźliśmy już ciebie i na pewno zrobimy wszystko, żeby znaleźć także twój brata, obiecuję. Przede wszystkim zaprowadzimy ciebie do mamy i taty. Nawet nie masz pojęcia, jaki kamień spadnie im z serca, kiedy zobaczą, że jesteś bezpieczna.

Jerry wymienił spojrzenia z Charliem, a Charlie uniósł brew. Żaden z nich nie musiał głośno mówić, że w tym śledztwie nie ma miejsca na obietnice.

Jerry zadzwonił do Jeżozwierza, żeby przybył samochodem z Lavender Hill i zabrał go razem z Dżamilą, a Charlie zadzwonił do kolegi z prośbą o przyjechanie jego furgonetką z Lambeth Road.

Znów przeszli przez ulicę i czekali na transport, siedząc przy stolikach ustawionych przed The Wayfarer. W tym czasie Dżamila spokojnie wypytywała Adele o to, co się działo z nią i Archie od momentu, kiedy po raz ostatni widziano ich z panią Chibnall.

Adele wciąż była płacziwa i wystraszona, ale pocieszał ją Duch, który usiadł przy niej i spoglądał na nią z niemal ludzkim współczuciem. Natomiast Jerry przyniósł z pubu trochę papierowych chusteczek, żeby dziewczynka miała czym wycierać oczy.

Chociaż z trudem układała słowa w zdania, chciała opowiedzieć Dżamili i Jerry'emu, w jaki sposób ona i Archie znaleźli się w Londynie z czasów wojny. Wyjaśniła, jak wrócili od pani Chibnall do domu i zobaczyli, że budynek został zbombardowany i że na Northcote Road jeżdżą tramwaje.

Jerry popatrzył na Dżamilę i spytał:

– Tramwaje?

Nie musiał dodawać, że właśnie pomyślał o Mary Jonas, bo przecież tramwaje z 1941 roku miały rozstaw kół o szerokości dokładnie odpowiadającej śladom na zwłokach.

– Pani Chibnall powiedziała nam, żebyśmy pojechali tramwajem na spotkanie z mężczyzną, którego nazywała Pazurem – ciągnęła Adele. – Powiedziała też, że Pazur pomoże nam przedostać się z powrotem do naszego roku.

– Pazur? – powtórzyła Dżamila. – Dziwne imię. Gdzie go znaleźliście?

– Przy St Oswald's Place pod numerem 9 – odparła Adele. – To niedaleko stąd, trzeba tylko trochę przejść tą ulicą i skręcić na pierwszym skrzyżowaniu.

– Tak, byliśmy tam. Duch nas tam poprowadził, więc wiemy, gdzie to jest.

Adele opisała, jak Veronica wpuściła ich do domu z numerem 9 – „była wysoka i miała zabawnie zwinięte włosy” – i jak załatwiła spotkanie z Pazurem w piwnicy.

– Pazur powiedział nam, że będzie mógł nas odesłać tam, skąd przyszliśmy, ale kazał nam najpierw trochę kraść dla niego. Myślę, że to miała być nasza zapłata za jego pomoc.

Następnie opowiedziała o pojawieniu się Tommy'ego i Nigela i o tym, jak razem z Archiem została posłana do The Wayfarer, aby odwracać uwagę klientów i umożliwiać w ten sposób chłopcom kradzież portfeli oraz niepilnowanych damskich torebek.

– Mogłabyś opisać tego Pazura?

Adele wydmuchała nos i pokręciła głową.

– W tej piwnicy było za ciemno. Zobaczyliśmy jedynie pomarańczowe oczy, a i to tylko przez sekundę. Poza tym w piwnicy panował okropny smród. Nie wiem, czy to był odór ciała Pazura, ale przypominał zapach zepsutych kurczaków.

– Straszne rzeczy – powiedział Jerry. – To wszystko brzmi jak bajka. Jak opowieść o trollu pod mostem, który chciał jeść na kolację tylko kozy.

– Tommy powiedział nam, że Pazur ma w bandzie jeszcze jedenaścioro innych dzieci i czterech albo pięciu dorosłych mężczyzn. Nazwał ich Armią Pazura.

– A więc dorośli również dla niego kradli?

– Tak, a Tommy powiedział też, że gdyby któreś z dzieci chciało od niego uciec albo opowiedzieć o nim policji, jeden z tych mężczyzn by je zabił, i to w straszliwy sposób.

– Ten cały Pazur wygląda na miłego człowieka, nie ma co – zauważył Charlie.

Adele popatrzyła na Ducha i pogłaskała go po uszach.

– Tommy mówił też, że jeden z mężczyzn ma na imię Ronnie, a inny nazywa się Starkey. Dodał, że Starkey zawsze śmierdzi rybami.

Jerry znowu popatrzył na Dżamile.

– Starkey? Śmierdzi rybami?

Adele pokiwała głową.

– Ale uda nam się uratować Archiego, prawda?

– Tak – odparła stanowczo Dżamila. – Patrz, przyjechał nasz samochód. Zawieziemy cię teraz do domu, a Duchowi pozwolimy znowu wychwycić zapach Archiego. I natychmiast zaczniemy go szukać. I nie przestaniemy, aż go znajdziemy, w którymkolwiek roku jest.

Podczas jazdy na Northcote Road Jeżozwierz skinął na Jerry'ego, żeby się pochylił ku niemu z tylnego fotela. Nie chciał, żeby jego słowa usłyszała Adele.

– Mamy zgłoszenie o kolejnym rabunku z ciężkim uszkodzeniem ciała. Ofiarą jest Edward Dance, właściciel salonu jubilerskiego przy Balham High Road. Został ugodzony w dupala za pomocą noża kuchennego. Cios prawie go zabił, ale facet leży teraz w szpitalu, a lekarze mówią, że przeżyje.

– Rozumiem, że przeszkodził złodziejom i dlatego nieomal zginął? – wtrąciła się Dżamila.

– Dokładnie na to wygląda. Sprawców było dwóch, mężczyzna i kobieta. Ukradli zegarki warte co najmniej czterdzieści tysięcy funciaków.

– Ale co to ma wspólnego ze mną i sierżant Patel? – zapytał Jerry. – Właśnie ścigamy osobników, których tutaj nie ma, a przynajmniej nie w całości. Jakimś cudem właśnie zwróciliśmy wolność tej dziewczynce i wciąż poszukujemy jej brata.

– Mówię wam o tym dlatego, że zanim Dance został zabrany na salę operacyjną, udało mi się z nim porozmawiać przez kilka minut. Powiedział mi, że kobieta weszła do salonu, chociaż wcześniej zamknął drzwi i uruchomił alarm. Za żadne skarby nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób przedostała się do środka.

– A mężczyzna?

– Zanim się pojawił, Dance otworzył kluczem drzwi, wyłączył alarm i powiedział kobiecie, żeby spieprzała, gdzie raki zimują. Niemniej nie ma także zielonego pojęcia, w jaki sposób do salonu przedostał się ten facet, ponieważ nie usłyszał ani dzwoneczka nad drzwiami, ani się nie zorientował, jak podchodził do niego od tyłu. Zdał sobie sprawę z jego obecności dopiero w chwili, kiedy ten chwycił go za gardło i praktycznie go zadławił.

– Czy ten cały Dance przekazał jakiś opis sprawców? – zapytała Dżamila.

– No właśnie, to jeszcze bardziej kieruje całe dochodzenie właśnie w waszą stronę. W salonie zainstalowano monitoring, ale ani kobieta, ani facet z nożem w ogóle nie są na nim widoczni. Dance, owszem, i zgodnie ze swoim nazwiskiem wygląda tak, jakby tańczył.

– Dziwne. Bo przecież widział tych ludzi, a przynajmniej tak twierdzi.

– Coś mi mówi, że on nie kłamie. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś się z takim okrucieństwem dźgnął nożem w dupę, nawet gdyby tego bardzo chciał. Ale Dance nie widział człowieka, który go dziabnął. Wie tylko, że był ubrany w jakiś szorstki sweter. Powiedział jednak coś ciekawego. Według niego kobieta wyglądała, jakby wyszła prosto z filmu z lat 40. Była ubrana jak Greta Garbo, Jane Russell, albo, jak ona się nazywa... Rita Hayworth. Jej suknia i fryzura... Według Dance'a kobiety w dzisiejszych czasach tak się nie noszą. Obiecał, że ją dla mnie narysuje po zabiegu.

– Z lat 40.? – spytała Dżamila. – Tak, Jeżozwierz, dobrze, że nas o tym poinformowałeś. Myślę, że sami będziemy musieli jak najszybciej porozmawiać z tym jubilerem.

Odwróciła się do Adele, która patrzyła przez okno, jakby bez chwili przerwy upewniała się, że powróciła już do czasu teraźniejszego i że na ulicach nie ma tramwajów, a na niebie balonów zaporowych.

– Adele, odwieziemy cię do domu i damy ci jeszcze trochę czasu, żebyś się uspokoiła. Ale jeżeli to możliwe, chcielibyśmy wrócić do ciebie trochę później i znacznie dłużej posłuchać, co masz do powiedzenia. Być może nie wspomniałaś nam dotąd o jakimś ważnym szczególe, który nam pomoże sprowadzić do domu także twojego brata.

– Mówiliście, że Duch go znajdzie.

– Jestem pewna, że tak się stanie. Ale Duch nie będzie w stanie aresztować ani Pazura, ani Veroniki, o której nam opowiadałaś.

Jerry usiadł wygodniej i posłał Adele uspokajający uśmiech. Postanowił nie pytać Dżamili, jak zamierza aresztować kogoś z 1941 roku, a nawet gdyby się to udało, to co może zrobić sędzia, kiedy ktoś taki stanie przed jego obliczem.

Państwo Cooper rozplakali się rzewnymi łzami, kiedy otworzyli drzwi i zobaczyli na progu Adele. Ale ich ogromna rozpacz powróciła, gdy Dżamila powiedziała im, że Archiego wciąż nie znaleziono i że poszukiwania chłopca trzeba będzie rozpocząć od nowa.

Po kilku minutach przyjechał furgonetką Charlie z Duchem.

– Nie będą państwo mieli nic przeciwko temu, że pies znowu obwącha pokój chłopaka? – zapytał Charlie.

– Oczywiście, że nie – odparł pan Cooper. – Proszę, róbcie swoje. – Odwrócił się do Dżamili i Jerry’ego. – Gdzie ją znaleźliście? Mam nadzieję, że mojej córki nie molestowano? Nikt jej nie wykorzystał?

– Nie, w taki sposób nikt jej nie dotknął, panie Cooper – odparła Dżamila. – Nie jest nam jednak łatwo powiedzieć, skąd ją sprowadziliśmy. Prawdopodobnie ona sama opowie panu, co się przydarzyło jej i Archiemu. Niemal gwarantuję, że trudno będzie państwu uwierzyć w jej opowieść, ale daję słowo, że to wszystko będzie prawdą, a przynajmniej dokładną relacją o tym, w jaki sposób Adele postrzegала ostatnie wydarzenia. W naszym śledztwie musimy jeszcze wyjaśnić wiele faktów, ale powiem panu wprost, że nie liczy się to, w jakim miejscu się znajdowała, tylko w jakim czasie tam była.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. Co to znaczy „w jakim czasie”?

– Wrócimy do państwa za kilka godzin i wtedy będziemy lepiej przygotowani do odpowiedzi. Tymczasem Adele potrzebuje spokoju i pewności, że policja robi wszystko, żeby odnaleźć jej brata.

Duch wrócił z piętra z mocno wysuniętym różowym językiem, ciągnąc Charliego za sobą. Głośno dyszał, zmierzając do drzwi. Chciał jak najszybciej rozpocząć poszukiwania Archiego.

Jerry zajął do salonu i zobaczył, że pani Cooper mocno tuli do siebie Adele na sofie. Był detektywem już od wielu lat, ale jeszcze nigdy nie odczuwał takiej frustracji jak obecnie, bo przecież wciąż nie był w stanie zrozumieć, kogo albo czego tak naprawdę poszukuje. Zazwyczaj mógł z czystym sumieniem zapewnić ofiary rabunku lub przemocy, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby doprowadzić złoczyńców przed oblicze sprawiedliwości, i w większości spraw mu się to udawało. Teraz jednak nie miał zielonego pojęcia, kim są złoczyńcy, których szuka, i czy oni wszyscy ze sobą współpracują. W gruncie rzeczy nie wiedział nawet, czy oni się znają i jakie są ich zamiary – odrębne dla pojedynczych bandytów czy też wspólne dla całej grupy. Jeszcze bardziej frustrowało go to, że nie

wiedział, czy oni istnieją naprawdę, czy są jakimiś dziwacznymi, złowrogimi mirażami. Może duchami, jeśli tak zachowują się duchy.

Otworzywszy drzwi, pan Cooper pokazał Jerry'emu i Dżamili podniesiony kciuk, ponieważ emocje nie pozwalały mu mówić. Ale kiedy Duch dotarł do bramy ogrodowej, popatrzył na mężczyznę takim wzrokiem, jakby chciał mu powiedzieć: „Nie martw się, złapałem zapach Archiego i już go nie zgubię. Znajdę go dla ciebie”.

Kiedy wyszli na chodnik, Duch znowu pociągnął Charliego na północ, w tym samym kierunku co poprzednio.

– Moim zdaniem prowadzi nas znowu na St Oswald's Place – powiedział Charlie. – Proponuję zaoszczędzić trochę czasu i podjechać tam samochodem. Możemy rozpocząć poszukiwania Archiego przed domem numer 9. Jeżeli właśnie tam jest melina tego całego Pazura, prawdopodobnie właśnie w to miejsce zaciągnął Archiego, kiedy uratowaliśmy Adele.

– Zgadzam się z tobą. – Dżamila pokiwała głową. – Musimy koniecznie znaleźć Pazura i przerwać działalność przestępczą, którą prawdopodobnie organizuje. Posyła dzieci na kradzieże kieszonkowe niczym Fagin.

– Wsiadaj więc do furgonetki i jedź – dodał Jerry. – Spotkamy się na miejscu.

– A ja wróć, żeby sprawdzić, czy Marsjanin ustalił coś nowego w sprawie Dance'a – postanowił Jeżozwierz. – Może odkrył jakiś sposób wejścia do salonu jubilerskiego bez klucza, i w tym wszystkim nie ma nic nadnaturalnego. Jeśli dojdzie do takiego wniosku, nie będziecie musieli przejmować się tą sprawą, pogromcy duchów.

Dżamila i Jerry wrócili do samochodu, który stał zaparkowany za rogiem, przy Bramfield Road, a Duch wskoczył do furgonetki Charliego.

– Wiem, że w domu Cooperów demonstrowałam optymizm – powiedziała Dżamila, kiedy ruszyli. – Ale zastanawiam się, czy mamy chociaż niewielką szansę na to, żeby odnaleźć małego Archiego.

– Ja wcale nie myślę w taki sposób – odparł Jerry. – To śledztwo jest tak cholernie skomplikowane, że co chwilę czymś zaskakuje, i nawet nie próbuję znaleźć w kolejnych zdarzeniach jakiegokolwiek sensu. Widzieliśmy, jak pies wyciąga dziewczynkę praktycznie z pustki, potem on sam wszedł do tej pustki i długo z niej nie wracał. A dziewczynka powiedziała, że ona i jej brat z niewiadomego powodu znaleźli się w 1941 roku. Gdybyś w jakikolwiek sposób zdołała to wytłumaczyć, zdjąłbym przed tobą czapkę, gdybym ją nosił.

Wzmożony ruch uliczny zwalniał ich tempo, lecz po dwudziestu minutach dotarli do St Oswald's Place. Charlie zaparkował furgonetkę za rogiem, ponieważ na bokach miała napis „Sekcja psów”, a na tylnych drzwiach – „Psy policyjne”.

Podeszli do czarnej żelaznej bramy przed numerem 9. Przyjeżdżając tutaj, Charlie bez cienia wątpliwości podjął trafną decyzję, ponieważ Duch natychmiast

podbiegł do bramy i wsunął nos pomiędzy kraty. Drżał w taki sam sposób jak wtedy, kiedy był bliski znalezienia Adele.

– On jest przekonany, że chłopiec tutaj jest – powiedział Charlie. – Jednak ja go nie widzę. Chociaż mógł się schować w którymś z pojemników na śmieci.

– Wkrótce się o tym przekonamy – stwierdził Jerry.

Wyciągnął z kieszeni zestaw wytrychów i wybrał jeden z nich. Brama miała bardzo prosty zamek, więc bez większych trudności już po piętnastu sekundach ją otworzył.

Unieśli po kolei pokrywy pięciu pojemników na śmieci, ale w środku znajdowały się tylko kościelne śmieci, takie jak niedopalone świece czy pogniecione kolorowe czasopisma, a także pudełka z Burger Kinga. Jednak Duch zaczął obwąchiwać bruk – w taki sam sposób, jak niedawno wąchał jezdnię, na której wykrył linie tramwajowe znajdujące się na niej ponad osiemdziesiąt lat wcześniej.

– Coś znalazł pod ziemią – powiedział Charlie. – Czy przypadkiem Adele nie mówiła, że Pazur był w piwnicy? Może właśnie tutaj była kiedyś piwnica, dokładnie pod naszymi stopami. I może wciąż jest.

– Niewykluczone – zgodziła się Dżamila. – Lecz nawet jeśli ta piwnica wciąż istnieje, jak się do niej dostaniemy? Może się okazać zamurowana. I jeśli Pazur znajduje się w środku, czy miał szansę przetrwać w niej aż do teraz? Jeżeli ta część budynku została zbombardowana, to chyba oczywiste, że zginął, a może nawet został pogrzebany żywcem.

– Moglibyśmy poszukać dostępu przez piwnice kościelne – podsunął Jerry. – Albo z piwnic sąsiednich domów. Znajdę jakiegoś wikarego i zapytam go, czy zna drogę pod ziemię. Uwierzcie mi, jeszcze nigdy w życiu o coś takiego nie pytałem.

Po chwili zniknął za kościołem Świętego Piotra. Nie było go przez kilka minut. Kiedy wrócił, pokręcił z niechęcią głową.

– Kiedyś musiała tu być piwnica. Ale gdy dom zbombardowano, a potem do końca zburzono, została zasypana resztkami gruzu.

Dżamila popatrzyła na Ducha, który wciąż przyciskał nos do bruku i głęboko wciągał powietrze.

– Moglibyśmy uzyskać nakaz rozkopania tego terenu, ale już na pierwszy rzut oka widać, że ziemi tutaj nie ruszано zapewne od wielu lat. Zatem co takiego wywęszył Duch?

Charlie przez chwilę obserwował psa, po czym rzekł:

– Sądzę, że dociera do niego wspomnienie tego, co się tutaj wydarzyło. Ale sytuacja jest inna od tej, z jaką mieliśmy do czynienia w piwnicy, kiedy zdołał przeskoczyć do przeszłości. Jeżeli pod nami leży ciężki gruz, pies się tam nie dostanie. Zanim zaczniemy kopać, wycofajmy się i spróbujmy ustalić, co takiego się tutaj wydarzyło w przeszłości. Niewykluczone, że uzyskamy w ten sposób wskazówki co do tego, gdzie powinniśmy szukać Archiego dzisiaj. Ale może

Archie jest właśnie tutaj i będzie tu musiał pozostać, pogrzebany już do końca świata.

– Chodź, piesku! – zawołał Charlie. – Być może coś wywęszyłeś, ale tam nie można się dostać i dobrze o tym wiesz!

Potrzeba było kilku długich minut przymilania się do psa i szarpania za smycz, lecz w końcu Charlie wyperswadował Duchowi wążanie bruku. Pies jeszcze popiskiwiał, ale było jasne, że w końcu i on zdał sobie sprawę, że poszukiwania Archiego utknęły w martwym punkcie i trzeba je odwołać – przynajmniej na razie.

– Sierżancie Patel, Jerry... jeden Bóg wie, co teraz zrobicie. Ale jeżeli znowu będziecie potrzebowali mnie i Ducha, wystarczy zadzwonić.

Charlie odprowadził Ducha do furgonetki i otworzył drzwi, żeby pies mógł wskoczyć do środka. Nadusił jeszcze klakson, żeby pożegnać Dżamile i Jerry'ego, po czym odjechał na Lambeth Road. Dżamila i Jerry pojechali na komisariat w Lavender Hill. Po drodze oboje milczeli. Oboje rozmyślali o numerze 9, zastanawiali się, co Duch tam wyczuł – zapach z dnia dzisiejszego czy też z czasów, które już dawno minęły.

Kiedy wieszali płaszcz, do ich pokoju zajrzał nadinspektor Chance.

– Jeżozwierz powiedział mi, że znaleźliście dziewczynkę. Dobra robota. A co się dzieje z chłopcem?

– Do tej pory nie wiemy, szefie – odparł Jerry. – Ta sprawa wygląda naprawdę nieciekawie. Jak podłe świńskie żarcie polane keczupem.

– Rozumiem. Ale chcę być o wszystkim informowany na bieżąco, jasne? Cholerni dziennikarze napastują mnie co pięć minut.

Kiedy Chance wyszedł, Dżamila usiadła przy biurku i włączyła komputer.

– Musimy dowiedzieć się wszystkiego, co tylko się da, na temat nieruchomości przy St Oswald's Place 9 – powiedziała. – Musimy też zdobyć informacje na temat postępu śledztw w pozostałych sprawach. Możliwe, że ustalenia któregoś z detektywów rzucą trochę światła na przypadek zniknięcia Archiego.

– Nie potrafię tego pojąć, chociaż bardzo się staram – odparł Jerry. – Przecież Duch wydobyl Adele znikąd, ale czy to naprawdę mógł być rok 1941?

– Gdziekolwiek była, na pewno nie w dzisiejszych czasach. A jej opisy raczej pasują właśnie do roku 1941. Balony zaporowe i schron przeciwlotniczy.

– Ale mówiła też o dorosłych mężczyznach, którzy niby pracują dla Pazura. Chociażby o Starke'u, który śmierdzi rybami. Ta postać przywodzi na myśl

Jaspera Starke'a, Handlarza Rybami. Ale Starke zapadł się pod ziemię w 1880 roku, na miłość boską.

Dżamila zatelefonowała do detektywa inspektora Simona Fairbrothera i poprosiła go o najświeższe informacje z pozostałych śledztw prowadzonych przez jego zespół.

– Przykro mi – odparł. – Ale nie posunęliśmy się ani o krok do przodu.

Wciąż nie zidentyfikowano mężczyzny, który zastrzelił Kennetha Treagusa, ani nie ustalono, jakim motywem mógł się kierować. Żadnych postępów nie przyniosły też śledztwa w sprawie zamordowania Kathleen Hartley, Mary Jonas i Lilian Ferris oraz osłepienia Jusufa Nadima.

– Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia – powiedział Simon Fairbrother. – Dysponujemy co prawda jakimiś szczątkowymi śladami, odciskami palców i tym podobnymi, ale one nie pasują dosłownie do niczego. W gruncie rzeczy czujemy się tak, jakbyśmy ścigali całą bandę duchów.

Jerry poszedł do bufetu po herbatę cytrynową dla Dżamili i kawę z mlekiem dla siebie, a później oboje zaczęli szukać w internecie wszelkich wzmianek dotyczących St Oswald's Place 9. Przez godzinę w pokoju panowała cisza zakłócana jedynie uderzeniami paznokci Dżamili w klawisze komputera i monotonna melodia *Yesterday* pogwizdywana przez jakiegoś funkcjonariusza z korytarza.

Dżamila sprawdziła kartotekę urzędu dzielnicowego Wandsworth. Podczas nalotu w nocy 14 października 1941 roku bomba uderzyła bezpośrednio w dom przy St Oswald's Place 9, niemal całkowicie niszcząc budynek.

Z kolei Jerry natrafił na mapę Kennington z 1837 roku. Dom z numerem 9 stał jako ostatni w długim szeregu zabudowań, które obecnie graniczyły z kościołem Świętego Piotra. Jednak w 1837 roku kościoła jeszcze nie zbudowano, a St Oswald Place nie miało nazwy. Znajdowało się tutaj pole, część Vauxhall Pleasure Gardens, a najbliższe budynki nosiły wspólną nazwę Waterloo House.

Jerry zainteresował się Waterloo House i odkrył, że do 1860 roku mieściły się tam fabryka mundurów dla armii i Szkoła Artystyczna Harrisa, a także biura handlarzy nieruchomościami i magazyny. Zdziwił się, kiedy znalazł długi artykuł z informacją, że w jednym z niewielu dzienników, które przetrwały do czasów współczesnych, o Waterloo House wspomniał Charles Dickens.

Według artykułu Dickens zawsze niszczył każdy dziennik pod koniec roku, ponieważ maniacko strzegł tajemnic swojego życia prywatnego. Ale jeden z dzienników zawieruszył się w 1867 roku, kiedy pisarz gościł w Nowym Jorku, i zawierał szczegóły jego ukradkowego romansu z Nelly Ternan. Inny zaginął z kolei w 1843 roku, kiedy Dickens był bliski bankructwa.

To właśnie dziennik z 1843 roku zawierał wzmiankę o Waterloo House. Wprowadzenie napisał oksfordzki historyk P.J. Wallace, a w dalszej części artykuł zawierał transkrypcję trzech odpowiednich stron dziennika, ponieważ odręczne pismo Dickensa było niemal nie do odczytania. Jerry szybko przewinął pierwszą z tych trzech stron, ponieważ mówiła jedynie o odjazdach pociągów do Slough

i spotkaniach pisarza z wydawcami w restauracji Forstera. Potem natrafił na akapit, który go bardzo zainteresował. Cofnął tekst niemal do początku i zaczął powoli czytać.

– Sierżancie – odezwał się do Dżamili. – Zerknij na to.

Dżamila przysunęła się do niego w biurowym fotelu na kółkach.

– Co takiego znalazłeś?

– Dziennik Charlesa Dickensa z 1843 roku. Píše, że jego nowa powieść, *Marcin Chuzzlewit*, wciąż jest publikowana w odcinkach, ale okazała się klapą. Wydawcy poinformowali go, że sprzedaje się kiepsko, więc zamierzają obciąć jego honorarium o pięćdziesiąt funtów miesięcznie. Ale problem polegał na tym, że jego stara miała właśnie urodzić piątego bachora i dlatego obawiał się, że splajtuje.

Wpatrując się w ekran, Dżamila zmarszczyła czoło.

– Co to za tekst?

– Pamiętnik Dickensa. Popatrz, co tutaj napisał. „Moim największym sukcesem finansowym była druga powieść *Oliver Twist*, opublikowana w odcinkach przez «Bentley’s Miscellany», jak i wydana w formie książki. Do napisania *Olivera Twista* zainspirowały mnie opowieści, które usłyszałem od bezdomnych i ubogich dzieci w Kennington. Opowiedziały mi o podstarzałym złoczyńcy, który zawiadywał istną stajnią młodych złodziei, codziennie ich posyłał, żeby kradli portfele i eleganckie chusteczki, a także plądrowali domy. To na podstawie ich relacji stworzyłem postać Fagina. Niektórzy sugerowali, że pierwowzorem Fagina jest tak zwany «rekruter» o nazwisku Ikey Solomon, który dawał dzieciom schronienie i wyżywienie w zamian za kradzieże kieszonkowe. Nie zaprzeczyłem temu, wiedziałem jednak, że prawdziwy Fagin powinien być zupełnie inny. Poszukując inspiracji dla nowej powieści, która przyniosłaby mi dużo pieniędzy, by znaleźć takiego człowieka, przemierzałem ulice Kennington. Przeszedłem kilkadziesiąt kilometrów, a w czasie spacerów spotkałem i przepytałem o różne sprawy dziesiątki łobuziaków. W końcu pewna dziewczynka w łachmanach powiedziała mi, gdzie taki człowiek przebywa: w Waterloo House 9, tuż przy Vauxhall Pleasure Gardens. Udałem się pod ten adres i poinformowałem gospodynię tego rekrutera, kim jestem i dlaczego chcę z nim porozmawiać. Odparła, że ze względu na swój wstręt do światła człowiek ten żyje w absolutnej ciemności w piwnicy i nie spotka się ze mną w żadnym innym miejscu. A poza tym nie odpowie na żadne moje pytanie, o ile nie zagwarantuję mu części zysków z książki, którą o nim napiszę. Zgodziłem się na takie warunki. Tego popołudnia dowiedziałem się od niego rzeczy szokujących i nieprawdopodobnych. Rzeczywiście rekrutował dzieci do przestępstw, tak jak Fagin, postać z mojej książki; to jednak nie wszystko. Był nie tylko złodziejem własności, ale także czasu. Chociaż w piwnicy panowała ciemność jak w środku nocy i nie byłem w stanie go zobaczyć, i tak rozmawialiśmy ponad trzy godziny. Opisał lata ludzkiego życia jako strony z książki, znajdujące się jedna nad drugą, i stwierdził, że można

w dowolnej kolejności je przewracać i dzięki temu cofać się do zdarzeń i chwil z przeszłości albo spoglądać w przyszłość. Chcesz powrócić do własnego dzieciństwa? Zajrzyj do rozdziału pierwszego. Chcesz się dowiedzieć, jak się zakończy twoje życie? Wystarczy, że przeczytasz ostatnie stronicę. Zgodził się, żebym oparł moją opowieść na tym, co od niego usłyszałem. Gdybym jednak przekazał policji albo innym władzom jakiegokolwiek wskazówki co do tego, kim on jest i gdzie przebywa, ktoś z jego „armii” mnie znajdzie i zamorduje, a potem wywiesi moje wnętrze na jednej z lamp oświetlających London Bridge. To dlatego, kiedy pisałem *Opowieść wigilijną*, nadałem podłej postaci nazwisko Scrooge, a więc Sknera, a nie nazwałem go Pazurem, czyli prawdziwym imieniem rekrutera. Gdy dziennikarz «The Timesa» nalegał, żebym zdradził, skąd wziąłem nazwisko «Scrooge», powiedziałem mu, że po prostu zobaczyłem kiedyś na cmentarzu Canongate w Edynburgu nagrobek z napisem «Ebenezer Scroggie». Ale to Pazur jest panem przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, i właśnie z jego ciemnej piwnicy przeniknęły duchy do mojej opowieści. Duchy Wigilijnej Przeszłości, Tegorocznego Bożego Narodzenia i Przyszłych Wigilii zrodziły się w styksowej piwnicy Waterloo House 9 pod wpływem zwierzeń jej tajemniczego i potężnego mieszkańca, a jego prawdziwe imię brzmi Pazur. Wykorzystałem go nie tylko przy tworzeniu postaci Scrooge’a, lecz także Boba Cratchita, choć na jeszcze bliższe porównania się nie ośmieliłem”.

Dzamiła się wyprostowała.

– Zadziwiające. Dlaczego te informacje nie zyskały szerszego rozgłosu? Przecież o tym się powinno pisać w każdej biografii Charlesa Dickensa!

– Popatrz jednak – powiedział Jerry. – Pod koniec artykułu ten Wallace pisze, że zdaniem niemal wszystkich literaturoznawców jest to tylko kolejna mistyfikacja Dickensa, powstała dla wyjaśnienia źródła nazwiska Scrooge. Uważają, że to jest kolejny ślad prowadzący w ślepą uliczkę, podobnie jak opowieść o nagrobku z nazwiskiem „Ebenezer Scroggie”. Na cmentarzu Canongate nie ma takiego grobu, nie ma też dokumentów, które wskazywałyby, że ktoś o tym nazwisku został tam kiedykolwiek pochowany. Po prostu uznano, że Dickens zażartował sobie z ludzi, i dlatego prawie się o tym nie wspomina. A właściwie nigdy.

– Ale ty i ja dysponujemy teraz potwierdzeniem dla tej historii – stwierdziła Dzamiła. – Adele opowiedziała nam o człowieku, który nazywa się Pazur i żyje w ciemnej piwnicy pod numerem 9. Przecież nie miała żadnego powodu, żeby kogoś takiego wymyślić, nawet gdyby wiedziała o zapiskach Charlesa Dickensa w dzienniku, co jest bardzo nieprawdopodobne. Może Pazura już tam nie ma. Ale mógł tam przebywać w roku 1941, kiedy ten budynek wciąż stał, a także w 1843 roku, kiedy Charles Dickens prowadził swoje poszukiwania, prawda?

– Zgadzam się – rzekł Jerry. – Ale co to dla nas znaczy, jeżeli ten człowiek potrafi przesuwac czas do przodu albo go cofać niczym karty książki? Czy to stamtąd pochodzą nasi zabójcy? Z piwnicy Pazura?

– Mój Boże – powiedziała Dżamila i ukryła twarz w dłoniach. – Aż mnie roz-
bolał mózg!

Zeszli do bufetu na późny lunch. Chcieli też swobodnie obgadać to, co Charles Dickens napisał w dzienniku o Pazurze.

Zgodzili się, że nie mogą jeszcze poinformować o swoim odkryciu nadinspek-
tora Chance'a ani reszty zespołu. Wątpili, czy coś takiego zostałoby potraktowane poważnie.

Detektyw inspektor Baker wyraził już opinię, że kiedy Sabina Ferris widziała na swoim strychu odciętą głowę, prawdopodobnie cierpiała na „halucynacje hor-
monalne” związane z dojrzewaniem płciowym.

– Możecie mi wierzyć, wiem wszystko o kobiecych hormonach. Kiedy moja
żona była w ciąży, wciąż myślała, że ktoś ją podgląda przez okno sypialni. Aku-
rat!

Nawet Simon Fairbrother zasugerował, że nogi przemierzające sufit, które
zobaczyli uczniowie drugiej klasy z Brookwood School, mogły być rezultatem
„masowej hysterii”. Zdążył już odbyć rozmowę na ten temat z jednym z psycholo-
gów policji londyńskiej.

Dżamila wbiła widelec w wegańską sałatkę.

– Człowieka, który osobiście nie doświadczy nadprzyrodzonego zjawiska,
w gruncie rzeczy nie da się przekonać, że takie rzeczy naprawdę się zdarzają.
A przecież i ty, Jerry, i ja wiemy, że ten Pazur gdzieś istnieje, nawet jeśli nie tu
i teraz, w czasie teraźniejszym.

– Wiemy o nim tak mało, że to tylko przypuszczenie.

– No tak – zgodziła się Dżamila. – Ale Duch musiał wyczuć, że Archie jest
pod numerem 9 albo był tam kiedyś w przeszłości. I mogę postawić duże pienią-
dze na to, że Pazur też tam przebywał. Przecież powiedziała nam o tym Adele:
Pazur ukrywał się w piwnicy. I to właśnie on zapewnił tym dzieciom schronienie.

– Dlaczego więc Duch nie wyciągnął stamtąd Archiego w taki sposób, jak
wyciągnął Adele z dawnego schronu?

– Może nie mógł tego zrobić ze względu na ubitą ziemię, gruzy i bruk?
A może Pazur był dla niego zbyt silny, psychologicznie albo psychicznie, kto
wie?

– Co więc sugerujesz? – zapytał Jerry, przeżuując kęs kanapki z kielbasą.

– Moim zdaniem Pazur w jakiś sposób ma wpływ na czas. Wielu naukowców
wierzy w równoległe egzystencje, więc przypuszczam, że on jakoś połączył
wojenny Londyn z Londynem współczesnym. Wiem, że to brzmi fantastycznie,
ale to zupełnie możliwe według teorii strun. Wyjaśnię ci to, jeśli chcesz.

– Sierżancie, proszę, nie przy jedzeniu. Wierzę ci na słowo. W szkole byłem
drugi od końca z fizyki. Nie potrafiłem odróżnić pola magnetycznego od batonika
Marsa.

– Doskonale. Uwierz mi więc na słowo, że to jest możliwe. Wierzył w to Einstein, a jeden fizyk, Brian Greene, jest pewien, że istnieją światy równoległe. Nazwał je „wieloświatami” i opisał je słowami bardzo podobnymi do tych, których użył Pazur, opisując podróże w czasie Charlesowi Dickensowi. Jedyna różnica polega na tym, że Brian Greene uważa wszechświat za talię kart, które można tasować, a nie porównuje go do książki.

– Pewnie – powiedział Jerry. – Już się zgubiłem. Ale myślę, że ta teoria może się przydać, kiedy przystępujesz do pakowania prezentów na Boże Narodzenie.

Dżamila zamknęła oczy, starając się zachować spokój i cierpliwość. Po chwili powiedziała:

– Chodzi mi o to, Jerry, że jeżeli masz rację z tym Handlarzem Rybami, to jest całkiem możliwe, że Kathleen Hartley nie została zamordowana przez jego naśladowcę, ale przez niego samego. Prawdziwego i rzeczywistego, zabranego przez Pazura z XIX wieku do czasów nam współczesnych. Możliwe jest także, że inne morderstwa oraz osłepienie Jusufa Nadima także są sprawkami przestępców z innych czasów.

– Myślisz więc, że ci przestępcy są członkami Armii Pazura? Że wszyscy pracują dla niego?

– To może wyglądać na szaleństwo, ale układa się w straszłą logiczną całość. Pomyśl tylko o tramwaju, który rozjechał biedną Mary Jonas. Przecież mogła zostać przeniesiona do roku 1941, do tego samego czasu co Adele i Archie, i wtedy zabita, a dopiero po jej śmierci ciało zostało przeniesione do czasów współczesnych. Zapewne człowiek, który ją zabił, próbował ją spalić po to, żebyśmy nie zdołali rozpoznać śladów po kołach tramwaju.

– To chyba ma pewien sens.

– A teraz pomyśl o człowieku, który zastrzelił Kennetha Treagusa – kontynuowała Dżamila. – Gdzie się znajdowały jego stopy? I gdzie była głowa mężczyzny wskazanego nam przez świadka jako prawdopodobnie ostatnią osobę, która rozmawiała z Kathleen Hartley? Gdzie się podziała reszta ciała, która pasowałaby do głowy rozmawiającej z Sabiną Ferris? Jestem gotowa uwierzyć, że te fragmenty ciała znajdowały się w tym samym miejscu co nasi sprawcy, ale w innym czasie, w budynkach, które kiedyś stały w miejscach ich zbrodni, ale zostały zbombardowane i rozebrane dziesiątki lat temu.

– Możesz mieć rację – zgodził się Jerry. Otarł usta papierową chusteczką i się wyprostował. – A wiemy o tylko jednej osobie, która potrafi manipulować czasem, i tą osobą jest nasz przyjaciel Pazur. Lecz skoro jest takim spryciarzem, w jaki sposób stawimy mu czoło w jego piwnicy, że się tak wyrażę?

Dżamila przez chwilę intensywnie myślała.

– Chyba zdołamy go przyskrzynić, jeżeli wysledzimy i złapiemy wszystkich morderców, którzy wchodzi w skład jego „armii”. Jeżeli naprawdę pochodzą z innego czasu, jak na przykład Handlarz Rybami, zależą od niego w każdym elemencie egzystencji. Adele i Archie zgodzili się dla niego kraść, kiedy im obiecał,

że odeśle ich z powrotem do roku, z którego przybyli. Może ci mordercy kradną i zabijają dla niego w zamian za to, że utrzymuje ich przy życiu, chociaż, technicznie rzecz biorąc, umarli już przed wieloma dziesięcioleciaми? Potrzebują go. Ale pomyśl tylko, dlaczego z kolei Pazur ich potrzebuje? On przecież utknął w ciemnej piwnicy. Czy jest w stanie bez nich przeżyć?

– To wszystko pięknie brzmi, sierżancie, tylko jak ich przyskrzynimy? Fairbrother, Baker i Morrison nie robią wielkich postępów w swoich śledztwach.

– Nie, ale oni chcą znaleźć sprawców we współczesności, a tymczasem ich w tej współczesności wcale nie ma. Musimy poszukać ich w czasie, w którym istnieją.

– Tak, ale w jaki sposób? Nie mamy przecież podróżującej w czasie budki policyjnej.

– To prawda, Jerry. Ale mamy Ducha.

Padał gęsty deszcz, kiedy zaparkowali przed szpitalem Guya i wbiegli do środka. Przedstawili się w recepcji, ale znali już drogę na oddział intensywnej opieki medycznej. Oboje bywali tutaj naprawdę bardzo często.

Środek usypiający, który otrzymał Edward Dance, kiedy zszywano mu wnętrzości i brzuch, przestał już działać i pacjent leżał z otwartymi oczami. Wciąż mówił niewyraźnie i od czasu do czasu milkł na długie chwile, jakby przypominał sobie, co właściwie mu się przytrafiło. A gdy się odzywał, jego spojrzenie co kilka sekund wędrowało w stronę drzwi, jakby się bał, że nagle staną w nich kobieta i mężczyzna, którzy go okradli i okaleczyli.

Do szpitala dotarła już jego starsza siostra, June, niska, pełna werwy kobieta, która wyglądała na bibliotekarkę, a jego partner Robert jechał już z Dorset. Dżamila poprosiła June, żeby wyszła na jakieś dwadzieścia minut na korytarz. Chcieli w spokoju zadać mu kilka pytań na temat zdarzenia.

– Tylko go nie zdenerwujcie, dobrze? Jest w fatalnym stanie.

– Proszę, niech się pani nie martwi. Mamy doświadczenie w takich sprawach.

Dżamila i Jerry postawili krzesła po dwóch stronach łóżka.

– Przykro mi, stary – rozpoczął Jerry. – Pewnie byśmy przynieśli czekoladki, ale ostrzeżenie „niczego doustnie” do czegoś zobowiązuje.

Edward posłał mu krzywy uśmiech.

– To dlatego, że przynajmniej przez najbliższy miesiąc nie będę mógł normalnie skorzystać z toalety.

– Zanim trafiłeś na salę operacyjną, powiedziałaś jednemu z naszych detektywów, że w twoim salonie pojawiła się kobieta, choć nie wiesz, jak dostała się do środka. Byłeś pewien, że zamknąłeś sklep na klucz od środka i uruchomiłeś alarm. Zgadza się?

Edward pokiwał głową.

– Mogłaby się znaleźć w salonie tylko pod takim warunkiem, że ukryłaby się w nim, zanim zamknąłem drzwi, ale jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewien, że to było niemożliwe. Musiałaby się położyć na podłodze za jednym z kontuarów, ale była na to zbyt wysoka i zbyt elegancko ubrana. Jestem pewien, że zauważyłbym ją.

– Podobno wyglądała jak ktoś z lat 40. XX wieku.

– To prawda. Płaszcz, fryzura. No i sposób mówienia. Kiedy zażądałem, żeby się wyniosła, odpowiedziała mi: „Miarkuj się”. Pamiętam, że tak mówiła moja

babcia, ale w dzisiejszych czasach nikt przecież nie używa takiego zwrotu, prawda?

– Mógłbyś narysować tę kobietę?

– Oczywiście. Zanim zająłem się jubilerstwem, chodziłem do szkoły artystycznej, do Goldsmitha. Niedługo, tylko dwa semestry.

– A jeśli chodzi o mężczyznę, który złapał cię od tyłu i cię dźgnął... Na pewno nie widziałeś go ani przez chwilę?

– Na pewno. Ale zapamiętałem, że miał szczególny akcent. Moim zdaniem pochodził skądś z Północy. Ale na pewno nie były to Liverpool ani Manchester, ani Leeds. Może Newcastle.

– To jedyny akcent, którego nie potrafię naśladować – powiedział Jerry.

– I jeszcze jedna rzecz – powiedział Edward. – Miałem zamiar poinformować o tym waszego kolegę, ale zabrali mnie do sali operacyjnej, nie dając mi na to szansy. Jak mnie dźgnął, powiedział: „Nazywają mnie Podstępny Nożownikiem. Już wiesz dlaczego”.

– A jeżeli się mylimy? – zapytała Dżamila, kiedy wrócili do Lavender Hill. – Jeżeli te sprawy się nie łączą, a Pazur nie ma z żadną z nich nic wspólnego?

– Hej, powoli. Chyba niedawno mówiłaś coś innego, a mianowicie że układają się w straszną logiczną całość.

– Tak, ale tylko dlatego, że nie potrafię znaleźć innego wyjaśnienia. W każdym ataku pojawia się tylko część sprawcy i za każdym razem jest to inna część. Głowa, nogi albo połowa ciała. Edward Dance zobaczył w salonie jubilerskim całą kobietę, ale nie widział mężczyzny, więc nie możemy stwierdzić, czy widzialny był cały ten człowiek, czy tylko jego rękaw.

– Zdaje się, że to ty wierzysz w opowieści o równoległym wszechświecie. Powiedziałaś mi, że twoja babcia dostrzegła kiedyś połowę ciała w hidżabie, sunącą korytarzem.

– Wierzę w to, Jerry. I mam nadzieję, że nie ścigamy cieni. Muszę jednak samej sobie zadawać pytania. Widziałam już w pracy wiele pomyłek, które wydarzyły się tylko dlatego, że funkcjonariusz policji nie przyjął do wiadomości, że jakimś zdarzeniu można przypisać także alternatywne wyjaśnienie.

Jerry usiadł i włączył komputer.

– Powiem ci coś. Zabierzmy się do tych łotrów po kolei, a kiedy ich przyśkrzynimy, to się przekonamy, czy słusznie łączymy ich ze sobą. Od kogo zaczniemy?

Dżamila usiadła obok niego i popatrzyła na listę.

– Spróbujmy znaleźć człowieka, który zamordował Kathleen Hartley – powiedziała. – To mógł być ten Handlarz Rybami albo ktoś, kto go naśladował. Ale Adele wspomniała, że człowiek o podobnej ksywce był członkiem Armii Pazura

i śmierdział rybami. Ten odór szybko wytropi Duch, niezależnie od tego, w którym wieku morderca się schował.

– Racja – zgodził się Jerry. – Napijesz się kawy? Marzę o kubku z czymś gorącym.

– Tak, poproszę. Tymczasem spróbuję się skontaktować z państwem Hartley, a potem załatwię ściągnięcie Ducha do ich domu.

Jerry wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem w kierunku wind. Był w połowie drogi, kiedy zza załomu wyszło dwóch mężczyzn. Stanęli naprzeciwko niego, blokując przejście; wyższy z nich złożył ramiona na piersiach, a drugi wsunął ręce do kieszeni.

Jerry zwolnił. Dwaj mężczyźni wyglądali raczej na przestępców niż na policjantów. Pierwszy miał sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i złamany nos. Nosił szarą czapkę i obcisły szary garnitur. Drugi był niższy, ale również dobrze zbudowany. Miał filcowy kapelusz i pikowany płaszcz do kolan, niczym bukmacher z psich wyścigów.

– Przepraszam, panowie – powiedział Jerry, kiedy się do nich zbliżył.

Żaden z nich się nie ruszył, za to obaj wpatrywali się w niego bez mrugnienia okiem, jakby wręcz wyzywali go do tego, żeby siłą próbował się przedostać pomiędzy nimi.

– Macie jakiś problem? – zapytał Jerry. – Powiedziałem „przepraszam”. Chcę dojść do wind.

– To chyba ty masz problem, przyjacielu – powiedział mężczyzna w obcisłym szarym garniturze.

– O czym ty mówisz, człowieku? Zejdiesz mi z drogi czy nie?

– Wścibiasz nos tam, gdzie nie powinienes. Ty i ta ciapata. Nie myśl, że tego nie widzimy.

– Wciąż nie rozumiem, o czym mówisz.

– Więc ci wyjaśnimy – wtrącił się mężczyzna w pikowanym płaszczu. – Istnieją adresy, pod które nie wolno sprowadzać psów, ponieważ to gwarantuje problemy. Jeżeli to zrobisz i przyjdiesz z psem, naprawdę napotkasz kłopoty, mogę ci to zagwarantować.

– Mówisz przypadkiem o St Oswald's Place 9?

– Zgadza się, stary – odparł mężczyzna w szarym garniturze. – Widzę, że wcale nie jesteś takim głupkiem, na jakiego wyglądasz.

– A wy dwaj nie jesteście przypadkiem sługusami Pazura?

– Uważaj, kurwa, co mówisz. I nie wymieniaj pochoptnie imion ludzi, o których nic nie wiesz. Trochę szacunku.

– Co właściwie tutaj robicie? – zapytał Jerry. – Chyba was aresztuję za groźby wobec policjanta. Co wy na to? Na dole są bardzo wygodne cele. Pójdziecie tam ze mną?

– Nie, stary, to ty pójdziesz z nami. Pokażemy ci, czego możesz się doczekać, jeżeli wciąż będziesz wtykał nos w cudze sprawy. I nie musisz się martwić, bo

kiedy skończymy z tobą, zajmimy się również tą pakistańską laską.

– Coś ci się porypało. Jeżeli jeszcze nie zauważyłeś, tłuku, jesteś na komisariacie policji. Naprawdę uważasz, że mnie stąd wyciągniesz? Wystarczy, że zawołam po pomoc i jesteś ugotowany.

– Naprawdę? – spytał mężczyzna w pikowanym płaszczu. – Zaraz stanie się cud i zmienię twój punkt widzenia. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął duży czarny pistolet automatyczny. Wycelował w twarz Jerry’ego. – Wyobraź sobie tylko, jak będziesz wyglądał bez łba.

Jerry w milczeniu wbił wzrok w podłogę. Oceniał odległość dzielącą go od mężczyzn.

– To może już pójdziemy, słoneczko, dobrze? – zapytał mężczyzna w szarym garniturze. – Człowiek, którego imię tak zajebiście beztriosko wymieniłeś, chciałby zamienić z tobą słowo, a później zadecydujemy o twoim dalszym losie.

– Och, mówisz o Pazurze?

– Powiedziałem ci, żebyś... – zaczął mężczyzna.

Jerry błyskawicznie okręcił się na lewej nodze, a prawą wytrącił pistolet z ręki drugiego napastnika. Równocześnie wyszarpnął z kabury i odbezpieczył własną broń.

Automatyczna czterdziestka piątka przesunęła się po posadzce i jej kurek uderzył w listwę pod ścianą. Pistolet natychmiast wypalił z ogłuszającym hukiem. Kula odbiła się od ściany i utkwiała w tynku naprzeciwko.

Jerry trzymał pistolet w obu rękach, celując na zmianę to w jednego, to w drugiego mężczyznę.

– Na ziemię! – krzyknął. – Natychmiast padnijcie na ziemię twarzami w dół! Ręce za głowy, natychmiast!

Zaledwie po kilku sekundach na komisariacie rozległ się sygnał alarmu. Jerry usłyszał biegnących i krzyczących ludzi. Policjanci zaczęli opuszczać pomieszczenia, w których pracowali, żeby sprawdzić, kto strzelał. Dżamila także wybiegła na korytarz i kiedy tylko zobaczyła Jerry’ego, skierowała się w jego stronę. Popatrzyła na dwóch mężczyzn leżących na podłodze i zapytała:

– Co jest? Co się stało? Kto tutaj strzelił?

Zza rogu wyszło trzech funkcjonariuszy, jeden uzbrojony w karabin Hecklera & Kocha.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Właśnie powstrzymałem parę intruzów – odparł Jerry. – Wyjęli broń i wycelowali we mnie. Broń później przypadkowo wystrzeliła. Przydałyby się kajdanki.

Cofnął się o krok i powiedział do Dżamili:

– To ludzie Pazura. Wiedzieli, że chcemy się zjawić przy St Oswald’s Place, i przyszli tu po nas.

– Mówisz poważnie?

– W stu procentach. Zagrozili, że mnie ze sobą zabiorą. Przypuszczam, że chcieli mnie uciszyć raz na zawsze. Potem zamierzali wrócić po ciebie. – Wska-

zał głową pistolet, który wciąż leżał na posadzce. – Jeszcze nigdy nie byłem tak zadowolony z tego, że mam niebieski pas w kickboxingu.

Pojawił się detektyw nadinspektor Chance.

– Do diabła, co się tutaj dzieje? Co to za ludzie?

Jerry pochylił się nad mężczyzną w szarym garniturze.

– Jak się nazywasz, kolego?

– Spierdalaj – usłyszał odpowiedź.

– Nie licz na to, jełopie.

Dwóch mężczyzn pouczone o ich prawach, zakuto w kajdanki i postawiono na nogi. Inspektor Chance zarządził, żeby odprowadzono ich do cel, a następnie umożliwiono kontakt z prawnikiem.

Na odchodnym mężczyzna w pikowanym płaszczu odwrócił się do Jerry'ego. Miał taką minę, jakiej ten jeszcze nigdy w życiu nie widział, wyrażającą dziwną mieszaninę pogardy i rozbawienia.

– Stary, pożałujesz tego, co dzisiaj zrobiłeś. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo pożałujesz.

– To jest naprawdę niesłychane – powiedziała Dżamila, kiedy wrócili do swojego pokoju na komisariacie.

Jerry zdążył przynieść dla niej z bufetu herbatę cytrynową, a dla siebie czarną kawę, chociaż miał w tej chwili ochotę raczej na podwójną brandy.

– Skąd ci dwaj wiedzieli, kim jesteśmy, Jerry, i gdzie pracujemy? I w jaki sposób zdołali niesprawdzeni przez nikogo przedostać się na teren posterunku? Kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy, musiałam w recepcji pokazać legitymację.

– Kiedy tylko przyjdzie ich adwokat, zaraz postawimy im te pytania, chociaż się zdziwię, jeżeli zechcą nam cokolwiek powiedzieć. Ale teraz przynajmniej wiemy, że Pazur istnieje naprawdę i że pracuje dla niego armia złożona z naprawdę nieprzyjemnych typów.

– Na pewno zobaczyli nas, kiedy przyszedliśmy za Duchem na St Oswald's Place 9. Ale ja wtedy nikogo podejrzanego nie zauważyłam, a ty? Ale masz rację. Gdyby Pazur nie istniał, nie mogłby nasłać na nas tych dwóch typków. Zyskaliśmy też dowód na to, że Pazur wciąż ma w łapach Archiego, w tym czasie czy innym. W końcu to jego śladem podążał Duch.

– Najbardziej martwi mnie to, że w tej chwili to Pazur nas ściga, a nie my Pazura. I nie mamy pojęcia, ilu łotrów dla niego pracuje. Będziemy teraz oboje musieli zachowywać największą czujność. Skoro ci ludzie weszli bez problemu na posterunek i wiedzieli, na którym piętrze nas szukać, mogą również wiedzieć, gdzie mieszkamy, i przyjdą do naszych domów, kiedy się tego będziemy najmniej spodziewać.

Do otwartych drzwi zapukał młody technik policyjny. Jerry pomyślał, że chłopak wygląda jak szkolny prymus.

– Coś już wiemy – powiedział, zdejmując z nosa okulary w druczianych oprawkach. – Wydobyłem ze ściany kulę pochodzącą z tego colta i razem z bronią zawiozę ją na Lambeth Road na dokładne badania. Muszę jednak powiedzieć, że pistolet jest jedną z najstarszych broni, z którymi miałem dotąd do czynienia.

Położył na biurku pistolet szczelnie zamknięty w plastikowym worku służącym do przechowywania dowodów rzeczowych. Wskazał palcem małe litery widoczne na rękojeści.

– Patrzcie, to jest oznaczenie RAF-u. Oznacza to, że mamy do czynienia z jednym spośród dwóch tysięcy coltów, które zakupiono dla Królewskich Sił Powietrznych w 1940 roku. I, co uważam za niesamowite, pistolet jest w doskonałym stanie. Jego właściciel, kimkolwiek jest, doskonale go konserwował. Powiem wam, że zanim zobaczyłem oznaczenie RAF-u, byłem skłonny uznać, że to praktycznie nowa broń.

– Czy możemy ustalić, do kogo należy albo kiedyś należała ta broń?

– Chyba tak, zwłaszcza jeżeli pistolet został sprzedany przez licencjonowanego handlarza, chociaż nie wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Sądząc po jego stanie, jestem gotów uznać, że od zakończenia wojny nikt się nim nie posługiwał. Możliwe, że jakiś oficer RAF-u zatrzymał go po demobilizacji, a w niewłaściwe ręce wpadł dopiero niedawno. Powinniśmy ściągnąć DNA z kolby i nabojów w magazynku.

– Zdołaliście zebrać jakieś dodatkowe ślady?

– Niestety nie, co mocno mnie zdziwiło, ponieważ na dworze wciąż pada. Nie znaleźliśmy żadnych śladów butów. Ani na korytarzu, ani w windzie, ani na schodach. Mogę jedynie założyć, że ci dwaj panowie byli już w budynku, zanim lunął deszcz.

– Dziękuję – powiedziała Dżamila. – Detektyw Pardoe i ja wkrótce wyjedziemy w teren, ale jeżeli znajdzie pan coś istotnego, prosimy o natychmiastowy kontakt. Jesteśmy przekonani, że dzisiejsze zdarzenie wiąże się z bardzo poważnym przestępstwem.

– Nie wątpię – zgodził się technik i wziął do ręki broń. – Bo mamy tutaj bardzo poważny pistolet.

20

– Napiją się państwo herbaty? – zapytała pani Hartley.

– Nie, dziękuję – odparła Dżamila. – Nie zabierzemy państwu dużo czasu.

– Mam też ciasteczka czekoladowe, jeżeli zechcecie spróbować.

– Nie, dziękujemy. Jest pani bardzo miła.

Było oczywiste, że państwo Hartley wciąż są pogrążeni w głębokim szoku po zamordowaniu ich córki. Kiedy tylko się dowiedzieli o tragedii, przerwali wakacje na Teneryfie. Ciało Kathleen Hartley wciąż leżało w kostnicy, gdyż miało zostać poddane dodatkowym badaniom, dlatego od czasu powrotu do domu mogli tylko czekać na odzyskanie zwłok córki, które pozwoli im rozpocząć przygotowania do pogrzebu. W tej beczynności ogromnie się ucieszyli, kiedy zobaczyli Charliego z Duchem.

Duch obwąchiwał właśnie jadalnię i od czasu do czasu prychał.

Hartleyowie stali obok siebie pod reprodukcją obrazu *Śpiewający lokaj*, sztywni jak manekiny na wystawie sklepowej. Na pytania Dżamili odpowiadał monosylabami, bez emocji w głosie, jakby czytali z kartki.

Czy znali mężczyzn, z którymi ostatnio mogła się spotykać Kathleen? Nie. Czy córka ostatnio wspominała, że się z kimś pokłóciła? Nie. A może rodzice jej uczniów byli wobec niej agresywni? Nie, o niczym takim nie mówiła.

Większość tych informacji Dżamila i Jerry już znali, bo przecież sprawdzili dane z telefonu i laptopa Kathleen, żeby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie była aktywna na jakimś portalu randkowym lub czy nie zdenerwowała kogoś na Facebooku, Twitterze albo Instagramie. Ale było też możliwe, że mimochodem wspomniała rodzicom o kimś, kto miał wobec niej złe zamiary.

W końcu ciężko dyszący Duch wyszedł z jadalni, ciągnąc Charliego. Jerry rozpoznał w jego zielonych oczach ten szczególny błysk świadczący o maksymalnej koncentracji, który już się pojawił, kiedy pies złapał trop w sypialniach Adele i Archiego.

– Widzicie państwo? – odezwał się Charlie, spoglądając na Hartleyów. – Pies nawet się do was nie zbliża. To oznacza, że wyczuł w tym domu obcy zapach. Duch już wie, że w domu przebywał ktoś, kto nie jest członkiem rodziny. – Odwrócił się do Dżamili i Jerry’ego. – Po jego prychnięciu rozpoznaję, że wyczuł jakieś feromony.

Dżamila i Jerry wiedzieli, co Charlie chce przez to powiedzieć, więc nie musiał nic więcej wyjaśniać. Kathleen Hartley została wykorzystana seksualnie,

albo przed, albo po poderżnięciu jej gardła, zatem było prawdopodobne, że jej oprawca wydzieliał androsteron, feromon wydzielany przez podnieconych mężczyzn.

– Pies ma już w głowie wizerunek podejrzanego – podjął Charlie. – Gdybyśmy tylko mogli podłączyć jego mózg do komputera i zobaczyć, co jest w środku. Albo gdyby Duch potrafił rysować. Albo mówić.

Jerry poklepał Ducha po głowie.

– Gdyby on potrafił mówić, Charlie, nie pracowałby jako pies policyjny. Przewadziłyby własny talk show w telewizji.

– Zdoła wytropić sprawcę? – zapytał pan Hartley.

– Jeśli ktokolwiek potrafi wytropić tego człowieka, to właśnie Duch – odparł Charlie.

– Ten, kto przerwał życie biednej Kathy, powinien zawisnąć na szubienicy. Jest już najwyższy czas, żeby przywrócić karę śmierci. Rozmawiałem wcześniej z jeszcze jednym policjantem, przedstawił się jako detektyw inspektor Fairbrother. Nie chciał nam powiedzieć, co ten bandyta zrobił naszej córce. Stwierdził, że będzie lepiej, jeżeli się tego nie dowiemy, i powinniśmy pamiętać ją taką, jaka była za życia.

Przed domem Hartleyów Duch zaczął tak mocno się szarpać na smyczy, że jego oddech przeszedł w wysoki, piskliwy charkot.

– Co teraz? – zapytał Jerry. – Nie sądzę, żebym dzisiaj dał radę wziąć udział w kolejnym pięciokilometrowym marszobiegu. Po ostatnim razie wciąż mam odbite pięty.

– Nie martw się – odparł Charlie. – Wystarczy, że ja pójdę z Duchem. Kiedy dotrzemy na miejsce, zadzwonię. Poza tym i tak będziemy potrzebowali samochodu, jeżeli mamy kogoś aresztować.

– Doskonale. W trosce o ciebie wyrażę tylko nadzieję, że łotr nie czmychnął do Manchesteru albo w inne równie odległe miejsce. Bo w czwartek za dwa tygodnie wciąż byłbyś w drodze.

Kiedy Dżamila i Jerry wrócili na komisariat, podszedł do nich sierżant Willis, szef aresztu. Powiedział, że adwokat, który ma reprezentować niedoszłych porwaczy Jerry'ego, jest już w drodze i powinien dotrzeć na komisariat za jakieś dwadzieścia minut. Tymczasem, poinformował ich, dwaj zatrzymani nie chcą podać nazwisk ani adresów i odmawiają odpowiedzi na wszelkie dodatkowe pytania.

– Oba są siebie warci. Nigdy się nie spodziewam po więźniach, że będą mili i sympatyczni, ale ci dwaj przechodzą wszelkie moje wyobrażenia. To cholerne gbury, a na dodatek są agresywni.

Jerry popatrzył na zegarek.

– Miejmy nadzieję, że Duch w miarę szybko wytropi podejrzanego z domu Hartleyów. W przeciwnym wypadku będę coś musiał dla siebie zamówić w McDonalddie.

– Zawsze możesz zamówić cheeseburgera w naszym bufecie – zauważył sierżant Willis.

– Owszem, mogę. I kiedyś już to zrobiłem. Ale nigdy więcej. Czy to w ogóle był cheeseburger? Raczej burger ze starego osła, polany roztopionym plastikiem.

Dżamila i Jerry wrócili do pokoju. Praktycznie nie mieli nic do roboty, dopóki nie dostaną sygnału od Charliego. Nie dostali także nowych wiadomości od detektywów zajmujących się pozostałymi przypadkami, które mogły mieć związek z Pazurem.

– To chyba mnie przerasta – powiedział Jerry.

Ciężko usiadł w fotelu za biurkiem i położył stopy na blacie.

– Masz jakieś wiadomości od Lindy? – zapytała Dżamila.

– Nie. Zadzwońłem do niej, ale po krótkiej chwili rzuciła słuchawkę. Chyba powinienem pójść do szkoły dobrych manier.

– Widzisz, ja po sobie wiem, jak trudno jest w naszym zawodzie utrzymywać bliskie związki z innymi ludźmi. Jestem podejrzliwa wobec wszystkich mężczyzn i motywów ich postępowania. Pewien Hindus, właściciel hurtowni w Woodford, poprosił mnie, żebym za niego wyszła. Był przystojny i bogaty, ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam mu zaufać.

– Powinnaś więc wyjść za mnie. Byłaby z nas podejrzliwa para.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego i wysoko uniosła cienką brew. Przez krótką chwilę miał nadzieję, że zaraz powie: „To może spróbujemy?”. Ale po kilku sekundach uśmiechnęła się, lekko pokręciła głową i powróciła do komputera.

Zadzwońiła jej komórka. Z Lambeth Road telefonował Marsjanin.

– Detektyw sierżant Patel? Skończyliśmy wstępną analizę automatycznego colta, kaliber .45.

– Tak? I wiecie już, skąd mógł pochodzić?

– Znak RAF-u jest nienaruszony, ale ktoś próbował trwale zetrzeć numer seryjny. To sugeruje, że broń została kiedyś skradziona. Oczywiście odzyskaliśmy ten numer i zaraz go do was przekażę, żebyście mogli ustalić, skąd ten pistolet się wziął, na przykład z jakiego magazynu RAF-u go ukradziono.

– Dzięki, Derek. Każda drobna informacja jest dla nas na wagę złota.

– Jasne. Ale poczekaj! To jeszcze nie wszystko! Dokładnie obejrzeliliśmy kulę wydobytą ze ściany na korytarzu komisariatu i wiesz co? Znaleźliśmy na niej te same cechy co na kuli, która zabiła Kennetha Treagusa. Nawet jeśli nie strzelał ten sam sprawca, obie pochodzą z tego samego pistoletu.

– Naprawdę? To już jest informacja wielkiej wagi. Tymczasem wciąż czekamy na pojawienie się adwokata mężczyzn, których zatrzymaliśmy. Kiedy tu tylko przyjdzie, przedstawimy podejrzanym posiadane dowody i zobaczymy, jak zareagują.

Dżamila odłożyła telefon i streściła Jerry'emu rozmowę z Marsjaninem.

– Doskonała wiadomość. Czyli już przed godziną zatrzymaliśmy potencjalnego sprawcę w celi. Co za baran. Jakby sam się poprosił, żebyśmy go przyskrzynili.

– Jerry, jeżeli jeden z tych mężczyzn zamordował Kennetha Treagusa, masz wielkie szczęście, że nie zastrzelił także ciebie. Bywają w naszej pracy chwile, kiedy przychodzi mi do głowy, że powinniśmy składać podziękowania wszelkim bogom, w których wierzymy.

Jerry złożył dłonie i uniósł wzrok.

– Dziękuję ci, Magiczny Wuju w Niebiosach.

Telefon Dżamili znowu zadzwonił. Tym razem po odebraniu natychmiast zmarszczyła czoło i rzuciła pytanie:

– Co? Co to ma znaczyć? Tak, dobrze, zaraz zejdziemy.

– Co tym razem? – zapytał Jerry.

– Przyjechał prawnik, ale mamy problem. Naszych dwóch aresztantów nie ma już w celach.

– Przepraszam, ale chyba nie rozumiem. Co to znaczy, że ich nie ma?

– Sierżant Willis powiedział, że ich cele są puste. Drzwi zamknięte na klucz, owszem, ale aresztanci zniknęli, obaj.

Jerry popatrzył na Dżamilę z niedowierzaniem.

– Cholera jasna. Zrobili tę samą sztuczkę co Jasper Starke w 1880 roku w areszcie komisariatu w Bishopsgate. To nie może być przypadek.

– Zgadzam się z tobą. Ale jak to możliwe? Weszli na komisariat niedostrzeżeni w recepcji i nie pozostawili na posadzce śladów, mimo że na zewnątrz jest mokro. A teraz zniknęli. Czy może tu być inne wyjaśnienie niż takie, że przybyli z innego świata i do niego powrócili? Miałam jeszcze pewne wątpliwości, ale teraz jestem absolutnie pewna, że szukamy przestępców z równoległego czasu. Albo czasów.

Zeszli po schodach do policyjnego aresztu. Sierżant Willis stał na korytarzu w towarzystwie Simona Fairbrothera i siwowłosego adwokata. Prawnik miał okulary zsunięte na sam czubek nosa i wyglądał raczej na zdenerwowanego niż zaintrygowanego niespodziewaną sytuacją.

– Naprawdę nie wiem, co dzisiaj wyprawia londyńska policja – warknął. – Przerwałem spotkanie z ważnym klientem, żeby tutaj przyjechać, a wy pozwoliliście podejrzanym uciec. Nie widzieliście, jak stąd wychodzili? Wszyscy oślepliście?

– Inwektywy są zupełnie nie na miejscu, proszę pana – powiedziała Dżamila. – Dowiemy się, w jaki sposób podejrzani zdołali uciec, i w razie potrzeby skontaktujemy się z panem ponownie.

– Straciłem mnóstwo bardzo cennego czasu – zagrzmiał adwokat, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Dżamila i Jerry popatrzyli na Simona Fairbrothera i sierżanta Willisa. Obaj mieli głupie miny.

– Przecież z tych cel nie można uciec – odezwał się sierżant Willis. – Drzwi bezustannie pilnujemy, a zamki w nich są takie, że nawet najlepszy ślusarz nie da rady ich otworzyć. Poza tym byłem tutaj przez cały czas i gdyby ktokolwiek nieuprawniony zaczął majstrować przy zamkach, przecież usłyszałbym to i nakryłbym łotra na gorącym uczynku.

Cele były teraz otwarte i Jerry zajął do obu. Pochylił się nawet i zlustrował przestrzeń pod łózkami.

– Jakies pomysły? – zapytał Simon Fairbrother.

Jerry pokręcił głową. Nie chciał nawet wspominać o równoległych światach i teorii strun. W gruncie rzeczy sam tego nie pojmował, a miał obawy, że Simon Fairbrother mógłby dojść do wniosku, że zarówno on, jak i Dżamila zwiariowali. Poza tym było bardzo możliwe, że ich teoria o Pazurze i podróżowaniu w czasie nie ma tutaj zastosowania i dwaj mężczyźni zniknęli dzięki jakiemuś wynalazkowi, który nie był jeszcze powszechnie znany. Mogli na przykład rozproszyć atomy, z których składały się ich ciała, i przeniknąć przez ściany jak piasek przez sito.

– No, stary – odparł Jerry. – Mogę tylko powiedzieć: Houdini, jesteś przy tych facetach małym chłopcem.

Dołączył do nich Herbert Chance. Sierżant Willis w krótkich słowach wyjaśnił mu, że kiedy otworzył cele, aresztantów po prostu w nich nie było.

Chance wysłuchał go z ponurym wyrazem twarzy. Po chwili odezwał się:

– To nie może wyjść poza komisariat. Nikt nie ma się o tym dowiedzieć, rozumiano? Jeżeli ktoś będzie pytał o tych dwóch podejrzanych, nabierajcie wody w usta. Nigdy ich nie widzieliście, nigdy o nich nie słyszeliście i oczywiście nie macie pojęcia, że ktoś w ogóle zniknął z naszych cel. – Umilkł na chwilę i przygryzł dolną wargę. Wreszcie powiedział: – Detektyw sierżant Patel? Jakies przemyślenia? W jaki sposób ci dwaj mogli się wydostać z cel?

– W tej chwili panu nie powiem. Ale usilnie próbujemy wyjaśnić, jak to się stało.

Dżamila i Jerry wrócili do pokoju. Herbert Chance wezwał techników, aby dokładnie zbadali cele, z których uciekli podejrzani, ale Dżamila i Jerry nie wiedzieli, że cokolwiek uda się znaleźć.

Jerry zmienił zdanie co do McDonalda i zamówił pizzę chorizo z dowozem z Four Hundred Rabbits. Dżamila miała ochotę tylko na bułkę z tofu i herbatę cytrynową z bufetu. Przez następną godzinę siedzieli w milczeniu przy biurkach. Dżamilę pochłoneły kolejne raporty o niepokojach na tle rasowym w Redbridge, a Jerry grał w postapokaliptyczną grę wideo *The Last of Us*, w której pewien mężczyzna musi uratować młodą dziewczynę atakowaną przez zgraję zombi.

Kilka minut po piątej zadzwoniła komórka Dżamili. Telefonował Charlie, mocno zdyszany.

– Detektyw sierżant Patel? Duch wciąż zasuwa jak mały parowóz. Bez wątpienia trop jest bardzo silny. Poprowadził mnie przez całą Kennington Park Road, a teraz przed nami jest Elephant. Jeden Bóg wie, dokąd pies pociągnie mnie później, ale będę w kontakcie.

– Dzięki, Charlie. Czekamy na informacje od ciebie.

Jerry zjadł trzy kawałki pizzy, a potem się zdrzemnął z głową opartą o biurko. Dżamila wyłączyła komputer i także zamknęła oczy, chociaż nie mogła zasnąć. Rozmyślała o dzinnie, którego jej babcia widziała na korytarzu, o możliwości niezauważonego przedostania się dwóch mężczyzn na komisariat, a potem zniknięcia z cel, jakby nie byli niczym więcej niż iluzją.

Wytrącała ją z równowagi myśl, że ściany wokół niej wcale nie są nieprzeniknione, że istnieją możliwości przechodzenia z jednego świata do drugiego i z jednego czasu do zupełnie innego. Jeszcze niepokoiło ją to, że w innych światach i czasach ukrywają się przestępcy zdecydowani porwać ścigających ich policjantów i prawie na pewno ich zabić.

No i pozostawał jeszcze Pazur. Czy ten osobnik istniał naprawdę, czy też był jedynie dziwnym wymysłem Charlesa Dickensa? Jeżeli istniał, to kim lub czym był i jak wyglądał? Wiadomo było o nim tylko tyle, że ma pomarańczowe oczy. Czy naprawdę potrafił połączyć jeden Londyn z drugim i wysyłać ludzi w czasie z jednej dekady do drugiej?

Mniej więcej pół godziny po pierwszym telefonie Charlie zadzwonił znowu. Usłyszawszy dzwonek komórki Dżamili, Jerry drgnął, odchrząknął i prawie zepchnął z biurka karton z pizzą, ale się nie obudził.

– Duch poprowadził mnie na London Bridge – powiedział Charlie. – Teraz jesteśmy na Lower Thames Street i kierujemy się na wschód. On ciągle idzie równym tempem. Ani przez chwilę nie odpoczywa. Nie wiem, za kim podąża, ale Duch wie, gdzie ten ktoś jest, i zamierza go znaleźć. A ja mam wrażenie, że jest już bardzo blisko celu.

Dżamila podeszła do Jerry'ego i potrząsnęła jego ramieniem. Otworzył oczy, kilkakrotnie zamrugał, jakby nie wiedział, gdzie jest ani jak się w tym miejscu znalazł.

– Znowu odezwał się Charlie. Uważa, że Duch jest już bardzo blisko podejrzanego. Musimy być w każdej chwili gotowi do niego dołączyć.

– A gdzie on jest?

– Właśnie przeszedł przez London Bridge i teraz idzie na wschód.

– Dobra. Pójdę tylko na chwilę tam, dokąd królowie chadzają pieszo, i będę gotowy do działania.

Po niecałych dziesięciu minutach Charlie zatelefonował kolejny raz.

– Znalazł go. Cały drży. Problem w tym, że nie wiem, jak się tam dostaniemy. Wszystko jest pozamykane.

– Gdzie jesteście?

– Przy Old Billingsgate Market, na Lower Thames Street. To tylko pięć minut marszu od London Bridge.

– W porządku. Zaraz do ciebie dołączymy. Powinniśmy przyjechać najpóźniej za pół godziny.

– Jasne. Trochę tutaj wieje, ale na szczęście nie jest chłodno, więc obaj sobie odpoczniemy. Dam Duchowi wodę i psie przekąski. Jest wciąż bardzo podekscytowany, ale chyba pada z nóg, tak samo jak ja.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego.

– Duch zatrzymał się przy Old Billingsgate Market.

– Jezus, powinienem od razu zgadnąć. To właśnie tam pracował Jasper Starke. Handlarz Rybami.

– Ale teraz to chyba nie jest targ rybny, co?

– Nie. Handel rybami przeniesiono w latach 80. do Docklands. Teraz, o ile wiem, Old Billingsgate to miejsce koncertów i innych dużych imprez. Ale jeśli się tam wejdzie, kiedy jest pusto, podobno aż ciarki przechodzą po plecach.

– Cóż, pojedźmy tam i sami się przekonajmy.

Założyli kabury naramienne, wsunęli w nie automatyczne sig saury i narzucili kurtki. Następnie zbiegli po schodach i wsiedli do nieoznakowanego sedana policyjnego marki Volvo, który czekał na nich przy tylnym wyjściu z komisariatu. Z piskiem opon i błyskającą niebiesko lampą na dachu ruszyli przez Lavender Hill.

– Czy to może być ten sam Jasper Starke? – zapytała Dżamila.

Jerry wyminął autobus i w ostatniej chwili ominął starszą kobietę, która chciała przebiec przed jego maską.

– Mało mnie obchodzi, czy to ten sam facet, czy ktoś inny. Jeżeli tam jest, z przyjemnością założę mu kajdanki.

– A jeśli zniknie z celi, jak nasi dzisiejsi goście? Znowu aresztujemy przestępcę, którego nie będziemy w stanie zatrzymać w zamknięciu? Może to Pazur umożliwi swoim ludziom tajemnicze ucieczki, ale skoro znikają, zanim zdążymy im zadać jakiegokolwiek pytania, trudno mieć nadzieję, że kiedykolwiek go dopadniemy.

– Te lotry naginają prawa fizyki, prawda? Nie widzę więc powodu, dla którego my z kolei nie moglibyśmy nagiąć prawa, aby ich złapać. Jeżeli przyskrzynimy bandziora, który zabił Kathleen Hartley, czy to jest Jasper Starke, czy nie, to uważam, że powinniśmy zapomnieć o jego prawach i natychmiast go przesłuchać. I to bez większego cackania się z nim, gdyby zaszła taka konieczność.

– Ale w takim wypadku, jeżeli nawet nam coś powie, sąd nie uzna tego za dowód.

– Co mnie to obchodzi? Jeżeli rozpułynie się w powietrzu zaraz po przesłuchaniu, i tak nie postawimy go przed sądem, prawda? Nie można sądzić kogoś, kto nie istnieje.

Jerry włączył syrenę, żeby szybciej przejechać przez Elephant and Castle, a potem przyspieszył, zmiierzając w kierunku London Bridge. Ruch na ulicach był duży, ponieważ wielu ludzi wracało właśnie z pracy do domów, ale udawało mu się wyprzedzać samochody to z prawej, to z lewej strony. Od czasu do czasu pomagali sobie, znowu włączając na krótko syrenę.

Przejechali przez London Bridge, skręcili w Lower Thames Street i Jerry zatrzymał volvo przed budynkiem wybudowanym we włoskim stylu, służącym kiedyś w Billingsgate za targ rybny. Charlie czekał na nich na jednym z szerokich kamiennych tarasów, z którego rozpościerał się widok na Tamizę. Na przeciwnym brzegu strzelał w niebo lśniący trójkątny Shard, najwyższy budynek w Wielkiej Brytanii, sięgający ponad trzysta metrów, a niecały kilometr dalej, tuż przy rzece, widoczny był Tower Bridge. Powierzchnię wody marszczył bardzo delikatny wiatr, ale nawet w tych słabych podmuchach Dżamila zadrżała.

Charlie siedział na niskim murku i palił papierosa, a Duch leżał u jego stóp. Kiedy Jerry i Dżamila się zbliżyli, dostrzegli, że Duch wciąż dygocze i od czasu do czasu głośno wciąga nosem powietrze.

– On się trzęsie – powiedziała Dżamila. – Czy dlatego, że wyczuwa obecność naszego podejrzanego w budynku?

– Prawie na pewno.

– Ale nie wchodziliście jeszcze do środka, żeby go szukać?

– Nie. Cały budynek jest zamykany o piątej trzydzieści. Przez cały czas dyżuruje konsjerż, czy jak on się tam nazywa, i przypuszczam, że przepuściłby nas przez bramę. Ale nie chciałem ryzykować, nie chciałem podejmować działań bez wsparcia, ze względu na to, o co nasz zbir jest podejrzany. Duch wprost się nie może doczekać, żeby dalej go ścigać, lecz nie zamierzam wystawiać go na niepotrzebne niebezpieczeństwo. I siebie też przy okazji. Facetowi mogłoby przecieć przyjsć do głowy, żeby nas poszlachtować.

– Bardzo rozsądnie – powiedziała Dżamila. – Ale teraz już tam pójdźmy i sprawdźmy, czy Duch dalej podejmie trop.

Charlie strzepnął popiół i zgasił niedopałek papierosa, po czym troje policjantów ruszyło po schodach za Duchem. Po chwili weszli pod arkadę, która biegła wzdłuż tylnej ściany budynku. Zobaczyli portiera w budce przed bramą i Jerry zapukał w szybę, chcąc poprosić o wpuszczenie do środka.

Ale kiedy zapukał, stało się coś niesłychanego. Szyba zniknęła, jakby nigdy nie istniała, i nagle zobaczyli halę targową pełną straganów oraz mężczyzn i kobiet w fartuchach, straszliwie cuchnącą rybami.

Okropny był nie tylko odór, ale i ogłuszający hałas w hali. Właściciele straganów bezustannie coś wykrzykiwali i przeklinali, a robotnicy toczyli beczki. Targ był oświetlony jaskrawymi żarówkami elektrycznymi, zwisającymi na drutach z sufitu, dzięki czemu ryby na straganach skrzyły, jakby dopiero przed chwilą wyłowiono je z morza.

Jerry stanął jak wryty. Popatrzył na Dżamilę i Charliego, żeby się upewnić, czy oni też widzą przed sobą tętniący życiem targ. Dżamila z niedowierzaniem otworzyła szeroko usta, lecz Charlie był zbyt zajęty przytrzymywaniem Ducha. Pies wyrwał się z upręży, a jego pazury bezsilnie ślizgały się na czarnych i białych kafelkach.

– Co się stało? – zapytała Dżamila. – Charlie, na Boga, co się stało?

– To Duch... Przypuszczam, że cofnął się w czasie. Podobnie jak niedawno w piwnicy, kiedy wyciągnął do terażniejszości dziewczynkę, ale tym razem pociągnął nas ze sobą. Może uznał, że powinniśmy mu towarzyszyć.

Jerry się odwrócił. Na zewnątrz było ciemno, lecz niebo na wschodzie miało bladopomarańczowy kolor, jakby wkrótce miało wstać słońce. Na drugim brzegu rzeki nie było Sharda ani Tower Bridge, a wzdłuż nabrzeża cumowało mnóstwo barek i łodzi żaglowych.

– Nie wierzę, że to się dzieje – powiedział do Dżamili. – Ja śnię, prawda? Wciąż jesteśmy na komisariacie, a ja po prostu cały czas śpię.

Dżamila ścisnęła jego ramię. Ciężko oddychała, jakby właśnie ukończyła długi bieg.

– Jerry, to jednak jest prawda. To dokładnie przypomina równoległy świat dzinnów i sposób, w jaki Pazur opisał czas. Każdy dzień jest jak strona w książce. Mogłeś ją przeczytać i przejść do następnej, ale ona wciąż w tej książce istnieje i możesz do niej wrócić. I to się wydarzyło.

Duch dwukrotnie warknął. Robił wszystko, co leżało w jego psiej mocy, żeby zaciągnąć Charliego do hali targowej.

– Na pewno jest tam nasz podejrzany – powiedział Charlie. – I to niezbyt daleko.

Ruszyli za Charliem i Duchem pomiędzy straganami. Na każdym piętrzyły się wysokie skrzynie z łososiami, turbotami, makrelami i dorszami, a także żywe homary, ostrygi i ośmiornice. Powietrze było tak zimne, że ludzkie oddechy zamieniały się w parę wodną, a na podłodze zalegały okruchy lodu, pękające pod naciskiem butów. Mijali ich robotnicy taszczyący na głowach kosze z rybami i raz Jerry został nawet uderzony płetwą ogonową turbota. Słychać było bezustanne krzyki i przekleństwa.

Musieli się przecisnąć przez tłumy właścicieli restauracji i straganiarzy, którzy kupowali ryby. Policjanci co chwilę powtarzali „przepraszam”, a ludzie rzucali w ich kierunku zaciekawione spojrzenia – nie tylko dlatego, że szli za ciężko dyszącym labradorem, ale też z tego powodu, że ich ubrania miały niezwykle krój jak na czas, w którym się znaleźli, a poza tym nie nosili nakryć głowy. W przeciwieństwie do pozostałych osób na targu ani Jerry, ani Charlie nie mieli na głowach kapeluszy czy meloników, a Dżamila nie miała toczka z wstążką zawiązaną pod brodą.

Duch oddychał chrapliwie, ponieważ z całej siły parł do przodu i psia uprzęż uciskała mu gardło. Zmierzał prosto do straganu oznaczonego napisem „Ebenezer

Newby, St Mary-on-the-Hill 15”.

Przed straganem mężczyzna w brązowej czapce i długim fartuchu usuwał wnetrznosci z morleszy za pomocą noża o długim i cienkim ostrzu, a ciemnowłosa kobieta w białej czapeczce wyciągała z balii kraby i nimi potrząsała. Kiedy policjanci podeszli bliżej, mężczyzna odwrócił się i Jerry natychmiast go rozpoznał. W pewnym sensie oczekiwał tego spotkania, a jednak ciarki przebiegły mu po plecach, kiedy stanął twarzą w twarz z człowiekiem, którego widział wcześniej tylko na wyblakłej fotografii wykonanej niemal przed stu laty. Był to Jasper Starke – przystrojony sumiastymi wąsami, z uśmiechem Telly’ego Savalasa na ustach, trudnym do pomylenia z jakimkolwiek innym.

– Hejże! – wrzasnęła Jasper Starke, wskazując nożem Ducha. – Stary, na targ nie mają wstępu żadne pierdolone psy! Zabierz go stąd, bo zawołam straż i bydlę zostanie stąd wyrzucone! Takimi kopniakami w dupę, jakie na zawsze zapamięta!

Ostrzeżenie nie zadziało na Ducha. Podszedł sztywno do Jaspера Starke’a i zatrzymał się naprzeciwko niego. Następnie głośno szczechnął i dalek stał z wysoko uniesionym ogonem, lekko drżąc.

Dżamila obeszła stragan i zbliżyła się do Charliego. Jerry przeszedł kilka kroków w lewo, trzymając rękę w kurtce na cynglu pistoletu, gotów zareagować, gdyby Jasper Starke spróbował ucieczki albo innej gwałtownej reakcji.

Starał się za wszelką cenę zachować spokój, ale myślał: Nawet jeżeli zatrzymamy łotra, to jak przetransportujemy go do teraźniejszości? Jak sami wrócimy do naszego czasu? Czy to możliwe, że utknęliśmy w przeszłości już na zawsze? Jezu, ci ludzie nie mają laptopów ani telefonów komórkowych, ani telewizji, ani samolotów, ani nawet samochodów! Jeżeli ten facet zacznie się stawiać, nie będę mógł nawet wezwać wsparcia.

Od tych myśli zaczęło mu się kręcić w głowie, jakby był pijany.

– Nazywasz się Jasper Starke? – zapytała Dżamila głośno i wyraźnie.

Jasper Starke zmierzył troje policjantów podejrzliwym spojrzeniem i zapytał:

– I co z tego?

– Jasperze Starke, aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Kathleen Hartley. Masz prawo nic nie mówić. Jednak utrudnisz swoją sytuację, jeśli teraz nie odpowiesz nam na pytania, które padną także później w trakcie rozprawy sądowej. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane jako dowód.

Jasper Starke popatrzył na Dżamilę, jakby była szalona.

– Na Boga, co ty pleciesz, kobieto? Kim jesteś? Chyba nie kurewską policjantką? Chcesz mnie aresztować? Aresztować? A może właśnie cię wypuścili z zakładu dla wariatów?

– Jesteśmy funkcjonariuszami policji, przyjacielu – odpowiedział mu Jerry – i aresztujemy cię za morderstwo. Pójdiesz teraz z nami, czy to ci się podoba, czy nie.

– Nabijasz się ze mnie, co? Kto cię nasłał z tym niedorzecznym kawałem? Chyba nie Ebenezera, co? On bardzo lubi wymyślać podobne głupoty!

Jerry odpiął kajdanki od paska i wyciągnął je w kierunku Jaspera Starke'a.

– Odłóż to ostre narzędzie i powoli się odwróć z rękami na plecach. Nie rób niepotrzebnego zamieszania.

Jasper Starke wyżej uniósł nóż, a jego głos zrobił się nagle zimny i chrapliwy.

– Myślałem, że się nabijasz, ale ty to wszystko mówisz na serio, prawda? Nie wiem, kim, kurwa, jesteś, ale jeśli masz chociaż odrobinę oleju we łbie, razem z tym kundlem i towarzystwem się stąd wycofasz, zanim wypruję ci flaki z brzucha jak tym morleszom!

– Niech pan odłoży nóż, panie Starke – powiedziała Dżamila. – W tej chwili jedynie pogarsza pan swoją sytuację. Groźby wobec funkcjonariuszy policji w miejscu publicznym to również poważne przestępstwo. Podobnie jak stawianie oporu podczas aresztowania.

Duch zawarczał i obnażył kły. Jasper Starke machnął nożem w jego stronę i zawołał:

– Ty także stul pysk, głupi kundlu, jeżeli nie chcesz, żebym cię pociął na kotlety!

Młoda kobieta w białej czapeczce przestała się zajmować krabami i stanęła nieruchomo z rękami złożonymi jak do modlitwy. Jasper Starke zerknął na nią – jeden raz, potem drugi, a potem kolejny – i oblizał usta. Jerry pomyślał, że zastanawia się, co robić.

– Pójdiesz z nami dobrowolnie? – zapytała Dżamila.

Jasper Starke nie odpowiedział. Za to nagle zrobił krok w lewo, zacisnął dłoń na rękawie młodej kobiety i przyciągnął ją do siebie. Krzyknęła z przerażenia.

– Zamknij się, Emma! – rzucił

Przywarł do niej całym ciałem. Lewą ręką objął ją w talii, a ostrze noża niemal wbił w jej gardło.

– Dobra! – warknął. – Spierdalajcie stąd, i to w podskokach, albo ta laleczka powędruje prosto do nieba.

Dżamila i Jerry wyciągnęły odbezpieczone pistolety.

– Odrzuć nóż i puść dziewczynę – zażądała Dżamila.

Duch znowu warknął i zaczął niecierpliwie przebierać pazurami.

Jasper Starke przez chwilę wpatrywał się zza czapki zakładniczki w wycelowane w niego pistolety, wyraźnie zdziwiony, i nagle wybuchnął chrapliwym śmiechem.

– Co wy macie? Co to za flinty? Ha! Ja mam się tego przestraszyć? Ulotnijcie się stąd, zanim zrobię coś, czego pożałujecie!

Młoda kobieta była zbyt przerażona, żeby coś powiedzieć, ale wpatrywała się błagalnie w Dżamilę i Jerry'ego.

– To twoja ostatnia szansa, Starke – powiedział Jerry. – Puść dziewczynę.

Niektórzy handlarze rybami i robotnicy zorientowali się, że przed straganem Ebenezera Newby'ego dzieje się coś nadzwyczajnego, i zaczęli się gromadzić

wokół, obserwując rozwój sytuacji. Nie odrywając wzroku od Jaspera Starke'a, Jerry powiedział do Dżamili:

– On nic jej nie robi, dookoła jest zbyt wielu świadków. W tamtych czasach morderców się wieszalo, prawda?

– Więcej nie będę was ostrzegał – oznajmił Starke. – Jeżeli wy troje i pies będziecie tu jeszcze, kiedy doliczę do trzech, laleczka pożegna się z życiem.

Jerry przesunął się wzdłuż straganu, starając się w razie potrzeby zyskać możliwość oddania skutecznego strzału prosto w głowę Jaspera Starke'a. Był w trudnej sytuacji, ponieważ morderca chował się za młodą kobietą, a skrzydła jej białej czapeczki dość dobrze osłaniały jego twarz. Co prawda śmiał się pogardliwie z „flint”, ale było oczywiste, że obawia się strzałów.

Dżamila przesunęła wzrokiem po tłumie.

– Jerry... nie możemy zwlekać – powiedziała. – Sytuacja jest bardzo nietypowa.

– Chcecie, żebym spuścił na niego psa? – zapytał Charlie.

Duch warczał teraz bez przerwy, a z pyska ciekła mu ślina. Charlie z trudem utrzymywał go na uwięzi.

– Może i tak, ale zanim Duch go dopadnie, facet bez problemu zdąży podeźnać gardło tej biednej dziewczynie.

– Zajmijcie go rozmową – zaproponował Jerry. – Ja spróbuję znaleźć pozycję do skutecznego strzału.

– Nie, Jerry, nie możemy ryzykować, że go zabijemy – zaprotestowała Dżamila. – Co się stanie z nami, jeżeli on zginie z naszej ręki? Nie mamy tutaj żadnej władzy, nieważne, który jest rok. A poza tym przecież my go naprawdę w tych czasach nie zabiliśmy, prawda? Gdyby do tego doszło, przeczytałabyś o tym w relacji, na którą natrafiłeś.

– Więc co, do diabła, mamy robić? To z całą pewnością on zamordował Kathleen Hartley i właśnie go namierzaliśmy. Dlatego mi nie mów, że chcesz mu odpuścić i stąd odejść.

– Dwa! Trzy! – wrzasnął Jasper Starke chrapliwym głosem.

Zamiast poderżnąć dziewczynie gardło, opuścił nóż i dźgnął ją w brzuch. Wrzasnęła i gwałtownie próbowała się mu wyrwać, ale lewym ramieniem objął jej szyję na tyle mocno, że nie miała najmniejszych szans na oswobodzenie. Nóż przebił fartuch i dotarł aż do miednicy. Fartuch natychmiast zabarwił się czerwono i podzielił na dwie części niczym mokre kurtyny. Z pionowej rany wypłynęły jelita wraz z wątrobą i zawisły między nogami dziewczyny.

Jerry kilkakrotnie zmienił pozycję, próbując znaleźć pole do strzału, ale Jasper Starke wciąż przyciskał dziewczynę do siebie. Zaczął ją wlec do tyłu pomiędzy stragany. Jej pięty ślizgały się na kafelkach, pozostawiając na nich dwa krwawe ślady.

Przerażeni właściciele straganów i handlarze zaczęli krzyczeć, a Duch wyrwał się na smyczy i warczał jak opętany. Jerry spróbował się przepchnąć przez

tłum, żeby obejść Jaspera Starke'a i strzelić mu w plecy. Minął jednak zaledwie trzy stragany, gdy rozległ się okrzyk:

– Gliniarze!

Nie wiadomo skąd pojawiło się dwóch krzepkich policjantów, którzy szybko torowali sobie drogę pomiędzy ludźmi. Mieli wysokie hełmy i niebieskie mundury policji miejskiej z czerwono-białymi opaskami na rękach, a u boków zwiślały im długie drewniane pałki.

Skierowali się prosto do Jaspera Starke'a, a jeden z nich bez chwili wahania uderzył go pałką w dłoń, co spowodowało, że przestępca natychmiast upuścił nóż. Drugi złapał dziewczynę, odciągnął ją na bok i delikatnie położył na posadzce z kafelków. Jej twarz była już biała jak wosk, a ramiona i nogi bezwładne, ale policjant mimo wszystko zawołał:

– Potrzebny jest lekarz! Niech ktoś natychmiast sprowadzi lekarza!

Na targu zapanował taki hałas, że kiedy Jerry podszedł do Dżamili, musiał krzyknąć, żeby go usłyszała.

– Teraz nie damy rady go aresztować! – zawołał, chowając pistolet do kabury i zapinając kurtkę. – Już chyba wiem, co się z nim stało, kiedy został aresztowany i zamknięty w Bishopsgate!

Dżamila przyciskała dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać wymioty. Pokiwała głową, po czym opuściła rękę i odezwała się:

– Masz rację. Ale się zastanawiam, czy to nie my jesteśmy odpowiedzialni za to, co zrobił tej biednej dziewczynie. Gdybyśmy się tutaj nie pojawili, na pewno by jej nie dźgnął. A wiemy, że ucieknie z Bishopsgate w taki sam sposób, jak uciekło od nas tych dwóch.

Podszedł do nich Charlie, szarpnąwszy smycz Duchą, żeby ruszył za nim. Pies wciąż chciał zaatakować Jaspera Starke'a, głośno warczał i skakał na tylnych łapach. Nie mógł wiedzieć, że dwaj mężczyźni, którzy teraz przytrzymują rzeźmieszka, są funkcjonariuszami policji i że Jasper Starke już został aresztowany.

– Najlepsze, co możemy zrobić, to się stąd ulotnić – powiedziała Dżamila. – Pewnie wkrótce zjawi się więcej policjantów i będą chcieli wiedzieć, co my tutaj robimy, na dodatek razem z psem.

– Masz rację – zgodził się Charlie. – Chodź, Duchu! Dalej, piesku! Czas na kolację! To moje hasło oznaczające, że zakończyliśmy zadanie – wyjaśnił.

Zaczęli się wycofywać pomiędzy straganami. Tylko nieliczne osoby zwracały na nich uwagę. Wszyscy interesowali się głównie policjantami, Jasperem Starciem i młodą kobietą, której rozpruł brzuch.

Dotarli do drzwi prowadzących na taras. Charlie i Duch przeszli przez nie pierwsi, ale Jerry zawahał się w obawie, że za drzwiami natknie się również na 1880 rok. Popatrzył na Dżamilę i z jej spojrzenia wyczytał, że obawia się tego samego. Ale kiedy po chwili po raz ostatni się odwrócił, hala targowa była pusta i cicha. Nie było w niej straganów, straganiarzy, w ogóle nikogo. Powietrze nie

cuchnęło już rybami. Posadzka wciąż była wyłożona białymi i czarnymi kafelkami, niczym szachownica, ale wszystkie były czyste i błyszczące.

Dżamila wyszła na dwór, a Jerry zaraz za nią. Po drugiej stronie rzeki lśnił Shard, z daleka widoczne były światła na Tower Bridge. Jedynym zapachem wyczuwalnym w powietrzu był odór oparów benzyny.

– Chyba niczego nie zdziałamy, co? – zapytał Jerry. – Nie możemy zmienić historii. Przecież z równym powodzeniem moglibyśmy powrócić do czasów dinozaurów i próbować strzelać do pterodaktyla.

– Nie możemy zmienić historii, ponieważ to my nią jesteśmy – odparła Dżamila, wpatrując się w nurt rzeki. – Jestem głęboko przekonana, że przenieśliśmy się do czasów wiktoriańskich, na targ rybny w Billingsgate, i to dlatego Jasper Starke został aresztowany. Gdyby ktokolwiek dysponował w tamtych czasach kamerą filmową albo telefonem komórkowym i to zarejestrował, mógłbyś nas zobaczyć na tym nagraniu.

– Może tam byliśmy. Ale co z tego, że przyskrzynimy tych wszystkich łotrów i ich zamkniemy, skoro oni wszyscy i tak mogą po prostu rozpuścić się w powietrzu? Niczego w ten sposób nie osiągniemy.

– Zgadzam się z tobą, Jerry. Musimy złapać człowieka, który jest prowodyrem. Musimy dorwać Pazura.

W drodze do samochodu Jerry powiedział jeszcze:

– Chce mi się wymiotować. Jak myślisz, istnieje coś takiego jak choroba lokomocyjna w trakcie podróży w czasie? Jeżeli tak, założę się, że stara dobra budka policyjna Doktora Who jest cała zarzygana.

Postanowili skończyć pracę na ten dzień. Dżamila zamówiła ubera i pojechała do Redbridge, a Jerry wrócił samochodem do swojego mieszkania w Tooting.

Kiedy wszedł do holu, telewizor Rachel był tak głośny, że aż do niej zapukał. Ponieważ gospodyni nie zareagowała, otworzył drzwi i wszedł do jej salonu. Kobieta spała w fotelu z szeroko otwartymi ustami, nie rejestrując niczego z wydarzeń, które rozgrywały się na ekranie w programie *Odpicuj mi brykę*.

Jerry wyłączył telewizor. W salonie było dość ciepło, ale mimo wszystko ściągnął z sofy purpurową narzutę i przykrył nią kobietę na wypadek, gdyby aż do rana się nie obudziła.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Wciąż doskonale pamiętał, jak wyglądały ściany, na które trysnęła krew Nory. Teraz były odświeżone i pokryte musztardową tapetą.

Kiedy wszedł do swojego mieszkania na piętrze, wyciągnął z lodówki puszkę tennenta, usiadł ciężko na krześle przed biurkiem i włączył komputer. Po wycieczce do Old Billingsgate wciąż był oszołomiony, odczuwał zawroty głowy i nie mógł przestać myśleć o tym, jak Jasper Starke wypatroszył młodą kobietę. Był pewien, że nieszczęsna bardzo szybko odeszła z tego świata, i zaczął się zastanawiać, czy dałoby się poznać jej personalia.

Zasługiwała przecież na mały nagrobek albo przynajmniej wspomnienie w historii targu rybnego.

Sprawdził swoją pocztę elektroniczną. Otrzymał około dziesięciu maili, głównie z mało istotnymi pytaniami związanymi ze sprawami, które obecnie prowadził, a także sarkastyczny list od matki, która pytała go, czy wciąż żyje, oraz wiadomość z przypomnieniem, że wkrótce wygaśnie mu ubezpieczenie samochodu. Po chwili dostrzegł też mail od Edwarda Dance'a, jubilera. Edward otrzymał w szpitalu blok rysunkowy i namalował bardzo dokładny portret kobiety, która w tajemniczy sposób wtargnęła do jego salonu. Portret był załącznikiem do wiadomości.

Jej płaszcz niewątpliwie pochodził z lat 40., co podkreślały sztywne naramienniki. Jednak uwagę Jerry'ego przykuła przede wszystkim jej fryzura – włosy ułożone w dwa duże wałki. Przypomnił sobie, jak Adele opisała gospodynię Pazura, Veronicę – „była wysoka i miała zabawnie zwinięte włosy”.

Zaczął szukać w Google'u dawnych stylów uczesania i niemal natychmiast natrafił na fryzurę niemal identyczną jak ta, którą naszkicował Edward Dance.

Nazywała się Victory Rolls i była popularna pomiędzy 1940 i 1945 rokiem, jako damski symbol wsparcia dla mężczyzn w mundurach walczących na wojnie.

Jerry się wyprostował. A jeśli Edwarda Dance'a obrabowała właśnie Veronica? Jeśli mężczyzna, który go dźgnął – Podstępny Nożownik – był jeszcze jednym członkiem dowodzonej przez Pazura bandy morderców?

Nawiązał połączenie wideo z Dżamilą. Była w kuchni i czekała, aż kuchenka mikrofalowa zasygnalizuje, że odgrzała jej kolację. Zaprezentował jej rysunek Edwarda Dance'a i przypomniał, co Adele mówiła o Veronice.

– Oczywiście jest za późno, żeby teraz nachodzić tę dziewczynkę – powiedziała Dżamila. – Ale jutro z samego rana pojedziemy do domu Cooperów i pokażemy jej ten rysunek. Jeżeli naprawdę chodzi o tę samą kobietę, powinniśmy zaprowadzić Ducha do salonu jubilerskiego, żeby podjął jej trop.

– A jeśli Duch ją wyśledzi w 1941 roku? Przejdziemy tam po nią, jak po Jaspera Starke'a? Zdaje się, że to jest rok najgorszych nalotów na Londyn.

– Szczerze mówiąc, Jerry, nie odpowiem teraz na twoje pytanie. W tym śledztwie jakiegokolwiek prognozy ani założenia nie mają sensu. Możemy wykonywać tylko jeden krok naraz.

– Cóż, chyba masz rację, sierzancie. Ale nigdy nie przypuszczałem, że na samo słowo „czas” będę dostawał gęsiej skórki.

Następnego dnia rano w domu Cooperów Adele przypatrywała się portretowi autorstwa Edwarda przez dobre piętnaście sekund, prz gryzając dolną wargę. Dżamila nie mogła odczytać z jej twarzy, czy dziewczynka nie jest pewna tożsamości kobiety, czy jej nie rozpoznaje, czy też portret tak ją wystraszył, że straciła mowę.

– No i co? – zapytała ją delikatnie Dżamila. – Czy ta kobieta przypomina ci Veronicę?

Adele najpierw popatrzyła na matkę, która stała obok niej, po czym pokiwała głową.

– To jest ona. Ona dokładnie tak wyglądała. Identycznie.

– Bardzo nam pomogłaś, dziękujemy.

– Czy teraz będzie wam łatwiej znaleźć Archiego? – zapytała matka dziewczynki.

– Mamy ogromną nadzieję, pani Cooper. Uważamy, że kilka śledztw, które prowadzimy, powinniśmy ze sobą połączyć. Ustaliliśmy już, kto stoi za wszystkimi tymi przestępstwami, i wiemy, że ten sam osobnik przetrzymuje Archiego. Być może traktuje go jako zakładnika, lecz nie wykluczamy, że każe mu popełniać kradzieże. Mamy do czynienia z kimś w rodzaju Fagina.

– Ma pani na myśli tego Pazura? Adele opowiedziała nam o nim.

– Tak. Rozmawiamy właśnie o tym osobniku. A ta Veronica jest jego gospodynią, o czym zapewne Adele także już wspomniała.

– Zapomniałam coś powiedzieć o tej Veronice – odezwała się Adele. – Nie wiem, czy to istotne, ale powiedziała nam, że jej nazwisko brzmi Crawford. Veronica Crawford.

– Naprawdę? To nam może bardzo pomóc.

– Ale powiedziała też, że działa ludziom na nerwy, ponieważ zawsze im się naprzykrza, i dlatego wszyscy nazywają ją Namolną Veronicą.

– Namolna Veronica? Rozumiem. Sprawdzimy to. Może pamiętasz jeszcze coś, o czym nam wcześniej nie powiedziałaś?

– Tylko jej zapach. Nie wiem, czym pachniała, ale nigdy tego zapachu nie zapomnę. To był zapach jakby wielkiego bukietu róż, zmieszany z odorem wymiocin.

Na komisariacie w Lavender Hill Dżamila i Jerry poszli najpierw do bufetu na kawę, herbatę i późne śniadanie. Dżamila zamówiła wegańskie ciastka francuskie z syropem klonowym i pomidorami, a Jerry wybrał dla siebie jaja smażone na grzance.

– Smażone? – spytał, dźgając je widelcem. – Wyglądają raczej na wymiętolone.

– Zaczniemy od tego, że postaramy się poszukać jakichś wzmianek o Veronice Crawford czy Namolnej Veronice. Jeżeli zirytowała tak wielu ludzi, to może ktoś gdzieś o niej wspomniał.

– Kiedy ją znajdziemy, dowiemy się, czy pachniała różami i wymiocinami. To chyba oznaczałoby, że także ona podróżuje w czasie.

– Tak na dobrą sprawę, to my nie odbyliśmy podróży w czasie, Jerry. Po prostu weszliśmy do świata równoległego, który istnieje obok nas. Duch doskonale o tym wie, ponieważ wychowało go medium, a każde medium przechodzi między światami. Media nie wzywają martwych ludzi z niebios czy jakichś zaświatów. Wzywają ich ze świata równoległego, w którym tamci wciąż żyją.

– Kiedy cię słucham, dostaję gęziej skórki. Przecież to na przykład oznacza, że mój dziadek ciągle żyje. Był wyjątkowo gburowatym starym sukinsynem, który każde pomieszczenie zasmradzał dymem z fajki. Uważasz, że on wciąż gdzieś istnieje, pyka fajkę i głosi rasistowskie poglądy?

Dżamila popatrzyła znad swojego ciastka i Jerry ujrzał w jej oczach błysk, jakiego nie widział nigdy dotąd.

– Lubisz od czasu do czasu sobie zapalić – powiedziała. – Ale przynajmniej nie nazywasz mnie ciapatą.

Skończyli śniadanie i poszli na górę. Czekał już na nich Jeżozwierz. Miał nowe informacje na temat brutalnego zabójstwa pani Lilian Ferris, matki Sabiny.

– Ta odcięta głowa, z którą dziewczynka rozmawiała na strychu... Przejrzeliśmy całe sterty urzędowych dokumentów i chyba odkryliśmy, kto to był. Kiedy

w tamtym miejscu stał blok mieszkalny, lokal numer 12 należał do inwalidy wojennego o nazwisku Terence Wakefield.

– Powiedział dziewczynce, że został ranny pod Dunkierką, prawda?

– Tak. Ministerstwo Obrony pomogło nam odszukać akta wojskowe Terence'a Wakefielda. On rzeczywiście został ranny pod Dunkierką.

Jeżozwierz wziął do ręki telefon, żeby przekazać informacje, które uzyskał z Ministerstwa Obrony.

– Służył w 3. Dywizji Piechoty, która była częścią Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego. W trakcie niemieckiego ostrzału plaży poważnie uszkodzono mu kregosłup. Po ewakuacji do Anglii leczył się w szpitalu wojskowym w Netley, niedaleko Southampton. Przebywał tam kilka miesięcy. Nie odzyskał zdolności do służby wojskowej i na resztę życia został przykutym do wózka inwalidzkiego.

– Tak. To samo powiedziała nam Sabina, prawda?

– Ale mam coś jeszcze. Może jeździł na wózku inwalidzkim, ale odkryliśmy, że w 1944 roku został aresztowany za napaść na kobietę w pobliżu Clapham Common. Któregoś wieczoru próbował ukraść jej torebkę. Z akt wynika, że kobieta walczyła o swoją własność jak lwica, a on niemal oderznął jej głowę nożem do cięcia linoleum.

– Wiemy zatem, kto jest naszym potencjalnym podejrzanym – powiedział Jerry. – Terence Wakefield, facet na wózku inwalidzkim. Problem w tym, że budynek z jego mieszkaniem został zbombardowany w czasie wojny i już nie istnieje, a więc go tam nie znajdziemy. Chyba że...

Dżamila machnęła ręką.

– Nie, Jerry... Nie wierzę, że cokolwiek zdziałamy, jeśli znów weźmiemy Ducha do poszukiwań. Skończyłoby się to tylko czymś podobnym do tego kosztu w Billingsgate.

– A co się stało w Billingsgate? – zapytał Jeżozwierz.

– Najpierw musimy zdać relację nadinspektorowi Chance'owi – odparła Dżamila. – Powiem ci tylko, że mieliśmy tam bardzo dziwną przeprawę, ale jeśli chodzi o śledztwo, nie osiągnęliśmy dokładnie niczego.

Jeżozwierz popatrzył na Jerry'ego, jakby się spodziewał, że usłyszy więcej szczegółów, ale ten tylko pokręcił głową. On i Dżamila musieli najpierw uzgodnić wspólną wersję wydarzeń na targu rybnym i dopiero wtedy mogli podjąć próbę ich wyjaśnienia komuś, kto nie był ich świadkiem. A tymczasem Jerry w głębi ducha wciąż się zastanawiał, czy przypadkiem on, Dżamila i Charlie nie doświadczyli wspólnie halucynacji albo nie przysnił się im ten sam zdumiewający sen.

Przypomniał sobie, że kiedyś po pijanemu doszedł do przekonania, że aresztował ojca, który podpalił córkę za poślubienie niewłaściwego mężczyzny, ale kiedy się obudził, leżał na podłodze w kuchni całkowicie ubrany. W rzeczywistości ten ojciec odleciał do Bangladeszu i nikt go nigdy więcej nie widział w Anglii.

Przełożeni w Tooting ostrzegali go, że w pracy policyjnej zdarzają się chwile, w których człowiek może stracić poczucie rzeczywistości. Mieli rację. Takich chwil doświadczał już wcześniej, zanim jeszcze wspólnie z Dżamilą zaczął rozwiązywać sprawy, dla których wyjaśnienia należało się odwoływać do zjawisk nadprzyrodzonych.

To Dżamila znalazła klucz, który miał w końcu rozwiązać zagadkę domu pod numerem 9 przy St Oswald's Place.

Już od prawie dwóch godzin siedziała przed ekranem komputera, stukając palcami w klawiaturę i marszczyła czoło. Miała okulary – Jerry zobaczył ją w nich po raz pierwszy i pomyślał, że niespodziewanie wygląda w tych okularach na bezbronną kobietę. Zwykle była tak stanowcza i pewna siebie, że ta bezbronność dodała jej teraz dodatkowego uroku. Wyobraził sobie, jak prowadzi Dżamilę do okulisty i obserwuje, jak ona czyta kolejne litery z tablicy, albo jak pomaga jej znaleźć zagubioną parę okularów.

Kiedy Dżamila szukała w internecie jakichkolwiek wzmianek o Veronice Crawford albo Namolnej Veronice, Jerry przeglądał fotografie z archiwum policji londyńskiej. Twarze dwóch mężczyzn, z którymi stał się na korytarzu, wciąż miał świeżo w pamięci, a ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że jeden z nich albo obaj byli w przeszłości aresztowani, miał nadzieję, że zdoła ich zidentyfikować.

Było to przygnębiające zadanie, nawet dla kogoś, kto dawno już stracił wiarę w ludzką naturę. Niemal wszyscy przestępcy z fotografii policyjnych mieli brutalne, brzydkie i wręcz kretyńskie gęby, jakby większość z nich otrzymała potężny cios cegłówką w tył głowy.

Wciąż wpatrywał się w twarze przestępców, gdy Dżamila zdjęła okulary i powiedziała:

– Znalazłam ją! Aż się w to nie chce wierzyć!

Jerry wstał i podszedł do biurka Dżamili. Na ekranie komputera zobaczył portret eleganckiego mężczyzny we fraku i spodniach z lampasami, z kciukami wbitymi w kieszenie kamizelki. Nosił okulary bez oprawek, miał mocno podkreślone wąsy i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Nadzwyczajne – powiedziała Dżamila. – To niewiarygodne, że zapomina się o różnych wydarzeniach z historii, jak na przykład o spotkaniu Charlesa Dickensa z Pazurem. Pewnie dzieje się tak dlatego, że trudno jest w nie uwierzyć i nie pasują do powszechnie przyswojonej wiedzy.

– Więc kim jest ten dżentelmen? – zapytał Jerry. – Ma taką minę, jakby zgubił funciaka, ale potem znalazł stówę, albo przed chwilą migdałił się z pomocą kuchenną.

– To sir Frederick Treves. Był wybitnym lekarzem. Sławę zdobył z dwóch powodów. Na dwa dni przed koronacją uratował życie królowi Edwardowi VII,

wycinając mu wyrostek robaczkowy. A ponadto był bliskim przyjacielem Josepha Merricka, Człowieka Słonia. Badał Człowieka Słonia i napisał o nim książkę, a kiedy ten umarł, przeprowadził sekcję zwłok i pobrał próbki jego skóry oraz organów wewnętrznych.

– Widziałem film o Człowieku Słoniem. Biedny facet. Miał grudki na całym ciele, prawda? Osobiście uważam, że wcale nie wyglądał jak słoń, lecz przypominał wielkiego rozgotowanego kalafiora. Ale co to wszystko ma wspólnego z Namolną Veronicą?

– Przeczytałam, że sir Frederick Treves po raz pierwszy zobaczył Człowieka Słonia w 1884 roku na wystawie na East Endzie w Londynie. Od tego czasu regularnie go odwiedzał i dwa lata później załatwił, że tamten został przyjęty do Szpitala Londyńskiego. Popatrz, tutaj jest fragment z dzienników sir Fredericka. Człowiek Słoń miał na imię Joseph, ale z jakiegoś powodu Treves zawsze nazywał go „John”.

Dzamiła powiększyła tekst na ekranie, żeby Jerry mógł go łatwiej przeczytać.

„Kiedy przybyłem do szpitala w ostatnią środę nad ranem, 11 lutego, podeszła do mnie kobieta, która stwierdziła, że posiada informację, która może mnie bardzo zainteresować. Powiedziała, że wie, że John Merrick został przyjęty do tego szpitala i że ja jestem jego lekarzem. Oznajmiła, że mało kto wie o tym, że John Merrick jest jednym z bliźniaków. Po śmierci ich matki, kiedy mieli po siedem lat, John został oddany pod opiekę wujka, Charlesa Merricka, który odmówił przyjęcia jego bliźniaka, Matthew, ponieważ, w przeciwieństwie do Johna, spokojnego i posłusznego dziecka, Matthew miewał wybuchy niekontrolowanej agresji i zachowywał się okropnie”.

– Człowiek Słoń miał brata bliźniaka? – spytał Jerry, kręcąc głową. – Do diabła, kto o tym wiedział?

– Czytaj dalej – zachęciła go Dzamiła.

„Kobieta powiedziała, że nazywa się Veronica Crawford, a jej rodzice, państwo Crawfordowie, od dawna byli przyjaciółmi Merricków i zgodzili się zaopiekować Matthew. Początkowo Matthew nie okazywał żadnego śladu deformacji, miał tylko nieznacznie zniekształcone stopy, ale gdy skończył trzynaście lat, jego ciało na dobre zaczęło ulegać dziwnym przemianom i w dniu szesnastych urodzin wyglądał tak samo potwornie jak jego brat, jeśli nie gorzej.

Kobieta poinformowała mnie z kolei, że w Boże Narodzenie 1879 roku jej rodzice i siostra stracili życie w pożarze domu w Leicester. Dlatego ona i Matthew pojechali do Londynu. Chcieli zarabiać pieniądze dzięki prezentowaniu Matthew szerszej publiczności, w taki sam sposób, jak zarabiał John. Matthew zamierzał nazwać siebie Człowiekiem Nosorożcem, aby nawiązać do sławy brata. Veronica i on poznali faceta znanego jako Breeze, który był zarazem showmanem i magikiem. Breeze powiedział, że będzie nie tylko prezentował Matthew na pokazach, ale nauczy go także magicznych sztuczek.

Niestety, mówiła panna Crawford, deformacje Matthew z każdym dniem osłabiały jego odporność na londyńskie zanieczyszczenia, mgłę i promienie słoneczne. W rezultacie musiał się schronić w ciemnej piwnicy i nie był już w stanie występować, a tym samym zarabiać godziwych pieniędzy na życie dla siebie i panny Crawford.

Jeśli dam jej pięć funtów, powiedziała, zaprowadzi mnie do niego, a ja zapewne będę mógł zadbać o to, żeby został umieszczony w Szpitalu Londyńskim obok Johna. Oczywiście zdałem sobie sprawę, że kobieta jest oszustką i chce wyłudzić ode mnie pieniądze. John nigdy mi nie wspominał o istnieniu jego brata bliźniaka, a przecież doskonale wiedział i wspominał mi, że po śmierci jego matki ojciec powtórnie się ożenił i miał jeszcze dwoje dzieci.

Powiedziałem panie Crawford kategorycznie, że jej nie wierzę i nie zamierzam dłużej wysłuchiwać jej oszukańczych opowieści. Niemniej następnego dnia znów pojawiła się w szpitalu i kolejnego dnia jeszcze raz. Utrzymała, że mówi szczerą prawdę, i ponowiła prośbę o pieniądze. Tego ranka zobaczyłem ją ponownie i tak mnie zirytowała, że nazwałem ją Namolną Veronicą”.

– A więc sir Frederick jej nie uwierzył – powiedział Jerry. – My jednak wiemy, że mówiła prawdę. A przynajmniej w większości prawdę. A Pazar to zapewne Matthew Merrick. Zastanawiam się, co by się stało, gdyby sir Frederick zgodził się przyjąć go do szpitala, podobnie jak jego brata.

– Kto to może wiedzieć? Jednak w przeciwieństwie do brata Matthew nie mógł zarabiać pieniędzy dzięki pokazom i prawie na pewno z tego powodu założył bandę i wysłał dzieci, żeby dla niego kradły.

– No ale co z tymi podróżami w czasie i ze światem równoległym, cokolwiek to jest? Jak on sobie z tym radzi?

– Tego właśnie się musimy dowiedzieć, Jerry. Obecnie wiemy przynajmniej, kogo szukamy, i to pomoże nam znaleźć poszukiwanego osobnika, niezależnie od tego, w jakim świecie żyje. Tutaj jest jeszcze napisane, że szkielet Josepha Merricka przechowywany jest w Szkole Medycznej Świętego Bartłomieja, chociaż nie ma do niego dostępu szeroka publiczność. Jego tkanki miękkie zostały pogrzebane na cmentarzu City of London.

– DNA Matthew Merricka będzie pasować do DNA jego od dawna nieżyjącego bliźniaka. Musimy więc zapoznać Ducha z zapachem Josepha.

Charlie i Duch cierpliwie czekali na nich przy kamiennej bramie cmentarza City of London.

– Zdarzały mi się w przeszłości dziwaczne śledztwa – powiedział Charlie, kiedy Dżamila i Jerry wysiedli z samochodu. – Ale to, co robimy teraz, przechodzi moje wszelkie wyobrażenia.

Duch podbiegł do policjantów, szeroko wymachując ogonem, jakby się bardzo ucieszył na ich widok.

– Powinienem zabrać dla niego jakąś piłeczkę – stwierdził Jerry. – Trochę by się pobawił przed przystąpieniem do obwąchiwania ludzkich grobów.

– Całkowicie się mylisz, Jerry. On ma taką zabawę po prostu za nic. Próbowałem go kiedyś zainteresować piłką, ale nawet za nią nie popatrzył, kiedy ją rzuciłem. Po prostu stał i patrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć, że nie ma powodu, aby za nią gonił. Przecież nie popełniła żadnego przestępstwa.

Jerry popatrzył na Ducha i pokręcił głową.

– Sam już nie wiem. Zaczynam się zastanawiać, czy on w ogóle jest psem, a nie facetem przebrany za labradora.

Za bramą powitał ich nadzorca cmentarza, elegancki mężczyzna w średnim wieku, o czerwonych policzkach, ubrany w dwurzędową marynarkę ze złotymi guzikami. Był człowiekiem o posturze wojskowego i zdawał się wymagać od lokatorów cmentarza spokoju i odpowiedniego zachowania, szczególnie gdy odwiedzają ich goście.

Szybko przeprowadził ich do grobów komunalnych na odległej części cmentarza, gdzie pochowano Josepha Merricka. Szli tam szeroką ścieżką pomiędzy drzewami i kwietnikami, obserwowani przez smutne anioły wyrzeźbione w kamieniu. Duch wreszcie nie szarpał smyczy i szedł z uniesioną głową i opuszczonym ogonem, jakby wyczuwał setki duchów śpiących w grobach dookoła.

Dżamila pomyślała, że w jej obecności jeszcze nigdy nie był aż tak spokojny. Wokół panowała cisza zakłócana jedynie szelestem liści na drzewach i pluskiem wody w odległej fontannie.

– Pochowano tutaj pół miliona ludzi – oznajmił nadzorca. – Wśród nich także sporo sław. Leży tu na przykład Bobby Moore, kapitan piłkarskiej reprezentacji Anglii. I niania Winstona Churchilla. I aktorka Anna Neagle. I dwie ofiary Kuby Rozpruwacza. I facet, który wymyślił bilard.

Grob Człowieka Słonia znajdował się w spokojnej, najbardziej zielonej części cmentarza. Oznaczony był tylko białym słupkiem z lśniącą granitową tabliczką, na której wyryto słowa: „Śp. Joseph Merrick 1862–1890”.

– Nie wiem, jakim sposobem wasz pies mógłby podjąć stąd trop – powiedział nadzorca. – Pochowano tutaj tylko tkanki miękkie Merricka. Jego szkielet jest w szkole medycznej przy Uniwersytecie Królowej Marii. I moim zdaniem pies powinien obwąchać przede wszystkim ten szkielet.

– Nam to również przyszło do głowy – zgodziła się Dżamila. – Skontaktowaliśmy się ze szkołą medyczną, ale tam powiedziano nam, że niestety kości Josepha Merricka zostały zdezynfekowane po wypreparowaniu, w związku z czym jego oryginalny zapach został w nich całkowicie zatarty.

Charlie podprowadził Ducha do grobu. Pies niemal przycisnął nos do jego podstawy i zaczął głośno wciągać powietrze, od czasu do czasu prychając.

– Wątpię, czy cokolwiek tu uzyskamy – odezwał się Charlie, patrząc, jak Duch odchodzi od grobu, zatacza małe kręgi, wącha, przystaje, znowu wącha, jakby wcale nie był pewien, jaki zapach w powietrzu jest w tej chwili istotny. – Nie wiemy, w jakiego rodzaju trumnie albo skrzyni umieszczono szczątki Merricka, no i niedługo przecież minie sto czterdzieści lat od pogrzebu.

– Jeżeli Duch nie złapie śladu, zawsze istnieje możliwość uzyskania nakazu ekshumacji – zauważyła Dżamila.

– Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne – warknął nadzorca cmentarza.

Było oczywiste, że z niechęcią myśli o brutalnym zakłócaniu spokoju które-mukolwiek z lokatorów jego doskonale utrzymanego cmentarza.

Duch uniósł łeb. Można było odnieść wrażenie, że intensywnie myśli. Po chwili znów zaczął obwąchiwać ziemię przy grobie, wciągając powietrze znacznie wolniej i głębiej niż do tej pory. Po prawie pięciu minutach ponownie uniósł głowę i tym razem miał już w oczach ten charakterystyczny błysk, który mówił: „Wiem, kogo mam szukać. Mam już jego obraz w głowie”.

– Myślicie, że zdoła zidentyfikować Sami-Wiecie-Kogo? – zapytała Dżamila.

Nie chciała podawać imienia Pazur w obecności nadzorca cmentarza.

– Jestem tego niemal pewien – powiedział Charlie. – Popatrz na niego. Nie może znaleźć tropu, którym miałyby podążać bezpośrednio stąd, ale takie rzeczy już się zdarzały. Wie, że podejmie go w miejscu, w którym spodziewa się natrafić na podobny zapach. Bliźniaki nie zawsze mają takie same DNA, ale są one wystarczająco bliskie, żeby Duch mógł wyczuć związek pomiędzy nimi.

– Muszę powiedzieć, że to zdumiewające – powiedział nadzorca. – Chcecie powiedzieć, że pies wyczuł zapach szczątków Josepha Merricka, mimo że leżą głęboko w ziemi?

– On ma w nosie trzysta milionów receptorów węchowych – powiedział Charlie. – Wie pan, ile receptorów ma biedniutki człowiek? Sześć milionów. Jeśli chodzi o rozpoznawanie zapachów, z psami nie mamy szans.

Zanim wyruszyli na poszukiwanie Pazura, wrócili na komisariat po pistolety. Dżamila zasugerowała, żeby zabrać również paralizatory, na wypadek gdyby Pazar rzucił się do ataku. Wiedzieli teraz, że Matthew Merrick jest jeszcze bardziej zdeformowany niż jego brat Joseph, ale nie znali rozmiaru deformacji i nie mieli pojęcia, czy będą one stanowiły przeszkodę przy próbie aresztowania. Obejrzelili kilka fotografii Josepha Merricka i od razu dostrzegli, że jego nadgarstki mogą być zbyt szerokie i grudkowate, by założyć na nie kajdanki.

– Na pewno jesteś na to gotowy? – zapytała Dżamila, wsuwając pistolet do kabury.

– Pomyśl tylko o *Powrocie do przyszłości* – odparł Jerry. – Nie sądzisz, że powinniśmy poprosić o wsparcie?

– Najpierw zobaczymy, jak daleko to zajdzie. Nie wiemy, czy Duch spróbuje nas wprowadzić do roku 1941. A jeśli tak, ile osób będzie w stanie ze sobą zabrać. Poza tym, skoro mówimy o wsparciu, musielibyśmy wyjaśnić całą koncepcję światów równoległych wszystkim funkcjonariuszom, którzy wzięliby w nim udział.

– Tak, masz rację, a to wcale nie byłoby proste. Gdybym nie znalazł rybich łusek na kurtce, trudno byłoby mi zaakceptować to, że naprawdę odwiedziłem Billingsgate w roku 1880. Więc nie mogę sobie wyobrazić, że dałoby się przekonać kilku funkcjonariuszy, że zabieramy ich w czasy nalotów na Londyn. Niemal słyszę te wszystkie pytania.

Zadzwoił telefon Dżamili. To był Charlie, który stanął właśnie przed komisariatem w nieoznakowanej furgonetcie i chciał wiedzieć, czy ona i Jerry są już gotowi.

Dojechali do Kennington i zaparkowali w odległości jednej przecznicy od St Oswald's Place. Na środku ulicy kilku chłopców grało w piłkę, ale Dżamila uznała, że znajdują się wystarczająco daleko od numeru 9, by nie groziło im niebezpieczeństwo, i wysłanie ich w jakieś inne miejsce nie ma sensu. Poza tym nawet gdyby Duch wprowadził ich do roku 1941, ci chłopcy nadal kopaliby piłkę w czasie teraźniejszym. Nie zdawaliby sobie sprawy, że kiedy Dżamila, Jerry, Charlie i Duch znikają za rogiem, to tak naprawdę przechodzą do takiego Kennington, jakie istniało w czasie drugiej wojny światowej.

Duch znowu energicznie szarpał smycz, więc Jerry się domyślał, że zapach, który wyczuł na grobie Josepha Merricka, wciąż mocno drażni trzysta milionów jego receptorów węchowych. Pies przeprowadził troje ludzi przez St Oswald's Place do dziedzińca z pojemnikami na śmieci, czyli do miejsca, w którym dawno temu stał budynek oznaczony numerem 9.

– Co teraz? – zapytał Jerry. – Pewnie to tutaj ukrywał się Matthew Merrick, zanim dom został zbombardowany. Ale teraz go tu nie ma, prawda?

Duch ustawił się pyskiem w kierunku bramy, z uniesionym łbem, i zaczął drzeć. Z głębi jego gardła dobiegł taki pomruk, jaki wydają z siebie psy, kiedy ostrzegają o obecności intruzów.

– Wyczuł, że on jest w pobliżu – powiedział Charlie.

– Tak, ale gdzie? – zapytała Dżamila. – Może piwnica, w której się ukrywał, wciąż istnieje, pod nawierzchnią, a on tam siedzi, chociaż wejścia do niej już nie ma? Nie może wyjść na zewnątrz, a my nie możemy się dostać do środka. Chyba że dostaniemy zgodę na rozkopanie tego dziedzińca.

Duch bezustannie drżał i warczał. W miarę jak mijały kolejne sekundy, przez jego ciało przebiegały coraz intensywniejsze dreszcze, aż zaczął się trząść jak galareta i wydobywać z siebie tak głośny gardłowy warkot, jakby się dusił. Jego futro się najeżyło.

Charlie przykłęknął obok Ducha i objął go ramieniem.

– No, piesku, gdzie on jest? Czujesz go, prawda? Cholernie dobrze wyczuwasz jego zapach. Ale gdzie on jest?

Jerry kilkakrotnie zamrugał. Nad St Oswald's Place niespodziewanie zaczął zapadać zmrok.

– *Swarga!* To się dzieje naprawdę – powiedziała Dżamila i popatrzyła dookoła. – On nas zabiera w przeszłość. Spójrzcie, chłopcy z piłką zniknęli. Jeszcze się nie urodzili. I popatrzcie, jak zmały drzewa. I wciąż się zmniejszają! Przenosimy się wstecz.

Na ulicy robiło się coraz ciemniej. W oddali zaczęły wyc syreny, a po niebie zaczęły wędrować niczym lśniące szable promienie światła z reflektorów punktowych.

Duch zaskowyczał piskliwie i przeciągłe, a Charlie rzucił:

– Boże wszechmogący.

Dziedziniec za bramą powoli zniknął w warstwie gęstej szarej mgły i po chwili w jego miejscu pojawił się dwupiętrowy budynek z cegieł, z czarnymi metalowymi drzwiami.

– Rzeczywiście, chyba się cofnęliśmy w czasie – powiedział Charlie.

Drżał mu głos, co świadczyło o jego kompletnej dezorientacji. Ze wschodniej części Londynu, znad doków portowych, dobiegło wycie silników nisko lecącego samolotu i po chwili rozległ się huk eksplodujących bomb.

Duch bez wahania skoczył na czarne metalowe drzwi. Najpierw je obwąchał, a następnie stanął na tylnych łapach i zaczął je intensywnie drapać.

Jerry naparł na drzwi całym ciałem, ale były zamknięte na klucz.

– Mogłem wziąć taran z komisariatu – powiedział. – Ale skoro nie możemy wejść do środka na siłę, pozostaje nam zapukać i czekać, aż ktoś otworzy.

Dżamila popatrzyła na promienie światła z reflektorów.

– Miejmy nadzieję, że ten budynek nie zostanie zbombardowany akurat dzisiejszej nocy.

Jerry kilkakrotnie uderzył pięściami w drzwi i czekał. Nie było żadnej reakcji, więc znów uderzył pięściami, tym razem mocniej.

– Jest tam ktoś? – zawołał. – Pytam, czy jest ktoś w tym domu!

Minęło około pół minuty. Odgłosy nad miastem wskazywały, że bombowce są coraz bliżej. Słychać było świst pocisków artylerii przeciwlotniczej. Na niebie wykwiwały białe chmurki eksplozji, przypominające widok rozdmuchiwanych mniszków lekarskich.

Jerry zamierzał zapukać po raz trzeci, lecz drzwi niespodziewanie się otworzyły. Korytarz za nimi był pograżony w ciemnościach, półmrok jednak był na tyle przejrzysty, że policjanci zobaczyli w progu wysoką chudą kobietę z włosami upiętymi w wielkie zwoje zwycięstwa.

– Kim jesteście? – zapytała. – Czego chcecie?

Duch spróbował przecisnąć się obok niej i wbiec do budynku, lecz Charlie go powstrzymał.

– Jesteśmy funkcjonariuszami policji, proszę pani – powiedziała Dżamila. – Przypuszczam, że mam do czynienia z Veronicą Crawford? Zgadza się?

– A jeśli tak, to co? Właśnie trwa nalot, jeżeli jeszcze nie zauważyliście. Po co się szwendacie w czasie nalotu?

– Chcielibyśmy wejść do środka.

– Po co? Niczego złego nie zrobiłam.

– Musimy zadać pani kilka pytań, pani Crawford. Jeżeli nas pani nie wpuści, zostanie pani oskarżona o utrudnianie śledztwa.

W tym momencie z końca korytarza dobiegł śmiech i głosy przekomarżających się dzieci, a następnie brzęk talerzy.

– Wejdzmy do tego domu, czy się pani to podoba, czy nie – postanowiła Dżamila.

Wypowiedziawszy te słowa, zrobiła krok do przodu i ścisnęła dłonią ramię Veroniki.

– Puść mnie! – zawołała Veronica, ale Dżamila już pchnęła ją w głąb korytarza.

Pod podeszwami ich butów na podłodze rozległ się chrzęst rozbitego szkła i drewnianych fragmentów ram okiennych.

Jerry i Charlie weszli za Dżamilą. Jerry przymknął za sobą drzwi. Na wypadek pospiesznej ewakuacji, z Pazurem czy bez niego, pozostawił je trochę uchylone. Duch wciąż dyszał i drżał, z każdą chwilą intensywniej, a kiedy znalazł się przy drzwiach prowadzących do piwnicy, zadygotał, jakby nagle doznał orgazmu, i wcisnął nos w wąską szparę pod nimi. Zaczął wdychać płynący stamtąd zapach.

– Puść mnie, powiedziałam! – powtórzyła Veronica. – Obiecuję ci, bardzo tego pożałujesz!

Dżamila nie przejęła się tymi słowami i wepchnęła Veronicę do kuchni. Tutaj, wokół dużego stołu, zgromadziła się grupa ośmiu czy dziewięciu dzieci, chłopców i dziewczynek. Część z nich jadła zapiekankę z peklowanej wołowiny i ziemniaków, a troje stało przy zlewie, zmywając talerze i pryskając wodą. Przed kuchenką gazową stała drobna starsza kobieta w brązowym filcowym kapeluszu i długim fartuchu, która mieszała drewnianą łyżką w rondlu. Odwróciła się

i popatrzyła na Dżamilę i Jerry'ego, ale nie okazała zainteresowania ich obecnością i szybko powróciła do swojego zajęcia.

– Skończyłyście już? – zawołała Veronica do dzieci. – Kiedy skończycie, wszystkie musicie od razu zejść do piwnicy.

Na desce do suszenia naczyń siedział cętkowany kot. Posłał Dżamilę i Jerry'emu spojrzenie pełne nienawiści. A kiedy dostrzegł Ducha, który wciąż nie wszedł do kuchni z korytarza, położył po sobie uszy, lecz głośno i agresywnie miauknął.

– Nie mam zielonego pojęcia, co spodziewacie się tu znaleźć – powiedziała Veronica. – Jesteśmy wszyscy czyści jak łąza. Poza tym żadne z was nie wygląda mi na gliniarza. Czy to jest jakiś żart?

Dżamila wyciągnęła z kieszeni legitymację policyjną i podsunęła ją Veronice pod nos.

– Taki dowód ci wystarczy?

Veronica celowo odwróciła głowę i popatrzyła w innym kierunku.

– Nie interesują mnie legitymacje, kochana. Po prostu powiedz mi, czego tu chcecie, a potem bierzcie dupę w troki i zostawcie nas wszystkich w spokoju. Wy i ten wasz zawodzący kundel.

W tym momencie chłopiec w brudnym szarym pulawerze skończył jeść i wstał od stołu. Dżamila i Jerry od razu rozpoznali w nim Archiego.

– Archie! – zawołała Dżamila. – Archie, chodź do mnie!

Archie był tak zaskoczony, że upuścił na podłogę łyżkę. Kiedy ją podnosił, zerknął na Veronicę. Było jasne, że panicznie się jej boi.

– Archie, przyszliśmy, żeby cię stąd zabrać do mamy, taty i Adele!

– O czym ty mówisz? – zawołała Veronica. – Archie, nie ruszysz się stąd, jeżeli wiesz, co dla ciebie jest dobre!

Archie zawahał się, lecz Jerry dodał:

– Wrzuć na luz, kochana! Chodź do nas, Archie. Wyprowadzimy cię stąd. – Popatrzył na Veronicę. – Przyszliśmy tutaj nie tylko po Archiego, jeśli musisz wiedzieć. Chodzi nam też o niejakiego Matthew Merricka, alias Pazur, o ile mamy dobre informacje. Przypuszczamy, że przebywa w piwnicy, w ciemności. Może nie odmówisz współpracy i zechcesz nam umożliwić spotkanie z nim?

Veronica posłała mu spojrzenie, które „zabiłoby wilkołaka”, jak opisałby je zmarły dziadek Jerry'ego.

Zamiast odpowiedzieć, zrobiła krok w stronę otwartych drzwi kuchni i wrzasnęła:

– Ronnie! Roger! Starke! Musicie mi pomóc!

24

– Pani Crawford, to nie ma sensu – powiedziała Dżamila. – Naprawdę nie mamy ochoty na awantury.

Ale ze schodów prowadzących na piętro dobiegł chrapliwy męski głos:

– Namolna? O co chodzi, kochana?

– Mam tu w kuchni intruzów, Roger! Twierdzą, że są gliniarzami, ale ja im nie wierzę! Chcą zabrać Archiego! I chcą także zejść do piwnicy!

– Już idziemy, Namolna!

Na drewnianych schodach rozległ się tupot nóg w ciężkich butach. Duch warknął i podskoczył, gdy zobaczył trzech potężnie zbudowanych mężczyzn, którzy przeszli korytarzem do kuchni.

– Jesteśmy! – zawołał najniższy spośród nich. – Mogę zapytać, co tu się, kurwa, dzieje?

Miał lśniąco włosy obficie wysmarowane brylantyną i płaszcz w kolorze sierści wielbłąda. Kiedy oświetliła go lampa z kuchni, Jerry zobaczył, że to ten sam człowiek, który celował do niego z pistoletu kaliber .45 w korytarzu na komisariacie w Lavender Hill.

– Jesteśmy policjantami – powiedziała Dżamila. Bardzo się starała, aby jej głos brzmiał stanowczo.

Ani ona, ani Jerry nie mogli nie rozpoznać mężczyzny, który stał za plecami pierwszego. Miał sumiaste wąsy i uśmiechał się z zadowoleniem. Był to Jasper Starke, Handlarz Rybami, którego ostatnio widzieli, kiedy patroszył morlesze i młodą sprzedawczynię ostryg. Obok niego pojawił się drugi z mężczyzn, którzy usiłowali porwać Jerry'ego – wysoki, o szerokich ramionach i złamanym nosie.

– Oni mówią, że chcą zabrać Archiego i zejść do Pazura – wyjaśniła Veronica, spoglądając mściwie na Dżamilę i Jerry'ego.

– Co? Chyba im się coś przyśniło. Za kogo wy się uważacie? Czemu przyszłście do nas w samym środku pierdolonego nalotu? Kto wam na to pozwolił? Zbierajcie się stąd, kurwa, żebym was tu za chwilę nie widział. I niech was te cholerne bomby rozerwą na mikroskopijne skrawki!

Dżamila i Jerry wyciągnęli pistolety i wycelowali do niego. Dżamila pomałała bronią i zaądała:

– Cofnijcie się, wszyscy trzej. A pani Crawford poprowadzi nas do piwnicy. Nie macie szans, żeby nas powstrzymać przed spotkaniem z Pazurem, czy jak on tam się nazywa.

– To ty nie masz szansy, żeby go zobaczyć, głupia suko. On żyje w ciemności. Musi, nie ma wyboru. W przeciwnym razie umrze z powodu wrzodów na dupie albo czegoś podobnego.

– Szkoda – powiedział Jerry.

Wyciągnął z kieszeni małą latarkę marki Imalent i ją włączył. Kuchnię natychmiast rozjaśniło światło o mocy 65 tysięcy lumenów – tak jaskrawe jak światło na planie filmowym. Dzieci zaniemówiły, całkowicie zaskoczone. Przez chwilę kręciły głowami z szeroko otwartymi ustami.

– Nie możesz tak na niego zaświecić, ty dupku! – zaprotestował niski mężczyzna. – Jeśli tego spróbujesz, on cię zabije!

– Przekonamy się – powiedziała Dżamila. – Zejdziemy na dół, na spotkanie z nim, a potem sobie stąd pójdziemy, z nim albo bez niego, ale na pewno z Archie. Zostań tu jeszcze przez chwilę, Archie, a potem zabierzemy cię do domu.

Dżamila chciała wypchnąć Veronicę z kuchni na korytarz, ale niski mężczyzna niespodziewanie strzelił palcami. Jasper Starke bez słowa wyszedł zza jego pleców i zaczął się przeciskać pomiędzy dziećmi niczym nauczyciel na lekcji wychowania fizycznego. Niektórym dzieciom kładł ręce na ramionach i odpychał je na bok.

Jerry zorientował się, że mężczyzna zmierza do Archiego, więc wycelował z pistoletu i zawołał:

– Stój! Nie ruszaj się, Starke!

Jasper Starke go zignorował, ale popatrzył na niskiego mężczyznę z uśmiechem szerszym niż zwykle, obnażając zepsute brązowe zęby.

– Nie do wiary, on zna moje nazwisko! Uwierzyłybyś? Skąd on zna moje nazwisko?

Bo widziałem twoją fotkę policyjną z 1880 roku, morderco, pomyślał Jerry, i widziałem na własne oczy, jak rozpruwasz brzuch młodej kobiecie. Gdybym nie obawiał się o te dzieci, strzeliłbym ci prosto w łeb i z radością bym patrzył, jak twój mózg rozpryskuje się na kalendarzu z roku 1941, wiszącym na ścianie tuż za tobą.

Tymczasem Jasper Starke niezwłocznie dał nura i przyciągnął Archiego do siebie. Równocześnie wyciągnął zza paska długi nóż do patroszenia ryb i przyłożył ostrze do gardła chłopca.

– No proszę – rzekł niski mężczyzna z nieskrywaną satysfakcją. Popatrzył na zegarek. – Wydaje mi się, że nadszedł najwyższy czas, żeby skończyć bezsensowną pogawędkę z tą trójką jełopów i ich obleśnym psiskiem. Co wy na to?

– Zostawcie w spokoju Archiego – odezwała się Dżamila. – To chłopiec. Dziecko. Nie można w taki sposób traktować dziecka.

Jasper Starke popatrzył na Archiego i się uśmiechnął.

– Przykro mi, ale każde życie jest identyczne, jedno nie różni się od drugiego. Dziecko czy kobieta. Grzesznik czy ksiądz. Widziałaś kiedy wnętrzności

dziecka? Nie? To teraz będziesz miała okazję! Są takie same jak u dorosłego człowieka, tylko jest ich mniej!

Minęło pięć długich sekund, podczas których napięcie w kuchni rosło. Jerry poczuł, że atmosfera robi się gęsta jak szkło; wszyscy widzieli wszystko z nadzwyczajną ostrością, ale nikt nie ośmielił się ruszyć. Jasper Starke wciąż uśmiechał się lubieżnie, jakby bardzo dobrze się bawił, natomiast Archie wytrzeszczył oczy, skrajnie wystraszony. Wszystkie dzieci z przerażeniem wpatrywały się w nóż, który Jasper Starke przycisnął chłopcu do gardła – ostrze nacięło już jego skórę i strumyki krwi zabrudziły górę jego swetra.

Stara kobieta w brązowym kapeluszu przestała mieszać w rondlu. Stała teraz z drewnianą łyżką uniesioną nad Kuchenką. Opadały z niej ciężkie krople pudingu z tapioki i głośno rozbijały się o piecyk, jakby odliczając sekundy do chwili, kiedy wszystkie osoby w kuchni ponownie się ośmielą swobodnie oddychać.

Kiedy ostatnia kropla odczepiła się od łyżki, Dżamila opuściła pistolet.

– Wyośmy się stąd – powiedziała. – Charlie... Przykro mi, ale Duch przeżyje dzisiaj rozczarowanie. Jednak na pewno zasłużył na kość.

Wsunęła pistolet do kabury i wyszła z kuchni. Charlie i Duch ruszyli za nią, a Jerry po chwili podążył za Charliem. Idąc korytarzem, co chwilę oglądał się przez ramię. Trzymał pistolet w ręce, gotowy do odparcia ewentualnego ataku ze strony trzech mężczyzn.

Szeroko otworzyli drzwi wyjściowe i wyszli na zewnątrz. Nad Londynem rozpościerał się mrok, a z oddali wciąż dobiegały wybuchy. Reflektory nadal przeczesywały niebo, lecz artyleria przeciwlotnicza strzelała już tylko sporadycznie, więc Jerry uznał, że główna fala bombowców nieprzyjaciela już odleciała z miasta.

Dżamila obejrzała się i powiedziała:

– Czyżbyśmy tutaj utknęli? Charlie? Gdzie jest Duch?

Ale kiedy tylko się odwróciła, niebo zaczęło jaśnieć, a pomruk samolotów ucichł. Cicho, lecz szybko drzewa przy St Oswald's Place zaczęły rosnać, a ich gałęzie się rozwijać.

Usłyszeli ruch uliczny, odgłosy kopania piłki i krzyk jakiegoś chłopca:

– Faul! To wyraźny faul! Lewis, masz żółtą kartkę!

Kiedy Jerry się odwrócił, budynek numer 9 już nie istniał. Nigdzie nie było czarnych metalowych drzwi ani jego frontonu z szarych cegieł. Widoczna była tylko brama, weranda i rząd pojemników na śmieci.

Duch stał obok niego z wysuniętym językiem i ciężko oddychał. Wyglądał tak mizernie, że Jerry gotów był uwierzyć, że w krótkim czasie przebiegł odległość pomiędzy rokiem 1941 a teraźniejszością.

Charlie sięgnął do kieszeni i wyciągnął psi przysmak.

– Przez chwilę, Jerry, myślałem, że ugrzęźniemy tam na zawsze. Wyobrażasz sobie życie w czasach bez telewizji? Zdaje się, że w czasie wojny przerwano

nadawanie programów telewizyjnych, żeby sygnały nie naprowadzały niemieckich bombowców.

Jerry popatrzył na przestrzeń, którą zajmował dom z numerem 9. Jezu, pomyślał. Ja naprawdę słyszałem, jak trzech mężczyźni biegną po schodach, a teraz tam nie ma żadnych schodów, jest tylko niebo. Zakreśliło mu się w głowie. Nagle zapragnął znaleźć jakiś pub i szybko wypić kilka szklanek jacka daniel'sa.

Podeszli do ich samochodów.

– Jaki mamy teraz plan? – zapytał Charlie, gdy Duch wskoczył do furgonetki.

– Nie wiem – odparła Dżamila. – W tej chwili przynajmniej wiemy, że Pazurek jest w piwnicy i że Archie przebywa w tym samym domu. Musimy wymyślić sposób na bezpieczne uratowanie chłopca i uniemożliwienie Pazurowi sprawdzenia z przeszłości takich łotrów jak Jasper Starke.

– A co z pozostałymi dziećmi? Przecież było ich tam sporo.

– Wiem o nich tylko tyle co ty. Nie mamy pojęcia, kim są ani skąd pochodzą. Jeżeli przybyły z innego czasu niż tamtejszy, nigdzie nie będzie żadnych informacji o ich zaginięciu, prawda?

Ruszyli samochodem w kierunku Lavender Hill.

– Nurtuje mnie coś jeszcze – powiedział Jerry. – Gdybyśmy nie przedostali się do roku 1880, na targ w Billingsgate, Jasper Starke nie zabiłby tej biednej dziewczyny i nie zostałby aresztowany. Ale my się zjawiliśmy na targu, a on popełnił morderstwo. Później zniknął z celi, ale my jednak dotarliśmy do Billingsgate. Jak powiedziałaś, gdyby ktoś dysponował tam wówczas kamerą i gdyby nie trzeba było w tamtych czasach siedzieć nieruchomo przez dziesięć minut, pozując do zdjęcia, ktoś mógłby nas sfotografować. A gdyby ta fotografia przetrwała, moglibyśmy się teraz na niej zobaczyć.

– Wiem, Jerry, do czego zmierzasz. Uważasz, że skoro dzisiaj naprawdę byliśmy w roku 1941, ktoś z kamerą filmową mógł naszą obecność zarejestrować.

– Tak, sierżancie, ale i nie. Sugeruję coś więcej. Co by się stało, gdybyśmy już złapali Pazura, ale wszystko działałoby się w przeszłości? Nie musielibyśmy go ścigać teraz, prawda? Dom numer 9 został zbombardowany; przecież bomba mogła spaść aż do piwnicy i go zabić.

Zaparkowali samochód przed komisariatem i poszli do swojego pokoju.

– Jesteś zdezorientowany – zauważyła Dżamila, przysiadając na skraju biurka. – Wiem, że te różne światy powodują zamieszanie, ale to co innego niż podróże w czasie. To nie ma nic wspólnego z H.G. Wellsem czy Doktorem Who. Czas jest zarówno linearny, jak i równoległy. Tak, naprawdę znaleźliśmy się w Billingsgate w 1880 roku i, owszem, dzisiaj rzeczywiście byliśmy w Kennington w roku 1941. Ale, o ile to potrafisz zrozumieć, wciąż tam jesteśmy, zawsze tam byliśmy i zawsze będziemy.

– Wyświadczyć mi jednak przysługę. To wszystko musi oznaczać, że istnieją w więcej niż jednym egzemplarzu. Oto Jerry tutaj i teraz, ale istnieją też miliony

kolejnych moich postaci. Wciąż robię to, co robiłem wczoraj, przedwczoraj i w roku 1941, a to było przecież, zanim przyszedłem na świat.

– Chcesz prostej odpowiedzi, Jerry? Odpowiedź brzmi „tak”.

– A jeśli Duch wprowadzi nas do jakiegoś świata równoległego i przypadkowo wpadnę na samego siebie?

– To niemożliwe. Nie wpadniesz na siebie. Bo jesteś tylko ty jeden.

– Jezu! I dziwisz się, że mam mętlik w głowie?

Jerry usiadł i wbił wzrok w ciemny ekran komputera, jakby oczekiwał, że pojawi się jakiś komik i opowie mu dowcip, który nada jakiś sens wydarzeniom w domu numer 9. Dręczyło go ogromne poczucie winy z powodu zostawienia Archiego w rękach Veroniki i tych łotrów. Ale zarazem był przekonany, że gdyby pociągnął za spust pistoletu – nawet gdyby rozwalił głowę Jaspera Starke’a – ryzyko, że bandyta zdążyłby poderżnąć chłopcu gardło, było zbyt wysokie.

Po włączeniu komputera nie pojawił się żaden komik. Za to Jerry zobaczył maila od Marsjanina. Jego technicy zidentyfikowali odciski palców pozostawione na pistolecie, który Jerry wytrącił z ręki napastnika zamierzającego go uprowadzić.

Nazywa się Roger Welkin, pseudonim Trąbik. W latach 1936–1952 razem ze swoim bratem Donaldem stał na czele gangu operującego w Battersea, znanego jako Bandziory z Battersea. Gang zajmował się głównie kradzieżami i wymuszaniem haraczy. W latach 1938–1940 mieszkał pod tym samym adresem w Bolingbroke Grove co Kenneth Treagus, jego ofiara. W listopadzie 1940 roku jego dom został zbombardowany. W czasie nalotu był w Brighton na rozmowach z szefami innych grup przestępczych, ale jego jedenastoletni syn oraz żona zginęli.

Jerry przeczytał wiadomość od Marsjanina Dżamili, a także przesłał tego maila na jej adres.

– Zatem wiemy, co się z nim stało? – zapytała Dżamila. – Teraz pewnie już nie żyje, bo wątpię, żeby dożył stu lat.

Jerry zatelefonował do Marsjanina.

– Del? Mówi Jerry. Właśnie przeczytałem twoją informację o Rogerze Welkinie. Wiesz może, czy wciąż stąpa po tym świecie?

– Och, przepraszam – odparł Marsjanin. – Zapomniałem dodać, że Trąbika zastrzelił cyngiel z konkurencyjnego gangu w... niech spojrzę... To było w styczniu 1952 roku. Został zaproszony na przyjęcie urodzinowe wyprawiane rzekomo w Clapham. Tyle że przyjęcie było tylko pretekstem dla jego egzekucji. Faceta przywiązano do krzesła, ktoś wsunął mu do ust lufę śrutówki i pociągnął za spust.

Miejsce zbrodni, jak widziałem na fotografiach, które wydobyłem z akt, wyglądało gorzej niż garaż Kurta Cobaina. A mordercy nie wykryto.

– Staram się wszystko jakoś sobie ułożyć w głowie. Skoro facet został zabity w 1952 roku, to jakim cudem zastrzelił Kennetha Treagusa?

– Nie twierdzę, że to zrobił, Jerry. Mówię ci tylko, że odciski palców na pistolecie należały do niego, a nie do kogoś innego. On na pewno nie jest zabójcą, którego szukasz. Spoczywa na cmentarzu w Mortlake, gdybyś chciał się upewnić i go odkopać.

Jerry odłożył telefon na biurko.

– Martwi ludzie mordują żywych ludzi – powiedział. – I wcale nie snują się ulicami z jednym okiem i jednym uchem, z dupskami świecącymi spod rozdartych spodni, niczym zombi. Napatoczyliśmy się już na Handlarza Rybami, a dzisiaj spotkaliśmy Trąbika. Jeden Bóg wie, kto jeszcze stanie na naszej drodze. Może Krewetka Królewska?

– Jerry... dowiedzieliśmy się już, kto oślepił właściciela sklepu. Odciski palców na plastikowej osłonie należą do brata mężczyzny, który zastrzelił Kennetha Treagusa, a skoro Treagusa zastrzelił Roger Welkin, to napastnikiem w sklepie był Donald Welkin.

– Dokładnie. I na pewno on także już odwalił kity.

Martin siedział na tarasie Skylark Cafe w Wandsworth Common. Popijał kawę i usiłował rozwiązać krzyżówkę w „Daily Telegraph”. Podbiegła do niego Flicky, jego sześciolatka córka, razem ze swoją przyjaciółką Daviną.

– Tatusiu! Tatusiu! Na huśtawce jest martwy chłopiec!

Martin opuścił gazetę i mimowolnie parsknął śmiechem.

– Chyba nie, kochanie. Na pewno po prostu uciął sobie drzemkę.

– Nie, tatusiu! On nie żyje! Ma wielką dziurę pomiędzy oczami i brakuje mu połowy głowy! Na ziemi leży jego mózg!

Dopiero teraz Martin się zorientował, że Flicky jest ogromnie zdenerwowana i wystraszona. Po twarzach obu dziewczynek spływały łzy. Miały zacisnięte pięści i drżały.

Dwie kobiety w średnim wieku, wyglądające jak pielęgniarki, które niedawno skończyły pracę, popatrzyły na Martina z sąsiedniego stolika, a on posłał im ponury uśmiech. Potem wstał, złapał Flicky za rękę i pozwolił się zaprowadzić na plac zabaw, znajdujący się w odległości kilkadziesiąt kroków. Dwie huśtawki były ustawione w jego najbardziej odległej części i żeby do nich dotrzeć, musiał obejść zjeżdżalnię, małą karuzelę i piaskownicę. Cztery huśtawki przeznaczone były dla starszych dzieci, a kolejne cztery wyposażono w małe drewniane krzeselka dla najmłodszych.

Na jednym z takich krzeselek siedział bezwładnie chłopiec w wieku około dziewięciu lat. Ubrany był w szary pulower, krótkie spodenki i szare skarpetki. Na nogach miał tylko jeden sandał.

Flicky miała rację. Na środku jego czoła znajdowała się okrągła dziura, a kiedy Martin ostrożnie okrążył chłopca i stanął za jego plecami, zobaczył, że z tyłu brakuje mu połowy czaszki. Jego mózg wypłynął na pulower strumieniami w kolorze kremowym, a także leżał rozprysnięty na czarnej gumowej wykładzinie za huśtawką.

Chłopiec miał otwarte oczy i spoglądał na plac zabaw tak, jakby się zastanawiał, gdzie teraz jest i co mu zrobiono.

Martin się rozejrzał. Było wcześniej i na placu bawiło się tylko dwoje dzieci. Śmiały się i podskakiwały na koniu na biegunach. Trochę dalej jakaś kobieta wprowadzała na spacer cztery psy.

– Flicky... Davina... wracajcie do kawiarni. Davina... skontaktuję się z twoją mamą, może będzie mogła po ciebie przyjść. Zadzwońię po policję i poczekam

na nich tutaj. Muszę dopilnować, żeby nikt już nie zakłócił spokoju temu biednemu chłopcu.

Nie dodał, że nie chce, żeby psy zaczęły zlizywać z ziemi jego mózg, a przecież pomyślał o tym, kiedy kobieta z czterema psami podeszła bliżej.

Na szczęście kobieta i jej psy poszły w przeciwnym kierunku, a dzieci, które ujeżdżały konia na biegunach, spadły z niego i gdzieś pobiegły. Martin został sam z martwym chłopcem, w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie odgłosami ruchu ulicznego z Trinity Road i samolotów podchodzących do lądowania na Heathrow.

Zerknął jeszcze kilka razy na ciało, żeby się upewnić, czy sroki nie zainteresowały się jego mózgiem. Widok był straszny. Oczy chłopca już zmatowiały, a na jego twarzy malował się smutek. Martin nie potrafił zrozumieć, kto i po co zastrzelił takiego małego chłopca. Przecież miał przed sobą całe życie, a teraz nie pójdzie już do szkoły, nie będzie uprawiał sportu, nie będzie się spotykał z dziewczętami, nigdy nie pójdzie do pracy.

Po niecałych pięciu minutach na drodze oddzielającej plac zabaw od łąki pojawił się radiowóz policyjny błyskający niebieskimi światłami. Jeden z policjantów wyskoczył, żeby otworzyć bramę w metalowym płocie, i po chwili samochód, nie zaczekawszy na niego, z dużą szybkością wjechał na trawnik. Zatrzymał się tuż przed placem zabaw.

Martin wyszedł policjantom na spotkanie. Dwaj posterunkowi w mundurach wyskoczyli z samochodu i zbliżyli się do niego, wkładając czapki.

– Pan Spearing?

Martin pokiwał głową i wskazał ręką na huśtawkę.

– On bez wątplenia nie żyje. Wygląda, jakby ktoś go zastrzelił. To dzieciak. Na miłość boską, dlaczego ktoś zastrzelił dziecko?

Kiedy zadzwoniła komórka Dżamili, było wczesne popołudnie. Telefonował Simon Fairbrother i od razu powiedział, że ma dla niej złe wiadomości.

– Nie dziwię się. Ten telefon nigdy nie przynosi dobrych wiadomości. Muszę się postarać o jakiś lepszy.

Simon przez chwilę milczał. Oczywiście Dżamila nie była w stanie usłyszeć jego myśli: Chyba ta dziewczyna trochę zbyt często współpracuje z Jerryem Pardoe. Jerry powiedziałby w zasadzie to samo, choć dodałby jeszcze parę wulgarnych słów.

– Znaleźliśmy Archiego Coopera.

– Naprawdę? Gdzie?

– Na placu zabaw przy Wandsworth Common. Na huśtawce. Przykro mi, ale chłopiec nie żyje.

– Nie żyje...

– Ktoś strzelił mu w głowę. Na miejscu są nasi technicy. Rozstawili namiot i pracują.

– To straszne. Aż nie mogę uwierzyć. Poinformowaliście już jego rodziców?

– Tak... ale zanim ich poprosimy o oficjalną identyfikację, zawieziemy ciało do kostnicy u Świętego Jerzego. Żaden rodzic nie powinien oglądać swojego dziecka w takim stanie, w jakim my je zastaliśmy.

Dżamila zakryła dłonią telefon i powiedziała cicho do Jerry'ego:

– Znalazł się Archie. Nie żyje. Simon mówi, że został zastrzelony.

Jerry zdążył odgryźć dwa kęsy kanapki z serem i pomidorami. Teraz ją odłożył.

– Co? Ktoś go zastrzelił? Gdzie? Cholera jasna. Jego rodzice się załamią. No i Adele. – Spojrzał na sufit i powiedział gorzko: – Hej, ty! Skoro naprawdę istniejesz gdzieś w niebie, dlaczego pozwoliłeś, żeby zamordowano dziesięcioletniego chłopca? Może akurat byłeś zajęty czymś innym? Może sobie grałeś w golfa w chmurach?

– Jerry – skarciła go Dżamila, ale jej głos zabrzmiał łagodnie.

Uznał, że w pełni zrozumiała jego zgorzknienie, chociaż sama zapewne nigdy nie posunęłaby się do bluźnierstwa. Wiedziała, że Jerry nigdy nie wierzył w Boga i w tej chwili narzekał jedynie na nieprzewidywalny los i na okrucieństwa, jakie niesie ze sobą życie.

– Ciało znajduje się jeszcze na placu zabaw przy Wandsworth Common. Musimy tam pojechać i je obejrzeć, zanim zostanie zabrane.

– Do diabła, w jaki sposób on się tam dostał? – zapytał Jerry, zbiegając za Dżamilą po schodach. Szarpał się z kurtką, bo jeden z rękawów wywinął się na lewą stronę. – Wczoraj był pod numerem 9 w roku 1941 i żył. Dzisiaj jest przy Wandsworth Common i jest martwy.

– Przecież oboje zdajemy sobie sprawę, że odpowiada za to Pazur – powiedziała Dżamila. – Potrafi przenosić ludzi z jednego świata równoległego do drugiego, podobnie jak Duch potrafi przenosić nas.

Otworzyła drzwi policyjnego volvo po stronie kierowcy.

– Dzisiaj ja poprowadzę – zdecydowała. – Ty jesteś zbyt zdenerwowany. Gdybyś w takim stanie usiadł za kierownicą, chyba umarłabym ze strachu.

Marsjanin czekał na nich w niebieskim namiocie techników, a Molly Jakaś-Tam robiła zdjęcia. Tym razem powitała Jerry'ego, machając do niego palcem.

– Strzał został oddany właściwie z przyłożenia – powiedział Marsjanin, spoglądając na ciało Archiego, wciąż znajdujące się na huśtawce. – Kiedy byliście w drodze, Yong, nasz ekspert od balistyki, znalazł kulę, która go zabiła. Utkwiła w pniu kasztanowca. Yong, zechcesz pokazać detektywom ten pocisk, który wydułbałeś z drzewa?

Niski Koreańczyk w masce na twarzy podszedł do nich i zaprezentował plastikowy woreczek z częściowo spłaszczoną kulą.

– To pocisk .45 ACP, pełnopłaszczowy. Dokładnie taki sam jak pocisk, który zabił Kennetha Treagusa, i pocisk, który wydobyliśmy z listwy przypodłogowej w Lavender Hill.

– Ale nie mógł być wystrzelony z tego samego pistoletu – zauważył Jerry. – Wciąż macie go w laboratorium, prawda?

– Tak, oczywiście. Ale jest możliwe, że w tym wypadku strzelano z innego automatycznego colta. To mało prawdopodobne, muszę przyznać, ale może chodzić o kolejną broń ukradzioną z tego samego kontyngentu wojennego, z którego zniknęła poprzednia.

Jerry przykucnął przy huśtawce i popatrzył na Archiego. Spojrzał na jego leszczynowe oczy, które już nigdy niczego nie zobaczą. Na pieprzyk nad jego górną wargą.

Ogromnie żałował, że nie zastrzelił Jaspera Starke'a w domu numer 9. Oczywiście ryzykowałby wtedy, że Starke poderżnie Archiego gardło, ale był dobrym strzelcem, więc Archie miałby wtedy dużą szansę na przeżycie.

Bo tutaj, na wąskim foteliku huśtawki dla maluchów, nie miał już żadnych szansy. Każdy sen, jaki śnił, każda piosenka, jaką kiedykolwiek śpiewał, wszystko, dzięki czemu się śmiał, było teraz poszatkowane na gumowej wykładzinie, bezpowrotnie zniszczone.

– Dobrze – rzucił Marsjanin. – Możemy go już zabrać?

Jerry wyprostował się i cofnął kilka kroków, aby technicy mogli podejść do martwego chłopca z dwóch stron. Ujęli Archiego pod ramiona i powoli ściągnęli z fotelika. Marsjanin uniósł jego nogi, żeby nie zahaczyły o poprzeczną żerdź.

Ułożyli chłopca na noszach i wtedy Jerry zobaczył złożoną kartkę papieru wystającą z kieszeni jego spodni. Nie miał przy sobie rękawiczek ochronnych, więc trącił Marsjanina, a ten ją wyciągnął.

Rozłożył kartkę i kiedy Jerry popatrzył ponad jego ramieniem, zobaczył, że nagryzmołono coś na niej niebieskim atramentem.

„Jak wy mnie, tak Pazur wam”.

– To wszystko zmienia – oznajmiła Dżamila.

Kiedy zwłoki Archiego przeniesiono do ambulansu, poszła z Jerrym do Skylark Cafe. Chcieli spokojnie porozmawiać oraz wypić herbatę i kawę. Nie byli w stanie wymazać z pamięci obrazu martwego chłopca.

– Cóż, Pazur bez wątpienia przysłał nam ostrzeżenie. Bo przecież te słowa nie mogą mieć innego znaczenia, prawda? Jezu. Kiedy ci dwaj zjawili się na komisariacie, pewnie rozwaliliby mi łeb, gdybym dał im na to chociaż cień szansy.

– Moim zdaniem tobie i mnie wciąż grozi poważne niebezpieczeństwo – rzekła Dżamila. – Znam wielu przywódców różnych band działających podobnie jak Pazur i zapewne ty także znasz takich ludzi. Ich obawa o własne bezpieczeństwo

sięga poziomu paranoi, dlatego żaden z nich nie spocznie, dopóki nie wyeliminuje wszystkich osób, które stanowią dla nich zagrożenie.

– Ale zamordowania małego Archiego niczym wytłumaczyć się nie da. Przecież ten chłopiec dla nikogo nie był żadnym zagrożeniem.

– Nie. Ale za jego pośrednictwem otrzymaliśmy ważną wiadomość. Właśnie dlatego to morderstwo wszystko zmienia. Wcześniej uznaliśmy, że możemy zignorować bandę Pazura i zająć się tylko jego szefem. Zapuszkowanie wszystkich podwładnych Pazura wydawało się zamiarem nie do zrealizowania. Moglibyśmy ich aresztować, lecz oni po prostu zniknęliby z cel.

– Co więc sugerujesz? Rzeczywiście możemy ich dorwać, zapewne z pomocą Ducha, tak jak dotarliśmy do Jaspera Starke’a. Ale skoro oni potrafią się ulatniać z zamkniętych pomieszczeń, jaki miałyby to sens?

Dżamila dosypała więcej cukru do herbaty.

– Nie możemy informować o tym nikogo z wyjątkiem Charliego, ponieważ on po prostu musi wiedzieć. Nie wolno nam dopuścić, żeby cokolwiek zwierzył nadinspektor Chance. Bo nie aresztujemy tych łotrów. Staniemy się katami. Zabijemy ich.

Jerry wyprostował się i zmarszczył czoło.

– Poczekaj, poczekaj. Niby w jaki sposób mamy ich zabić, skoro oni już nie żyją? Starke musiał umrzeć jeszcze w latach 90. XIX wieku. Wiemy, że Welkina załatwiono w 1952 roku. A ten wielkolud ze złamanym nosem... nie wiem, co to za jeden, ale jego ubiór i fryzura sugerują, że pochodzi mniej więcej z lat 20. Raczej nie ma szansy na to, że wciąż pozostaje wśród żywych.

– Musimy ich zabić w 1941 roku, żeby nie mogli chronić Pazura – oświadczyła Dżamila. – A potem zabijemy samego Pazura. Jeżeli to zrobimy, żaden z tych rzeźmieszków nie będzie więcej w stanie przenosić się pomiędzy światami równoległymi. Takie wnioski płyną z naszego dotychczasowego doświadczenia.

– A więc nie zapukamy do gabinetu Chance’a i nie przeprowadzimy mu z triumfalnym śpiewem na ustach brzydszego brata Człowieka Słonia?

– Jerry, przypuszczamy przecież, że Pazur w jakiś sposób potrafi manipulować czasem i przestrzenią. Istnieje tylko jeden sposób, żeby go powstrzymać. Nie ważne, który z jego drabów pociągnął za spust i zabił Archiego, ostatecznie to Pazur odpowiada za tę zbrodnię. Kartka w spodniach Archiego świadczy o tym najlepiej. A jeżeli zastosujemy prawo obowiązujące w roku 1941, ten człowiek zasługuje na karę śmierci.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że jeżeli zaczniemy likwidować ludzi i zostaniemy na tym przyłapani, sami nie zdołamy zniknąć z cel? Ale masz rację. W 1941 roku karą za zabójstwo była śmierć. W rzeczy samej karę śmierci zniesiono u nas dopiero w 1969 roku. Dlatego oboje unikniemy przynajmniej stryczka.

Dwie godziny później Marsjanin znowu zatelefonował do Dżamili. Był skonster-
nowany.

– Nie potrafimy tego ogarnąć. Kula, która zabiła Archiego Coopera, została
wystrzelona z tego samego automatycznego colta kaliber .45, co kula, która
zabiła Kennetha Treagusa, i kula, wystrzelona przypadkowo przez napastników,
którzy chcieli porwać Jerry’ego. Nie mamy w tej kwestii cienia wątpliwości.

Dżamila przełączyła telefon na tryb głośnomówiący, żeby także Jerry mógł
słyszeć Marsjanina.

– Ale przechowujecie chyba ten pistolet w laboratorium, prawda? – zapytała. –
Jeśli tak, to nie można było zastrzelić z niego Archiego Coopera.

– Żebyś wiedziała. Jednak wyłobienia i rowki na wszystkich trzech kulach są
niemal identyczne i pasują do gwintu w lufie naszego pistoletu. Wystrzeliliśmy
kontrolnie pięć kul do pojemnika z wodą i zbadaliśmy je pod mikroskopem
porównawczym. Wszystkie wyłobienia są do siebie podobne.

– Jesteś w stu procentach pewien, że Archie Cooper został zastrzelony właśnie
z tej broni? I jest absolutnie niemożliwe, że ktoś ją wyniósł na noc z Lambeth
Road, a nad ranem odłożył na miejsce?

– Pistolet był w seffie, a tylko dwie osoby znają kombinację cyfr potrzebną do
jego otwarcia: ja i Melanie Tucker, a ona jest na urlopie macierzyńskim. Jakoś
sobie nie wyobrażam, żeby pognęła na Wandsworth Common z pistoletem w jed-
nej ręce i dzieciakiem w drugiej. I nie potrafię odgadnąć, dlaczego odciski palców
pozostawione na broni należą wyłącznie do bandziora, który nie żyje od 1952
roku. – Zamilkł i po chwili dorzucił zrezygnowanym głosem: – W całej mojej
karierze zawodowej nie natknąłem się na coś takiego. Mam wrażenie, że obser-
wuję jakąś sztuczkę magika, który wkłada do papierowej torby butelkę wina,
potem zgniata tę torbę i okazuje się, że w środku niczego nie ma.

– Chcielibyśmy, żeby pies tropiący mógł powąchać rękojeść tego pistoletu –
powiedziała Dżamila. – Znasz Charliego Mossa, prawda? Jest opiekunem psa,
który wabi się Duch. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zadzwonię do niego
i powiem mu, żeby przyprowadził Ducha do twojego laboratorium. Chyba że
wolisz zabrać pistolet do policyjnej psiarni?

– Przejdę się z tym pistoletem do Charliego. Siedzę w tym laboratorium od
samego rana. Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Dżamila wyłączyła telefon i popatrzyła na Jerry’ego, jakby się spodziewała, że
usłyszy od niego jakieś wyjaśnienie tego, co przed chwilą ujawnił Marsjanin.

– Jeżeli to jest ten sam pistolet, prawdopodobnie i morderca jest ten sam –
powiedział Jerry. – Ten bandzior w płaszczu z jedwabnym kołnierzem, który
wyglądał jak bukmacher. Roger Welkin. Trąbik. Pamiętasz, co powiedziała o nim
pani Treagus? Wyglądał, jakby nie miał stóp. Założę się, że w tym momencie
przebywał częściowo w czasie teraźniejszym, a częściowo w roku 1941, a w roku
1941 mógł mieć przecież pistolet, prawda? – Usiadł sztywno na krześle i splótł
dłonie za głową. – Wiesz co? Powoli zaczynam chwytać istotę tych równoległych

światów. To nie podróże w czasie, prawda? I to wcale nie czas biegnie do przodu z każdą sekundą. To my. To my pozostawiamy za sobą wczorajszy dzień, ale ten wczorajszy dzień istnieje, podobnie jak przedwczorajszy i wszystkie wcześniejsze dni. Gdybym tylko wiedział, jak to zrobić, wróciłbym do podstawówki i stłukłbym na kwaśne jabłko tego grubego palanta Wakefielda za to, że zwędził mi wszystkie moje kasztany. Ale nie cały cofnąłbym się w czasie. Wystarczyłyby moje pięści.

– Zadzwońę do Charliego – powiedziała Dżamila. – Im szybciej Duch obwącha ten pistolet, tym lepiej.

Kiedy przyjechali do laboratoriów przy Lambeth Road, Marsjanin i Charlie stali na zewnątrz. Towarzyszył im Duch, który zdążył już obwąchać pistolet i poznać wszystkie zapachy, jakie na nim zostały.

Pies znów miał zdecydowane spojrzenie i rytmicznie machał ogonem, jakby to był metronom.

– Jaki więc mamy plan? – zapytał Charlie. – Podejrzewacie, gdzie może się ukrywać nasz podejrzany?

– Ponieważ odciski na broni należą wyłącznie do Rogera Welkina, Trąbika, powinniśmy przede wszystkim odwiedzić Bolingbroke Grove, gdzie mieszkał.

– Przecież dom Welkina został zbombardowany – zauważył Marsjanin. – Po prostu już nie istnieje. A sam Welkin od dawna nie żyje.

– Ale miejsce, w którym stał, może się dla nas okazać użytecznym punktem odniesienia – powiedziała Dżamila.

Celowo nie rozwijała tematu. Nawet gdyby spróbowała wyjaśnić Marsjaninowi istotę funkcjonowania światów równoległych, prawdopodobnie nie zrozumiałby, o czym ona mówi, a nawet gdyby zrozumiał, zapewne by nie uwierzył.

– Mogę wam tylko życzyć powodzenia – mruknął Marsjanin i pokręcił głową.

Pojechali do Bolingbroke Grove i zaparkowali przed domem, który teraz należał do pani Treagus. Wszystkie zasłony w oknach były zaciągnięte, a na zewnątrz stała tabliczka z napisem „na sprzedaż”.

Duch wyskoczył z furgonki i natychmiast podbiegł do bramy. Tam zatrzymał się na chwilę z uniesionym łbem i ogonem pomiędzy nogami, wciągając powietrze. Dżamila, Jerry i Charlie czekali cierpliwie, aż pies im zasygnalizuje, że wyczuwa ten sam zapach, który znajdował się na rękojeści pistoletu.

– Z całą pewnością już na coś natrafił – powiedział Charlie. – Może powinien podejść trochę bliżej.

Otworzył bramę i Duch natychmiast przeszedł połowę ceglanych schodów, które prowadziły na werandę. Wtedy się zatrzymał, zadrżał, a z głębi jego gardła wydobył się cichy warkot.

– Wasz człowiek tutaj jest – stwierdził Charlie. – Wydaje się to niemożliwe, ale on tutaj naprawdę jest. Co chcecie zrobić?

Dżamila popatrzyła na Jerry’ego.

– Duch nas do niego doprowadził. Przed domem przebywamy w czasie terazniejszym. Ale wewnątrz...

– Co? Uważasz, że po drugiej stronie drzwi wejściowych wciąż jest rok 1941?

– Duch najwyraźniej jest tego pewien. Chyba powinniśmy zadzwonić i się przekonać. – Wyciągnęła z kabury pistolet i Jerry zrobił to samo. – Charlie, dobrze by było, gdybyś zabrał teraz Ducha z linii ognia.

Charlie odciągnął opierającego się Ducha za bramę i odprowadził go na odległość około pięćdziesięciu metrów. Dżamila rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakichś przechodniów, po czym skinęła na Jerry'ego, żeby zadzwonił do drzwi.

Czekając na reakcję, wyraźnie słyszeli przytłumione dźwięki muzyki. Jerry odczekał kilka chwil z uniesioną ręką, po czym się odezwał:

– To jest chyba Vera Lynn. Moja babcia bezustannie odtwarzała jej stare płyty. Nad białymi klifami Dover pojawiają się drozdy, kiedy odwołają alarm. Piosenki popularne podczas wojny. Babcia mówiła, że przypominają jej czasy, kiedy życie było ekscytujące.

Dżamila miała właśnie coś odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i stanął przed nimi Roger Welkin w koszuli z podwiniętymi rękawami i spodniach na czerwonych szelkach. Gdy tylko zobaczył, kogo ma przed sobą, a oni unieśli pistolety, spróbował ponownie zatrzasknąć drzwi. Ale Jerry był na to przygotowany. Skoczył do przodu i zdążył postawić stopę za progiem.

Nikt się nie odezwał. Dżamila i Jerry nie przyszli tutaj, żeby dokonać aresztowania. Roger Welkin pobiegł korytarzem do kuchni i tam się zamknął. Ponad śpiewem Very Lynn Dżamila i Jerry usłyszeli, jak ktoś przesuwając podłogę stołu kuchenny i ustawia go pod drzwiami, żeby je zablokować.

Jerry cofnął się o kilka kroków i zaatakował drzwi kopniakiem. Framuga natychmiast pękła, a zasuw wypadła z łożyska i potoczyła się po podłodze. Jerry naparł ramieniem na drzwi i pchnął je mocno razem ze stołem, tworząc szparę, przez którą można było wejść do kuchni. Dżamila ubezpieczała go, celując z pistoletu przez szparę. Oboje wciąż milczeli; wiedzieli, że skoro we wnętrzu domu jest rok 1941, jest bardziej niż prawdopodobne, że Roger Welkin wciąż ma automatyczny pistolet kalibru .45.

Przeciskając się do kuchni, Jerry przykucnął za stołem, żeby zapewnić sobie jakąkolwiek ochronę, gdyby Roger Welkin do niego strzelił. Ale kiedy ostrożnie wysunął głowę, zorientował się, że podwójne okno wychodzące na tylny ogród jest szeroko otwarte.

Razem z Dżamilą przeciął kuchnię, dla ostrożności ani przez chwilę nie pozostając w tym samym miejscu. Pomieszczenie na pewno miało wystrój z lat 40. Stał tu dębowy kredens, a przy ścianie zamontowany był ceramiczny zlew ze staromodnymi kurkami. Unosił się zapach smażonych śledzi.

Dotarli do okna i wyjrzel na zewnątrz. Za oknem rozpościerał się mały prostokątny trawnik ograniczony po bokach zaniedbanym żywopłotem z bukszpanu oraz niewielką cieplarnią naprzeciwko. Przez brudne szyby cieplarni widoczne były bujne rośliny, pelargonie, paprocie i szalwie. Drzwi cieplarni były lekko

uchylone. Jerry zauważył jakiś ruch wśród szafwii, jakby ktoś chciał się pomiędzy nimi ukryć. Wskazał pistoletem cieplarnię, a Dżamila tylko pokiwała głową. Jeżeli Roger Welkin tam się schował, zapewne nie miał ze sobą pistoletu.

Wychodząc na trawnik, Jerry poczuł, że mocno mu bije serce. Było szare, ponure popołudnie, po niebie przesuwaly się gęste chmury, nie wiał jednak nawet najslabszy wiatr i nie było szczególnie zimno. Kiedy popatrzył na północ, dostrzegł srebrzyste balony zaporowe nad środkowym Londynem. Dżamila również je zobaczyła i posłała mu spojrzenie, które było jednocześnie znaczące i smutne. Oboje pomyśleli o Archiem na huśtawce i o człowieku, który go zastrzelił.

Stanęli przed cieplarnią i Jerry szerzej uchylił drzwi. Paprocie znowu się zakolysaly, a do jego uszu dotarł odgłos butów szurających po kamykach, którymi wysypana była niemal cała cieplarnia. Zarówno on, jak i Dżamila wycelowali z pistoletów w paprocie, ale nie zamierzali ostrzegać Rogera Welkina. Prawdopodobnie on także nie dał Archiemu żadnej szansy przed śmiercią, tylko po prostu przyłożył pistolet do jego twarzy i strzelił.

Dżamila wypaliła pierwsza, a po niej Jerry. Oboje wystrzelili po pięć pocisków. Przy akompaniamencie ogromnego hałasu paprocie zostały rozdarte na strzępy, a znajdujące się za nimi szyby cieplarni popękały na tysiące fragmentów. Nastąpiła kilkusekundowa cisza, a potem Roger Welkin wytoczył się na ugiętych nogach spomiędzy porozrywanych paproci i upadł twarzą w dół na podłozę usypane z małych kamieni. Na jego koszuli widoczne były czerwone punkty, z każdą chwilę powiększające się niczym kwitnące maki. Jedna z kul trafiła go w prawe oko i pozostała po nim jedynie głęboka dziura, lecz lewe oko wpatrywało się w kamienie z martwym zdziwieniem.

– Co teraz? – zapytał Jerry. – Zostawimy go tutaj? – Po huku wystrzałów chwilowo ogłuchł, więc krzyczał do Dżamili, jakby znajdował się co najmniej w pobliskim domu.

– Tak – odparła Dżamila. – Zabiliśmy go w roku 1941, on jednak wciąż będzie żył w następnych latach, aż do roku 1952, kiedy go w końcu zamordowano. Ale ukaraliśmy go przynajmniej za to, że zamordował Kennetha Treagusa i Archiego. W pełni na tę karę zasłużył. No i nie będzie mógł bronić swojego pana i władcy, kiedy po niego przyjdziemy.

Opadł już dym po strzałach i powietrze w szklarni znów było przejrzyste. Jerry popatrzył na Rogera Welkina bez współczucia ani poczucia winy. Denerwowała go jedynie to, że mógł go zabić tylko w jednym ze światów równoległych, w których ten łądak żył, a nie we wszystkich.

– Jasne – powiedział. Zamknął drzwi do szklarni i ruszył z powrotem do murowanego domu. – Kto jest następnym na liście do odstrzału?

Charlie i Duch czekali na nich przed bramą. Duch wyrwał się do nich, szarpiąc smycz, jakby koniecznie chciał się dowiedzieć, co się stało w budynku.

Dżamila delikatnie podrapała go za uszami i powiedziała:

– Jesteśmy z ciebie dumni. Jesteś najbardziej fascynującym psem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

Jerry pokazał Charliemu uniesiony kciuk.

– Wszystko poszło jak po maśle, kolego. W gruncie rzeczy czułem się, jakbym przeżywał bardzo realistyczny sen.

– Nie słyszałem żadnych strzałów. Wykończyliście go?

– Nie słyszałeś strzałów, ponieważ wewnątrz domu przebywaliśmy ponad osiemdziesiąt lat temu – powiedziała Dżamila. – A to wszystko dzięki twojemu wspaniałemu psu. Jego talent do przechodzenia do światów równoległych co najmniej dorównuje umiejętnościom Pazura. Nauczono go rozumieć, że czas nie jest barierą, i to dlatego potrafi otwierać drzwi do czasów minionych i nas przez nie przeprowadzać.

– Mógłbyś dzięki niemu zostać multimilionerem – zauważył Jerry. – Myślałeś kiedyś o tym? Mógłbyś razem z nim cofać się w czasie, patrzeć, jak ludzie popełniają najgorsze podłości i przestępstwa, a potem wracać do teraźniejszości i ich szantażować. Polityków, biznesmenów, gwiazdy sportu.

Charlie podsunął Duchowi przysmak Grub Club.

– Wątpię, czy on by mi na to pozwolił. Przez większość czasu Duch jest bardzo moralnym i porządnym psem. Nawet suki traktuje z szacunkiem. Myślę, że gdyby mógł, każdą sukę zaprosiłby najpierw kilka razy na kolację, a dopiero potem brał.

– Rety! – rzekł Jerry. – W takim razie traktuje panie z większym szacunkiem niż ja. Ale odpowiem na twoje pytanie: Tak, Roger Welkin jest martwy jak kamień, przynajmniej w roku 1941. Już go tam nie ma.

– Kim zajmiecie się teraz?

– Osobnikiem, który zabił Mary Jonas – odparła Dżamila. – Jednak obawiam się, że Duch będzie w stanie wytropić mordercę tylko wtedy, gdy pozna zapach, który morderca pozostawił na jej szczątkach. Rodzina chciałaby ją jak najszybciej pochować, ale na razie zwłoki spoczywają w kostnicy w Greenwich, więc zdołam to załatwić.

– Nie martw się – powiedział Charlie. – Duch ma mocny żołądek. Jeżeli bez mrugnienia okiem zjada ten przysmak, wąchanie zwłok będzie dla niego przyjemnością.

Postanowili odłożyć wizytę w kostnicy do następnego poranka, ponieważ zrobiło się późno, a chcieli, aby Duch miał w nozdrzach świeży zapach zabójcy Mary Jonas.

Poza tym Dżamila musiała wrócić do Redbridge, żeby zająć się sprawą przemocy rasowej, którą prowadziła już od wielu dni. Grupa szyitów zdemolowała sklep spożywczy, a jego właściciela dotkliwie pobiła.

Jerry pojechał do Tooting i zatrzymał się w pubie The Antelope. Zamierzał zjeść cheeseburgera i wypić kufel jasnego piwa.

Kiedy usiadł na stałym miejscu w kąciku, pod rogami antylopy, zobaczył mniej więcej jedenastoletnią dziewczynkę przeciskającą się w jego kierunku pomiędzy grupami klientów popijających piwo. Była bardzo blada, miała potargane jasne włosy i nosiła długą wełnianą sukienkę w kolorze wyblakłego turkusku. Gdyby poproszono go o opisanie jej jednym słowem, powiedziała: „sierota”.

Podeszła do stolika i stanęła przed Jerryem, patrząc prosto w jego twarz. Jerry odłożył cheeseburgera i zapytał:

- Tak, kochanie? Chcesz czegoś?
- Czy pan detektyw posterunkowy Pardoe?
- A jeśli tak?
- Jest pan nim czy nie?
- Tak, jestem. Czego jeszcze chcesz się dowiedzieć?
- Wraca pan dzisiaj na noc do domu?
- Przecież nie spędzę całej nocy w barze, jeżeli koniecznie chcesz wiedzieć.
- Właśnie to chciałam usłyszeć – powiedziała dziewczynka.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Hej! – zawołał za nią Jerry. Wstał tak szybko, że zahaczył ręką o kufel z niedopitym piwem, lecz na szczęście zdołał go przytrzymać, zanim piwo rozlało się na stolik. – Hej! Poczekaj!

Ruszył za dziewczynką, przepychając się pomiędzy klientami pubu. Patrzyli na niego ze zdziwieniem, ponieważ dziewczynka już zniknęła. A Jerry nie zauważył nawet, żeby otworzyły się frontowe drzwi.

– Przepraszam – zaczął zaczepiać ludzi, wracając na miejsce. – Nie zauważyliście tutaj dziewczynki? Jasne włosy, jedenaście, najwyżej dwanaście lat.

– Nie, przyjacielu – odpowiedział mu znad kufła jakiś mężczyzna.

Jego kolega popatrzył na Jerry’ego podejrziwym wzrokiem, jakby chciał ocenić, czy jest pedofilem, czy pijakiem.

Jerry ponownie usiadł przy swoim stoliku. Ugryzł kawałek cheeseburgera, ale stracił już cały apetyt, dlatego zwinął go w papierową serwetkę i wsunął do kieszeni. Następnie dopił resztę piwa i wyszedł z pubu.

Z niewiadomego powodu spotkanie z dziewczynką mocno go zaniepokoiło. Po zastrzeleniu Rogera Welkina wciąż odnosił wrażenie, że funkcjonuje w nierealnym świecie, a pytania, które mu zadała, i sposób, w jaki zniknęła, sprawiły, że poczuł się jak postać z *Alicji w Krainie Czarów*. Kiedy tylko usiadł za kierownicą samochodu i wsunął kluczyk do stacyjki, opuścił szybę w oknie i zapalił papierosa.

„Wraca pan dzisiaj na noc do domu?” Dlaczego zadała mu to pytanie?

Pojechał do swojego domu i zaparkował samochód. Kiedy wysiadał z auta, wydało mu się, że stoi wysoki mężczyzna częściowo zasłonięty przez platan po drugiej stronie ulicy. Odczekał chwilę, żeby go zobaczyć, kiedy wyjdzie zza drzewa, ale po mężczyźnie nie było śladu, jakby się przed nim ukrył. Zdziwiło go to, ponieważ drzewo było wąskie – jego średnica nie przekraczała trzydziestu centymetrów – i gdyby ktoś za nim stał, musiałby dostrzec przynajmniej fragment jego sylwetki.

Przeszedł kilkanaście kroków po chodniku, chcąc popatrzeć na drzewo z innej strony, wciąż jednak nie widział żadnego mężczyzny. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ulega paranoi; mężczyzna mógł po prostu mieszkać w jednym z domów po drugiej stronie ulicy. Może wszedł szybkim krokiem do bramy i tylko dlatego można było odnieść wrażenie, że zniknął?

Jerry nie mógł się zdecydować, czy przejść przez jezdnię i obejść drzewo dookoła, czy dać sobie z tym spokój. W końcu jednak pomyślał: Do diabła, właściwie po co mam to robić? Za drzewem nikogo nie będzie, a jeśli nawet – pewnie ktoś postanowił się wysikać w drodze z pubu do domu i po co go wprawiać w zakłopotanie? Jeszcze przez kilka sekund się wahał, lecz wreszcie zawrócił do domu i otworzył drzwi. Zanim jednak wszedł do środka, po raz ostatni zerknął przez ramię. Na ulicy nie było nikogo.

Telewizor Rachel jak zwykle włączony był na cały regulator, lecz Jerry usłyszał, że kobieta wykrzykuje coś do telefonu, więc nie zajrzał do niej. Wszedł po schodach do swojego mieszkania, powiesił kurtkę i podszedł do lodówki po puszkę tennenta. Miał ogromną ochotę na prysznic, częściowo dla relaksu po całym dniu pracy, ale częściowo też po to, żeby uzyskać rozgrzeszenie, żeby woda zmyła z niego wszystkie grzechy.

Zastrzelenie mordercy dziecka, Rogera Welkina, było słusznym czynem, Jerry jednak się zastanawiał, czy zawodowi egzekutorzy potrafili żyć bez wyrzutów sumienia. W zeszłym roku przeczytał autobiografię sławnego kata Alberta Pierrepointa, który w trakcie kariery zawodowej powiesił niemal sześćset osób, kobiet i mężczyzn, lecz w końcu doszedł do wniosku, że kara śmierci wcale nie odstrasza potencjalnych przestępców. Tylko niewielu skazańców, którym zakładał pętle na szyje, wydawało się tym przejmować. Część z nich nawet była wtedy zadowolona i czuła ulgę.

Jerry był przekonany, że łotrów, których Pazur zwerbował w dawnych czasach, należy wyeliminować. Inaczej on i Dżamila nigdy nie zdołają pozbyć się Pazura, a wtedy w straszliwych okolicznościach straci życie jeszcze więcej niewinnych ofiar – takich jak Kenneth Treagus, Mary Jonas, mama Sabiny czy Archie Cooper.

Otworzył puszkę z piwem i przeszedł do salonu, po drodze rozpinając koszulę. Kiedy podszedł do okna, żeby zaciągnąć na noc zasłony, niespodziewanie wyszedł zza nich jakiś mężczyzna. A raczej połowa mężczyzny. Jerry widział tylko jego lewą stronę, i to wcale nie dlatego, że tamten częściowo się skrywał za

zasłoną. Miał krótkie włosy i był ubrany w beżowy wełniany sweter wykonany ścięciem warkoczowym. Nie miał jednak prawej strony, przez co wyglądał, jakby w połowie stał za ścianą.

Jerry jeszcze nigdy w życiu nie zobaczył czegoś dziwniejszego. Widok półówki człowieka tak nim wstrząsnął, że upuścił puszkę z piwem na dywan.

– Do diabła, kim ty jesteś? I co robisz w moim mieszkaniu?

Półowa mężczyzny zbliżyła się do niego. Z jego miny Jerry wywnioskował, że intruz jest zirytowany i zniecierpliwiony.

– Co ja robię w twoim mieszkaniu? – powiedział chrapliwym szeptem. – Zaraz się dowiesz, popaprańcu, co robię w twoim mieszkaniu. Dam ci nauczkę.

Jerry prawie go nie słyszał przy głośnym telewizorze na parterze.

– O czym ty mówisz? – spytał, lecz cofnął się kilka kroków w stronę kuchni. – I dlaczego widzę cię tylko w połowie?

– Jestem tutaj w całości, popaprańcu, nie przejmuj się. Ale ty widzisz tylko tyle, ile musisz widzieć. Przyszedłem załatwić to, żebyś nie wtykał nosa w sprawy, które ciebie nie dotyczą – ciebie i tej twojej ciapaty. Nie musisz się martwić, ona jest następną na mojej liście, zaraz po tobie.

– Czy ty jesteś tym gościem, który oślepił właściciela sklepu?

– Och, potrafisz dodać dwa do dwóch! Powinienem się domyśleć, że ci się to uda, bo w końcu jesteś detektywem. Cóż, facet na to zasłużył, palant skończony. Oślepiłem go, tak. Ale i tak miał szczęście, że nie zrobiłem z nim tego, co zrobię z tobą. No, ale przynajmniej nie będziesz potrzebował psa przewodnika i białej laski.

Wypowiedziawszy te słowa, mężczyzna wysunął do przodu lewą rękę i w jego dłoni w magiczny sposób pojawił się długi śrubokręt, jakby włożyła go do niej niewidzialna prawa ręka. Zrobił dwa kroki w kierunku Jerry'ego i uniósł śrubokręt nad głowę. Na połowie jego ust błąkał się drwiący uśmiech.

Jerry cofnął się do kuchni. Półowa mężczyzny ruszyła za nim, machając śrubokrętem. Napastnik dał do zrozumienia, że jest gotowy wbić śrubokręt w brzuch Jerry'ego.

– Ty i ta ciapata zaczęliście szukać Pazura, prawda? Dotarliście na St Oswald's Place, prawda? Cóż, popełniście poważny błąd. Nikomu nie wolno szukać Pazura. Pazur jest trzonem. To dzięki Pazurovi funkcjonuje cały świat. Szukałeś Pazura? I po co ci to było? Teraz to on znalazł ciebie i marny jest twój los.

Jerry stał już niemal przy piecyku. W niskim kredensie obok piecyka znajdowała się szuflada ze sztuccami. Kiedy półowa mężczyzny wykonała kolejny krok, Jerry nagle wysunął szufladę spod blatu. Wówczas napastnik rzucił się na niego gwałtownie, co wyglądało tak, jakby podskoczył na jednej nodze, lecz Jerry zdążył wsunąć rękę do szuflady i wyciągnąć z niej długi nóż kuchenny.

Gdy półczłowiek uniósł rękę, żeby go dźgnąć, Jerry z całej siły kopnął go w krocze. Choć łotr zdawał się mieć tylko jedną nogę, Jerry poczuł na swojej

stopie jego jądra i wewnętrzną stroną prawego uda. Uderzony zawył głośno i piskliwie „O kurwa” i skulił się z bólu.

Jerry chwycił lewą ręką trzonek śrubokrętu i szarpnął nim w bok, odsłaniając nadgarstek napastnika. Wtedy bez wahania przeciął ten przegub nożem. Ostrze dotarło aż do kości, z rozerwanej tętnicy i żył trysnęła krew, a śrubokręt spadł na podłogę.

Teraz półczłowiek zaatakował niewidzialną prawą ręką. Trafił Jerry’ego pięścią w głowę, odrzucając aż na piecyk. Ale Jerry natychmiast odzyskał równowagę i zaatakował jego lewą, widoczną część ciała, rozrywając ścieg workowaty beżowego swetra i skórę na jego klatce piersiowej. Dźgnął go jeszcze kilkakrotnie i półczłowiek zaczął na chwiejnej nodze się cofać. Jednak wciąż wymachiwał rękami – widoczną lewą i niewidoczną prawą. Krew z jego lewego nadgarstka zabrudziła już prawie całą kuchnię, a kiedy prawą ręką zdołał grzmotnąć Jerry’ego w prawe ramię, ten odniósł wrażenie, jakby uderzył go gwałtowny podmuch wiatru.

Jerry znowu dźgnął napastnika w pierś, dwukrotnie, i wtedy półczłowiek nagle zakręcił się na jednej nodze i upadł do tyłu, przewracając jedno z krzeseł. Przyłgnął lewym ramieniem do ściany, żeby się podeprzeć i wstać. Krew z jego nadgarstka natychmiast zabrudziła na czerwono jasnożółtą tapetę. Ciężko dyszał, a w kąciku jego ust pojawiła się krwawa piana.

– Ty sukinsynu – wyszeptał. – Pazur ci tego nie daruje. Tylko, kurwa, poczekaj.

Wypowiedziawszy te słowa, przycisnął lewą część głowy do ściany i ta natychmiast ją pochłonęła. W gruncie rzeczy głowa po prostu zniknęła w niej, jakby ścianę tworzył gęsty płyn, a nie twardy beton. Reszta ciała podążyła za głową i po chwili Jerry stracił łotra z pola widzenia. Pozostały po nim jedynie czerwone ślady i obfite plamy krwi.

Jerry stał w kuchni, dysząc jak Duch, trzymając w ręce nóż kuchenny i z niedowierzaniem wpatrując się w ścianę. Mógł tylko zgadywać, że kimkolwiek był półczłowiek, przysłał go tutaj Pazur z jakiegoś świata równoległego, żeby go zabił, ale do teraźniejszości przedostała się tylko jego lewa połowa. Prawa połowa przez cały czas pozostawała w świecie, z którego przybył.

Gdyby nie fakt, że łotr dotarł do niego ze świata równoległego, Jerry byłby pewien, że rany, które mu zadał, są śmiertelne. Miał nadzieję, że mężczyzna umrze w tym świecie, ale ów świat mógł się znajdować w przeszłości, a w przeszłości Jerry nie zadał mu przecież ani jednego ciosu.

Odrzucił zakrwawiony nóż do kuchennego zlewu. Zamierzał przekazać go do analizy technikom, którzy powinni też zbadać krwawe ślady na ścianie. Istniała drobna możliwość, że odciski palców, grupa krwi i ślad DNA pozwolą zidentyfikować półczłowieka. Skoro Pazur wciągnął go do swojej armii, było wysoce prawdopodobne, że mężczyzna miał przeszłość kryminalną.

Jerry wyciągnął z lodówki kolejną puszkę piwa i ją otworzył. Ręce mu się trzęsły i w tej chwili wolałyby się napić koniaku. Odnosił wrażenie, że od pewnego czasu żyje w koszmarze, który się nie skończy, aż razem z Dżamilą dopadną i wyeliminują Pazura. O ile to Pazur wcześniej ich nie zabije.

Zanim zaciągnął zasłony na oknach, odsunął je całkowicie i zajrzał za nie, lecz nie znalazł tam żadnej drogi, która mogłaby posłużyć półczłowiekowi do przedostania się tutaj z innego stanu egzystencji. Pomyślał o dziewczynce z potarganymi włosami, która zapytała go w pubie, czy wraca do domu. Na pewno należała do grona dzieci Pazura, przypominającego bandę Fagina z *Olivera Twista*. W tej chwili Jerry nie miał już cienia wątpliwości, że Pazur potrafi przenosić ludzi pomiędzy światami równoległymi z taką łatwością, jakby przedstawiał pionki i figury na szachownicy.

W głębi ducha musiał przyznać, że jest ogromnie roztrzęsiony. Zaatakował i zmaltretował półczłowieka, może nawet go zabił, i zmusił do wycofania się tam, skąd przybył. Ale Pazur miał konszachty z wieloma innymi podobnymi typami, okrutnymi przestępcami. Jerry nie mógł więc wykluczyć, że w środku nocy, kiedy będzie spał, w jego mieszkaniu pojawi się następny rzezimieszek.

A jeśli któryś z tych ludzi zjawił się również u Dżamili? Człowiek znany im już jako Roger Welkin w trakcie nieudanej próby porwania na komisariacie w Lavender Hill przysiągł, że dopadną również ją. Tę obietnicę zaledwie przed kilkoma minutami powtórzył półczłowiek.

Jerry zadzwonił do Dżamili. Początkowo jej telefon był zajęty, więc nagrał dla niej wiadomość z prośbą, żeby do niego oddzwoniła. Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić także do Audrey Morrison, żeby jej opowiedzieć o bliskim spotkaniu ze sprawcą osłepienia Jusufa Nadima. W końcu to było jej śledztwo. Znalazł nawet jej numer w telefonie, ale kiedy już miał zamiar się połączyć, przyszło mu do głowy, że rozmową z nią wywoła mnóstwo komplikacji. Najprawdopodobniej Audrey nie zdoła ogarnąć istoty tego, co robił razem z Dżamilą i dlaczego to robił. Ponadto istniało ryzyko, że przekaze nadinspektorowi Chance'owi informacje o ich planach dopadnięcia i w rzeczy samej brutalnego zlikwidowania bandy zabójców kierowanej przez Pazura; bo przecież nie mieli zamiaru aresztować tych łotrów. A Chance mógłby wtedy wydać im rozkaz, żeby tego nie robili.

Jerry nie widział też realnej szansy na pomoc z jej strony, nawet gdyby zdołała pojąć koncepcję światów równoległych. W takim przypadku na pewno pojawiłoby się z kolei zagrożenie, że ludzie Pazura będą chcieli dorwać również ją.

Dżamila po chwili oddzwoniła. W najprostszych słowach Jerry opowiedział jej o dziewczynce, którą spotkał w pubie The Antelope, o pojawieniu się półczłowieka i o tym, że go potraktował nożem. Powiedział jej także, że i jej życie jest zagrożone.

– Możemy zareagować tylko w jeden sposób – odparła Dżamila. – Albo ja spędzę tę noc u ciebie, albo ty u mnie. Jedno z nas będzie czuwało, a drugie spało.

- Nie jestem pewien, czy po tym wszystkim dam radę zasnąć.
- Jasne. Przyjedź do mnie. Jadłeś coś? Mam jeszcze w domu trochę radzma czawal, jeżeli jesteś głodny.
- Sierżancie, w ciągu jednego dnia zabiłem dwóch ludzi. A przynajmniej tak przypuszczam. Na co jak na co, ale na curry zupełnie nie mam ochoty.

Po drodze do Dżamili Jerry zatrzymał się na komisariacie w Lavender Hill i zabrał stamtąd sig sauera. Choć broń Rogera Welkina znajdowała się w laboratorium, a Jerry razem z Dżamilą go zastrzelili, nie można było wykluczyć, że bronią palną będą dysponować kolejni członkowie bandy Pazura. Nawet gdyby żaden z nich nie miał pistoletu, Jerry nie miał ochoty już nigdy więcej nikogo dźgać nożem kuchennym.

Dżamila wynajmowała mieszkanie na parterze budynku z lat 50. XX wieku w Longwood Gardens w Redbridge. Podobnie jak wszystkie inne domy przy tej ulicy, nie miał on frontowego ogrodu, więc Jerry mógł zaparkować samochód tuż pod oknem jej salonu. Kiedy usłyszała pukanie do drzwi, rozsunęła zasłony i pomachała do niego.

Jej mieszkanie było ciepłe i pachniało curry oraz kadzidłem o zapachu równie mocnym jak perfumy kwiatowe. Nad kominkiem wisiał obraz z wizerunkiem jakiejś hinduistycznej bogini, pięknej uśmiechniętej kobiety z dziesięcioma rękami, jadącej na lwie. W każdej z dziesięciu dłoni trzymała coś innego, między innymi miecz, kwiat lotosu, pałkę i skorupę ślimaka.

Natomiast gzyms kominka był udekorowany licznymi fotografiami w ramach, przedstawiającymi rodzinę Dżamili, oraz pocztówkami z Pakistanu.

– Widzę, że jesteś mocno zdenerwowany – zauważyła Dżamila.

Była ubrana w czerwono-żółte wzorzyste sari i miała bose stopy, ze srebrnymi pierścionkami na dużych palcach.

– Po drodze zatrzymałem się w Oddbins i kupiłem sobie pół litra johnniego walkera. Mam nadzieję, że nie urażę twoich uczuć religijnych, popijając u ciebie w domu.

– Jestem wierząca, Jerry, ale nie jestem fanatyczką. Ten obraz na ścianie przedstawia boginię Durgę, która jest dla mnie symbolem władzy kobiet nad złem.

– Powiedzmy, że raczej nie chciałbym siłować się z nią na ręce.

– Stworzyli ją Brahma, Wisznu i Śiwa, żeby dopadła i zabiła oszukańczego demona Mahiszasurę, który potrafił zmieniać kształty, w połowie był bawołem, a w połowie człowiekiem.

– Tylko nie opowiadaj mi dzisiaj o ludziach, którzy składają się w połowie z różnych postaci. Bo facet, który zaatakował mnie dzisiejszego wieczoru, w połowie był człowiekiem, a w połowie niczym. Ale udało mi się poczuć jego

niewidzialną połowę, kiedy kopnąłem go w jaja. Były jak najbardziej prawdziwe, co do tego nie mam cienia wątpliwości.

Dzamilą miała poważną minę.

– Zastanawiam się, czy istnieje naukowy związek pomiędzy legendą o Mahiszasurze a przestępcami z bandy Pazura. Wierzę, że to wszystko łączy się w pewnym stopniu z dżinnami, które częściowo działają w jednym świecie i częściowo w drugim.

– A ja chciałbym tylko, żeby ludzie Pazura wrócili do swojego świata i zostawili nas w spokoju.

– Ten półczłowiek... Sądziś, że go zabięś?

– Mówiąc szczerze, nie wiem. Krwawił jak wieprz, ale kiedy zniknął w ścianie mojej kuchni, wciąż żył. Oczywiście nie mam pojęcia, dokąd się udał. Prawdopodobnie cofnął się w czasie albo przeszedł do jakiegoś świata równoległego. A może po prostu wrócił na ulicę, gdzie prawdopodobnie go dostrzegłem, kiedy wracałem do domu.

– Daj mi tę butelkę whisky, przygotuję ci drinka. Dodać wody czy lodu?

– Przydałoby się kilka kostek lodu, owszem. Za wodę dziękuję. Chyba wiesz, co powiedział o wodzie W.C. Fields.

Jerry odpiął kaburę z pistoletem, położył ją na stoliku i wygodnie usiadł. Dzamilą wyszła do kuchni i po chwili wróciła z dużą szklanką whisky, w której grzechotały kostki lodu, a także z talerzem kaćori, smażonej na głębokim tłuszczu przekąski z ciasta.

– Podstawowy problem polega na tym, że nie możemy wyjaśnić koncepcji światów równoległych żadnemu spośród funkcjonariuszy, z którymi współpracujemy – powiedziała Dzamilą. – Czuję się prawie tak, jakbym ich zdradzała, chociaż wiem, że nikt by nam po prostu nie uwierzył. A nawet gdyby ktoś uwierzył, nikt by nie miał pojęcia, w jaki sposób raz na zawsze skończyć z Pazurem i jego bandą.

– My pewnie też byśmy nie mieli pojęcia, gdyby nie Duch. Mamy ogromne szczęście, że Charlie go rozumie. Kiedy to wszystko się skończy, dopilnuję, żeby Charlie i Duch otrzymali medale Thin Blue Paw za wzorową służbę. I osobiście kupię Duchowi roczny zapas tych psich ciasteczek, które tak lubi.

Dzamilą jadła właśnie kaćori i niespodziewanie wypluła kilka okruchów.

– Nie powinieneś w tej chwili wspominać o przysmaku Ducha. Zainteresowałam się nim i sprawdziłam w Google’u, co zawiera. Otóż larwy czarnych much. Są podobno znacznie zdrowsze od mięsa.

– Przykro mi. Chyba pozostanę przy Burger Kingu.

– Jutro będziemy musieli zabrać Ducha do Greenwich, żeby spróbował uchwycić zapachy ze szczątków Mary Jonas. Jeżeli to mu się uda, zabierzemy go do Brookwood School, do tego miejsca na boisku, w którym znaleziono jej zwłoki. Zobaczmy, gdzie będzie chciał nas stamtąd poprowadzić.

Jerry wypił łyk whisky i teatralnie zadygotał.

– Mam bardzo złe przeczucia w związku ze śmiercią tej kobiety. Morderca nie okradł jej. Nie wykorzystał seksualnie. Przypomina mi to sprawę, jaką dostałem już w drugim miesiącu pracy w Tooting. Chodziło o absolutnego wariata, który pracował w firmie przycinającej gałęzie z drzew. Zabijał kobiety, ponieważ morderstwa go podniecały. Nie gwałcił ich ani nic z tych rzeczy. Ale je upijał, rozbięrał, a potem, poczynając od nóg, ciął je elektryczną piłą. Początkowo każda z tych kobiet żyła, lecz ta piła robiła taki hałas, że nie było szansy, żeby ktoś usłyszał ich rozpaczliwe krzyki.

Zegar na kominku wybił godzinę jedenastą.

– Jestem bardzo zmęczona, więc spróbuję zasnąć – powiedziała Dżamila. – Daj mi czas, powiedzmy, do czwartej nad ranem. Potem mnie obudzisz i sam będziesz mógł spać. Tymczasem częstuj się wszystkim, co mam w domu. W kuchni jest znacznie więcej przekąsek.

Wstała i położyła dłoń na ramieniu Jerry'ego.

– Czuję, Jerry, że w tym śledztwie jesteśmy zdani tylko na siebie. Oczywiście poza Charliem i Duchem. Muszę powiedzieć, że podziwiam twoją gotowość do dania wiary sprawom, które większość ludzi uznałaby za niewiarygodne. I to jeszcze nie wszystko. Ufam ci i ogromnie sobie cenię twoje wsparcie.

Jerry bardzo chciał jej powiedzieć, że w dużej części wspiera ją także dlatego, że jest piękną i atrakcyjną kobietą. Poza urodą uwielbiał w Dżamili opanowanie, jej uduchowioną naturę, dzięki której również na niego służył emanujący z niej spokój, a także rzeczowość argumentacji we wszelkich dyskusjach, nawet wtedy, gdy była zdenerwowana i rozszalona. Ale tylko skinął głową, uniósł szklankę i rzekł:

– Twoje zdrowie, sierżancie. Śpij mocno i nie pozwól, żeby cię gryzły złe sny. Obudzę cię o czwartej.

Dżamila poszła do sypialni i po kilku minutach wyłączyła światło. Jerry uzupełnił do pełna szklankę z whisky, a potem otworzył „The Sun” i zaczął czytać strony z wiadomościami sportowymi. Jego ukochany zespół piłkarski Millwall przegrał trzy mecze pod rząd. Gdyby Jerry był jego sponsorem, natychmiast by zwolnił menedżera zespołu.

Po niedługim czasie przerwał czytanie, odłożył gazetę, uniósł prawą rękę i popatrzył na nią, jakby należała do kogoś innego. Nie był w stanie zapomnieć momentu, w którym został zmuszony do dźgania nożem półczłowieka, ani odgłosów, jakie wydawało ostrze, kiedy przecinało wełniany sweter, a potem przebiegało się do klatki piersiowej. Nie potrafił też zapomnieć chwili, kiedy zobaczył, jak półczłowieka pochłania ściana jego kuchni, a w mieszkaniu pozostają jedynie krwawe ślady. Rozumiał, że istoty ludzkie są jedynie mocno naładowanymi zbio-rami atomów, więc jeden taki zbiór może przeniknąć przez inny, jak piasek przez sitko, ale wiedział też, że gdyby to on spróbował przeniknąć przez ścianę kuchni,

próba prawdopodobnie skończyłaby się wstrząsem mózgu i upadkiem na podłogę.

Krótko po północy wstał i podszedł do drzwi sypialni. Otworzył je bardzo ostrożnie i zajrzał do środka. Usłyszał oddech Dżamili, a ponieważ nie zaciągnęła zasłon na oknach, z przydomowego ogrodu docierało wystarczająco mocne światło, by mógł ją zobaczyć. Leżała na plecach. Lekko rozchyłała usta, a ramiona rozrzuciła jak bogini Durga, tyle że miała ich osiem mniej.

Jerry zamknął drzwi i włączył telewizor, z przyciszoną fonią, żeby nie przeszkadzać śpiącej Dżamili. Zaczynał odczuwać ogromne zmęczenie i potrzebował czegoś, co nie pozwoliłoby mu zasnąć, nawet gdyby miał to być film dokumentalny na kanale Sky o zamordowaniu brata przyrodniego Kim Dzong Una.

Minęła kolejna godzina. Jerry zastanawiał się przez chwilę, czy nie nalać sobie trzeciej i ostatniej szklanki szkockiej, ale zrezygnował z tego pomysłu. I tak trudno mu było zachować przytomność, no i nie miał ochoty obudzić się na kacu po trzech czy czterech godzinach snu. Następnego dnia, po wyruszeniu z Duchem i Charliem w pościg za człowiekiem, który zamordował Mary Jonas, musiał mieć sprawny umysł.

Zaczął zmieniać kanały telewizyjne, poszukując jakiegoś programu lżejszego od relacji o zamordowaniu Koreańczyka. I właśnie natrafił na odcinek *Dziewczyn*, kiedy z sypialni dotarł do niego przenikliwy krzyk Dżamili.

– Jerry! – zawołała. – Jerry!

Blyskawicznie odłożył pilota i wyrwał z kabury pistolet. Przeskoczył przez oparcie kanapy i wpadł do sypialni. Dziewczyna klęczała na łóżku, zaciskając w dłoniach rąbek kołdry, a kiedy zobaczyła Jerry’ego, wskazała palcem okno. Po szybie spływały strugi deszczu, a przecież Jerry nie usłyszał, żeby nagle się rozpadało. Za mokrą szybą dostrzegł trzy postaci ubrane na czarno, o śmiertelnie białych twarzach.

Jeden osobnik miał okulary o ciemnych okrągłych szklach. Dwaj pozostali wbili wzrok w sypialnię, nie mrugając, jakby byli przekonani, że ich intensywne spojrzenia zdołają stopić szkło.

– Jezu – odezwał się Jerry. – Założę się o wszystko, że to ludzie Pazura.

Mężczyzna w ciemnych okularach uderzył pięścią w okno i zaczął coś wykrzykiwać, lecz Jerry nie zrozumiał jego słów. Uderzył w okno po raz drugi i jeszcze raz krzyknął. Tym razem do Jerry’ego dotarło jedno słowo:

– Otwierać!

Jerry podszedł do okna i zawołał:

– Zjeżdżajcie stąd natychmiast! Wypierdalajcie!

Jeden z milczącej pary mężczyzn uniósł młotek pazurowy i zaczął nim wymachiwać z boku na bok, jakby chciał dać Jerry’emu do zrozumienia, że jeśli nie otworzy okna, rozbije szybę.

Jerry nigdy dotąd nie widział twarzy tak pozbawionych wszelkich emocji. Może ci mężczyźni nosili białe maski albo mieli pomalowane twarze jak klauni?

Mimo kłębiącej się w nim złości poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przepływa przez jego ciało dreszcz przerażenia.

Mężczyzna w ciemnych okularach znowu krzyknął. Jerry uniósł pistolet i wycelował w niego, ale praktycznie w tym samym momencie mężczyzna z młotkiem wykonał szeroki zamach i rozbił szybę. Pod nogi Jerry'ego spadł duży trójkątny kawałek szkła, a mniejsze fragmenty rozbitej szyby trafiły w niego niczym odrobinki lodu w czasie gradobicia.

Mężczyzna przeniósł nogę nad parapetem, więc Jerry natychmiast do niego strzelił. W zwykłych okolicznościach oddałby najpierw strzał ostrzegawczy, lecz miał do czynienia z ludźmi Pazura, których razem z Dżamilą postanowił ścigać i wyeliminować spośród żywych. Mężczyzna wypuścił młotek z ręki i się zachwiał.

Teraz Jerry obrał za cel mężczyznę w ciemnych okularach. Oddał kolejny strzał i prawdopodobnie trafił go w biceps, ponieważ rękaw czarnego płaszcza zdrzął na jego prawej ręce, jakby ktoś wystraszył kosa, który przed chwilą tam przysiadł. Usłyszał, że mężczyzna przeklina i przyciska dłoń do ramienia.

Strzelił trzeci raz. Od wystrzałów przestał cokolwiek słyszeć. Mężczyzna w ciemnych okularach chwycił ramię tego, który posługiwał się młotkiem, a trzeci z mężczyzn objął go wpół. Podtrzymując rannego, obaj rozpoczęli odwrót. Wyglądali jak uczestnicy trójnożnego wyścigu.

Jerry wychylił się przez rozbite okno, gotów strzelić trzem łotrom w plecy. Jednak w tym momencie Dżamila krzyknęła z łóżka:

– Zostaw ich, Jerry! Zostaw ich! Przecież nawet nie wiemy, co to są za ludzie!

– Jeżeli nie zlikwidujemy ich teraz, będziemy musieli rozwalić ich później! – odparł Jerry.

Trzej mężczyźni znajdowali się już w połowie ogrodowego trawnika i dotarli prawie do kamiennego poidelka dla ptaków, otoczonego okrągłym brukowanym półkolem. Jerry wymierzył do nich, trzymając pistolet w obu rękach, ale wtedy mężczyźni zaczęli się zapadać. Na jego oczach pogrążali się w brukowanym podłożu otaczającym poidelko. W ciągu kilku sekund wtopili się po talie, a potem pod brukiem zniknęły ich tułowia i pozostały widoczne tylko głowy. Jerry odczuł pokusę, żeby strzelić, zanim łotry znikną całkowicie, lecz obawiał się, że nie zdoła trafić w ich głowy. Poza tym ktoś właśnie włączył światło nad mieszkaniem Dżamili, a potem rozbłyły światła w kolejnych oknach, także w najbliższych domach. Zrezygnował więc z kontynuowania akcji, ponieważ nie chciał zwracać na siebie większej uwagi, niż to było absolutnie konieczne. Wrzaski, odgłosy pękającego szkła i strzałów z pistoletu na pewno skłoniły już lokatorów z okolicy do wezwania policji.

Trzy głowy zanurzyły się w bruku po same czubki, tak że widać było na nim tylko trzy czarne czupryny, a potem także i te zniknęły. Jerry podszedł do karmnika i stanął obiema nogami na bruku, twardym i nieprzeniknionym.

Wrócił do domu i wszedł do sypialni Dżamili.

– Nie pozostał po nich nawet ślad – powiedział. – Zapadli się pod ziemię. Tak jak ten dzinn, którego widziała twoja babcia.

– Rozpoznałeś któregoś z nich?

Jerry pokręcił głową.

– Nie, niestety. Ale z pewnością ich poznam, kiedy natknę się na nich po raz drugi.

– Myślę, że przyszli z późnych lat 40. albo wczesnych 50. – oceniła Dżamila.

– W czasie wojny znajdowało się tutaj lotnisko RAF-u, a po wojnie żwirownia. Część żwirowni zalano wodą, dzięki czemu powstały jeziora w Fairlop Park, lecz wiele wyrobisk po prostu zasypano i w tych miejscach postawiono domy. Zakładam, że ci mężczyźni wyszli z wyrobiska z lat 50. i tam wrócili.

– Moim zdaniem nie możemy mieć żadnych wątpliwości co do tego, że przysłał ich Pazur. Będziemy musieli oglądać się za siebie aż do chwili, kiedy raz na zawsze się go pozbędziemy.

Ktoś zaczął natarczywie dzwonić do drzwi, a następnie rozległo się pukanie. Na ulicy zaczęły błyskać niebieskie światła samochodów policyjnych.

– Co im powiemy? – zapytał Jerry.

– Że ktoś próbował okraść moje mieszkanie – odparła Dżamila. – Wiem przypadkiem, że sąsiad z domu obok handluje starożytnymi monetami. Może złodzieje chcieli przyjść do niego i przez pomyłkę znaleźli się w złym budynku.

Znowu odezwał się dzwonek i ktoś zapukał do drzwi.

– Jasne, sierżancie – powiedział Jerry. – W takie wyjaśnienie uwierzy każdy policjant.

Musieli odczekać ponad dwadzieścia minut, zanim w końcu przywieziono szczątki Mary Jonas. W pozbawionym okien pomieszczeniu było zimno, a na ścianie wisiała jedynie reprodukcja obrazu Constable'a *Wóz na siano*. Jerry zastanawiał się, czy widok furmanki przecinającej rzeczkę ma reprezentować przejście z jednego świata do drugiego.

Rudowłosy pracownik kostnicy z należytą troską odchylił prześcieradło, które okrywało zwłoki Mary Jonas, ale potem je podniósł i strzepnął prestidigitatorskim gestem, a Jerry był zaskoczony, że nie powiedział jeszcze przy tym „Tadam!”.

Po sekcji zwłok Mary Jonas leżała w chłodni, więc jej zmaltretowane ciało nie zaczęło jeszcze się rozkładać. Jednak było tak spalone i zmiążdżone, że pokazanie go mężowi i innym bliskim, aby mogli je obejrzeć przed pochówkiem, wydało się absolutnie niemożliwe.

– Cholera jasna – powiedział Charlie. – Nie widzieliśmy dotąd wielu ludzi potraktowanych w taki sposób, prawda, piesku?

Pracownik kostnicy wduśił przycisk, żeby obniżyć wysokość noszy, na których leżały zwłoki. Dzięki temu Duch zyskał do nich łatwiejszy dostęp. Podeszedł do ciała bardzo powoli, tylko nieznacznie poruszając ogonem.

Dzamała, Jerry i Charlie obserwowali w milczeniu, jak Duch chodzi dookoła noszy, wdychając zapach zmaltretowanych i częściowo spalonych zwłok Mary Jonas. Liczyli na to, że w jakimś momencie zabójca uniósł ją gołymi rękami i pozostawił na niej swój ślad, chociażby najbardziej znikomy.

Dotarłszy do końca noszy, na którym leżała nadpalona czaszka Mary Jonas, Duch przestał wdychać powietrze i popatrzył na Charliego. Z głębi gardła wydobył dziwny charkot i opuścił po sobie uszy.

– Wyczuwa ją – powiedział Charlie.

– Kogo? – zapytał Jerry.

– Czuje jej duszę. Nie opuściła jeszcze głowy Mary i dlatego Duch ją czuje.

– Co to właściwie znaczy? – zapytała Dzamała. – Chodzi o to, że nieboszczka nie zaznała jeszcze spokoju?

– Tak, jeszcze nie poszła do nieba, jeżeli to masz na myśli.

– Zastanawiam się dlaczego. Kto mógłby zapewnić jej spokój?

– Co się dzieje? – odezwał się Jerry. – Czy to sesja dla psa policyjnego, czy jakiś seans spirytystyczny?

– Jerry, uspokój się, przecież widziałeś już, co potrafi Duch. A odkąd zaczął współdziałać z wami, pogromcami duchów, robi takie rzeczy, o jakie nigdy go nie posądzałem, a przecież w pewnym stopniu jestem niemal jego ojcem. Przypomnijcie sobie tylko Billingsgate. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się tam wydarzyło.

Duch obserwował Charliego, jakby rozumiał każde jego słowo. Następnie przeszedł wzdłuż noszy i znów zaczął obwąchiwać szczątki Mary Jonas.

– Do tej pory niczego nie znalazł – powiedział Charlie. – Obawiam się, że nasza sesja może się okazać stratą czasu.

Ale w tym momencie Duch zatrzymał się przy prawym biodrze Mary Jonas, które nie było tak mocno spalone, jak jej klatka piersiowa czy lewa strona brzucha. Głęboko wciągnął powietrze, zawahał się i znów je wciągnął. Następnie zrobił kilka kroków do tyłu i wydał z siebie cichy, przenikliwy skowyt, jakby chciał oznajmić: „Znalazłem go – znalazłem człowieka, którego zamierzacie dopaść”.

Obszedł nosze na wózku i popatrzył na Charliego z wyrazem absolutnej pewności w psich oczach, a jego ogon zaczął się poruszać rytmicznie i szybko.

– Chyba mu się udało – powiedział Jerry. – Do diabła, udało mu się.

– Oczywiście – zgodziła się Dżamila. – Zawieźmy go teraz do Brookwood School. Im szybciej, tym lepiej. Każdy mężczyzna, który w ten sposób potraktował niewinną kobietę, zasługuje na karę. Nieistotne, skąd i kiedy ta kara nadejdzie.

Sheila Daventry, dyrektorka szkoły, poszła na boisko razem z nimi. Miejsce, w którym znaleziono Mary Jonas, wciąż było odgrodzone i osłonięte niebieskim namiotem pozostawionym przez techników policyjnych.

– Naprawdę sądzicie, że uda się wam ustalić, kto ją zabił? – zapytała Sheila. –

To wszystko wydaje mi się skrajnie dziwaczne. I przerażające. Kilkoro dzieci wciąż nie przychodzi do szkoły, ponieważ po tym, jak zobaczyły nogi na suficie, wciąż są w szoku.

– Jesteśmy przekonani, że już wiemy, dlaczego dzieci zobaczyły te nogi – odparła Dżamila. – Teraz tylko musimy się dowiedzieć, czyje one były, i niech mi pani uwierzy, dzięki naszemu psu mamy wielką szansę na znalezienie tego osobnika.

Sheila Daventry czekała przed namiotem, aż wyjdą z niego Charlie i Duch.

– No i co, udało się? – zapytała Charliego.

Charlie wskazał ponad boiskiem na bramę szkolną.

– O tak. Proszę tylko spojrzeć, jak mój pies unosi głowę. Uchwycił zapach i teraz się wyrывa właśnie w tamtym kierunku.

– Dobra robota, Duchu – powiedziała Dżamila. – Jerry i ja wrócimy teraz do naszych apartamentów i będziemy czekać na sygnał od ciebie.

– Jasne – odparł Charlie.

Wiedział już, że do zakończenia śledztwa zarówno Dżamila, jak i Jerry będą mieszkać w wynajętych apartamentach przy Lavender Gardens. Nie próbowali wyjaśnić koncepcji światów równoległych nadinspektorowi Chance'owi, ale powiedzieli mu, że członkowie bandy, którą się zainteresowali, poznali miejsca ich zamieszkania i próbowali napaść na nich w taki sam sposób, w jaki Jerry został zaatakowany na komisariacie. Dlatego potrzebowali dla siebie jakiegoś bezpiecznego i anonimowego schronienia.

Herbert Chance zgodził się, żeby wynajęli tymczasowe lokum w pobliżu komisariatu.

– Macie szansę poznać nazwisko głównego podejrzanego? – zapytał.

– Pracujemy nad tym – odpowiedziała mu Dżamila. – I chyba jesteśmy już blisko rozwiązywania całej zagadki.

Podobnie jak Jerry nie przekazała mu informacji o Handlarzu Rybami, uznała, że będzie lepiej, jeżeli nie powie Herbertowi Chance'owi, że ich głównym podejrzanym jest okrutny i zły brat bliźniak Josepha Merricka, który w 1941 roku w czasie nalotów na Londyn ukrywał się w piwnicy. Nadinspektor prawdopodobnie uznałby, że oszalała.

– Im szybciej uzyskacie jakieś wyniki, tym lepiej – stwierdził Herbert Chance. – Bo czuję już na karku oddech komendanta.

Charlie i Duch przeszli przez boisko, a Dżamila i Jerry pożegnali się z Sheilą Daventry i po chwili ruszyli za nimi. Kolejny funkcjonariusz czekał w furgonetce dla psów, zaparkowanej przed bramą szkolną. Kiedy Duch ruszył ulicą z nosem przy ziemi, trzymany na smyczy przez Charliego, ten funkcjonariusz uruchomił silnik. Jego zadanie polegało na posuwaniu się w pewnej odległości za nimi i natychmiastowym ściągnięciu ich do auta na koniec pracy.

– Bądź bardzo ostrożny, Charlie – powiedziała Dżamila. – Jeżeli dotrzesz do naszego podejrzanego, będziesz musiał dopilnować, żeby nie zdołał rozpoznać zagrożenia, aż Jerry i ja znajdziemy się na miejscu. Już się zorientowałam, jaki potrafi być Duch, kiedy dotrze do człowieka, którego szuka.

– Masz rację – przyznał Jerry. – Jestem pewien, że Duch sam założyłby mu kajdanki, gdyby tylko potrafił.

Duch zaczął drapać pazurami płytki chodnikowe, bo chciał już ruszać, więc Charlie zasalutował Dżamili i Jerry'emu, po czym podążył szybko za psem, który prowadził na południowy wschód, w kierunku Clapham Junction. Furgonetka jechała za nimi, pobłyskując światłami awaryjnymi.

Dżamila i Jerry wrócili do Lavender Gardens, na małą wąską uliczkę, przy której stały rezydencje z czerwonej cegły, wybudowane w czasach wiktoriańskich. Ich nowe mieszkania znajdowały się na parterze. W każdym były salon, sypialnia i mała kuchnia. Weszli do salonu w mieszkaniu Dżamili i ona natychmiast włączyła laptop, żeby się zorientować, jakie postępy poczynili ich koledzy prowadzący powiązane sprawy zabójstw. Okazało się, że śledztwa prawie się nie posunęły. Nie znaleziono monitoringu, na którym nagraliby się podejrzeni, przy-

chodzący albo opuszczający miejsca przestępstw. W archiwach nie natrafiono ani na odciski palców, ani na ślady DNA, które odpowiadałyby znalezionym śladom przestępców. Poza świadkami, których przesłuchali już osobiście, nie natrafiono na nikogo, kto wskazałby jakieś nowe punkty zaczepienia. Istotne było jedynie to, że Kenneth Treagus i Archie Cooper zostali zastrzeleni z tego samego pistoletu oraz że człowiek, który pociął Kathleen Hartley, i człowiek, który zmasakrował i spalił ciało Mary Jonas, palili takie same papierosy, wycofane ze sprzedaży dawno temu.

– Wiem, że wykonując egzekucje tych ludzi, weźmiemy prawo w swoje ręce – powiedziała Dżamila. – Jednak nie widzę innej drogi, żeby wymierzyć im sprawiedliwość. Konwencjonalna praca detektywa w tych przypadkach niczego nie da.

– Trzymajmy kciuki, żeby Duch wywęszył człowieka, który się pastwił nad Mary Jonas.

Zadzwoił telefon Dżamili. Odebrała i rzuciła szybko:

– Charlie?

– Nie, proszę pani. Tu Derek Grant, technik. Chciałem powiedzieć, że zbadaliśmy już młotek, który ostatniej nocy porzucono przed pani domem.

– Naprawdę? Znaleźliście coś interesującego?

– Powiedziałbym, że tak. Znajdują się na nim odciski palców, które są identyczne jak odciski pewnego handlarza narkotykami z Brighton. Nazywa się Michael Slack. Odsiedział w więzieniu w Lewes trzy lata z pięcioletniego wyroku za dowodzenie gangiem handlarzy i przed trzema miesiącami został warunkowo zwolniony.

– Wiesz, ile on ma lat?

– Chwileczkę... Tak, tutaj mam to zapisane. Facet ma dwadzieścia osiem lat. Obecnie już jest znowu poszukiwany, za zorganizowanie nowej sieci handlarzy w Hastings.

– Masz jego fotografię? Mógłbyś mi ją przesłać?

– Tak, oczywiście. Chociaż powiem szczerze, że jego morda nie jest najciekawszą rzeczą do oglądania.

– Jestem jednak pewna, że Jerry potrafi rozpoznać, czy chodzi nam właśnie o tego człowieka.

– Przy okazji powiedz mu, że pobraliśmy próbki krwi ze ściany w jego kuchni i je sprawdzamy, ale na razie ta krew do nikogo nie pasuje. Wiemy tylko, że sprawca ma grupę krwi A plus i cukrzycę.

Dżamila zakończyła rozmowę i przekazała Jerry'emu, co powiedział jej Marsjanin. Po kilku sekundach blada twarz Michaela Slacka, pozbawiona jakichkolwiek emocji, pojawiła się na ekranie jej laptopa.

– Wiesz, co to znaczy, prawda? – zapytał Jerry. – Mianowicie to, że Pazur rekrutuje łotrów nie tylko w czasach minionych, lecz dociera także do współczesnych nam przestępców. Z tego wynika, że będziemy musieli eliminować

zarówno tych, którzy od dawna wachają kwiatki od spodu, jak i tych, którzy wciąż żyją i mają się dobrze. A to może się okazać wielkim ryzykiem, łagodnie rzecz ujmując. Grozić nam będzie odsiadka za popełnienie morderstwa pierwszego stopnia.

– To wcale nie musi być aż tak wielkie ryzyko, jak przypuszczasz – odparła Dżamila, wciąż się wpatrując w policyjną fotografię Michaela Slacka. – Jeżeli Pazur wciągnął współczesnych nam osobników do swojej armii, musiał ich przecież zabrać do roku 1941. A jeżeli zlikwidujemy ich w 1941, nikt nigdy się nie dowie, dokąd się udali i co się z nimi stało. Nie będzie to znaczyć, że nie urodzili się i nie żyli aż do dzisiejszych czasów. Będzie znaczyło tylko tyle, że zniknęli i nigdy się już nie znajdują.

– Nie potrafisz tego ogarnąć – powiedział Jerry. – Twierdzisz, że jeśli odstrzelimy tego Michaela Slacka w 1941 roku, będzie martwy jeszcze przed urodzeniem. Ale nawet jeśli będzie martwy, nic nie stanie na przeszkodzie, żeby się urodził.

– Tak. A przynajmniej w taki sposób rozumiem zasady teorii kwantowej. Facet będzie niczym kot Schrödingera, jednocześnie żywy i martwy. To, co robi Pazur, nie jest magią, Jerry, i nie ma nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. To czysta nauka. Bez takiej nauki nie działałby na przykład ten laptop.

– Chyba wyjaśniłaś mi właśnie zasadę funkcjonowania mojego zespołu piłkarskiego. Oni są jednocześnie żywi i martwi.

Znowu zadzwonił telefon Dżamili. Tym razem to był Charlie.

– Jestem prawie pewien, że go znaleźliśmy. I nie zgadniesz gdzie. Potrzebowaliśmy na to zaledwie dwudziestu minut, ale teraz oddaliliśmy się od tego miejsca na wypadek, gdyby nas wypatrzył i dodał dwa do dwóch.

– Gdzie więc jesteście?

– Przy Salcott Road numer 79. Duch już nas tutaj przyprowadził, kiedy szukaliśmy tych dwoje dzieciaków.

– Salcott Road numer 79? Ale tam przecież nie ma żadnego domu!

– Może nie, ale Duch jest absolutnie pewien, że znalazł łotra. Nie pozwoliłem podejść mu blisko, ale trzęsie się jak galareta.

– Dobra robota, Charlie. Dołączymy do ciebie najszybciej, jak tylko damy radę.

Usłyszawszy nazwę Salcott Road, Jerry od razu chwycił kaburę i w tej chwili wkładał już kurtkę. Podał okrycie również Dżamili i posłał jej znaczące spojrzenie.

– Jednocześnie żywy i martwy, sierżancie.

Przejazd na skrzyżowanie Northcote Road i Salcott Road zabrał im zaledwie pięć minut. Charlie i Duch czekali w furgonetce razem z kierowcą, wesołym czarnoskórym funkcjonariuszem, z którym Jerry pracował już w przeszłości.

Duch niestrudzenie chodził od ściany do ściany w przedziale ładunkowym i bezustannie popiskiwał na znak frustracji. Kiedy Charlie otworzył mu drzwi, wyskoczył na ulicę jak z katapulty i zaczął podskakiwać na trotuarze, czekając, aż opiekun przymocuje mu smycz do obroży i ruszą w dalsze poszukiwania na Salcott Road.

– Jeden Bóg wie, co znajdziemy – powiedział Charlie. – Może nic, jak ostatnio.

– Pamiętaj, że ostatnim razem dzieci już tutaj po prostu nie było – przypomniała mu Dżamila. – Ale teraz zachowanie Ducha podpowiada mi, że nasz podejrzany jest bardzo blisko.

– W domu, który już nie istnieje?

– Widzisz, w tym tkwi sedno sprawy. Mamy do czynienia z czymś, co fizycy nazywają „wieloświatem”. Można by powiedzieć, że nie istnieje już ani Old Billingsgate, ani wewnątrz domu Rogera Welkina. A przecież one wciąż trwają, w swoich światach równoległych, i to dlatego Duch zdołał nas tam doprowadzić.

Duch szarpał smycz tak mocno, że Charlie zaczął biec, i w tej sytuacji Dżamila i Jerry również musieli przyśpieszyć, żeby za nimi nadążyć. Po chwili Jerry dyszał równie ciężko jak Duch. Poczul ucisk w piersiach i nie po raz pierwszy obiecał sobie, że skończy z paleniem papierosów.

Biegając, zauważył, że chmury zaczęły szybciej się przesuwac na niebie i w rezultacie promienie słoneczne docierały na ziemię z przerwami. W jednej chwili słońce świeciło, w kolejnej znikalo, a w następczej sekundzie znowu się pojawilo na niebie. Zorientował się też, że drzewa stojące wzdłuż jezdni zaczęły się gwałtownie kurczyć, gubić liście i część z nich w ogóle zniknęła w ziemi.

Dżamila biegła teraz co najmniej pięć kroków przed nim, ale był zbyt zadyuszany, żeby ją zawołać. Był jednak pewien, że ona także widzi słońce błyskające za chmurami niczym lampa Alladyna wysyłająca ostrzeżenia alfabetem Morse’a.

Kiedy dobiegł na miejsce, był również pewien, że Dżamila tak jak on widzi przy Salcott Road ten sam dom z numerem 79, a nie patio znajdujące się w tym miejscu w czasie terażniejszym. Był to jeden z najmniej zadbanych domów w okolicy. Za przerośniętym żywopłotem stał pojemnik na śmieci z licznymi wgnieceniami, otoczony wyrastającymi z ziemi chwastami. Farba wokół ram okiennych odpadała od murów domu, a wszystkie rynny były zardzewiałe.

Okna pokryto w poprzek taśmą, ale kiedy Jerry rozejrzał się po ulicy, zobaczył, że okna we wszystkich domach zaklejone są w identyczny sposób. Zorientował się, że w pobliżu parkują tylko dwa samochody – pierwszym był czarny wolseley, a drugim niebieski standard ten – pochodzące, jak odgadywał, z połowy lat 30. XX wieku. Ulicą przejechali na rowerach dwaj mężczyźni w płóciennych czapkach.

Duch pociągnął Charliego na werandę, prosto do frontowych drzwi. Następnie stanął na tylnych łapach, a przednimi zaczął drapać półokrągłą szybę w drzwiach, tak jakby chciał ją wyczyścić i zajrzeć przez nią do środka. Futro na karku stanęło

mu dęba i drżał jeszcze gwałtowniej niż wtedy, gdy w Billingsgate doprowadził policjantów do Jaspera Starke'a.

Dżamila wyciągnęła pistolet z kabury, ale ukryła go w kieszeni kurtki. Skinęła na Jerry'ego, żeby zrobił to samo, po czym nacisnęła przycisk dzwonka. Jego dźwięk rozległ się w korytarzu i za drzwiami rozbrzmiały głosy. Charlie odciągnął Ducha z werandy do zardzewiałej bramy posesji.

Usłyszeli czyjeś powolne kroki i drzwi nieznacznie się otworzyły. Za progiem stanęła starsza kobieta i popatrzyła na przybyszów. Drzwi zabezpieczyła na wszelki wypadek łańcuchem.

– Kim jesteście? – zapytała, nawet nie próbując ukrywać wrogości. – Dzisiaj niczego nie kupię, dziękuję.

– A my nie zamierzamy niczego sprzedawać, proszę pani – odparła Dżamila. – Jesteśmy policjantami i poszukujemy osoby, która prawdopodobnie przebywa w tym domu.

– Nie wyglądacie mi na policjantów. A jeżeli ktoś przebywa tutaj razem ze mną, nie jest to wasza sprawa.

– Czy mamy przypadkiem przyjemność z panią Chibnall? – zapytał Jerry.

– To także nie jest wasz interes.

– Edith? – rozległ się męski głos. – Kto do nas przyszedł, Edith?

– Nie wiem, Ronnie. Mówią, że są gliniarzami, ale wyglądają raczej na takich, co chodzą po domach i sprzedają Biblię.

– Każ im spadać.

– Charlie! – krzyknęła Dżamila. I po chwili zawołała do Jerry'ego: – Ruszaj!

Jerry zrobił jeden szybki krok do przodu i z całej siły kopnął w drzwi. Łańcuch pękł, a starsza kobieta przewróciła się na plecy. Jej nogi uniosły się wysoko w powietrze, spadł jej prawy pantofel, a Jerry przy tej okazji zobaczył jej długie do kolan pantaloney.

– Wynocha! – krzyknęła, ale Jerry przeskoczył nad nią z odbezpieczonym pistoletem i wbiegł do salonu.

Stało tu mnóstwo starych mebli, czuć było zapach lawendy, papierosów i kotów, lecz w pomieszczeniu nie było żadnego człowieka.

Do domu wbiegł Duch. Poślizgnął się na wycieraczkę, uderzył bokiem w ścianę, ale natychmiast skierował się do kuchni. Charlie uwolnił go ze smyczy i pies wpadł do środka jak rakieta, przewracając dwa taborety.

Trzasnęły tylne drzwi. Duch dwa razy głośno warknął i zaczął je drapać. Jerry miał właśnie wbiec za nim do kuchni, ale kiedy mijał małe okno w holu, usłyszał tupot butów i dostrzegł przez brudną firankę mężczyznę biegnącego ścieżką za domem.

W tym czasie Dżamila pomagała pani Chibnall podnieść się z podłogi, a Charlie wciąż stał przy drzwiach.

– On ucieka! – zawołał Jerry i gorączkowo wskazał ulicę.

Charlie wsunął dwa palce w usta i głośno gwizdnął. Na ten sygnał z kuchni natychmiast wybiegł Duch z obnażonymi zębami. Jerry zdążył już dobiec do bramy i zaczął ją otwierać, ale pies go minął i prawie przewrócił, wyskakując z posesji przez wąską szparę.

Jerry wyszedł na zewnątrz i zobaczył mężczyznę pędzącego ulicą w kierunku Northcote Road oraz Ducha, który go ścigał. Mniej więcej po stu metrach pies dopadł człowieka i skoczył mu na plecy. Mężczyzna zachwiał się, padł na kolana, ale natychmiast zdołał zrzucić z siebie Ducha i uderzyć go pięścią w głowę. Przez kilka sekund pies musiał być ogłuszony, ponieważ ścigany człowiek stanął na nogach, złapał go za tylne łapy i zakreślił nim w powietrzu jak ciemnobrązową torbę. Kiedy go puścił, Duch poleciał za płot najbliższej posesji i uderzył kręgosłupem w betonowe poidło dla ptaków. Z jego gardła wydobył się skowyt bólu.

– Stój! – zawołał Jerry. – Policja! Jesteśmy uzbrojeni!

Mężczyzna odwrócił się i wtedy Jerry zobaczył, że to ten facet o złamanym nosie, który próbował porwać go z komisariatu w Lavender Hill i groził mu przy St Oswald's Place. Zamierzał oddać jedynie strzał ostrzegawczy, gdyby łotr nadal chciał uciekać, ale teraz był pewien, że ściga członka bandy Pazura, mordercę, który zabił Mary Jonas.

Duch zaprowadził grupę do roku 1941 i Jerry wiedział, że jeżeli zabije bandytę właśnie teraz, będzie to zabójstwo popełnione ponad osiemdziesiąt lat temu. Jakby dla potwierdzenia, w którym roku właśnie się znajduje, syreny alarmu przeciwlotniczego zawyły nagle nad centralnym Londynem. Przy ich zawodzeniu po plecach przebiegły mu ciarki.

Przystanął, wycelował i trzykrotnie strzelił do mężczyzny. Ten był już prawie przy Northcote Road, ale trafiła go przynajmniej jedna kula, ponieważ zatrzymał się i zatoczył na nogach. Pobiegł jednak dalej, utykając jak Długi John Silver, więc Jerry strzelił jeszcze raz. Tym razem nie miał pewności, że trafił, bo nie zobaczył żadnego rezultatu.

Dogonili go Dżamila i Charlie. Charlie otworzył furtkę do ogrodu, do którego mężczyzna wrzucił Ducha. Na szczęście pies najwyraźniej nie odniósł poważnych obrażeń, bo natychmiast wyskoczył na ulicę i pobiegł przed siebie, jakby pałał żądzą zemsty.

– Przynajmniej go zraniłeś – powiedziała Dżamila.

We troje ruszyli za psem. Nie musiała dodawać, że należy jak najszybciej dorwać i zlikwidować uciekiniera. Wiedzieli przecież, co zrobił z Mary Jonas, a ta zbrodnia jak najbardziej usprawiedliwiała egzekucję.

Syreny nadal wyły, zagłuszając się nawzajem, jakby rywalizowały pomiędzy sobą o to, która wyda najbardziej żalosne dźwięki. Tymczasem morderca dotarł do Northcote Road i chciał przebiec na drugą stronę ulicy. Zatrzymał się, żeby przepuścić furgonetkę, i popatrzył za siebie przez ramię. Jerry zauważył, że ma krew na brodzie, zatem któraś z kul zapewne przebiła mu płuco.

– Stój! – zawołała do niego Dżamila. – Policja! Nie ruszaj się!

Mężczyzna zignorował to, niezdarnie skoczył na jezdnię i zaczął ją przebiegać. Ale wtedy w powietrzu rozległ się dźwięk dzwonka. Od południa z pełną szybkością nadjeżdżał tramwaj. Mężczyzna zrobił dwa długie skoki, żeby przekroczyć tory tramwajowe, zanim dopadnie go Duch, ale jego but niespodziewanie zakleszczył się w szczelinie pomiędzy szynami, przez co padł jak długi na torowisko, twarzą w dół, z szeroko rozłożonymi rękami, jakby się modlił.

Jerry usłyszał zgrzyt hamulców tramwaju, lecz było już za późno. Przednie koła pojazdu przejechały przez szyję mężczyzny, odcinając mu głowę, przez biodra, miażdżąc miednicę. Brzuch mężczyzny eksplodował, a jego wnętrzności chlusnęły na boki, tworząc na jezdni jakby dwa gniazda śliskich czerwonych węży. Obie nogi nieszczęśnika przez chwilę podrygiwały rytmicznie, jakby ich właściciel się cieszył, że został rozjechany przez tramwaj, ale niebawem znieruchomiały.

Tramwaj zatrzymał się z ogłuszającym hałasem żelaznych kół trących o szyny, na które wysypał się piasek służący do gwałtownego hamowania. Duch chciał wbiec na jezdnię, lecz Charlie powstrzymał go głośnym gwizdnięciem. Troje policjantów wraz z psem stanęło na rogu Salcott Road, obserwując, jak motornicza wychodzi z tramwaju, a wokół zwłok przejechanego mężczyzny zaczynają się gromadzić milczący, wstrząśnięci przechodnie. Jeden z pasażerów tramwaju podszedł do budki telefonicznej na rogu Wakehurst Road, prawdopodobnie chcąc wezwać ambulans.

– Myślę, że wykonaliśmy to, po co tutaj przyszlismy – powiedziała Dżamila. – Jak mamy teraz powrócić?

– Miejmy nadzieję, że Duch zrobi to za nas – odparł Charlie.

Duch siedział na chodniku, wpatrując się w nogi rozjechanego mężczyzny, wystające spod tramwaju.

– Dobra robota, piesku – powiedział do niego Charlie. – Dostałeś go. Dobra robota. Możemy już wracać.

Poczęstował Ducha przysmakiem i przypiął mu smycz. Następnie policjanci ruszyli z powrotem na Salcott Road. Tymczasem chmury na niebie zaczęły wędrować w kierunku przeciwnym niż wcześniej, a słońce znów migotało pomiędzy nimi, tak jak poprzednio. Drzewa pięły się w górę, a pożółkłe liście z cichym szelestem unosiły się z chodnika ku niebu i ponownie zajmowały miejsca na gałęziach.

Dotarli do posesji numer 79, lecz znów nie stał tutaj żaden dom, a teren oddzielał od ulicy starannie przystrzyżony żywopłot, za którym znajdowało się patio. Żaden z okolicznych domów nie miał okien wyklejonych taśmą, a samochody parkowały na całej długości ulicy, po obu jej stronach, i wszystkie wyglądały bardzo współcześnie.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego.

– Czy to się nam śniło? – zapytała.

– Nawet jeśli tak było, facet otrzymał to, na co zasłużył. Ronnie, zdaje się, że właśnie tak nazwała go pani Chibnall. Mam nadzieję, że w archiwach znajdziemy informację o wypadku i dzięki temu go zidentyfikujemy. Mnóstwo londyńczyków straciło życie w czasie wojny, ale niezbyt wielu pod kołami tramwajów.

– Przypuśćmy, że to nie był sen – powiedziała Dżamila. Wydawała się wstrząśnięta ostatnimi wydarzeniami. – Pewne jest teraz tylko to, że musimy wybrać kolejnego łotra do likwidacji.

W końcu dowiedzieli się kim był „Ronnie” – wcale nie z wojennych archiwów londyńskiego pogotowia ratunkowego czy dokumentów prosekutorium w Greenwich, ale z książki *Wypadki kolejowe i tramwajowe* G.W. Moffata, członka Królewskiego Inspektoratu Linii Szynowych, który powstał w 1840 roku, żeby badać śmiertelne wypadki z udziałem pociągów i tramwajów.

Książka została opublikowana w 1949 roku, po wypadku w Lewisham, kiedy pociąg wypadł z torów i zginęło jedenastu pasażerów. Znajdował się w niej również rozdział o ludziach, którzy zginęli pod kołami brytyjskich tramwajów w ciągu poprzednich dziesięciu lat. Część zgonów była przypadkowa, ale zdarzały się też samobójstwa na torach. Przynajmniej siedmiokrotnie doszło do zbrodni – sprawcy pozostawili na torach osoby ogłuszone, zamroczone narkotykami lub zbyt pijane, aby świadomie kierować swoim postępowaniem.

Głównym podejrzanym o popełnienie pięciu spośród tych morderstw był okrutny bandyta o nazwisku Ronald Tuggey, który gwałcił lub w inny sposób wykorzystywał seksualnie kobiety, a następnie kładł je nieprzytomne lub półprzytomne na tory tramwajowe lub kolejowe. Znany był powszechnie jako „Kolejowy Ronnie”.

Tuggey został schwytany, kiedy przechodził przez tory w pobliżu Clapham Junction zimą 1947 roku, niosąc półnągą dziewczynę. Oskarżono go o morderstwo i uśiłowanie morderstwa, ale po aresztowaniu uciekł z komisariatu policji w Wandsworth i później nikt go już nigdy więcej nie widział.

Jerry obejrzał zdjęcia wszystkich podejrzanych, których w 1947 roku zatrzymała policja w Wandsworth, i w końcu znalazł „Kolejowego Ronniego”. Był nieogolony i wpatrywał się w obiektyw z taką miną, jakby był gotów natychmiast wepchnąć fotografa pod pociąg lub tramwaj. Bez wątplenia był to człowiek, do którego Jerry strzelał i który zginął pod kołami tramwaju na Northcote Road. Jak już wyjaśniła Dżamila, był on w tym samym czasie zarówno żywy, jak i martwy.

Teraz zasugerowała, żeby odnaleźć Terence’a Wakefielda, podejrzanego o brutalne zamordowanie matki Sabiny, Lilian.

– Ale on jest niepełnosprawny, prawda? Kiedy będziemy szukać Pazura, raczej nie sprawi nam większych kłopotów.

– Nie doceniasz niepełnosprawnych, Jerry. Facet może poruszać się na wózku, ale i tak zdołał poćwiartować panią Ferris. I nie mamy pojęcia, w którym roku ją zabił. Może wtedy jeszcze nie był niepełnosprawny. Możliwe, że Pazur wyciągnął

go z wcześniejszego czasu. Terence Wakefield, który egzystował, zanim został ranny pod Dunkierką, wciąż istnieje i jak można sądzić po jego dokumentach z policji, potrafi stanąć w obronie Pazura.

– A gdzie Duch mógłby znaleźć jego trop?

– Wyobrażam sobie, że w kuchni, w której została zamordowana pani Ferris. I tym razem nie powinniśmy go szukać daleko. Żył w bloku, który, zanim został zbombardowany, stał w tym samym miejscu co dom Ferrisów.

– Nie jestem pewien, czy zdołam strzelić do faceta na wózku inwalidzkim.

– Przecież widziałeś, co ten facet zrobił pani Ferris, Jerry. Moim zdaniem ten typ nie zasługuje na żadną litość.

– Jasne – powiedział ponuro Jerry. – Kto wezwie Charliego? Ty czy ja?

Poczekali, aż zaczęło się ściemniać, i dopiero wtedy wyruszyli na Elsley Road. Pojawiła się mgła, przez co latarnie uliczne wyglądały teraz jak dmuchawce. Zaparkowali nieoznakowane policyjne volvo na rogu Tyneham Road, tak aby było niewidoczne z domu Ferrisów, a Charlie stanął furgonetką tuż za nimi.

Pięciopiętrowego bloku z mieszkaniem Terence'a Wakefielda już tutaj nie było, ale gdyby budynek wciąż stał na swoim miejscu, prawdopodobnie mężczyzna mógłby wypatrzeć ich z okna trzeciego piętra. A oni nie chcieli nawet w najmniejszym stopniu zaryzykować, że pozwoli mu na to jakiś przypadek w superpozycji kwantowej.

Sabina wciąż była u ciotki w Wimbledonie, ale Marsjanin dysponował zapasowym kompletem kluczy, który im pożyczył. Technicy nie skończyli jeszcze pracy w domu. Kiedy policjanci otworzyli drzwi, weszli do mrocznych, chłodnych i dusznych pomieszczeń. W powietrzu unosił się słaby cytrynowy odór, jaki pozostał po chemikaliach używanych przez ekipę badającą miejsce zbrodni. Duch natychmiast skierował się do kuchni, ponieważ to stamtąd do jego nozdrzy dotarł zapach krwi.

Kuchni jeszcze nie uprzątnięto, a na podłodze leżały płachty z cienkiego plastiku zapobiegające zatarciu odcisków obuwi i innych śladów. Ani Dżamila, ani Jerry nie odwiedzili dotąd miejsca, w którym zginęła pani Ferris. Widzieli fotografie, które jednak nie mogły ich odpowiednio przygotować na makabryczny widok zaschniętej krwi na ścianach, oknach i drzwiach kredensu. Krew zamordowanej kobiety trysnęła nawet na sufit.

Dżamila stanęła na środku kuchni, ogromnie wstrząśnięta. Jerry miał ochotę podejść do niej i objąć ją ramieniem, lecz wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Mógł tylko stanąć obok i głośno rzucić:

– Cholera jasna.

Duch chyba już się zorientował, czego się po nim oczekuje, ponieważ krążył po całej kuchni, obwąchując nogi od stołu i czerwone plastikowe krzesła.

– Chce ustalić, kto korzystał z tej kuchni na co dzień – wyjaśnił Charlie. – Wie, że powinien uchwycić zapach intruza.

– I już mu się to udało?

– Jeszcze nie.

Kiedy Duch przestał obwąchiwać drzwi spiżarni, przeszedł kilka kroków po marszczącym się plastiku i uniósł się, żeby oprzeć przednie łapy o krawędź zlewozmywaka z nierdzewnej stali. Zaczął go intensywnie wąchać, niemal przyłożył nos do ociekacza i po chwili znowu opadł na cztery łapy. Popatrzył na Charliego, a ten zawołał:

– Hej, ludzie! Złapał trop!

– I dokąd nas zaprowadzi? – zapytała Dżamila. – Jeżeli to, co powiedziała nam Sabina, jest prawdą, już teraz jesteśmy we właściwym miejscu.

Duch ruszył do drzwi, a potem wyszedł na korytarz. Dżamila i Jerry jeszcze nie zdążyli pójść za psem, gdy do ich nozdrzy dotarł gryzący odór dymu z papierosa.

Opuścili kuchnię o ścianach upstrzonych krwią i wcale się nie znaleźli w holu domu Ferrisów, lecz w zimnym i pustym przedsionku bloku mieszkaniowego. Przed nimi znajdowały się drzwi do windy, a po lewej stronie wejście na klatkę schodową. W powietrzu leniwie unosiły się kółka dymu, jakby ktoś dosłownie przed chwilą wypalił tutaj papierosa, a terkot windy świadczył, że kabina właśnie przewozi tę osobę na wyższe piętro. Podświetlane cyferki nad drzwiami windy zatrzymały się na numerze 3.

Jerry przez długą chwilę wciągał nosem powietrze.

– Wiesz, z czym kojarzy mi się ten dym? Ze szlugami marki Spanish Shawl, tymi, które musieli palić Handlarz Rybami i Kolejowy Ronnie. Ale Kolejowy Ronnie chyba wyzionął już ducha pod tramwajem, prawda? A więc, o ile nie mamy do czynienia z kimś jeszcze nam nieznanym, prawdopodobnie to Handlarz Rybami przed chwilą wszedł do tej windy.

– Może tym razem usmażymy dwie pieczenie na jednym ogniu – odparła Dżamila. – Zdaje się, że Terence Wakefield mieszka pod numerem 12. Chodźmy tam i się przekonajmy. Darujmy sobie jednak windę, żeby panowie nie rozpoznali zagrożenia zbyt wcześnie.

Duch był już gotów ruszyć po schodach. Jerry zerknął w górę i powiedział:

– Wolałbym być dzisiaj sportowcem, a nie policjantem. Nie ma nic bardziej wyczerpującego jak cholerna robota w policji londyńskiej.

Weszli na schody za Duchem. Stopy stawiali na stopniach tak ostrożnie jak trójka psotnych dzieci, która ma zamiar zaskoczyć rodziców. Kiedy stanęli na trzecim piętrze, ciężko oddychali. Jerry’emu zbierało się na kaszel, lecz zdołał go zdusić.

Korytarz był pusty, jeśli nie liczyć składanego wózka spacerowego opartego o ścianę przed drzwiami mieszkania numer 10 oraz wiszącej na ścianie gaśnicy.

Zza drzwi mieszkania numer 11 dobiegały dźwięki muzyki z radia, a w mieszkaniu numer 9 klóciła się jakaś para.

Dżamila wyciągnęła z kabury pistolet i Jerry zrobił to samo.

– Skoro Duch nas tutaj przyprowadził, nie potrzebujemy żadnych dodatkowych dowodów, które potwierdziłyby to, że człowiek z tego mieszkania zabił panią Ferris – oznajmiła Dżamila. – Nawet jeżeli porusza się na wózku inwalidzkim, musimy strzelać, żeby zabić. Jeżeli będzie tam ktoś jeszcze, na przykład Handlarz Rybami, jego również należy zastrzelić. Sami widzieliśmy, jak popełnił morderstwo pierwszego stopnia, i nie ma znaczenia, w którym świecie teraz przebywa.

Z oddali dobiegły dźwięki syren ostrzegających o nalocie.

– Znowu to zrobiłeś, piesku – powiedział Charlie. – Przeniosłeś nas z powrotem do czasów wojny.

Duch warknął z głębi gardła, ale ani na moment nie oderwał zielonych oczu od drzwi mieszkania numer 12. Wymachiwał rytmicznie ogonem, który teraz przypominał metronom odmierzający sekundy.

– Gotowi? – zapytała Dżamila.

Jerry skinął głową i rzucił:

– Jak nigdy.

Obok framugi znajdował się przycisk dzwonka, lecz Dżamila delikatnie zapukała do drzwi, ponieważ pukanie zwyczajowo jest mniej natarczywym sposobem przekazania informacji, że właśnie przyszli goście. Niemał natychmiast usłyszeli zza drzwi męski głos:

– Kto tam?

– Przychodzimy w sprawie pańskiej książeczki z racjami żywnościowymi – powiedziała Dżamila.

– Ale o co chodzi?

– Zaszło pewne nieporozumienie i otrzymał pan niewłaściwy egzemplarz.

– Co? Dzisiaj po południu kupiłem bekon i wszystko było w porządku.

– Ale już od jutra nie będzie pan mógł korzystać z tej książeczki.

Drzwi się uchyliły i policjanci zobaczyli na progu dwudziestokilkuletniego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Duch skoczył ku niemu, ale na jego widok mężczyzna błyskawicznie zatrzasnął drzwi. Jerry strzelił i pocisk przebił drzwi u dołu, lecz nie można było się zorientować, czy trafił w cel. Mężczyzna nie krzyknął, chociaż w mieszkaniu rozległ się trzask, jakby wózek inwalidzki wjechał w ścianę.

– Terence Wakefield! – zawołała Dżamila. – Otwieraj! Policja!

Jerry załomotał pięścią i odczekał kilka sekund, ale nic się nie stało. Uderzył w drzwi jeszcze raz i zawołał:

– Wakefield! Jeżeli nie otworzysz drzwi, zanim doliczę do trzech, użyjemy siły!

Z mieszkania nadal nie docierały żadne dźwięki, a drzwi pozostawały zamknięte. Policjanci czekali w ciszy. Słyszeli wyjące bardzo blisko syreny, a także głęboki pomruk nadlatujących bombowców i wybuchy pocisków przeciwlotniczych, które eksplodowały w powietrzu.

Jerry podszedł do gaśnicy i zdjął ją z haka. Następnie zbliżył się do drzwi mieszkania i zamachnął się nią jak taranem. Nastąpił głośny trzask i drzwi wypadły z górnego zawiasu.

Miał właśnie uderzyć gaśnicą po raz drugi, kiedy drzwi niespodziewanie się otworzyły i pojawiła się w nich kobieta w średnim wieku, ubrana w kwiecisty fartuch. Tuż za nią, podduszając ją lewym ramieniem, a prawym obejmując ją w pasie, stał Jasper Starke. Uśmiechał się złośliwie w taki sam sposób, jak niedawno na targu rybnym Old Billingsgate. Za jego plecami pojawił się Terence Wakefield na wózku inwalidzkim. Jego lewe kolano obwiązane było zakrwawioną ścierką do naczyń, a twarz wykrzywił grymas bólu.

– Przywitajcie się z ukochaną mamusią Tela – powiedział Jasper Starke. – Ta miła pani będzie uprzejmie nam towarzyszyć w drodze do wyjścia z tego budynku.

Dżamila i Jerry opuścili broń, a Charlie przykucał i chwycił smycz Ducha, który nie zważając na nic, chciał się rzucić na Terence’a Wakefielda.

– Nie macie najmniejszej szansy na ucieczkę – powiedziała Dżamila. – Dokąd byście się nie udali, możecie być pewni, że znajdziemy was.

– Gdybym był tobą, nie postawiłbym na to ani pensa – oznajmił Jasper Starke. – Chodź, Lizzie. Zaprowadź nas do windy.

Przyciskając matkę Terence’a Wakefielda do siebie, zaczął ją wypychać z mieszkania. W połowie korytarza przystanął, żeby Terence mógł się za jego plecami wytoczyć na korytarz. Dojechał do windy i ją przywołał. Gdy tylko drzwi kabiny się rozsunęły, wjechał do środka, a Jasper Starke z jego matką weszli tam zaraz za nim.

– Szybko, Jerry, biegniemy na dół! – zawołała Dżamila.

Zanim drzwi windy na dobre się zatrzasnęły, Jerry ruszył po betonowych schodach do przedsionka bloku. Duch i Charlie popędzili za nim, a na końcu pobiegła Dżamila.

Kiedy Jerry znalazł się w przedsionku, natychmiast zorientował się w popełnionym błędzie. Cyferka nad drzwiami windy wskazywała, że kabina jest na poziomie 5, oznaczonym jako ogród na dachu. Jasper Starke i Terence Wakefield pojechali windą do góry, a nie w dół. Jerry kilkakrotnie nacisnął przycisk windy, lecz ta pozostawała na poziomie 5, co prawdopodobnie oznaczało, że Jasper Starke zablokował drzwi.

– Cholera jasna – jęknął Jerry. – Kolejne pieprzone ćwiczenia gimnastyczne.

Ale zdołał przeskoczyć tylko kilka stopni, kiedy przed budynkiem rozległa się rozzwierająca bębenki w uszach eksplozja i drzwi wejściowe zostały wepchnięte do środka. Nie przeleciały pod przeciwległą ścianę tylko dlatego, że utrzymał je

jeden zawias. Mały plac przed blokiem oświetliło oślepiająco jaskrawe światło, a w górę uniósł się gęsty kłęb szarego dymu, pełen wybuchających iskerek.

– Bomba zapalająca – powiedział Charlie. – Musimy iść do schronu, i to szybko.

– Może w tym bloku jest piwnica – zasugerowała Dżamila.

Ale gdy tylko wypowiedziała te słowa, nastąpiła kolejna eksplozja. Można było odnieść wrażenie, że cały budynek zadygotał z powodu trzęsienia ziemi. Policjanci usłyszeli, jak nad ich głowami zapadają się kolejne piętra, a na betonowe schody wpadł deszcz iskier.

– Chyba musimy się stąd wynosić – powiedział Jerry. – Pewnie jeszcze długo pożyję sobie w czasie teraźniejszym, ale jakoś nie bawi mnie myśl, że w 1941 roku zginę w zbombardowanym budynku.

– A co z tamtą trójką? – zapytał Charlie, wskazując palcem w górę.

– Uciekajmy stąd. O nich będziemy się martwić później – odpowiedziała Dżamila.

Jerry kopniakiem usunął drzwi z drogi i wyszli z budynku, osłaniając twarze przed niesamowitym gorącym wywołanym wybuchem bomby zapalającej. Kiedy stanęli na chodniku, strażnik miejski i inny mężczyzna biegli przez ulicę z wiadrami pełnymi wody.

Niespodziewanie otworzyło się okno na drugim piętrze i jakaś kobieta zaczęła wołać o pomoc.

– Mój mąż! Mój mąż został ranny! Nie mogę się wydostać z mieszkania!

Dżamila i Jerry popatrzyli w górę. Trzy piętra ponad oknem kobiety, na dachu, wielkie pomarańczowe płomienie wiły się i kłębiły, jakby smok leżał tam na plecach i oddychał ogniem, a chmury gęstego dymu przesłaniały księżyc.

Część parapetu otaczającego ogród na dachu uległa już zniszczeniu i niespodziewanie na jego skraju ukazał się Terence Wakefield na wózku inwalidzkim. Nie odzywał się, lecz płonął. Na głowie miał jakby czapkę utkaną z ognia i nawet poprzez płomienie Jerry dostrzegał jego szeroko otwarte usta i cierpienie malujące się na twarzy.

Jasper Starke ukazał się za nim. Także płonął. Płomienie strzelały z jego ramion jak ogniste epolety. Stał na dachu, jakby się zastanawiał, co teraz zrobić, albo się modlił. Po chwili zacisnął ręce na uchwycie wózka Terence Wakefielda, zepchnął go z dachu i poleciał ku ziemi razem z nim.

– Do diabła! – zawołał strażnik miejski.

Terence Wakefield z hukiem wylądował na ulicy, a Jasper Starke na jego plecach. Obaj wciąż płonęli, gdyż wchłonęli mnóstwo termitu zawartego w bombie zapalającej. Spalali się w tak wysokiej temperaturze, że koła wózka inwalidzkiego zmarszczyły się jak pajęczna sieć, a asfalt pod nimi zaczął się topić.

Dżamila i Jerry mogli tylko patrzeć, jak stopniowo dwaj mężczyźni zamieniają się w dziwną stertę spalonego mięsa i czarnych kości, upstrzoną aluminiowymi częściami wózka.

– Ubyło wam trochę roboty – powiedział Charlie.

Duch siedział przy nim i spoglądał na wszystko jakby w zamyśleniu. Jerry pomyślał, że pies na pewno coś by w tej chwili powiedział, gdyby tylko mógł.

– Mam nadzieję, że matka Terence’a Wakefielda zdołała się wydostać z tego piekła – powiedziała Dżamila.

Starsza kobieta, jakby czekała na te słowa, ukazała się na progu bloku skrajnie oszołomiona.

Dżamila natychmiast podbiegła do niej, objęła ją ramieniem i odprowadziła jak najdalej od dymiącej sterty, która składała się ze zwłok jej syna i wózka inwalidzkiego.

Kobieta uniosła głowę i popatrzyła na dach.

– Ich już pewnie tam nie ma? Mojego chłopca i jego okropnego kolegi?

– Nie – odparła Dżamila. – Ale jak udało się pani stamtąd uciec?

– Och, puścili mnie, kiedy tylko znaleźli się na górze. Powiedzieli, że mam zejść po schodach. Gdzie są teraz?

Podszedł do nich strażnik.

– Z paniami wszystko w porządku? – zapytał.

– Ta starsza kobieta jest w szoku – powiedziała Dżamila.

– Proszę więc za mną – zaproponował strażnik. – Na pewno przyda się pani kubek gorącej herbaty.

Odprowadził matkę Wakefielda na bok. Dżamila odwróciła się i zobaczyła, że Jerry, Charlie i Duch czekają na nią.

Bez słowa dotarli do skrzyżowania z Tyneham Road i zobaczyli za rogiem zaparkowane volvo oraz furgonetkę do przewożenia psów. Otworzyli samochody, ale zanim wsiedli do środka, zastygli na chwilę i nasłuchiwali. Poza niekończącym się szumem przejeżdżających samochodów w nocnym powietrzu nie było słyhać żadnych dźwięków. Nieba nie przeczesywały światła reflektorów, nad ich głowami nie latały bombowce, nad dachami nie unosiły się jaskrawe pomarańczowe płomienie, a w powietrzu nie dawało się wyczuć zapachu kwaśnego dymu.

– W Pakistanie mówią, że ci, którzy w walce posługują się ogniem, zazwyczaj kończą w stercie popiołu – powiedziała Dżamila.

– Prawda – przyznał Jerry. – A na East Endzie mówią, że każdy wózek inwalidzki powinien mieć spadochron.

Przez resztę nocy Jerry nie był w stanie zmrużyć oka, ponieważ sypialnia w Lavender Gardens wydawała mu się obca i nieprzyjazna, ale głównie ze względu na to wszystko, czego był świadkiem na Elsley Road.

Wciąż miał przed oczami Terence'a Wakefielda na skraju dachu i Jaspera Starke'a zaciskającego dłońe na uchwytach jego wózka inwalidzkiego, ogarniętych szalonymi płomieniami i cierpiących tak straszliwie, że nie byli w stanie wydobyć z siebie głosu. Nawet najpotężniejszy wrzask nie odzwierciedlałby ich męczarni.

Później widział, jak spadają z dachu. Ten widok, a także obraz rąk, nóg i kół wózka roztrzaskujących się o ziemię nie pozwalały mu zasnąć.

Wyszedł do ogrodu, żeby zapalić papierosa, bo w wynajmowanym mieszkaniu palenie było zabronione. Usiadł obok gipsowego krasnala, który trzymał w ręku butelkę i miał wyglądać na pijanego.

– Zazdroszczę ci, stary – powiedział do niego. – Wiele bym dał, żebym mógł się teraz urznąć jak świnia.

Krótko po ósmej, kiedy wychodził z mieszkania, spotkał w korytarzu Dżamilę. Wydawała się równie zmęczona jak on, pod oczami miała ciemne obwódki. Poszli razem na komisariat, nie rozmawiając, pogrążeni we własnych myślach, choć świadomi tego, o czym myśli partner.

Nikt inny nie brał udziału w tak dziwnych śledztwach, jakie im się przytrafiły, i zapewne te doświadczenia niesłychanie ich do siebie zbliżyły. Dżamila miała wyższy stopień służbowy niż Jerry i pochodziła z całkowicie innego kręgu kulturowego, ale teraz oboje zachowywali się prawie jak małżeństwo, chociażby dlatego, że swoich uczuć wobec partnera nie musieli wyrażać słowami. Wystarczyło im drgnienie powieki, ruch warg albo krótkie skinienie głową.

Usiedli przy stoliku w bufecie. Jerry wrzucił na talerz smażone jajka, bekon, kielbaski, czarny pudding i grillowane pomidory, ale kiedy zasiadł do śniadania, zwątpił, czy zdoła tę stertę przerzucić i połknąć. Dżamila zadowolona się jogurtem sojowym i herbatą cytrynową.

– Jak sądzisz, do czego powinniśmy się zabrać teraz? – zapytał Jerry.

– Bardzo poważnie się zastanawiałam, czy nie zakończyć już działań. Pozbyliśmy się najgorszych łotrów, a przynajmniej najbardziej niebezpiecznych spośród tych, o których wiedzieliśmy – Rogera i Donalda Welkinów, Ronalda Tuggeya, Terence'a Wakefielda i Jaspera Starke'a.

– A co z Podstępny Nożownikiem, który zaatakował tego nieszczęsnego jubilera?

– Mam mieszane uczucia. Bez wątplenia spowodował u niego ciężki uszczerbek na zdrowiu, ale czy to usprawiedliwia jego eliminację, nawet jeśli zabijemy go w przeszłości, a nie w teraźniejszości?

– Gdyby ktoś wbił mi nóż w dupę, dopilnowałbym, żeby eliminacja z grona żywych była najmniejszym z jego zmartwień.

Dziamila w zamyśleniu zaczęła mieszać łyżeczką w jogurcie. Po chwili powiedziała:

– Jeżeli jesteś gotów na ryzyko, jakie niesie atak na Pazura, to powinniśmy do niego przystąpić. W końcu oboje będziemy uzbrojeni, a zabierzemy ze sobą dodatkowo przynajmniej jeden pistolet maszynowy MP5. Wykorzystamy też element zaskoczenia. Im dłużej będziemy zwlekać, tym poważniejsze będzie niebezpieczeństwo, że zginą kolejni niewinni ludzie, tacy jak Mary Jonas i Archie Cooper.

– Cóż, sprawa jest jasna – odparł Jerry. – Ale poza facetami, których już się pozbyliśmy, nie wiemy zupełnie nic o kolejnych łotrach, których Pazur ma w swojej armii, prawda? A skoro potrafi sprowadzać wszelkiej maści morderców z każdego świata równoległego, jaki sobie wybierze, może wezwać posiłki, żeby zastąpić tych, których stracił. Gdy się zjawimy na St Oswald's Place, może staniami twarzą w twarz z Johnem Christiem, Fredem Westem albo Kubą Rozpruwaczem?

– To jest właśnie ryzyko, które będziemy musieli podjąć. Poprzednie doświadczenia podpowiadają nam, że powinniśmy wejść i wyjść z tego domu najszybciej, jak to będzie możliwe. A jeśli w środku są jeszcze jakieś dzieci, o ile akurat nie kradną na ulicach, musimy przede wszystkim bezpiecznie je stamtąd wydostać.

– A co potem? Wejdziemy do piwnicy z lampami halogenowymi, z MP5 i podziurawimy Pazura kulami?

– Bardzo długo o tym myślałam. Chciałam dotrzeć do oryginalnych planów tego budynku, ale nie udało mi się. Nie znamy rozkładu piwnicy, a może się okazać, że biegnie ona pod ziemią na całej długości budynku znanego kiedyś jako Waterloo House albo przynajmniej pod jego częścią. W takim przypadku, kiedy tylko Pazur nas usłyszy, może uciec. Poza tym przestudiowałam sprawozdania medyczne sir Fredericka Trevesa dotyczące Josepha Merricka. Skóra na głowie i tułowiu Człowieka Słonia była tak gruba z powodu przerostu tkanek, że praktycznie nie dawała się przebić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że Pazur może być kuloodporny? Jezu!

– Wiemy, że stan Matthew Merricka jest jeszcze gorszy niż stan jego bliźniaka, więc jeśli go postrzelimy, możemy ciężko go zranić, ale nie zabić. A jeśli pozostanie przy życiu, musimy założyć, że będzie w stanie przenieść się do innego świata, w którym po jego ranach nie pozostaną nawet ślady. Jego należy zniszczyć, Jerry. Należy go unicestwić.

– Tak, ale w jaki sposób? Wiemy, że dom numer 9 został zbombardowany podczas nalotów, ale wiemy też, że nawet jeśli Pazur przebywał wtedy w piwnicy, nie zginął, chociaż mógł odnieść rany. W przeciwnym wypadku nie przebywałby tam teraz, prawda? Czy może jednak tak? Sam nie wiem, od tych spraw ze światem równoległym mam w głowie totalny mętlik.

– Musimy zrobić z Pazurem to samo, co zrobiono w Pakistanie z pewnym skrajnie paskudnym politykiem.

Jerry nadział na widelec kielbasę, popatrzył na nią i odłożył ją na talerz.

– Aż się boję pomyśleć, co masz na myśli.

– Rozerwała go bomba w jego gabinecie. Widziałeś, w jakim stanie była kuchnia, w której zginęła pani Ferris. Gabinet tego polityka wyglądał po wybuchu jeszcze gorzej. Miałam przyjaciela, który był inspektorem policji w Beludźystanie. Powiedział mi, że pomieszczenie zostało „przemeblowane”.

– Doskonale. Ale skąd weźmiemy bombę?

– Mieliliśmy alarmy bombowe tego lata w Redbridge podczas zamieszek na tle rasowym. Poznałam kapitana Vickersa z oddziału saperów w bazie RAF Northolt.

– Od dawna wiem, że masz wielu przyjaciół, na których możesz liczyć.

– Kapitan Vickers ocalił życie wspomniałemu imamowi i z tego powodu zaprosiliśmy go razem z podwładnymi na nihari, nasz tradycyjny posiłek, który bardzo mu przypadł do gustu. Od tamtego czasu był w Redbridge dwukrotnie, za drugim razem nawet z rodziną.

– I naprawdę sądzisz, że on sprezentuje nam bombę?

– Jerry, zdajesz się zapominać, że jesteśmy funkcjonariuszami policji. To policjanci udzielają ludziom zgody na posiadanie i przechowywanie materiałów wybuchowych. Gdybyśmy mieli taką potrzebę, sami sobie moglibyśmy wydać zgodę na nabycie dwóch tysięcy kilogramów materiałów wybuchowych i przechowywanie ich przez pięć lat.

– Ale aż tak dużo nie będziemy potrzebowali, prawda? Dwa tysiące kilogramów pozwoliłoby wysadzić w powietrze całe Kennington i połowę Lambeth.

Dżamila miała poważną minę.

– To będzie bardzo niebezpieczna robota, Jerry, nie zamierzam tego ukrywać. Ale po wszystkim, czego się dowiedzieliśmy o Pazurze i jego bandzie, nie widzę innego sposobu na wyeliminowanie tych ludzi.

– Przecież wciąż będą istnieć w tych wszystkich innych światach równoległych, prawda? Tak jak ja, ty i w ogóle wszyscy.

– Tak, ale bez pomocy nie można samodzielnie przemieszczać się między światami. Ty i ja nie mamy na to szansy bez Ducha jako przewodnika. Na tej samej zasadzie, jeżeli Pazur zniknie, wszyscy mordercy, jakich wokół siebie zgromadził, ugrzęzną w pułapce w tym świecie, do którego ostatnio ich przeniósł. Jeżeli zostaną aresztowani za popełnienie jakiegoś przestępstwa, nie zdołają już uciec, nie znikną z celi, nie tym razem. Przynajmniej tak rozumiem to, co później

nastąpi. Może się mylić i źle interpretuję superpozycję kwantową, ale właśnie tak to widzę i nie potrafię znaleźć innego sposobu na usunięcie Pazura raz na zawsze.

– Nie mogę tego jeść – powiedział Jerry i odłożył widelec.

Dżamila wyciągnęła z torebki telefon.

– Spróbuję się skontaktować z kapitanem Vickersem. Spodziewam się, że będzie chciał przeprowadzić z nami krótkie szkolenie, zanim nam da jakieś materiały wybuchowe.

– To chyba dobry pomysł. Ostatni raz zajmowałem się materiałami wybuchowymi podczas imprezy u mojego siedmioletniego siostrzeńca z okazji Dnia Guya Fawkesa i podпалиłem sobie wtedy sweter.

Do bazy RAF Northolt, położonej na północny zachód od Londynu, dojechali w niecałą godzinę. Kapitan Jim Vickers czekał na nich w mesie oficerskiej. Wyglądał o przynajmniej dziesięć lat młodziej, niż się spodziewał Jerry, był szczupły i wysportowany, miał zadarty nos, królicze zęby i starannie przycięte włosy. Sprawiał takie wrażenie, jakby wyskoczył z wojennej fotografii przedstawiającej pilota spitfire'a.

– Dżamila, cudownie cię znów widzieć – powiedział na powitanie. – Musimy znowu spotkać się w Redbridge. Marzę o tym twoim cudownym curry. Zaproponowałbym wam drinka, ale będziemy operowali C4, a w tej sytuacji niestety musimy być absolutnie trzeźwi. Ale mogę wam zaoferować herbatę, kawę albo wodę gazowaną.

Usiedli pod obrazem ukazującym bombowiec Lancaster odlatujący w kierunku zachodzącego słońca.

– A więc – rzekł kapitan Vickers – o co właściwie chodzi? Mogę wam dostarczyć kilka kostek materiału wybuchowego i niezbędne detonatory, ale muszę wiedzieć, co chcecie zniszczyć.

– Wykorzystamy te materiały w ściśle tajnym śledztwie – odparła Dżamila. –

Mamy autoryzację z najwyższego szczebla. Znasz zastępcę komendanta Woburna, szefa operacji specjalnych? Nawet nasz nadinspektor nie wie dokładnie, co robimy i w jaki sposób zamierzamy przeprowadzić naszą akcję.

Wyjaśniła, że niedawno dowiedzieli się o działalności przestępczego kartelu, który w pełnej tajemnicy wykorzystuje obszerne pomieszczenia piwniczne w południowym Londynie jako siedzibę, z której kieruje rabunkami, wymuszaniem, handlem narkotykami i handlem dziećmi.

– Chcemy po prostu zniszczyć tę piwnicę i pozbawić grupę przestępczą wszelkich zasobów – broni, narkotyków i przedmiotów pochodzących z kradzieży. Po naszej akcji nie będą już mogli tam działać.

Nie powiedziała, że przywódca „kartelu” ukrywa się w ciemnościach piwnicy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i że ich prawdziwym zamiarem wcale nie jest zniszczenie piwnicy, lecz usunięcie właśnie tego człowieka. Jerry podzi-

wiał to, że z taką pewnością siebie wspomniała o zastępcy komendanta Woburnie, chociaż jedynie zasugerowała, że to on autoryzował akcję, a nie powiedziała o tym wprost.

Po wysłuchaniu wyjaśnień Dżamili kapitan Vickers zadzwonił do magazynu z amunicją. Piętnaście minut później technik oddzwonił do niego i powiedział, że skompletował wszystko, czego potrzeba, wyszli więc bez zbędnej zwłoki z mesy. Na zewnątrz technik czekał już na nich przy landrowerze w kolorze khaki. Był to krzepki kapral w mundurze polowym, który przemawiał do Dżamili i Jerry'ego prostymi, krótkimi zdaniami, jakby byli najgłupszymi ludźmi, których miał nieprzyjemność spotkać.

Zaprezentował im trzy bloki C4 o trzydziestu centymetrach długości, owinięte w przezroczysty plastik.

– To są bloki materiału wybuchowego M112. Są absolutnie niegroźne, dopóki nie wsunie się w nie spłonki. Wcześniej można by do nich strzelać, podgrzewać w kuchence mikrofalowej, podpalać i nic nadzwyczajnego się z nimi nie stanie. Kiedy przejedziemy na poligon, zademonstruję, jak należy w bezpieczny sposób umieszczać w nich spłonki i zapalnik czasowy, żeby doprowadzić do eksplozji. Po wybuchu prędkość fali uderzeniowej wynosi osiem tysięcy dziewięćdziesiąt dwa metry na sekundę.

– Nieźle kopnięcie – zauważył Jerry.

Kapral popatrzył na niego jak na trzyletnie dziecko, ale nie skomentował jego słów. Następnie wsiadł do landrowera i pojechał z pasażerami na poligon.

Wiał silny wiatr i kiedy kapral wywołał eksplozję, najpierw zobaczyli kulę ognia, a dopiero później usłyszeli wybuch. Po chwili nad miejscem detonacji uniosła się chmura dymu i odpłynęła ku niebu niczym duch w czarnym płaszczu.

W drodze powrotnej Jerry opisał układ budynku przy St Oswald's Place 9, a kapral po namyśle poinformował go, że powinien nastawić zapalnik na sześćdziesiąt sekund. To powinno wystarczyć na ucieczkę z piwnicy po schodach i oddalenie się od budynku po eksplozji C4.

– Nigdy nic nie wiadomo... po wybuchu może się zapaść podłoga, a wtedy zawali się nawet pół budynku, dlatego najlepiej będzie uciec od niego jak najdalej.

Zaprowadził Dżamile i Jerry'ego do magazynu i przekazał im płócienną torbę zawierającą trzy bloki C4, spłonki i zapalniki czasowe.

– Zapalnik jest już odpowiednio ustawiony i gotowy do działania – powiedział. – Lecz miejcie się na baczności. Jeżeli będziecie mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy zdołacie się wydostać na zewnątrz przed wybuchem, nie uruchamiajcie go. A jeżeli ustawicie zapalnik i nic się nie zdarzy, nie wracajcie na miejsce, żeby rozwiązać problem. Osobiście nie pozwoliłbym przekazać wam tych materiałów, ale skoro macie zgodę z góry, nic nie mogę zrobić, tylko was ostrzec.

– Jeżeli i kiedy już „wykonacie zadanie”, odezwiście się, dobrze? – poprosił kapitan Vickers. – Ucieszę się, jeśli zdołam pomóc w waszej walce ze zorganizowaną przestępczością. A poza tym miło mi będzie się dowiedzieć, że jesteście w jednym kawałku.

Po drodze do Lavender Hill Jerry powiedział do Dżamili:

– To szaleństwo. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Dżamila skinęła głową.

– To, co robi Pazur, też jest szaleństwem. Ale podobnie jak w przypadku zwalczania ognia ogniem, szaleństwo należy zwalczać jeszcze większym szaleństwem.

Duch potrzebował świeżego zapachu, żeby ich przenieść do roku 1941, więc zaprowadzili go do salonu jubilerskiego Edwarda Dance’a przy Balham High Road, zamkniętego od dnia, w którym właściciel został okradziony i poraniony.

Mieli nadzieję, że pies zdoła uchwycić zapach pozostawiony przez Veronicę Crawford albo Podstępny Nożownik. Nie miało znaczenia, który zapach będzie silniejszy – istotne było to, żeby Duch przeprowadził ich na St Oswald’s Place w czasie wojny, kiedy Pazur ukrywał się w piwnicy.

Duch weszyl w sklepie, najpierw zwracając uwagę na miejsce za ladą, w którym Veronica otworzyła gablotę z zegarkami. Na podłodze wciąż widniała plama zaschniętej krwi Edwarda Dance’a i właśnie tam pies wyłapał wyraźny zapach. Po kilku minutach wyszedł zza kontuaru i usiadł przed Charliem, jakby chciał powiedzieć: „Mam już, co chciałeś. Możemy iść”.

– Powinieneś pójść tym śladem pieszo, dla absolutnej pewności, że ten Podstępny Nożownik jest członkiem bandy Pazura – powiedziała Dżamila. – St Oswald’s Place znajduje się w odległości mniej więcej półtorej godziny marszu. A my powoli tam pojedziemy.

– To oczywiście ma sens – odparł Charlie. – Duszek lubi długie spacerować. Prawda, piesku? Ja jednak nie dam rady tak długo dzisiaj maszerować, nie tym razem. Męczą mnie odciski.

Dżamila i Jerry ruszyli więc na St Oswald’s Place swoim volvo, a Charlie tuż za nimi pojechał razem z Duchem w furgonetce.

Dżamila zerknęła na płócienną torbę z C4, która leżała na tylnym siedzeniu, i na umieszczony obok pistolet maszynowy MP5.

– Mam wątpliwości, Jerry. Uwierzyłam, że gra jest warta świeczki, ale teraz, kiedy rozpoczęliśmy akcję, nie jestem już tego absolutnie pewna – powiedziała.

– Zawsze możemy się wycofać – zauważył Jerry.

– Lecząc wtedy mogłaby zginąć kolejna niewinna ofiara, jak Mary Jonas, Lilian Ferris albo biedny mały Archie Cooper. Czy potrafilibyśmy żyć ze świadomością, że mogliśmy ocalić kogoś przed poćwiartowaniem, przejechaniem przez tramwaj albo przestrzeleniem głowy, a tego nie zrobiliśmy?

– Na razie się przekonajmy, czy Duch przeprowadzi nas do roku 1941. A potem zdecydujemy, czy kontynuować akcję, czy nie.

Dojechali na róg St Oswald's Place i zatrzymali samochód. Zaczął siąpić bardzo drobny deszcz, a noc była niezwykle cicha. Wiatr zmienił kierunek, więc może dlatego samoloty pasażerskie, które zazwyczaj z grzmotem silników przelatywały nad tą częścią Londynu w drodze na lotnisko Heathrow, podchodziły do lądowania z innej strony.

Duch wyskoczył z furgonetki i natychmiast zaczął węszyć.

– Modłę się, żeby złapał trop – powiedział Charlie. – Bo naprawdę nie uśmiecha mi się dziesięciokilometrowy spacer w taką pogodę.

Ale Duch niespodziewanie przestał węszyć i uniósł łeb, jakby czegoś nasłuchiwał. Dżamila i Jerry również zaczęli się wsłuchiwać w odgłosy nocnego Londynu i po chwili do ich uszu dotarło nieporównywalne z niczym innym wycie syren ostrzegających przed nalotem.

Jedno po drugim drzewa zaczęły się kurczyć, jedna po drugiej gasły lampy uliczne, aż w końcu nad St Oswald's Place zapadła całkowita ciemność. Niebo przeczesywały reflektory, oświetlając ogromne balony zaporowe, które unosiły się wysoko nad dachami, a w oddali zabrzmiały odgłosy silników samolotowych. Nie były to samoloty pasażerskie, lecz bombowce.

Jerry popatrzył na Dżamilę.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział. – Chcesz kontynuować?

– Tak. Ale jest noc. Dzieci mogą być w budynku.

– W takim wypadku będziemy musieli je stamtąd wyprowadzić. Charlie, jesteś gotowy? A Duch?

– Och, Duch zawsze jest gotowy. Uwielbia dynamiczne akcje. Do tego jest szkolony. Muszę mu tylko rozkazać, żeby wbił kły w ciało jakiegoś nicponia, i człowiek nie ma najmniejszych szans.

– Jasne – powiedział Jerry. – Zatem przystąpmy do planu A. Wyłamujemy drzwi. Ty, Charlie i Duch lokalizujecie dzieci, po czym wyprowadzacie je z budynku. Strzelacie do każdego, kto spróbuje was powstrzymać. Ja schodzę do piwnicy z torbą zawierającą materiał wybuchowy i włączam zapalnik czasowy. Następnie krzyczę na całe gardło: „Pozostało sześćdziesiąt sekund!” i wszyscy wynosimy się stamtąd najszybciej, jak to jest tylko możliwe.

Wrócił do volvo, otworzył bagażnik i wyciągnął z niego czerwony taran. Następnie zabrał z tylnego siedzenia torbę z C4 i przerzucił ją sobie przez ramię. Pistolet maszynowy MP5 Hecklera & Kocha podał Dżamili, a ona natychmiast go odbezpieczyła, po czym płynnym ruchem przesunęła z prawej strony na lewą dźwignię wyznaczającą sposób prowadzenia ognia, żeby strzelać seriami. Jerry na ułamek sekundy zastygł w bezruchu, podziwiając jej obycie z bronią.

Podeszli do czarnych metalowych drzwi domu numer 9. Duch wciąż węszył z nosem przy ziemi, więc było oczywiste, że Podstępny Nożownik powrócił właśnie tutaj po okaleczeniu Edwarda Dance'a. Syreny wyły coraz głośniej, zaczęła strzelać artyleria przeciwlotnicza. Jerry poprosił Charliego, żeby przytrzymał jego torbę, i po chwili z całej siły zaatakował taranem drzwi. Pierwsze głośne uderzenie osłabiło dolny zawias, lecz drzwi nie ustąpiły.

Trzasnął taranem po raz kolejny i jeszcze kilkakrotnie, ale zdołał jedynie wgnieść metal. Był już pewien, że ktoś przebywający w domu zdał sobie sprawę

z próby włamania, nie wykluczał jednak, że z powodu alarmu lotniczego wszyscy ukryli się w piwnicy Pazura i nie zamierzali ryzykować wyjścia na zewnątrz.

– Cholera jasna – mruknął. – Nie robią już takich taranów jak kiedyś! Powinni napisać o tym piosenkę!

Zamachnął się taranem jeszcze raz, prawie wyrwijąc sobie ramiona ze stawów. Po głuchym dźwięku uderzenia rozległo się znacznie cichsze, długotrwałe skrzypienie i tym razem drzwi zachwiały się jak pijane, po czym wypadły z zawiasów i przewróciły się na podłogę pełną gruzu i szkła.

Jerry odrzucił taran i włączył latarkę, aby oświetlić korytarz. Odebrał od Charliego torbę z materiałem wybuchowym, a tymczasem Dżamila wyprzedziła go i przeskoczyła przez leżące drzwi. Ruszyła do kuchni, krusząc pod butami kawałki szkła z wybitych szyb i trzymając MP5 gotowy do użycia na wypadek, gdyby ktoś wyskoczył na nią z jakiegoś ciemnego zakamarka. W kuchni także panowała ciemność, lecz Jerry szybko stanął za plecami Dżamili i omiótł całe pomieszczenie światłem z latarki.

– Ach! – zawołała Dżamila. – *Is ne mujhe daraja!* Ale się przestraszyłam!

Na ociekaczu przy zlewie siedział cętkowany kot. W świetle latarki jego oczy płonęły demoniczną żółcią, a jego futro było najeżone. Głośno zamiauczał, a po chwili zeskoczył na podłogę i zniknął w mroku podręcznej spiżarni.

– Jeżeli w tym domu są jakieś dzieci, na pewno kryją się w piwnicy – powiedział Jerry. – Przecież nikt by ich nie zostawił na górze podczas nalotu, prawda?

Charlie wprowadził już Ducha na korytarz i pies natychmiast zaczął obwąchiwać dolną część drzwi do piwnicy.

– Facet, którego wyczuł w salonie jubilerskim, na pewno jest właśnie tutaj, mogę to wam powiedzieć za darmo – odezwał się Charlie.

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać, kto tam jest – powiedziała Dżamila.

– Tak, ale musimy być bardzo ostrożni – odparł Jerry. – Do ludzi w piwnicy z pewnością już dotarło, że ktoś jest na górze, nawet jeśli nie słyszeli dobrze, jak taranowałem drzwi.

Troje policjantów popatrzyło po sobie.

– Kontynuujemy? – zapytała Dżamila, podciągając pasek pistoletu maszynowego.

– Tak. Kontynuujemy.

Jerry otworzył drzwi piwnicy, pchnął je do przodu i uskoczył w bok, na wypadek gdyby ktoś zamierzał strzelać do niego z piwnicy. Po chwili oświetlił latarką schody z boku na bok. Natychmiast usłyszał krzyk:

– Co jest, kurwa?

Po chwili dotarły do niego przestraszone głosy kilkorga dzieci i krzyk rozłoszczony kobiety:

– Co się dzieje tam na górze? Ktoś się włamał do domu? Chyba nie jesteście szabrownikami, co? Lepiej się stąd wynoście, i to szybko, bo pożałujecie!

– Jesteśmy z obrony przeciwlotniczej! – zawołała Dżamila. – Przyszliśmy sprawdzić, czy mieszkańcy tego domu są bezpieczni!

Jezu, pomyślał Jerry. Gdyby przyznawano medale za kłamanie, Dżamila zdobyłaby je wszystkie.

Na schodach piwnicznych rozległy się odgłosy kroków i po chwili w świetle latarki pojawił się potężnie zbudowany łyсы mężczyzna o małżowinach usznych wywiniętych w dziwaczny sposób na zewnątrz. Ubrany był w jasnobrązową tweedową marynarkę, starannie zapiętą, choć przynajmniej o dwa rozmiary za małą dla niego. Kiedy dotarł do przedostatniego stopnia, przystanął. Lewą dłonią osłaniał oczy przed oślepiającym światłem latarki Jerry’ego.

– Przecież wy wcale nie jesteście z obrony przeciwlotniczej! – wybełkotał. – O co wam chodzi?

Duch szarpnął się na smyczy tak mocno, że stanął na tylnych łapach. Wydał długi, wściekły warkot, sygnalizując Charliemu, że właśnie znalazł mężczyznę, którego zapach poznał w salonie jubilerskim.

– Zdaje się, że to ciebie nazywają Podstępny Nożownikiem, prawda? – zapytał Jerry łysego mężczyznę.

Mężczyzna sięgnął pod marynarkę i wyciągnął nóż kuchenny.

– Tak, stary! A chcesz wiedzieć dlaczego?

Pokonał ostatni stopień i stanął naprzeciwko Jerry’ego z uniesionym nożem. Jerry zorientował się, że oślepiony światłem latarki bandyta nie może zauważyć, że Dżamila trzyma w rękach pistolet maszynowy. Rozległ się suchy trzask i w jego piersi utkwiała kula z MP5. Mężczyzna na ułamek sekundy znieruchomiał ze zdziwioną miną. Następnie upuścił nóż i potoczył się do tyłu po schodach, wywracając się na kolejnych stopniach jak akrobata. Po chwili z głuchym odgłosem uderzył całym ciałem w posadzkę.

Dzieci wrzasnęły z przerażenia, a kobieta zawołała:

– Co wy zrobiliście? Kim jesteście? Co zrobiliście?

– Wyciągnijmy stamtąd wszystkie dzieci – powiedziała Dżamila. – Kiedy tylko znajdą się na zewnątrz, Jerry, będziesz mógł uruchomić zapalnik czasowy i wszyscy stąd zwiemy.

Jerry oświetlił schody dla Dżamili. Pierwsza zaczęła po nich schodzić, trzymając uniesiony MP5. Jerry szedł za nią, stopniowo oświetlając coraz większy obszar piwnicy, i wkrótce oboje ujrzeli gromadkę przerażonych dzieci, chłopców i dziewczynek, zbitych w ciasną gromadkę. Pomiędzy nimi stała Veronica Crawford z ciemnymi włosami ułożonymi w zwoje zwyczajstwa, z białą twarzą i oczami pełnymi gniewu.

– Wyoście się stąd! – wrzasnęła. – Wyoście się! Matthew! Matthew! Oni zastrzelili Lesleya! Matthew!

Jerry oświetlił latarką najdalszy kąt piwnicy, spodziewając się, że ujrzy tam Pazura. Ponieważ Veronica zawołała „Matthew!”, było już niemal pewne, że Pazurek jest bratem bliźniakiem Josepha Merricka, Człowiekiem Nosorożcem. Jed-

nak piwnicę przedzielała szara zasłona z brezentu i chociaż odniósł wrażenie, że materiał nieznacznie się poruszył, nic poza tym się nie stało.

Charlie zbiegł po schodach razem z Duchem. Pomachał ręką i wyszeptał „ciiii”, aby uspokoić dzieci, ponieważ część z nich głośno płakała.

– Chodźcie ze mną, dzieci! Wszystko będzie dobrze! Ten uroczy piesek w kolorze czekolady ma na imię Duch i przyszedł tutaj, żeby was uratować! Musicie teraz tylko pójść za nim na górę, a potem wyjść na ulicę i on was zaprowadzi w bezpieczne miejsce!

Duch obwąchał zwinięte w kłębek ciało Podstępnego Nożownika, jakby chciał uzyskać absolutną pewność, że mężczyzna nie żyje. Następnie ruszył po schodach w górę, zatrzymując się co chwilę i oglądając, żeby mieć pewność, że dzieci podążają za nim. Charlie podprowadził je do schodów, zagarniając je ramieniem jak miły wujek na przyjęciu urodzinowym.

– Matthew? – powtórzyła Veronica, ale tym razem jej głos zabrzmiał łagodnie. Następnie zwróciła się do Dżamili i Jerry’ego: – Nie możecie tego zrobić. Nawet jeżeli jesteście naprawdę policjantami, jak twierdzicie, nie macie do tego prawa. Otrzymaliście jakieś upoważnienie? Dostaliście nakaz?

Dżamila wycelowała do niej z MP5 i powiedziała:

– Mamy prawo moralne, pani Crawford. Naszym nakazem jest zemsta w imieniu wszystkich ofiar bandy Pazura. A teraz niech pani wejdzie na schody i pójdzie za dziećmi.

– A jeżeli odmówię?

– Wtedy bez wahania zastrzelę także panią. Nie mamy czasu do stracenia.

Veronica przez chwilę się wahała, ale kiedy Dżamila uniosła MP5 trochę wyżej, chwyciła w dłoń fałdy długiej sukni i zaczęła wchodzić po schodach. Dżamila ruszyła za nią. Kiedy Veronica stanęła na najwyższym stopniu, po raz ostatni krzyknęła:

– Matthew!

Gdy Dżamila wyszła bezpiecznie z piwnicy, Jerry przyklęknął na jedno kolano. Położył latarkę na posadzce i otworzył płócienną torbę. Wyciągnął z niej trzy kostki C4 i uważnie nastawił zapalnik czasowy na sześćdziesiąt sekund. Ale zanim go zdążył uruchomić, ciężka szara zasłona na końcu piwnicy nagle oderwała się od sufitu i uderzyła w posadzkę.

Wyszła zza niej najbardziej dziwaczna istota, jaką Jerry kiedykolwiek zobaczył na własne oczy. Bez wątplenia był to człowiek, ponieważ miał głowę, korpus, dwie ręce i kuśtykał na dwóch nogach. Jednak jego głowa była ogromna i upstrzona wielkimi białymi guzami. Wyglądała raczej jak kamień z przyczepionym do niego mnóstwem rzepów, a nie jak głowa człowieka, i była tak ciężka, że przy każdym kroku właściciela przechylała się znad jednego ramienia na drugie. Jego nozdrza były rozdęte i nawet z drugiego końca piwnicy Jerry słyszał długie świszczące oddechy. Na oczach miał okrągłe bursztynowe szkła, oprawione byle

jak skręconym miedzianym drutem, dzięki czemu tworzyły parę dziwaczych okularów.

Klatkę piersiową miał tak przerośniętą, że jego aksamitna marynarka w kolorze butelkowej zieleni była porozrywana po bokach i ukazywała bladą grudkowatą skórę.

– Co ty tutaj robisz? – zagrzemiał. Zakaszłał, splunął i znów zakaszłał. – Co zrobiłeś Lesleyowi? Gdzie jest Veronica? Przecież trwa nalot! Gdzie są dzieci?

– Jestem policjantem – odpowiedział Jerry, starając się mówić spokojnie, chociaż na widok monstrum po plecach przebiegły mu ciarki.

Na szczęście Pazur zdawał się z niewiadomego powodu obawiać latarek Jerry'ego i dlatego przystanął w dużej odległości przed nim na środku piwnicy.

– Ha! Jesteś konstablami, co? Wcale na kogoś takiego nie wyglądasz! Ale wkrótce zawiążę ci sznurowadła! Prześlizgnąłeś się tutaj, co? Nie wiem, jak ci się udało zrobić to samodzielnie, bez mojej pomocy, a ja z całą pewnością nigdy nie sprowadziłbym tu żadnego konstabla, za żadne skarby. Niemniej nie masz żadnego prawa, żeby mi tutaj przeszkadzać, stary. A za tę próbę zostaniesz ukarany!

– Przykro mi, kolego – powiedział Jerry – ale jedyną osobą, która teraz poniesie karę, jesteś ty.

Po tych słowach włączył zapalnik czasowy przymocowany taśmą do kostek C4 i wstał.

– Dokąd chciałbyś się prześlizgnąć? – zapytał Pazur chrapliwym głosem. Znowu zakaszłał i dodał: – Hej? Dokąd chcesz się udać? Pewnie gdzieś dawno i daleko? Co powiesz na wielki pożar Londynu? A może czas zarazy?

– A co ty powiesz, jak cię wysadzę w powietrze? – odparł Jerry.

Szybko się upewnił, że czerwone liczby na wyświetlaczu zapalnika zaczynają się zmieniać – 57... 56... 55... – a potem podniósł latarkę i ruszył do góry po schodach.

Pazur zawył, a Jerry na ostatnich stopniach schodów poczuł, że coś zaciska się na jego kostkach i próbuje go pociągnąć wstecz. Nie tylko w dół, ale do jakiegoś zupełnie innego miejsca. Przypomniawszy sobie nawiedzony dom w parku rozrywki, który kiedyś odwiedził. Żeby przejść do kolejnego pomieszczenia, musiał sobie w nim torować drogę przez wąskie duszące szczeliny pomiędzy kocami gęsto zwisającymi z sufitu.

– Duchu! – zawołał.

Pies niemal natychmiast przybiegł z korytarza i zaszczekał, a wtedy ucisk na jego kostkach zelżał. Jerry wytoczył się na korytarz, stąpając po potłuczonym szkle.

Zobaczył, że Dżamila i Charlie wyszli już na dwór, ale Veronica wciąż stała w progu i spoglądała na korytarz.

– Co się stało? – zawołała, kiedy Jerry i Duch wybiegli z budynku. – Co zrobiłeś z Matthew?

– Pozostało czterdzieści sekund! – krzyknął do niej Jerry. – O ile nie mniej!

– Co to ma znaczyć? – wrzasnęła Veronica. – Jakie „czterdzieści sekund”?
– Po prostu stąd uciekaj!
– Podłożyłeś bombę? Naprawdę?
– Uciekaj stąd! – powtórzył Jerry i przeciął St Oswald’s Place, żeby dołączyć do Dżamili i dzieci.

– Ale ja go kocham! – zawołała Veronica.

Wbiegła z powrotem do budynku i natychmiast pochłonęła ją ciemność.

– Cholera jasna – jęknął Jerry, wciąż dysząc.

– Może ładunek nie wybuchnie? – powiedziała Dżamila.

– Może nie. Ale jeśli nawet nie dojdzie do wybuchu, pamiętasz, co nam powiedział kapral. Nie wolno wracać i sprawdzać, dlaczego ładunek nie eksplodował, ponieważ wciąż będzie istniało zagrożenie, że wybuch jednak nastąpi.

Reflektory nadal intensywnie przeczesywały niebo, lecz odgłosy wrogich samolotów ucichły i w tej chwili słychać było tylko przemykające we wszystkie strony wozy strażackie, karetki pogotowia i nawołujących się ludzi.

– To jest chyba najdłuższe sześćdziesiąt sekund w historii – powiedział Jerry.

Odczekali jeszcze kilkanaście kolejnych sekund i wreszcie usłyszeli eksplozję rozdierającą bębunki w uszach. Można było odnieść wrażenie, że to londyńska noc nagle pękła na dwie połowy. Parter budynku numer 9 eksplodował gradem cegieł, które poleciały wysoko w niebo i spadły na ulicę. W tym potoku gruzu także Pazur wystrzelił do góry jak rakietą. Chociaż z jego nóg pozostały tylko krwawe strzępy, ramionami obejmował Veronicę albo przynajmniej to, co z niej pozostało. Na jej głowie wciąż widniały zwoje zwycięstwa, ale twarzy w ogóle już nie miała, a z jej porozrywanego ciała wypływały wnętrzności.

Pazur i Veronica opadli z powrotem do tego, co pozostało z piwnicy, i dopiero wtedy cały budynek numer 9 się zapadł, grzebiąc ich szczątki pod stertą gruzów, nad którą uniosły się kurz i gęsty dym.

Dzieci, które z daleka przyglądały się tej scenie, były tak przerażone, że zapomniały o płaczu.

– Można powiedzieć, że wykonaliśmy zadanie – powiedział Jerry, chociaż ledwo słyszał własne słowa. – To prawda, że dom numer 9 został zniszczony w czasie wojny, lecz bynajmniej nie przez tych, o których wszyscy myślą.

– Teraz musimy zdecydować, co zrobić z tymi dziećmi – dodała Dżamila. – Popatrz na nie, wszystkie są przerażone. Nie wiemy nawet, z jakich światów równoległych tutaj przybyły.

Podszedł do nich Charlie.

– Ten problem możemy pozostawić Duchowi. Zdaje się, że tylko on zna tajemne przejścia pomiędzy światami.

Duch krążył wśród dzieci, trącając je nosem i liżąc ich dłonie, okazując radość z tego, że się uratowały. Dzieci głaskały go, rozmawiały z nim, a jedna mała dziewczynka mocno go wyściskała.

Rozległ się sygnał odwołujący alarm. Jerry popatrzył na rumowisko, jakie pozostało po budynku numer 9, a następnie na Dżamilę. Oboje milczeli, bo w tej chwili słowa były zbędne.

Wrócili za róg ulicy. Samochody wciąż stały na miejscach – nieoznakowane volvo i furgonetka dla psów. Ulicami przemykały już poranne autobusy i taksówki, a niebo zaczęło przybierać jasnopomarańczowy kolor.

Jerry odwrócił się i zobaczył Ducha, który wybiegł z za rogu. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Za nim szły dzieci, ośmiu chłopców i trzy dziewczynki. Miały na sobie zniszczone, od dawna niemodne ubrania i wszystkie potrzebowały kąpieli oraz gorącego śniadania. Niektóre miały na policzkach wilgotne ślady po łzach.

Szły jednak za Duchem, jakby były pewne, że przeprowadzi je w końcu do nowego, szczęśliwego świata.

Tytuł oryginału: *What Hides in the Cellar*

Copyright © Graham Masterton 2023

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2023

Copyright © for the Polish translation by Piotr Kuś, 2023

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii: Izabella Marcinowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce

© Des Panteva / Arcangel Images

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Wybryk natury*, wyd. I, Poznań 2023)

ISBN 978-83-8338-765-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**